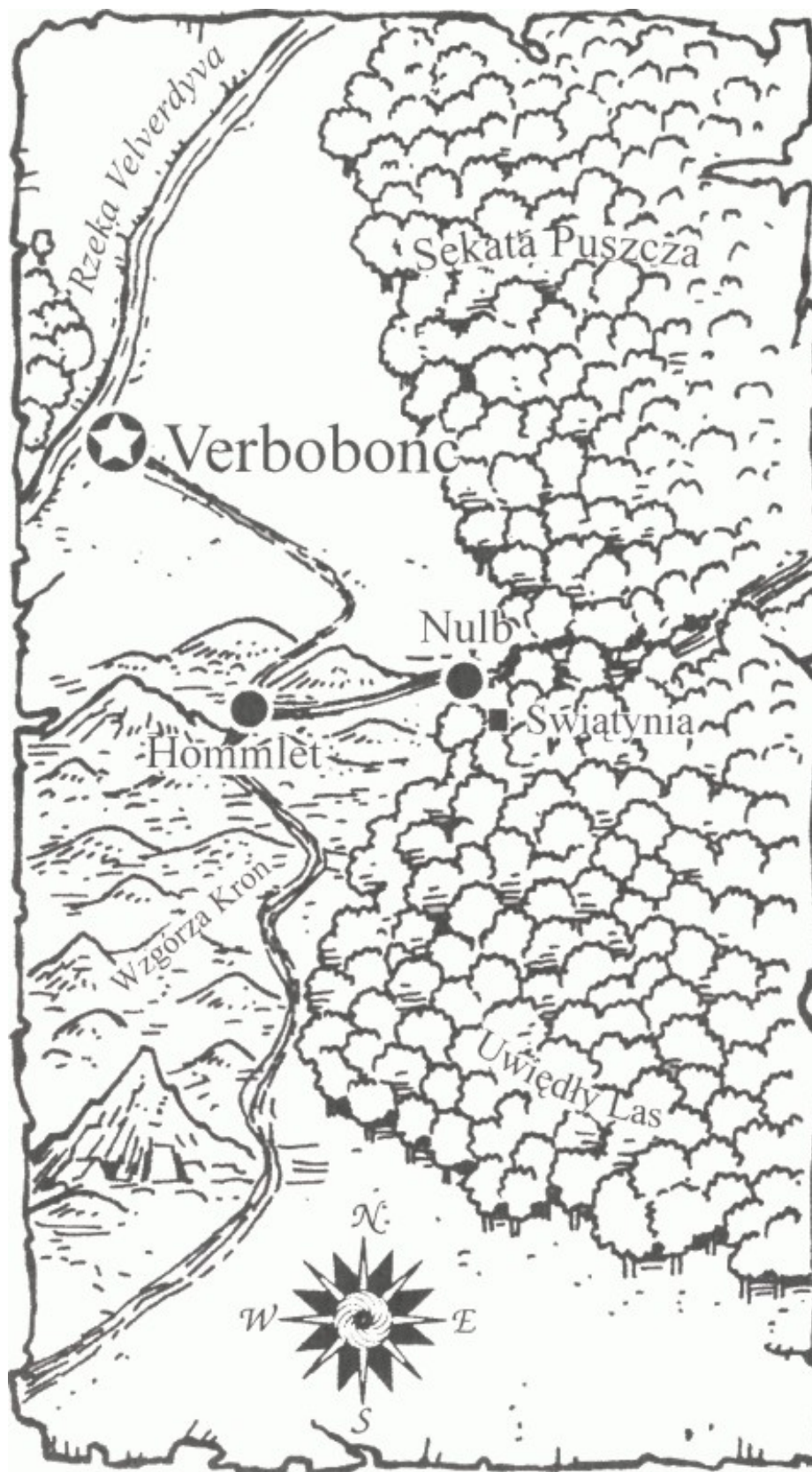




*Świątynia  
Złych Żywiolów*

*Thomas M. Reid*



## Prolog

Dym z dwóch wypełnionych wonnościami kadzideł unosił się pod sufitem, sprawiając, że powietrze w małej, ale przytulnej komnacie było cierpkie i gorące. Przycmiony blask kadzideł, wraz ze światłem dochodzącym z kominka na odległej ścianie, wypełniał pomieszczenie długimi, migotliwymi cieniami. Ubrany jedynie w czarne jedwabne spodnie Hedrack, wysoki kapłan Świątyni Złych Żywiołów, spoczywał w wygodnym pluszowym fotelu, trzymając stopy na biurku. Na udach trzymał otwarty tom *Podboju, Posłuszeństwa i Rozkazu*, ale tak naprawdę książkę poświęcał niewiele uwagi. Jego zainteresowanie budziło stojące w rogu wysokie, pokryte gronostajami łoże, na którym spoczywały jego bliźniacze piękności.

Mika drzemała, leżąc naga na brzuchu na stercie futer, z twarzą ukrytą pod falami spływających kaskadami hebanowych włosów. Astelle, siedząc ze skrzyżowanymi nogami obok Miki, z futrem luźno okrywającym jedno ramię, patrzyła na Hedracka. Przechyliła się do przodu, opierając rękę na kolanie, i wpatrywała się w swego pana, walcząc z opadającymi powiekami. Na jej ustach zakwitł półuśmiezek zadowolenia. Ciemne, odrzucone do tyłu włosy odsłaniały jej szczupłą białą szyję i powabne ramię.

Hedrack przyglądał się przez chwilę sennej twarzy Astelle i spostrzegł, jak mruga raz po raz, próbując utrzymać otwarte oczy. Dobrze, pomyślał. Zawsze posłuszna. Stara się pozostać przytomna... wykona każde polecenie, jakie zechcę wydać, wiedząc, że jego niewypełnienie będzie bolesne. Jednak nawet bez groźby kary obie dziewczyny, pozostając pod działaniem uroku, z ochotą skorzystałyby z każdej szansy, żeby tylko zadowolić swego pana. Tak więc nie musiał ich często karać.

Dobrze się dzisiaj spisały, pomyślał Hedrack, uśmiechając się do siebie. Zawsze nagradzaj posłuszeństwo, napomniął się, powtórnie czytając słowa z otwartej przed nim strony.

- Śpij - polecił Astelle. Uśmiechnęła się, a potem osunęła na łoże i ułożyła obok Miki, przykrywając się futrem. Po chwili oddechy obu dziewcząt zrównały się, oba spokojne i miarowe.

Hedrack powrócił do książki, próbując ponownie się na niej skupić, kiedy rozległ się pojedynczy dźwięk małego dzwonka stojącego na jego biurku. Wstał z krzesła i zarzucił na ramiona jedwabną togę. Z przodu czarnego odzienia widniał wizerunek złotej, pozbawionej szczęki trupiej głowy, plecy zaś zdobiła rogata czaszka w czerwieni. Przywdziawszy pantofle z czarnego jedwabiu, Hedrack podszedł do drzwi, odciągnął zasuwę i otworzył je. Wkroczył do większego pomieszczenia, umeblowanego masywnym stołem i wieloma krzesłami, a następnie starannie zamknął za sobą drzwi. Wysoki kapłan obrócił się, żeby spojrzeć na strażnika stojącego w jego sali audiencyjnej.

Stworzenie, posiadające dwie głowy wznoszące się wyżej niż na dwukrotny wzrost samego Hedracka, stało prosto, patrząc na mężczyznę z wcale nie małym strachem, dającym się łatwo wyczytać z dwóch par oczu.

- P-panie - powiedziała jedna z głów.  
- Lordzie Hedrack! - zawołała druga i ettin skłonił się.  
- Deusie, Ahmo - odpowiedział Hedrack, zwracając się do każdej głowy z osobna. - Jak tam warta?  
- Warta zawsze czujna - jednocześnie odpowiedziały obie głowy: Deus i Ahma.  
- Bardzo dobrze - odrzekł Hedrack, obracając się, żeby wyjść z sali. - Nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi, jak zwykle.

Ettin za nim przytaknął i zasalutował, przykładając kolejno dłoń do każdego czoła.

Hedrack, idąc pewnie i spokojnie, skierował się do korytarzy swej podziemnej kwatery głównej. Poza miarowymi krokami nielicznych trolli sprawujących straż nic nie mąciło spokoju świątyni. Wysoki kapłan był w dobrym nastroju, a jego myśli powróciły do Miki i Astelle czekających na niego w łozu. Wkraczając do komnat świątyni, poczuł, że pragnie ich uścisku. Uśmiechnął się i przyspieszył kroku.

Hedrack przeszedł przez kilka następnych pomieszczeń i wkroczył do większej sali z wieloma rozchodzącymi się promieniście wyjściami. Minął boczne sale i wszedł na duże schody prowadzące na podwyższenie. Zobaczył dziwną, migotliwą, fioletową kotarę, która wyglądała na żywą istotę, skręcając się i falując, kiedy przez nią przechodził. Wyłonił się w mniejszej, prywatnej komnacie z trzema ołtarzami. Od prowadzących w dół schodów dochodziła słaba perłowa poświata, a czarne kotary po obu stronach zasłaniały mniejsze wnęki.

Hedrack ukląkł między trzema ołtarzami i zaczął się modlić. Niedługo potem poczuł w swym umyśle obecność, silną i potężną osobowość, od której emanowała fascynująca mroczna perfidia.

- Mój Panie Iuzie - powiedział Hedrack do obecności w swej głowie. - Jestem Twoimi Ustami. Ogłaszam twe życzenia światu, który szczerze pod twymi stopami. Wzywałeś mnie Panie?

*Tak, odrzekł bóg, otaczając Hedracka aurą swej nienawiści. Mój lojalny sługo. Jak postępuje twe dzieło?*

Hedrack uśmiechnął się, ponieważ uwielbiał przynosić bóstwu dobre wieści.

- Mój Panie, sprawy idą lepiej, niż się spodziewałem. Mój dowódca polowy donosi o mających nadejść w tym tygodniu dodatkowych oddziałach, do których wkrótce dołączy wiele następnych. Przysłała także nowe ofiary.

*Doskonale, odrzekł Iuz, a jego zgrzytliwy głos odbił się echem w umyśle wysokiego kapłana. Wkrótce opanujemy cały region, a ta tłusta ropucha Belvor z Chendl nie będzie wiedział, co się dzieje, kiedy dopadną go jednocześnie z północy i południa. To będzie wojna, jakiej nigdy nie widział.*

- To będzie wspaniały dzień, Lordzie Iuzie. *Jakiś postęp w szukaniu jej?* Hedrack przytaknął, spodziewając się tego pytania.

- Niewielki, mój Panie. Ten tron, o którym mówiłem? Odkryłem, że może mnie czuć, a ja ją, kiedy na nim siedzę. W taki sposób zacząłem się z nią wstępnie porozumiewać i wiem, że pragnie wolności, chociaż wygląda, że - jak mam to powiedzieć - nie jest tam całkowicie, jak gdyby była w środku głębokiego snu, podczas którego jedynie jej część jest mnie świadoma. Zapewniłem ją, że pracujesz nad jej uwolnieniem. Myślę, że to wystarczyło, na razie. Tak jak kazałeś, nie wysłałem jeszcze kopaczy, żeby szukali ukrytych komnat, w których została uwięziona.

*Doskonale, mój lojalny sługo, odpowiedział Iuz. Jednakże, myślę, że nadszedł czas, aby ją znaleźć i uwolnić.*

- Mój Panie? Myślałem, że zamierzasz ją pozostawić w tym stanie. Czy nie mówiłeś, że to raczej sama obietnica, niż jej wykonanie, sprawi, że świątynie będą w nią wierzyć, a tobie pozostaną posłuszne?

*Zgadza się. Odkryłem jednakże działania na innych frontach, siły, które się nam sprzeciwiają. Nie możemy sobie dłużej pozwolić, żeby trzymać w zamknięciu obietnicę jej mocy. Nadszedł czas, aby ją zdobyć i wykorzystać.*

- Inni, o Przeróżliwy? *Tak. On zorientował się i nawet teraz wysyła swych sługusów, aby się w mieszała. To na razie wszystko, co ten wąsaty fircyk w śmieszonym kapeluszu zrobił, ale kiedy już raz podjął działania, musimy być gotowi na kolejne ruchy z jego strony.*

- Sam powiedziałeś, że uniknięcie jego uwagi będzie niemożliwe, Wielki Iuzie. Czy w mieszał się za szybko?

*Nie, ale nie możemy zwlekać. Rozpocznij kopanie. Znajdź ją i obudź, a także odszukaj jego sługi. Zniszcz ich. Prześlij czytelną wiadomość innym, których mógłbyś chcieć wysłać. Spraw, żeby się bali wkroczyć na tę ścieżkę.*

- Słucham i jestem posłuszny, mój Panie. Złapię ich i wyślę do innych planów.

*Dobrze. Chcę, żeby stracił nadzieję. Teraz idź i zrób, co ci powiedziałem.*

- Tak, Lordzie Iuzie - tak szybko jak nadeszła, obecność zniknęła z umysłu Hedracka.

Wysoki kapłan otworzył oczy, powstał i rozejrzał się wokoło. Skierował się w stronę emanujących perłowo białą poświatę schodów i zaczął nimi schodzić w dół.

Łagodna, blada iluminacja sączyła się z umieszczonej w centrum komnaty kolumny światła, rozjaśniając pomieszczenie. Ściany okrągłej sali były od góry do dołu inkrustowane szlachetnymi kamieniami, ułożonymi tak, żeby tworzyły obraz bogatego wiejskiego krajobrazu widzianego z blanków wielkiej budowli. Obserwatorowi tych wspaniałości były pokłony najdziwniejsze istoty ze wszystkich stron świata.

Hedrack przeszedł na środek i wkroczył w kolumnę światła. Wewnątrz niej stanął naprzeciwko srebrnego tronu pokrytego drogimi klejnotami i skąpanego w mlecznej poświacie. Wolno przesunął się w jego kierunku, wziął głęboki oddech i usiadł.

Wysoki kapłan momentalnie poczuł obecność jej umysłu w swoim własnym. Było to podobne do sposobu, w jaki nawiedzał go jego Pan, ale zarazem jakoś inne. Podczas gdy Iuz był świadomy i przenikliwy, ona sprawiała wrażenie sennej, półprzytomnej. Hedrack próbował ją obudzić, ściągnąć jej uwagę. Reagowała powoli, jak gdyby pogrążona w morzu melasy, ale jednak odpowiedziała.

*Wróciłeś, wyszeptwała, rozpoznając go z przeszłości. Ucieszył się z tego powodu.*

- Tak. Szukam cię. Miejsca twego pobytu. Lord Iuz i ja przybyliśmy, by cię uwolnić.

*Jestem tutaj. W tym miejscu.*

- Ale musisz mi pomóc. Musisz przypomnieć sobie, jak się tu dostałaś.

*To trudne. Widzę... nadchodzących ludzi. Mój ukochany mówi, żebym biegła. Uciekam... dokąd? Nie pamiętam. Ale jest coś... złoty... klucz? Tak! Klucz! Musisz znaleźć klucz!*

- Klucz? Jaki klucz? Czym on jest? Co czyni? Uwolni mnie. Musisz go znaleźć.

- Tak, zrobię to. Ale gdzie? Gdzie jest klucz i gdzie jest zamek?

*To... złoty... klucz.*

Kontakt urwał się. Była zbyt wyczerpana, aby dalej starać się sobie coś przypomnieć, żeby dłużej zachować świadomość. Hedrack, wydymając wargi w lekkim niezadowoleniu, podniósł się i opuścił kolumnę światła.

Złoty klucz, pomyślał wysoki kapłan. I pamiętała mnie... Być może udało mu się osiągnąć pewien postęp. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Wychodząc z pokrytej klejnotami komnaty, zastanawiał się, czy powinien rozkazać Barkinarowi, dowódcy oddziałów świątynnych, żeby rozpoczęto kopanie, mające na celu odnalezienie jej. Nie, zdecydował. Wkrótce, ale jeszcze nie teraz. Świątynie wciąż walczą między sobą. Muszę sprawić, żeby się pogodziły, zanim ją uwolnię, a wtedy nic nie stanie nam na przeszkodzie. Nie tym razem. Tymczasem dowiem się czegoś o złotym kluczu.

Wciąż się uśmiechając, Hedrack powrócił do swych komnat, gdzie oczekiwały go pełne wdzięku Mika i Astelle.

Poszarpane chmury wisiały nisko nad wschodnimi Wzgórzami Kron, niosąc ze sobą wilgoć i zacieniając zalesione szczyty, które wyglądały niczym siwe, postrzępione kosmyki brody Rao, tak jakby bóg pokoju niedawno tamtędy przechodził. Dżdżyste niebo ciemniało fioletem zmierzchu i tylko stalowoszara poświata zachodu opierała się nadejściu nocy. Pośród nasiąkniętych deszczem dębów i ippów dwa niosące samotnych jeźdźców konie stąpały ciężko przez niekończące się kałuże na bardzo rozjeżdżonej drodze.

Mężczyzna jadący z tyłu - z ciężkim, okutym żelazem drągiem, przytroczonym z przodu siodła - trząsał się, gdy strumyczki chłodnej wody przesiąkały przez grubą, natłuszczoną peleyrę, kapiąc z krawędzi zbyt dużego kaptura i spływając bezustannie w dół szyi. Po raz setny naciągnął kaptur i spał się w sobie, siadając głębiej w siodle, próbując ukryć się przed deszczem, który rozpadał się na dobre, nad nim i nad jego towarzyszem, już od samego rana. Westchnął, zmęczony trzydniową jazdą przez zachodnią część Sękatej Puszczy i cmoknął na konia, sygnalizując pośpiech, któremu przeczyła cała jego postawa. Wierzchowiec parsknął i zignorował polecenie, niezmiennie chlupiąc kopytami w płytkiej, mętnej wodzie.

- Lanithaine, proszę, powiedz mi, że dzisiaj dotrzemy do tego miasteczka - powiedział jeździec do postaci z przodu. - Powiedz mi, że już prawie jesteśmy w tym Hommlet - jeszcze raz strząsnął wodę z kaptura.

- Tak, Shanhaevelu - mężczyzna z przodu odwrócił się przez ramię. - Powinniśmy dojechać do Hommlet góra za godzinę - mówiąc to, Lanithaine roześmiał się. - Wiesz, zawsze mnie przekonywałeś, że elfy mają cierpliwość, żeby siedzieć i całymi godzinami przyglądać się rosnącemu drzewu. Tymczasem wygląda na to, że nie możesz się wprost doczekać przyjazdu na miejsce. Wczoraj narzekałeś, że w ogóle nie powinniśmy opuszczać Sękatej Puszczy.

- Po prostu potrzebuję ciepłego paleniska i suchego łóżka - wymamrotał Shanhaevel. - Oczywiście lepiej, gdyby to było *moje* łóżko.

Lanithaine roześmiał się ponownie donośnym, ciepłym śmiechem, który niósł ze sobą prawdziwe uczucie.

- Co? Nie chcesz spędzić kolejnej nocy skulony na chłodnej ziemi w strugach deszczu?

- Na Boccoba! - parsknął Shanhaevel, usiłując zażartować. - Nie bądź niemądry. Po co nam ciepły i suchy dom, kiedy możemy być tutaj, bogowie wiedzą gdzie, podróżując do miejsca, którego nie ma nawet na większości map? - ponownie westchnął na myśl o domu.

- Hm, dach nad głową z  *pewnością*  by mi się przydał - odpowiedział stłumionym i niskim głosem Lanithaine. - Tę pogodę czuję nawet w kościach.

Shanhaevel usłyszał zmęczenie w głosie swego nauczyciela.

- Wciąż mi nie wyjaśniłeś, dlaczego tam jedziemy.

- Niektórych historii lepiej nie opowiadać - westchnął Lanithaine.

Shanhaevel zmarszczył brwi, zmieszany słowami mentora.

- Jaka historia, o czym ty mówisz? Lanithaine westchnął ponownie.

- O czymś, o czym gorąco marzyłem, już nigdy *nie* musieć ponownie mówić, nikomu... Starszy mężczyzna przerwał na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. - W Hommlet jest

czarodziej, mój stary przyjaciel. Niegdyś Burne i ja byliśmy bardzo sobie bliscy. Przeżyliśmy razem wojnę.

- Wojnę? Jaką wojnę?

- Możesz ją pamiętać. Nie było to tak dawno temu, przynajmniej, jak sądzę, dla ciebie. Powstała potężna świątynia, dosłownie otoczona murami forteca. Było to mroczne i straszliwe miejsce poświęcone kultowi żywiołów, a także ohydnych demonom. Wyjechałem na jakiś czas i prosiłem cię, żebyś uważał na wioskę podczas mojej nieobecności.

- Przypominam sobie - odparł Shanhaevel. - Słyszałem opowieści powracających kupców. Wojsko świątyni dostało zdrowo w skórę, jeśli dobrze pamiętam, a sama świątynia została zburzona, po za tym to było tylko dekadę temu. Nie uświadamiałem sobie, że brałeś w tym udział. Nigdy o tym nie mówiłeś.

- Tak, no cóż, nie było to coś, o czym lubię myśleć, a jeszcze mniej opowiadać o tym innym. Nawet tobie, bo mam nadzieję, że uda ci się uniknąć takich przeżyć.

- Ale odbiegłem od tematu - kontynuował po chwili starszy mężczyzna. - Burne i ja podróżowaliśmy razem, służąc samemu strażnikowi Furyondy, księciu Thrommelowi, który dowodził armią maszerującą na świątynię. Byliśmy częścią specjalnego oddziału, jego osobistej świty, jeśli można tak powiedzieć. Mieliśmy specyficzne i bardzo niebezpieczne zadanie. Musieliśmy przeciwstawić się mrocznej magii przywódców świątyni i czartów, którym służyli. Mimo swego okropieństwa, był to także wspaniały czas - Lanithaine wyglądał na pogrążonego we wspomnieniach. Jego głos dobiegał z daleka, z młodości. - Wszyscy członkowie oddziału żyli się pod dowództwem księcia. Wojna sprawiła, że staliśmy się więcej niż towarzyszami broni. Zostaliśmy przyjaciółmi. Niektórzy z nich zginęli tego dnia - jego głos stał się głębszy i bardziej zmęczony. - Ale to ani tutaj, ani teraz.

- Ale to coś więcej niż wizyta towarzyska, czyż nie? - stwierdził Shanhaevel. - Masz jakieś inne, ważne, powody, żeby zobaczyć się z tym Burne'em.

- Tak. Potrzebuje on mojej pomocy przy czymś, czego nie dokończyliśmy podczas tej bitwy i teraz nadszedł czas, żeby to zrobić. Jednak to Burne powinien opowiedzieć tę historię. Dowiesz się wszystkiego w odpowiednim czasie.

- Mam tylko nadzieję, że jego opowieść warta jest spania na mokrej ziemi - zrzędził Shanhaevel rozczarowany nagłym zakończeniem opowiadania przez swego mentora.

- Ja również wolałbym spać dzisiaj we własnym łóżu, ale złożyłem obietnicę i zamierzam zrobić, co tylko w mojej mocy, żeby została spełniona - w głosie starszego mężczyzny czuć było znużenie.

Elf, poprawiając się w siodle, spojrzął na plecy Lanithaine'a i nagle zobaczył, jak bardzo czas przygiął do ziemi jego ukochanego nauczyciela. Obaj powinniśmy być w domu, powiedział sobie Shanhaevel, a nie w tym bagnie. Oczami umysłu ujrzał Lanithaine'a, jak, utykając, zgarbiony spaceruje po leśnej wiosce, uśmiechając się do wszystkich napotkanych po drodze. Kiedy tak się postarzał? Gdzie uleciały te lata?

Wydawało się, że minęło zaledwie kilka pór roku odkąd Lanithaine wziął do siebie Shanhaevela i zaczął uczyć osierocone elfie dziecko swej sztuki magii. Shanhaevel miał wrażenie, że jedynie liźnął nauki, że minęło zaledwie kilka krótkich miesięcy, odkąd wypróbował swe pierwsze proste sztuczki. Wtedy jego mistrz miał dużo młodszą twarz, nie było ani pochyłych ramion, ani utykania.

Lanithaine spędził większość swego życia z uczniem. Poświęcił się nauczaniu, a jego uczeń był przy nim prawie od dziecka. Czas zrobił swoje, pomyślał Shanhaevel z uczuciem żalu i goryczy. Nie jest aż tyle starszy - może o dekadę lub coś koło tego. Nie jest wcale stary. Jednak teraz Lanithaine *był* stary. Shanhaevelowi przykro było patrzeć na postarzałego nagle nauczyciela, siedzącego skulonego nisko na swym koniu, gdy tak jechali przez deszcz i ostatki dnia. Zdał sobie sprawę, że ich role się odwróciły. Teraz on opiekował się starym człowiekiem, troszcząc się o Lanithaine'a tak, jak Lanithaine opiekował się nim przez minione lata.

Nie zostało nam wiele tych zbyt krótkich lat do spędzenia razem, pomyślał elf. On wkrótce odejdzie. Powiniennem jak najlepiej wykorzystać czas, jaki nam *jeszcze* pozostał.

Shanhaevel zmusił się, żeby powrócić myślami do teraźniejszości. Nie możemy jechać po ciemku, powiedział do siebie. Wkrótce musimy się zatrzymać. Zadygotał z zimna, posyłając kaskadę kropeł w otaczające ich ciemności. W tej samej chwili niewyraźny półgłos, niewiele więcej niż myśl, wdarł się do jego umysłu i elf zdał sobie sprawę, że był już tam od jakiegoś czasu, starając się przyciągnąć jego uwagę.

*Złe rzeczy.*

Gdzieś z przodu, w pobliżu szlaku, trzasnęła gałąź i Shanhaevel zamarł, zatrzymując ruma.

- Lanithaine, poczekaj - zawołał. Kiedy jego nauczyciel ściągnął lejce, elf zaczął nasłuchiwać, ledwie oddychając.

Jaki ze mnie głupiec! Zganił się Shanhaevel, wypatrując i czekając. Zapomnieć o czujności, słuchając nostalgicznych opowieści i sprzecząc się. *Gdzie?* Pomyślał, wysyłając swe nieme pytanie do górujących drzew, mówiąc do umysłu, który odezwał się do niego.

*W ukryciu. Pośród drzew.*

Ciarki przeszły mu po karku, ale już nic nie usłyszał, podniósł się więc w strzemionach i ściągnął kaptur, aby móc się lepiej rozejrzeć. Jego oczy migotały i lekko błyszczały, odbijając najmniejsze pozostałości światła z zachodu, ujawniając wyraźny kształt i lawendowy odcień jego dziedzictwa szarych elfów. Wpatrując się tak długo w zad idącego przed nim konia i błotnistą drogę, teraz jego oczy z trudem przeszukiwały fioletowy mrok, wypatrując kształtów tam, gdzie powinna być tylko ciemność, szarawego światła, gdzie powinny spoczywać jedynie głębokie cienie.

- Co się stało? - zapytał Lanithaine, zwalniając i prowadząc konia obok wierzchowca Shanhaevela.

- Ormiel zauważył coś przed nami - odrzekł elf ściszym głosem. - Powiedział, że są tam „złe rzeczy”. Niczego nie widzę, ale dobiegł mnie trzask gałęzi.

- Naprawdę? Ja niczego nie słyszałem.

- To dlatego, że jesteś głuchy jak pień - wyszeptał Shanhaevel, wciąż wypatrując. Nie widział zagrożenia, ale wyczuł zapach czegoś - czegoś złego. Jego koń również musiał to poczuć, bo zadrzał i zarzucił łbem.

- Ciii - wyszeptał Shanhaevel, głaszcząc grzywę konia, żeby go uspokoić. Minęły długie chwile, ale słyhać było jedynie łoskot deszczu bębniącego o szerokie liście górujących nad nim ippów.

Po chwili Shanhaevel rozkazał mentalnie: *Pokaż mi.* Gdzieś na górze coś nagle zaszeleściło i kiedy elf podniósł wzrok, jastrząb z czerwonym ogonem i szeroko rozpostartymi skrzydłami poszybował w dół, przelatując nad jego ramieniem i dalej do przodu, wzdłuż drogi. Zatrzymał się obok dużego drzewa, może trzydzieści kroków dalej, siadając na grubej gałęzi, jakieś pięć metrów nad ziemią. Gdy jego szponiaste nogi chwyciły chropowatą korę gałęzi, głośno zaskrzeczał.

*Tutaj,* wyszeptał w umyśle Shanhaevela. *W ukryciu.*

Elf miał właśnie otworzyć usta i zaproponować, żeby zawrócili konie i udali się w stronę, z której przybyli, kiedy usłyszał trzask kolejnej leżącej gałązki, a potem dobrze znany odgłos mocno napinanego łuku. W tej samej chwili coś wyskoczyło z poszycia.

*Leć!* Krzyknął Shanhaevel, słysząc świst strzały, ale jastrząb był już w ruchu, rzucając się z gałęzi i nurkując, aby prędko nabrać szybkości, a następnie szybując centymetry zaledwie nad ziemią. W mgnieniu oka znalazł się za dwoma jeźdźcami i pośród gałęzi w górze. Strzała przemknęła przez dębowe liście, tam gdzie siedział jeszcze przed chwilą, ścinając kilka z nich i posyłając je wolno na ziemię.



Shanhaevel dostrzegł kilka pokracznych kształtów wyłaniających się z ukrycia za pniami drzew. Elfowi mignęły przed oczami wysokie ciała z dziwnie ukształtowanymi głowami. W rękach najbliższego napastnika błysnął topór z szerokim ostrzem, ale Shanhaevel już zeskakiwał z siodła, zrzucając swój drąg na błotnistą drogę.

- Uciekaj! - wykrzyknął, walcząc o utrzymanie panowania nad własnym przerażonym rumakiem i jednocześnie sięgając po uzdę konia swego nauczyciela. Ten zaś pochylił się nisko, próbując utrzymać się w siodle, ale spanikowany koń z przeraźliwym rzeniem stanął dęba, zrzucając wątlęgo jeźdźca na ziemię. Lanithaine spadł w błoto i przeturlał się na bok.

Wyłaniające się z cienia groźne postacie, całe pół tuzina, stanęły w półkolu i zaczęły się zbliżać. Przynajmniej dwie z nich dzierżyły łuki, szykując się do namierzenia celu. Shanhaevel poczuł lot strzały nad ramieniem i usłyszał ciche westchnienie bólu Lanithaine'a.

Elfa ogarnęło przerażenie. Żeby mu się tylko nic nie stało, pomodlił się. Zarzuciwszy wysiłki uspokojenia koni, Shanhaevel puścił je oba, pozwalając im pierzchnąć w przerażeniu. Rumak Lanithaine'a raz jeszcze stanął dęba i pognął naprzód, zderzając się z jednym z napastników, który wydał z siebie odgłos przypominający przekleństwo.

Gnolle! Shanhaevelowi wydało się, że rozpoznaje język stwora. Tuż przy skraju lasu? Tak blisko osad? Pokręcił głową i odegnał od siebie tę myśl, rzucając się tam, gdzie potoczył się Lanithaine, chcąc pomóc ranionemu mężczyźnie. Próbował, z trudem, ślizgając się w błocie, posuwać się naprzód. Kiedy jednak wydało mu się, że już za chwilę mocno stanie na nogach, nagle nadepnął na swój drąg, który niespodziewanie wytoczył mu się pod stopy. Elf poleciał niezdarnie do przodu, starając się ochronić głowę wyciągniętymi przed siebie rękoma. Czuł, jak szoruje po rozmokłej od deszczu nawierzchni drogi, skrecając boleśnie ramię i wpadając na koniec twarzą w błoto.

- Ruszaj się! - zawołał cicho do siebie i prychając, ciężko przetoczył się w bok.

Gnolle były tuż przy nim. Prawie w ostatniej chwili udało mu się oczyścić twarz na tyle, żeby otworzyć oczy i zdążyć zobaczyć, że jeden z nich zamierza się na niego wielkim toporem wzniesionym wysoko nad głową. Shanhaevel, zaplątany w mokrą, ciężką od błota pelerynę, usiłował znaleźć swój drąg, miotając się rozpaczliwie na wszystkie strony, byleby uniknąć śmiertelnego może ciosu potwora.

Gnoll wykrzywił twarz w przerażającym uśmiechu i jeszcze wyżej podniósł topór. Boco! Elf powtórnie wznosił okrzyk do swego boga i przeturlał się w bok. Czas wydawał się stać w miejscu. Nie ważne, jak szybko starał się ruszać, śmierć nieuchronnie zbliżała się do niego. Shanhaevel, usiłując się podnieść, znów poślizgnął się i przewrócił na plecy. Gnoll stał nad nim i wahał się, ciesząc się widocznie chwilą tryumfu. Także drugie stworzenie stanęło obok pierwszego i patrzyło w dół, spokojnie obserwując elfa ze złowieszczym uśmiechem na psiej twarzy. To koniec, pomyślał Shanhaevel.

Wybuch światła, który w tym momencie przemknął przez pole widzenia elfa, był prawie tak rażący, jak wstrząsający huk, który mu towarzyszył, pozostawiając go leżącego w błocie, ślepego i głucheego, z boleśnie dygoczącym ciałem. Chociaż wystarczająco często widział magiczne błyskawice Lanithaine'a, żeby wiedzieć, co się stało - spanikował. Oślepiiony, nie miał pojęcia, czy gnolle zostały powalone przez piorun, czy wciąż stały nad nim, szykując się do pokrajania go w małe, pokryte błotem i krwią kawałeczki.

W przeraźliwej szamotaninie jego ręka trafiła wreszcie na coś twardego i instynktownie chwyciła to. To był jego drąg, uświadomił sobie i przyciągnął go do siebie, ściskając z całych sił i wymachując na około w nadziei na zniechęcenie potencjalnych napastników. Wciąż nie mógł słyszeć ani widzieć, chociaż na szczęście zarówno wzrok, jak i słuch zdawały się stopniowo powracać.

Po chwili elf zdał sobie sprawę, że wokół panowała cisza. Gdy się przekręcał, mógł usłyszeć ciamkanie i siorbanie błota pod swym ciałem. Przestał się ruszać i posłuchał. Nie dobie-

gały do niego odgłosy bitwy, a jedynie dźwięk spadających z pobliskich drzew kropli i słaby, zgrzytliwy poświst.

Potrząsając głową i próbując odzyskać widzenie, Shanhaevel usiadł i, gdy zaczął coś widzieć, rozejrzał się wokół.

- Lanithaine? - zawołał, martwiąc się, że w pobliżu mogą być następne gnolle. Nie uzyskał odpowiedzi.

Elf podniósł się na nogi, a jego oczy widziały już prawie normalnie. Wszędzie leżały spalone ciała. Przeszedł obok nich, odczuwając ulgę, gdy spostrzegł, że wszystkie należały do gnoili. Nagle zauważył swego nauczyciela, opartego bezwładnie o pień dużego dębu i oddychającego urywanymi, gwałtownymi haustami. Pędem przemierzył dzielącą ich odległość i ukląkł obok rannego.

Oddech Lanithaine był płytki, a Shanhaevel słyszał ciche bulgotanie dobiegające do jego uszu z każdym tchnieniem przyjaciela. Strzała trafiła prosto w plecy i wystawała z przodu między żebrami. Shanhaevel pochylił się, zbliżając do twarzy nauczyciela. Dojrzał, jak krew opuszcza wargi Lanithaine'a.

Nie! Elf wydał z siebie niemy okrzyk. Dlaczego teraz? Nie mam uzdrawiających czarów!

- Lanithaine, przemów do mnie - powiedział. Stary nauczyciel otworzył oczy i spojrzał na Shanhaevela, chociaż elf wiedział, że jego własna twarz była dla mężczyzny prawie niewidoczna. Dobrze, pomyślał. Niech nie dojrzy mego strachu.

- Musisz jechać... do Hommlet - wycharczał Lanithaine słabym głosem. - Znajdź... Burne'a. Powiedz mu... co się s-stało.

- Nie, ty też ze mną pojedziesz - nalegał Shanhaevel. Zabiorę cię tam natychmiast, jak tylko wsadzę na jednego z koni. Lanithaine wyciągnął się i chwycił dłonią ramię Shanhaevela. Uścisk był słaby, a palce nauczyciela drżały.

- Nie - elfa dobiegł ledwo słyszalny szept. - Nie mogę oddychać. Strzała... w... p-pł...

Shanhaevel czuł łyzy wzbierające mu w oczach, ponieważ zrozumiał, co mówi jego nauczyciel i nie był w stanie wysłuchać reszty. Chciał wytrzeć twarz rękawem, żeby powstrzymać łyzy, ale ręka, twarz, wszystko pokryte było błotem, więc zaprzestał prób.

- Idź - powiedział Lanithaine z ogromnym wysiłkiem. Zakaszłał, jego ciałem wstrząsnęły spazmy, a białą brodę splamiła krew. Shanhaevel mógł go jedynie przytrzymać, czując, jak palce Lanithaine'a wbijają się w jego ramię. Kiedy atak kaszlu zelżał, starszy człowiek ponownie zaczął mówić.

- Możesz... to... zrobić - jego głos był ledwie szeptem. - Burne... potrzebuje... cię. Pomóż... tak... jakbyś... pom... - starszy człowiek zaczerpnął powietrza - ...mnie.

- Lanithaine, nie! *Ty* jesteś moim nauczycielem. Nie mogę - nie chcę służyć innemu! - Shanhaevel także walczył o oddech, mając wrażenie, że się dusi. Czuł się bezsilny, a słowa jego mistrza rozdzierały mu serce. Sugestia, żeby elf służył innemu, to było za dużo. Raniła zbyt głęboko. Gorycz, która zebrała w jego gardle nieomal go zadławiła.

- Nie... służyć. *Pomóc*. Dla mnie. Wykonaj... zadanie. - Kolejny atak kaszlu dopadł Lanithaine'a i tym razem go nie opuścił. Jego oddech stawał się płytszy i płytszy, starzec walczył o powietrze, głowa opadła mu w tył, aż w końcu ostatni atak kaszlu był już nie wiele więcej niż ledwie słyszalnym rzężeniem, po którym umierający westchnął i spoczął bez ruchu.

Shanhaevel klęczał nieruchomo obok ciała swego mistrza, a jego umysł nie chciał uwierzyć w to, co się stało. To nie mogła być prawda. Mieli spędzić razem jeszcze wiele lat. To nie miało się tak skończyć. Potrząsnął głową, próbując dobrze zobaczyć twarz zmarłego nauczyciela, ale nie mógł pozbyć się łez napływających mu do oczu.

- Nie - sprzeciwił się i delikatnie potrząsnął Lanithaine'em. Jest po prostu nieprzytomny, powiedział sobie elf. Mogę go uzdrowić. Nie martwy. Nie martwy!

- Niiieeee! - krzyknął w las, głośno i długo, czując ból w gardle i wcale nań nie zważając. Krzyknął ponownie i chwycił znenawidzoną strzałę, wrywając ją z ciała Lanithaine'a.

Z pięścią zaciśniętą na strzale Shanhaevel zerwał się na równe nogi, nie chcąc dłużej patrzeć na martwą twarz nauczyciela. Szał wściekłości opanował całą jego istotę, zwarł zęby i wolną dłoń zacisnął w pięść. Zawirował dookoła, pragnąc dopaść na drodze gnolla, jednego choćby, który mógłby uciec przed śmiercią od pioruna Lanithaine'a. Nie było żadnych. Jeśli jakiś przeżył, to zniknął. Zdesperowany Shanhaevel rozejrzał się, nasłuchując. Oddech grzął mu w piersiach niczym muł. Czuł, że z wściekłości trzęsą mu się ręce. W furii chwycił strzałę jeszcze mocniej, następnie odrzucił ją i osunął się na drogę z pustką w głowie.

*Złe rzeczy nie żyją*, powiedział Ormiel, a myśl ta pośrednio zmieszana była z lekkim pragnieniem schwywania myszy, którą można by pożreć. *Po co wciąż krzyczeć na próżno?*

Shanhaevel podniósł głowę i rozejrzał się. Jego wzrok powrócił do normy, ale świat wydawał się mroczny, przytłumiony.

*Lanithaine nie żyje*, powiedział jastrzębiowi.

Ormiel nie odpowiedział, ale Shanhaevel poczuł smutek ptaka, który z gałęzi w górze wydał z siebie okrzyk, pisk żałości, odbijający się echem pośród nocy.

Do wszystkich diabłów. Próbował uchwycić znaczenie znajdujące się za słowami *Lanithaine nie żyje*. Krtań zaczęła mu się kurczyć ponownie, ale nie pozwolił, aby niepohamowane emocje znów wytrąciły go z równowagi. Zamiast tego, porzucając na chwilę rozpacz, powstał, rozejrzał się wokoło i zastanowił, co należy teraz zrobić. Zauważył jednego z gnolli zabitych przez Lanithaine'a.

Podszedłszy, przykucnął, żeby się przyjrzeć i zebrać tak wiele informacji, jak tylko mógł uzyskać, badając poczerńiałe, zwęglone ciało. Było uzbrojone i opancerzone - zresztą całkiem przyzwoicie. Shanhaevel nie znał wzoru umieszczonego na czarnej tunice bestii. Sukno było spalone, ale wydawało mu się, że symbolem jest płomienne pomarańczowe oko. Zapisał to sobie w pamięci, zastanawiając się, jakie nie znane mu plemiona mogły grasować w tej części Sękatej Puszczy.

Gnolle tak daleko na zachód? Zachodził w głowę Shanhaevel. Lanithaine powiedział, że dzieli ich nie więcej niż godzina drogi, nawet piechotą, od Hommllet, a tutaj jest co najmniej pół tuzina osad rozsianych po okolicy, przynajmniej według jego mapy. Oprócz tego jesteśmy - ja jestem - teraz pośród wzgórz, które pod swą pieczęją mają gnomy. Dlaczego gnolle ryzykowały wypuszczenie się tak daleko od gęstwin lasu? Może ten Burne z Hommllet będzie to wiedział. Czy wobec tego powinienem ruszyć dalej? Dlaczego? Co mam tam zrobić? Po prostu wejść i zapytać się o tego Burne'a? Przepraszam, panie Burne, ale Lanithaine nie żyje, więc

jestem tu zamiast niego. Pomyślą, że jestem wariatem. Pokręcił głową z niesmakiem. Nie jadę do Hommlet.

Ależ tak, jedziesz, uzmysłowił sobie po chwili Shanhaevel. Lanithaine tego chciał. Chciał, żebyś pojechał tam w jego imieniu. Jeśli chodzi o śmierć, to dla Lanithaine'a najgorsze w niej byłoby pozostawienie niewykonanego obowiązku.

Przez chwilę elf znów poczuł złość - był zły na czarodzieja Burne'a, który z jakiegoś tam powodu potrzebował Lanithaine'a, zły na Lanithaine'a, że próbował przyjść Burne'owi z pomocą, i za to, że umarł, ale głównie był zły na siebie. Za to, że pozwolił, żeby emocje, choćby na chwilę, zaćmiły mu umysł. Gniew szybko ustąpił, ponieważ dokładnie znał powody swej decyzji: stawką był honor Lanithaine'a, nawet pośmiertny, a Shanhaevel za bardzo poważał tego człowieka za życia, aby ten honor splamić.

Niechaj tak będzie, powiedział sobie elf. Lanithaine, jadę tam dla ciebie.

\* \* \*

Shanhaevel stał w pobliżu drogi nad płytkim grobem, który wykopał dla swego nauczyciela, wpatrując się w kamienie przykrywające ciało i oznaczające miejsce. Zostawienie tu Lanithaine'a, w środku pustkowia, na początku jawiło mu się jako zły pomysł, ale wtedy przypomniał sobie, że najbardziej ze wszystkiego Lanithaine kochał las. Po uświadomieniu sobie tego uznał, że pochowanie tu przyjaciela to jedyna słuszna rzecz, którą powinien zrobić. Elf na moment zwiesił głowę, zamknął oczy i przypomniał sobie szczęśliwe chwile spędzone z człowiekiem, który nauczył go zarówno magii, jak i przyjaźni.

Żegnaj, Lanithaine. Śpij. Będę służył twojej sprawie. Dopiero wtedy powrócę do domu. Nie wcześniej. Ta decyzja sprawiła, że poczuł coś w rodzaju przejmującej, pełnej bólu satysfakcji.

Shanhaevel odwrócił się i odszedł od grobu, przystając na skraju lasu, żeby posłuchać i przyjrzeć się po raz ostatni temu miejscu, żeby zapamiętać zarówno miejsce, jak i chwilę. Deszcz ustał, ale niebo pozostało pochmurne, a woda wciąż skapywała miarowo z konarów. Elf naciągnął na głowę kaptur ciężkiej peleryny i wyszedł na drogę.

Kilkaset kroków w górę szlaku znalazł stojące spokojnie konie. Teraz, z ponownie przywiązanym w poprzek siodła kosturem, Shanhaevel poluzował cugle, włożył stopę w strzemię i wskoczył na rumaka. Zza chmur wyglądała Luna, większy z księżyców. Była prawie w pełni i dawała zachmurzonemu niebu słaby poblask, zapewniając wystarczającą ilość światła do jazdy.

Z najwyższych gałęzi pobliskiego drzewa, niczym kamień, spadł jastrząb, w końcu spłaszczając swój lot i szybując cicho w pobliżu. Na otwartym terenie wzleciał do góry, przechylił się i zakręcił, okrążając elfa, zanim wreszcie zanurkował i usiadł na jego ramieniu.

Shanhaevel poklepał ptaka po karku, podczas gdy ten poruszał głową szybkimi, urywanymi ruchami, obserwując go, jak gdyby był uciekającym kąskiem jedzenia. Shanhaevel sięgnął do jednej z wielu kieszeni i wyciągnąwszy kawałek suszonego mięsa, uniósł go do góry. Jastrząb mierzył go spojrzeniem zaledwie przez sekundę, nim jego dziób wystrzelił do przodu, aby pochwycić przekąskę. I tak ze swoim latającym towarzyszem przycupniętym na ramieniu Shanhaevel rozpoczął podróż, po raz pierwszy jadąc bez swego nauczyciela, swego przyjaciela.

Posuwając się wzdłuż środkowego wybrzuszenia drogi, aby ominąć liczne głębokie kałuże, które powstały w koleinach wozów, Shanhaevel obrał spokojne tempo, nie chcąc - gdyby przypadkiem jego wierzchowiec się potknął - ponownie wpaść w błoto.

Po drodze Shanhaevel rozważał, jak powinien przedstawić się ludziom, których spotka, szczególnie temu Burne'owi. Nie chcesz, żeby wzięli cię za zwykłego uczniaka, powiedział

sobie. Powinieneś być ostrożny. Nie jesteś już w domu. Nie ufaj nikomu zbyt pochopnie lub zbyt szybko. Potrzebujesz czegoś, co brzmi imponująco - subtelnie, ale imponująco.

Shanhaevel zastanowił się nad swym pełnym imieniem, Shantirel Galaerivel, co w jego rodzinnym elfim języku znaczyło „dziecię zrodzone w lesie cieni”. No cóż, „szczenie” bardziej odpowiada prawdzie niż „dziecię”, napomniał się, ale z pewnością *tego* nigdy nikomu nie powiem. Mogę to trochę przerobić, sprawić, żeby brzmiało bardziej tajemniczo i potężnie.

- Jestem potomkiem cienia, zrodzonym ze słodkiej ciemności nocy - powiedział cicho, sprawdzając brzmienie słów. - Jestem Shanhaevel.

Podobało mu się to, co usłyszał. Pasowało do jego ponurego nastroju.

Po prawie godzinie miarowej jazdy Shanhaevel zdał sobie sprawę, że teren zmienił się subtelnie. Towarzyszące mu przez cały dzień drzewa wokół drogi wciąż tam były, otaczając ją tak ściśle, jak przedtem, ale poszycie nie było już tak gęste i zaczęła je zastępować niska trawa. Co ważniejsze, pojawił się drewniany płot, odgradzający drzewa od drogi. Było to czyjeś gospodarstwo. Kiedy podniósł głowę, by zobaczyć rozciągające się dalej rozległe pastwisko, pochwyił nikły zapach palonego drewna ze słabiutką nutą świeżo pieczonego chleba. Jak na dobrze znany sygnał - zaburczał mu żołądek. Ciało musi jeść, pomyślał Shanhaevel, czy mnie to obchodzi, czy nie. To musi być Hommler, a nawet jeśli nie, to dzisiaj dojadę i tak tylko tutaj. Droga przed nim wznosiła się łagodnym łukiem i kiedy dotarł na jego szczyt, zauważył kryty strzechą dach wylaniający się z za następnego grzbietu. Po jego lewej stronie rozciągał się sad owocowy, a po prawej rozległe pastwisko, za którym, w oddali, na wprost skryta za kolejną linią drzew, stała kamienna wieża.

Wskazując na sad, Shanhaevel wyszeptał w umyśle jastrzębia: *Leć, Odpocznij. Pożyw się. Przybądź ze słońcem.*

*Tak. Jedzenie. Spanie.*

Jastrząb szeroko rozpostarł skrzydła, odepchnął się od ramienia Shanhaevela i odleciał w kierunku sadu.

Shanhaevel obserwował go przez chwilę, a następnie skierował uwagę na ostatnie metry swojej podróży, pragnąc porzucić chłód nocy na rzecz jakiegoś ciepłego miejsca. Zbliżając się do pierwszych zabudowań, dobrze utrzymanej chałupy z bali i stojącej za nią mocnej stodoły, Shanhaevel zobaczył w oknach światła. Dalej migotały następne. Z obejścia wychynął pies, warcząc na jego nadejście, a wkrótce dołączył do niego drugi i obydwa zaczęły odganiać obcego od swej posesji. Kiedy zrozumiały, że podróżny jedzie dalej cofnęły się i schroniły w drzwiach stodoły. Przed elfem, przy czymś, co wyglądało na rozstaj dróg, pojawiła się większa dwupiętrowa budowla, a z jej licznych okien wylewało się ciepłe światło. Dym z kilku kominów obszernego budynku niósł charakterystyczny zapach świeżego chleba, pieczonego drobiu i różnorodnych pikantnych przypraw. Żołądek elfa, kiedy ten wjechał przez otwartą bramę na podwórze, ponownie zaburczał. Blask dwóch latarni z boku drzwi jasno oświetlał dużą drewnianą tablicę zawieszoną wysoko w dobrze widocznym miejscu. Na tablicy, wcale udanie, namalowany był wizerunek śmiejącej się kobiety, pokazującej dużą część obfitego biustu i trzymającej przed sobą spieniony kufel. Obraz ten lśnił wilgocią deszczu i błyszczał w świetle pary lamp.

Shanhaevel odwiązał drąg i rzucił go na ziemię, następnie zsiadł i zaczął rozpinąć popręgi siodła swojego i Lanithaine'a. W tym momencie z pobliskiej stajni wyszedł chłopiec stajenny mający może z szesnaście lat. Przeszedł przez podwórzec, żeby zająć się końmi. Shanhaevel wydobyl z kieszeni srebrną monetę i wcisnął ją w dłoń chłopca. Młody człowiek uśmiechnął się i wziął cugle.

- Witamy w Hommler - powiedział, odwracając się, by zaprowadzić konie do stajni. - I w „Gospodzie Miłej Karczmarki”. Pani Gundigoot zaferuje wam ciepły posiłek, pokój i kąpiel - chłopiec zmierzył wzrokiem marny wygląd Shanhaevela, po czym ciągnął dalej. - Wszystko to czeka na pana w środku.

Skrzywiwszy się lekko, Shanhaevel pokiwał głową, wszedł na ganek i otworzył solidne drzwi, pozwalając, żeby zalały go monotonny szum rozmów i ciepłe światło lampionów. Po tak długim przebywaniu w ciemności, zanim wkroczył do budynku, musiał na chwilę zmrużyć oczy. Kiedy wszedł, rozmowy na moment zamilkły. Wiedząc, że - cały pokryty błotem - stanowi ciekawy okaz, Shanhaevel stał tam przez jakiś czas, pozwalając oczom na przyzwyczajenie się do światła. Większość gości zdała sobie sprawę, że się gapi i powróciła do przerywanych rozmów.

Elf zauważył, że stoi w rogu dużej jadalni wypełnionej nieheblowanymi stołami i ławkami. Być może z tuzin ludzi siedział w różnych miejscach, niektórzy samotnie, a inni razem jedząc, grając w kości lub rozmawiając. Sufit i znajdujące się nad nim drugie piętro podpierało kilka masywnych pni z korą pociemniałą od dymu i wieku. Niemal całą przeciwległą ścianę zajmował duży kominek z żywo trzaskającym płomieniem, a kilku bywalców, wyglądających w większości na chłopów, siedziało w jego pobliżu, paląc fajki i śmiejąc się.

Dwie młode kobiety, jedna brunetka z prostymi włosami sięgającymi aż do talii, i druga z długimi do ramion falistymi jasnymi puklami, z łatwością poruszały się po na wpół pustej karczmie, wraz z ruchem bioder kołysząc fartuchami i spódnicami. Lekki uśmiech pojawił się w kąciu ust elfa, gdy obserwował, jak obsługują gości.

Trzecia kobieta, masywniej sza i starsza niż dwie pozostałe, weszła przez drzwi za szynkwasem. Trzymana przez nią w jednej ręce taca zastawiona była talerzami, a na każdym leżał tłusty kawałek mięsa polany dużą ilością brązowego sosu. W drugiej ręce miała duży półmisek wypełniony po brzegi białym serem i kilkoma kromkami smakowitego ciemnego chleba.

Zapach ciepłego jedzenia owionął Shanhaevela niczym delikatny letni wietrzyk i mimo świeżego jeszcze żalu, który przepelniał mu serce, poczuł, że umiera z głodu. Oparł drąg w kącie, odłożył sakwy i rozpiął ubłoconą pelerynę. Zdjął też kaptur, uwalniając włosy, które opadły mu na kark jak prawdziwa grzywa srebrnych loków. Spośród nich wystawały koniuszki szpiczastych, elfich uszu, doskonale pasujących do szczupłych rysów jego pociągłej twarzy.

Gwar izby ucichł po raz drugi i Shanhaevel, rozglądając się za wieszakiem, na którym mógłby powiesić pelerynę, zatrzymał się, zastanawiając się, co uciszyło salę. Wielu gości zerkało na niego, chociaż większość z nich starała się nie robić tego zbyt jawnie. Shanhaevel przyjrzał się sobie szybko, zastanawiając się, co jeszcze, poza grubą warstwą błota, mogło zdziwić obecnych.

Obsługująca gości blondynka zamarła, gapiąc się na elfa z rozdziawionymi ustami. Kiedy zdała sobie sprawę, że Shanhaevel patrzy na nią, westchnęła i spuściła wzrok, obracając się, by uciec za ladę. Niestety, czyniąc to, uderzyła w jeden z dużych pni i puściła półmisek, który z trzaskiem upadł na podłogę. Wszyscy spojrzeli na biedną dziewczynę i Shanhaevelowi ulżyło, że odwrócili od niego uwagę.

W tej chwili starsza kobieta zobaczyła, że Shanhaevel wciąż stoi przy drzwiach z płaszczem w dłoni, i wyszła zza szynkwasu, solidnie napominając służki cichym głosem i wyganając je do kuchni. Z poczerwieniałymi policzkami, zmieszana blondynka uklękła, by podnieść naczynie i pomknęła do kuchni, unikając spojrzenia na Shanhaevela. Wzdychając, starsza kobieta odwróciła się do elfa z szerokim i szczerym uśmiechem na twarzy.

- Witamy, dobry przybyszu w „Gospodzie Miłej Karczmarce”. Przepraszam cię, za grubiaństwo Leah. Jest tylko głupiutką dziewczyną, która nie powinna pozwalać gościowi stać w drzwiach.

Shanhaevel gestem zbył przeprosiny kobiety, patrząc, jak obie służki znikają w kuchni.

- Wszystko w porządku - powiedział, powiesiwszy pelerynę - chociaż nigdy nie widziałem takiego zdumienia na widok kogoś pokrytego błotem. Może jestem trochę brudny, ale one wyglądały, jakby zobaczyły ducha.

- Nie, to nie błoto, dobry panie - roześmiała się kobieta. Pochyliła się ku niemu i odezwała się nieco ciszej, przyjmując poważniejszy wyraz twarzy. - Sądzę, że to twoje, hm, *dziedzictwo* zdumiało Leah. Nie odwiedza nas zbyt wielu mieszkańców lasu, chociaż mamy tu wielu podróżnych. Przepraszam. Porozmawiam z nią o jej grubiaństwie.

Shanhaevel zamrugał, zdumiony, zanim domyślił się, że kobiecie chodzi raczej o jego wygląd elfa niż o fakt, że pochodził z Uwiędłego Lasu.

- No cóż - pokręcił głową. - Dobra gospodyni, nic takiego się nie stało, czemu nie zaradziłoby miejsce przy ogniu i jeden z tych przepysznie pachnących pasztetów - powiedział ciepłym głosem. Nie było sensu się na niej wyżywać.

- Oczywiście, dobry panie - kobieta oddała uśmiech. - Ale, proszę, mów mi Glora. Jestem Glora Gundigoot i z moim mężem, Ostlerem, prowadzę „Miłą Karczmarę”. Jeśli czegoś od nas potrzebujesz, wystarczy tylko poprosić. Podejrzewam, że przede wszystkim chcesz się wykąpać.

Shanhaevel chwycił sakwy, a Glora odwróciła się, by poprowadzić go dalej do wnętrza gospody.

- Właściwie, droga gospodyni... - odezwał się Shanhaevel, gdy szli przez salę.

- Tak? - kobieta rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię.

- Szukam kogoś, miejscowego. Nazywa się Burne. Czy mogłabyś powiedzieć mi, gdzie mogę go znaleźć?

- Ach, jesteś tym, na którego czekają - oczy Glory rozszerzyły się, ale szybko ukryła zaskoczenie. - Nie zdawałam sobie sprawy... Ponownie przepraszam. Mistrz Burne i pozostali czekają na ciebie w osobnej sali. To tędy.

Kobieta poprowadziła Shanhaevela w kierunku drzwi. Elf poszedł za nią, zastanawiając się, jak wielu pomocników czarodziei potrzebuje ten Burne. Gdy szedł za gospodynią do drzwi, zauważył trójkę mężczyzn, siedzących przy pobliskim stoliku i przypatrujących mu się z dziwnym wyrazem twarzy.

Trójka ta grała w kości, a ich ubiory sugerowały, że są raczej podróżnymi niż miejscowymi rolnikami. Jeden, sporawy z blizną na wierzchu dłoni, nosił otwarcie sztylet przy pasie, podczas gdy drugi, żyłasty mężczyzna, którego złocista skóra i czarne włosy o granatowym odcieniu wskazywały, że jest Baklunem, był ubrany od stóp do głów na czerwono. Był prawie zupełnie łysy, z wyjątkiem małego kosmyka na czubku głowy i uśmiechał się z lekka pogardliwie. Gdy Shanhaevel i jego towarzyszka mijali ich stół, trzeci z kompanów, siedzący naprzeciwko drzwi, do których zbliżała się Glora, pochylił się, by móc się lepiej przyjrzeć temu, co znajdowało się za przejściem.

Czy nigdy się nie ubłócili? Zastanawiał się Shanhaevel, pewien, że ich nie zna. Może nigdy wcześniej nie widzieli elfa. Na Boccoba, co to za zacofane miejsce.

Kiedy Glora dotarła do drzwi, dwukrotnie zapukała, otworzyła i zajrzała do środka. Za nią Shanhaevel ujrzał spore pomieszczenie z okrągłym stołem i siedzących przy nim kilku mężczyzn, przed którymi stały gliniane kufle i pokryty wilgocią dzban. Przez uchylone drzwi doleciał do niego zapach tytoniu, a pod powalą unosił się gęsty dym. Glora powiedziała coś cicho, czego elf nie usłyszał, a następnie otworzyła drzwi i zaprosiła go do sali.

- Wchodź prosto do środka, a ja przyniosę ci coś do jedzenia.

Shanhaevel pokiwał głową z wdzięcznością i wszedł do pokoju. Pomieszczenie było przytulne, a na przeciwległej ścianie znajdował się kominek, nad paleniskiem wisiała para dekoracyjnych mieczy. Z sufitu opuszczały się dwie lampy dające wystarczającą ilość światła. Wychodząc, Glora zamknęła za sobą drzwi. Elf stanął przy futrynie, patrząc na prawie tuzin zgromadzonych przy stole mężczyzn.

Po chwili Shanhaevel odchrząknął - zdenerwowany widokiem tyłu obcych, którzy siedzieli, patrząc się na niego w milczeniu - i przedstawił się.



- Jestem cieniem... - wychrypiął grobowym głosem, krztusząc się, gdy pomylił się w powitaniu. Na Boccoba! Mówię jak żaba! Potrząsnął głową i spróbował ponownie. - Jestem potomkiem, to znaczy, potomkiem cieni...

Nie, idioto! Przeklął cicho, kiedy mężczyźni spoglądali na niego z wyraźnym zdziwieniem.

- Kim jesteś? Czy powiedziałaś „Potomek Cienia?” - zapytał jeden z nich z błyskiem w oku - gładko ogolony młody człowiek z dołeczkiem w podbródku i grzywą niepokornych brązowych włosów. - „Potomek Cienia” - kontynuował młodzieniaszek. - Nieźle brzmi. Musi być z ciebie nie lada bohater.

Błysk w oku młodzieńca urósł, gdy kilku pozostałych zachichotało razem z nim.

- Nie - sprostował Shanhaevel, zły, że właśnie zrobił z siebie głupca - po prostu Shanhaevel. To znaczy „cień”.

Ubłocone ubranie jeszcze pogorszyło całą sprawę, pomyślał. Wyszedłeś na idiotę, zgañił się w myślach. Żadnych wymyślnych przemów. Po prostu mów. Elf zamrugał, wiedząc, że jego policzki są czerwone z zakłopotania.

- Szukam czarodzieja Burne'a, aby służyć mu w imieniu mego zmarłego mistrza, Lanithaine'a. - Elf, nie wiedząc, który z mężczyzn jest poszukiwanym przez niego czarodziejem i nie będąc pewnym, czy może komuś spojrzeć w oczy, czując się tak idiotycznie, jak w tej chwili - wypowiedział te słowa, nie patrząc na nikogo. Nagła myśl, że ten Burne pomyśli, że się nie nadaje i odeśle go do domu, uniemożliwiając wywiązanie się z zobowiązania, sprawiła, że Shanhaevel zadrżał.

Jeden z obecnych słysząc słowa elfa, nabrał powietrza. Był to wysoki, muskularny i gładko ogolony mężczyzna z krótko przyciętymi, prostymi, ciemnymi włosami. Shanhaevel mógł dostrzec, że nosi on strój podróżny oraz kolczugę. Drugi starszy mężczyzna z gęstymi kręconymi włosami i dużymi uszami, palący właśnie fajkę z długim cybuchem, wstał z krzesła. Shanhaevel, mimo swego zawstydzenia, spojrział na niego i spostrzegł z pewnym zdumieniem, że jest to człowiek raczej niski i korpulentny, a jego długa toga wydaje się być na niego odrobinę za duża.

- Czy dobrze cię zrozumiałem? - ze spopielała twarzą spytał mężczyzna. - Lanithaine nie żyje?

Shanhaevel otworzył usta, by przemówić, ale znowu poczuł ucisk w gardle, więc tylko przytaknął. Był to pierwszy raz, gdy mówił komuś o śmierci swego nauczyciela i ponowiło to jego ból.

- Och, na bogów - westchnął mężczyzna, ciężko siadając i drżącymi dłońmi chwytając oparcia krzesła. - Straciliśmy starego przyjaciela - na wpół wyszeptał, zagubiony we własnym żalu, pośród milczącej grupy ludzi siedzących wokół niego w zamartwym pokoju.

- Tak. To zaiste straszna wiadomość - cicho przytaknął pierwszy z kompanów, wpatrując się we własne dłonie.

\* \* \*

- Jak to się stało? - mrugając, korpulentny mężczyzna z fajką ponownie spojrział na Shanhaevela.

Elf przełknął ślinę z trudnością, starając się odzyskać panowanie nad głosem.

- Został zabity dzisiejszej nocy. Przez gnolle. Pokój wybuchnął głośnym gwarem.

- To przerażające! - *Dzisiaj*, mówisz?
- Pojawiają się już trzeci raz w tym tygodniu! Wszystko to zostało wypowiedziane naraz, huragan wzajemnie przekrzykujących się głosów, wszyscy mówili i zadawali pytania. W końcu mężczyzna, który pierwszy odezwał się do Shanhaevela, zaczął walić kuflem w blat stołu.
- Proszę, panowie! Wystarczy! Kiedy w pokoju zapanował spokój, mężczyzna westchnął z poważną twarzą.
- Cóż, wszyscy wiemy, że to nie wróży dobrze i z pewnością podejmiemy kroki, żeby się dowiedzieć, co się dzieje, ale wszystko we właściwym czasie - odwrócił się do Shanhaevela. - Mój przyjacielu, jestem lord Burne. Lanithaine był moim przyjacielem i dobrym człowiekiem. Bardzo mi przykro z powodu twej straty.
- Shanhaevel pokiwał głową w podziękowaniu, wciąż nie będąc pewnym, czy może zaufać swemu głosowi.
- Słyszałem o tobie - kontynuował Burne. - Lanithaine często cię wspominał. Był przekonany, że dasz sobie radę. Potrzebujemy kogoś z twoimi umiejętnościami w drużynie.
- Zdumiony Shanhaevel przełknął ślinę.
- Drużyna? Nie rozumiem.
- Z rozkazu jaśnie pana wicehrabiego Verboboncu tworzymy małą wyprawę - zacisnąwszy usta, wyjaśnił Burne. - Potrzebujemy czarodzieja, wystarczająco biegłego w sztuce magii, aby w niej uczestniczył. Lanithaine ci o tym nie wspomniał?
- Shanhaevel przechylił głowę na bok, zastanawiając się. Wyprawa? To było coś, o czym nigdy nie myślał.
- Nie - jego serce waliło tak, jakby je ktoś ścisnął, ale przełknął kulę w gardle i wytrzymał spojrzenie krępego mężczyzny. - Wiem jedynie, że byliście razem na wojnie, dziesięć lat temu. Powiedział, że byliście przyjaciółmi.
- Usiądź, proszę - powiedział czarodziej, wskazując na jedno z wolnych krzeseł otaczających stół. Shanhaevel pokiwał z wdzięcznością głową i usadowił się wygodnie, kładąc swe niespodziewanie ciężkie sakwy na podłodze. Burne odwrócił się, żeby przedstawić mu pozostałych.
- To - rozpoczął Burne, wskazując na mężczyznę zaraz na prawo od siebie - jest Melias, przysłany do nas przez jaśnie pana króla Furyondy. On także podróżował z twoim mentorem i ma dowodzić drużyną.
- Znad ramienia mężczyzny wystawała rękojeść miecza. Skinął on Shanhaevelowi głową i uśmiechnął się. Uśmiech niósł ze sobą zdumiewające ciepło.
- Shanhaevel z szacunkiem oddał skinienie, starając się uporządkować sobie to wszystko w głowie.
- Pozwolę Meliasowi przedstawić swoich towarzyszy - powiedział Burne, wskazując na dwóch kolejnych ludzi siedzących po bokach przyszłego dowódcy drożyny - ponieważ przybyli z nim dzisiaj i służą jemu, a nie mnie.
- Melias powtórnie przytaknął i pokazał na młodego człowieka z iskierkami w oczach, który odezwał się już wcześniej, żartując z nieudanego powitania Shanhaevela.
- To Ahleage, nasz, hm... zwiadowca, a to Draga, który doskonale strzela z tego oto łuku.

Shanhaevel po kolei skinął obu mężczyznom, starając się im lepiej przyjrzeć.

Ahleage ubrany był w pancerz z czarnej skóry i kiedy podniósł się i uklonił, jego ruchy były płynne i pełne wdzięku. Shanhaevel zauważył, że za jego pasem tkwił zarówno krótki miecz, jak i sztylet.

Draga był nieco starszy niż Ahleage, chociaż wcale nie tak bardzo, podejrzewał Shanhaevel. Łucznicz, również ubrany w pancerz, był dość obficie owłosiony, z małymi lokami jasnobrązowych włosów pokrywającymi głowę, kilkudniowym zarostem na twarzy, krzaczastymi brwiami i obficie porośniętymi przedramionami. W rogu za nim stał łuk, teraz ze zdjętą cięciwą, ale Shanhaevel spostrzegł, że była to broń dobrej jakości. Obok niego leżał kołczan ze strzałami.

- Reszta to panowie z rady naszej wioski - powiedział Burne. - To jest lord Rufus z Wieży - elfowi skłonił się siwiejący, brodaty mężczyzna o powściągliwym spojrzeniu, jeden z tych dwóch, którzy nosili zbroję i broń - a to kanonik Terjon - teraz uniósł się zwinnie szczupły, blond zakonnik w średnim wieku, gładko ogolony, z ustami zaciśniętymi z grymasem lekkiego niezadowolenia. Jego toga wskazywała na przynależność do kościoła świętego Cuthberta. Burne wskazał na kolejnego mężczyznę z siwiejącą brodą - to Jaroo Ashstaff, druid Starej Wiary.

Po mojej lewej - Burne ciągnął dalej, obracając się w drugą stronę, gdzie siedział potężnie zbudowany, zupełnie łysy osobnik z wielkimi, zwisającymi wąsami - Mytch, który prowadzi młyn w Hommet. Obok niego Hroth, kapitan milicji w Hommet - elfowi skinął głową mężczyzna z krótko przystrzyżonymi siwymi włosami, jednym okiem pokrytym bielmem i dużym orlim nosem - następny to Ostler Gundigoot, właściciel „Milej Karczmarki” - kontynuował czarodziej, pokazując na mężczyznę w okularach, niemal siwego i z brodą, palącego fajkę z długim cybuchem podobną do tej w ręku Burne'a - i w końcu lord burmistrz Hommet, Kenter Nevets - Shanhaevel przesunął wzrok na szczupłego mężczyznę z resztką ciemnych włosów i wodnistymi niebieskimi oczami.

- Dobry wieczór wszystkim, życzę dużo zdrowia - powiedział Shanhaevel, próbując pozbierać się i ukryć swe zmieszanie. - Jak powiedziałem wcześniej, jestem Shanhaevel, towarzyszu i uczeń czarodzieja Lan...

- To nie to, co powiedziałaś - wtrącił się Ahleage, chichocząc, a Draga stłumił swój rechot. - Powiedziałaś, że nazywasz się Potomek Cienia.

Twarz Shanhaevela pokryła się rumieńcem. Otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale Melias odezwał się pierwszy. - Wystarczy. Nie potrzebuję...

W tej chwili otworzyły się drzwi i weszła Glora Gundigoot, a za nią blond służka, niosąc tacę z półmiskami mięsa, następnymi kufkami i kolejnym pokrytym kropelkami dzbanem. Shanhaevel zauważył, że młodsza dziewczyna zaczerwieniła się, łapiąc spojrzenie Ahleage i prawie się potknęła, przechodząc przez próg.

- Po prostu postaw to i zmykaj - warknęła Glora. - Mają co innego do roboty niż flirtowanie z tobą.

Leah położyła tacę na stole i odwróciła się, by odejść, rzucając szybkie spojrzenie młodemu mężczyźnie.

- Sio! Sio! - napomniała ją Glora, wyganiając dziewczynę ścierką do naczyń, dopóki ta nie wybiegła i nie zamknęła za sobą drzwi. Uśmiech na twarzy Ahleage pozostał tam przez jakiś czas.

Mimo niepokoju Shanhaevel nie tracił czasu. Przyniósł sobie półmisek z mięsem i zaczął pochłaniać wielkie kęsy gorącego pasztetu, zbierając przy tym gęstą polewę kawałkiem świeżego chleba. Burne sięgnął po dzban i nalał mu chłodnego miodu, a następnie uzupełnił kufle pozostałych gości. Shanhaevel skinął głową w podziękowaniu, i ponownie zajął się jedzeniem.

Melias, Ahleage i Draga dołączyli do posiłku, ale reszta zgromadzonego towarzystwa wydawała się być najedzona i zadowolona z sączeniem złocistego napoju. Burne przechylił swój kufel, wziął głęboki łyk, następnie odstawił naczynie i wytarł usta rękawem.

- Skoro już znasz wszystkich - powiedział - może Melias wyjaśni ci, co go tu sprowadza i dlaczego stworzono drużynę.

Wojownik skinął Burne'owi ale zanim rozpoczął opowiadanie, dokończył pić.

- Tak. Cóż, jak większość z was wie, dziesięć lat temu spadła na te tereny plaga zła, ropiejący wrzód w postaci Świątyni Złych Żywiółów poświęconej czci mroku i demonów - wokół stolika podniósł się wymowny pomruk i dla Shanhaevela było oczywiste, że nie wszystkim w pomieszczeniu podoba się podjęty temat. - Strażnik Furyondy, książę Thrommel, zebrał armię w celu zniszczenia tej świątyni. Burne, Lanithaine i ja, pośród innych, pojechaliśmy z księciem. W Bitwie o Łąki Emridy rozbiliśmy siły nieprzyjaciela. Większość ich dowódców została zabita, bądź złapana, chociaż niektórzy zdołali uciec - Melias przerwał na chwilę, niewątpliwie zakłopotany tym faktem. Zaciśnąwszy pięści i szczęki, wziął głęboki oddech i ciągnął dalej. - Sama świątynia została pokonana. Drużyna księcia, której część stanowiliśmy, pojechała tam, by opieczetować to miejsce. Ostatnie wydarzenia jednakże sugerują, że ponownie coś dzieje się w jej otoczeniu lub w samej nawet świątyni.

Pokój po raz drugi tej nocy pograżył się w chaosie i potrzeba było chwili bębnienia kuflem w stół przez Burne'a, żeby nadać grupie pozory spokoju. Nawet po tym, jak mężczyźni uciszeli się, wielu z członków rady coś mruczało. Jedynie druid, Jaroo, i Rufus wyglądali na nieporuszonych tymi nowinami.

- Czy twierdzisz, sir, że świątynia ponownie odżyła i rośnie w siłę? - odezwał się Hroth, kapitan milicji, a Shanhaevel pochyliwszy się, nasłuchiwał uważnie. - Czy o to w tym wszystkim chodzi?

- Jak każdy zapewne wie, ostatnio mamy tu plagę napadów wzdłuż szlaków handlowych - wyjaśnił Burne, zanim zdążył to zrobić Melias. Rozległy się kolejne pomruki z kilkoma skinieniami zgody. - Są zbyt dobrze zorganizowane, by można je przypisać zwykłym grabieżom. Ktoś nimi kieruje. Jest całkowicie możliwe, że ten ktoś - lub coś - stojący za tymi atakami, pragnąłby powrotu świątyni. Nie będziemy mieli pewności, dopóki tego nie sprawdzimy.

- Jeśli wasze podejrzenia są prawdziwe - powiedział Mytch, młynarz - nie stanowimy dla nich przeciwników. Jesteśmy rolnikami, nie żołnierzami. Och, ależ tak, stajemy w polu w miesiącu i maszerujemy w kółko na rozkaz Hrotha, ale nie możemy walczyć z tymi bestiami jak równy z równym. Potrzebujemy pomocy.

- Mytch ma rację - zgodził się Kenter Nevets, burmistrz, którego łagodny głos zdawał się nie pasować do sprawowanego stanowiska. - Tak się to zaczęło dziesięć lat temu, ale tym razem nie możemy zwlekać z działaniem. Wicehrabia natychmiast musi przysłać armię.

Wraz ze wzmaganiem się apelów o pomoc Burne podniósł ręce w prośbie o ciszę.

- To właśnie po to jest tu Melias - powiedział, kiedy w pokoju uspokoiło się. - Jako jedyny z dawnych towarzyszy, którzy walczyli z księciem dziesięć lat temu, Melias wciąż służy królowi Belvorowi z Chendl, głównie jako doradca miejscowego wicehrabiego w Verboboncu. Król i wicehrabia zgodzili się, że Melias może w tej sprawie reprezentować ich obydwu i dlatego ma on instrukcje zebrania drużyny, aby przeszukać ten obszar - w szczególności pozostałości starych fortów na południe i wschód stąd. Kiedy zdołamy określić rozmiar zagrożenia, król i wicehrabia zareagują wspólnie, przysyłając konieczną pomoc.

Shanhaevel przestał jeść i bacznie przyjrzał się Burne'owi.

- To po to wezwałeś Lanithaine'a? Żeby przyłączył się do tej drużyny? Z pewnością musisz wiedzieć, że był zbyt stary na wałęsanie się po bezdrożach...

Czarodziej gestem uciszył elfa.

- To nie Lanithaine miał uczestniczyć w tej wyprawie. Potrzebowałem go tutaj z innych powodów, żeby pomógł mi w poszukiwaniu czegoś związanego z tym problemem. Obaj chcieliśmy, żebyś ty przyłączył się do Meliasa.

Shanhaevelowi opadła szczeka, gdy usłyszał tę nowinę. Dlaczego Lanithaine mi nie powiedział? Czego się obawiał? To właśnie ten fakt ukrywał, ale dlaczego?

- Wiem, że to musi wydawać ci się przytłaczające - powiedział Burne z uśmiechem. - Śmierć Lanithaine'a spowodowała, że musisz rozwiązać nowe problemy.

Potakując, Shanhaevel pozwolił, żeby wszystkie informacje dotarły do niego i spojrzał na Burne'a.

- Ten fort? Co to jest? Czy raczej było?

- Stara twierdza na bagnach - odparł Burne. - Była to placówka świątyni, punkt zbiorczy dla oddziałów. Została obleżona i zdobyta wkrótce po Bitwie o Łąki Emridy, po pokonaniu samej świątyni.

- Wspomniałeś przedtem, że dzisiaj zaatakowały was gnolle - wtrącił wyglądający na zboląłego Melias. Shanhaevel gwałtownie nabrał powietrza na wspomnienie zasadzki, w której zginął jego mentor. - Ile stworów was zaatakowało?

- Sześć - skrzywił się elf. - Lanithaine zabił je przed śmiercią.

- Miały jakieś oznaczenia, insygnia? - zapytał Melias, opierając się rękoma o stół.

Shanhaevel przytaknął.

- Tak - odparł - oko, płonące oko. Nic, co widziałbym wcześniej, ale to moja pierwsza podróż poza... - przerwał nagle, uświadamiając sobie, że właśnie miał zamiar się przyznać, że nigdy wcześniej nie opuścił domu.

- O takich samych znakach wspominały inne ofiary - powiedział Melias do Burne'a.

- Tak - potwierdził czarodziej. - Wygląda na to, że rozszerzają swe działania.

- Gdyby nie to, że uważał na nas Ormiel - rzekł Shanhaevel - ja również zginąłbym.

- Ormiel? - zapytał Ahleage. - Któż zacz?

- Ormiel to mój przyjaciel, ptak - odparł Shanhaevel. - Spotkacie go jutro.

Elf zauważył, że zaciska szczeki, ta sama rzecz, którą chciał zniszczyć Lanithaine, jadąc do Hommllet, stała się przyczyną jego śmierci. Nie powinno się to tak skończyć. Gdyby tylko mi powiedział...

- Jesteś pewien, że to były jedynie same gnolle? - spytał Burne. - Nie było z nimi nikogo - czy niczego - innego?

Elf pokręcił głową, starając się skoncentrować myśli na rozmowie.

- Nic, co bym spostrzegł, chociaż byłem w całkiem gęstym lesie - i było ciemno, więc coś mogło chować się dalej, z tyłu, poza granicą mego wzroku - ale wyglądało raczej na to, że działają same.

- Hm - dumiał Burne, drapiąc się za dużym uchem. - Wobec tego nie możemy zwlekać. Melias i jego drużyna wyruszą jutro z samego rana.

- Tak - wymamrotał burmistrz i kilku innych skinęło głowami na znak zgody. - Jak możemy wam pomóc?

- Drużyna będzie potrzebować zapasów - powiedział Melias. - Oczywiście mam pieniądze, ale łaska króla i wicehrabiego spłyną na tych, którzy dostarczą nam zaprowiantowania po bardziej niż sprawiedliwych cenach.

Rozległa się kolejna tura pomruków, ale ucichła, gdy odezwał się Burne.

- Większość z tego, co będzie wam niezbędne, musi pochodzić od kupców. Rannos i Gre-mag mają własną radę i raczej nie są chętni do rezygnowania z zysków. Cokolwiek innego potrzebujecie, możemy wam to zaoferować bez własnych korzyści.

Kilku innych zamruczało, ale szybko uciszyło ich spojrzenie Burne'a.

- Przydałoby mi się kilku krzepkich ludzi. Potrzebuję też uzdrowiacza - powiedział Melias, spoglądając w kierunku Terjona, kapłana świętego Cuthberta - i jeszcze jednego silnego człowieka, szczególnie uspokoiłby mnie taki, który zna te tereny.

- Nie sadzę, żeby żołnierka była domeną mojego asystenta, Calmerta - Terjon skrzywił się, wyglądając teraz dość nieszczęśliwie - ale mogę dostarczyć wam jeden czy dwa napoje lecznicze. Z błogosławieństwem świętego Cuthberta, oczywiście - kapłan uśmiechnął się, widocznie czując, że spełnił już tego dnia swój dobry uczynek.

- Ja mogę zrobić coś więcej - prychnął druid Jaroo. - Moja uczennica, Shirral, wyruszy z wami. Przyślę ją o świcie. Jest świetną uzdrowicielką i zna dobrze te tereny na odległość kilku lig w każdym kierunku.

- Dziękuję, druidzie - powiedział Melias kiwając głową. Terjon popatrzył na Jaroo wilkiem, ale nic nie powiedział. Zdrowy kawałek rywalizacji między dwiema wiarami, pomyślał Shanhaevel uśmiechając się do siebie.

- Mój chłopak, Elmo, może do was dołączyć - włączył się Hroth.

Kilku innych mężczyzn skrzywiło się, ale dokładnie skryli swe miny przed kapitanem milicji.

- To dobry chłopak i nie lada macha toporem.

- W takim razie z przyjemnością go powitam - odrzekł Melias. - Dziękuję wszystkim za pomoc. O brzasku odwiedzimy faktorię, a potem drużyna wyruszy naprzód.

Zapanowała ogólna wrzawa i spotkanie dobiegło końca. Ahleage i Draga pożegnali się, a na twarzy tego pierwszego, gdy wychodził z pomieszczenia, zagościł diabelski uśmieszek.

- A jak tam pieczeń wołowa? - zapytał Ostler Gundigoot, kiedy zatłoczony pokój opustoszał, a przy stole pozostali jedynie Burne i Melias. - Sam ją upiekłem - dodał z dumą.

Shanhaevel spojrział na naczynie z grubej gliny, gdzie przedtem leżało mięsiwo. Wszystko, co pozostało, to kilka smug w miejscach, gdzie wytarł sos kawałkami chleba.

Chrząknął i uśmiechnął się do karczmarza.

- Była przepyszna i mógłbym zjeść jeszcze drugie tyle.

- Powiem Glorze, żeby przygotowała ci jeszcze dużą porcję

- powiedział Ostler. - Zakładam, że bierzesz dziś u nas pokój?

Shanhaevel spojrział na Meliasa, szukając jakiejś wskazówki.

- Wszyscy mamy tu pokoje. Ostler dobrze się tobą zajmie

- potakując, rzekł wojownik.

- W takim razie, tak - powiedział Shanhaevel - poproszę pokój na noc.

Słyszając to, karczmarz odwrócił się i wyszedł, wracając wkrótce z półmiskami pełnymi jadła.

Kiedy Shanhaevel rozpoczął zmaganie z drugim daniem, Burne uśmiechnął się i ten przyjazny wyraz twarzy przypomniał elfowi, że Lanithaine również często tak wyglądał. Odwrócił wzrok, czując, że ponownie zalewa go fala smutku.

- Będziemy bardzo tęsknili za Lanithaine'em - powiedział Burne odchrząknawszy. - Melias i ja uważaliśmy go za dobrego przyjaciela i wspaniałego towarzysza. Z uczuciem mówił o tobie podczas wojny.

- Szkoda, że nic nie wiedziałem - odpowiedział Shanhaevel. - Nigdy mi o tym nie opowiadał i nigdy też nie wspominał o żadnym z was. Po prostu wyjechał pewnego dnia, mówiąc, że musi się czymś zająć i że wkrótce wróci.

Burne pokiwał głową.

- Uważał, że mogłeś wtedy z nami jechać, ale po prostu nie chciał ciągnąć cię na wojnę. Więc zostawił cię, żebyś troszczył się o ludzi w wiosce. Wierzył, że jesteś bardziej niż gotowy, już wtedy. Jeśli potrafisz teraz zrobić choć połowę tego, co twierdził, że się od niego nauczyłeś, nie mam wątpliwości, że dobrze będziesz służył drużynie.

- Bardzo mi pochlebiasz. Dziękuję. Zrobię, co w mojej mocy - nagle poczuł się trochę zakłopotany zarówno pochwałami, jak i badaniem. Miał nadzieję, że spełni podczas tej wyprawy wszystkie oczekiwania. Uświadomił sobie, że już zdecydował stać się jej uczestnikiem, nawet nie zadając sobie trudu, żeby to przetrwać. Oczywiście, powiedział sobie, ponieważ tego właśnie chciał Lanithaine.

- Powiedz mi - poprosił Shanhaevel, zmieniając temat - jak to było służyć z księciem? Nie wiedziałem, że Lanithaine spotkał kogoś z rodziny królewskiej, chociaż teraz przypominam sobie, że wyglądał na mocno zmartwionego, kiedy do wioski dotarły wiadomości o zniknięciu Thrommela.

Nastała długa chwila ciszy, podczas której obaj, Burne i Melias, wpatrywali się w swoje dłonie. Żaden z nich nie kwapił się odpowiedzieć i Shanhaevel zaniepokoił się, zastanawiając, czy nie naruszył jakiegoś tabu.

- Przepraszam - rozpoczął w końcu - nie chciałem...

- W porządku - nareszcie odpowiedział Burne. - Nie wiedziałeś.

Shanhaevel skrzywił się, zakłopotany, nie miał przecież ochoty wściubiać nosa.

- Po wojnie kontynuowałem służbę z Thrommelem - powiedział cicho Melias. - Podróżowałem z nim jako członek książęcej straży. Należałem do jego drużyny łowieckiej w dniu, kiedy zniknął.

Shanhaevel dostrzegł, że kostki żołnierza zbieleły, gdy ten chwycił mocno krawędź stołu. Elf poczuł się nieswojo, wytrącony z równowagi nagłym uczuciem wzbierającym w Meliasie.

Burne podjął wątek, jako że Melias wydawał się niezdolny do opowieści.

- Istnieją dowody sugerujące, że przywódcy świątyni, którzy uciekli nam podczas Bitwy o Łąki Emridy, w jakiś sposób zorganizowali porwanie księcia. Inne dowody sugerują, że książę wciąż żyje, gdzieś tam. Melias nie przestał służyć tronowi, nawet po zniknięciu Thrommela.

- Ostatnie siedem lat spędziłem na poszukiwaniach - powiedział Melias. - Przysięgłem jego ojcu, królowi Belvorowi, że go znajdę - żołnierz westchnął i puścił stół - ale ślady zacierają się. To było siedem długich lat.

Shanhaevel pokiwał głową, starając się zrozumieć, jaką frustrację i rozczarowanie musi czuć Melias.

- Przykro mi, że dotknąłem tak drażliwego tematu - powiedział - ale twoja lojalność i wytrwałość wystawiają ci doskonałe świadectwo. - Skinął głową w stronę Meliasa, próbując w jakiś sposób wyrazić swój szacunek dla tego mężczyzny. - Teraz jednak - dodał, ściągając swój napierśnik - czuję się zmęczony po trzech dobach w siodle, a jutrzejszy dzień zaczyna się wcześniej. Myślę, że jestem gotowy, żeby pójść do łóżka.

- Tak, oczywiście - rzekł Burne. - Chodź. Zawołam Ostlera, żeby przygotował ci pokój.

Kiedy wstał od stołu, zebrał swoje rzeczy i poszedł za czarodziejem i Meliasem do wspólnej sali, Shanhaevel zauważył trójkę mężczyzn, wciąż siedzących i obserwujących. Kiedy Melias kierował się do schodów, obcy z kosmykiem włosów na czubku głowy wstał z szelstem swej karmazynowej togi i zastąpił drogę wojownikowi.

- Nazywam się Turuko - powiedział z głębokim ukłonem i uśmiechem. Miał wyraźny bakluński akcent. - To są moi towarzysze, Kobort i Zert. Chodzą słuchy, że szukacie bogactwa w pobliskich ruinach.

- Chcielibyśmy się dołączyć - dodał jego kamrat, ten z blizną na grzbiecie dłoni. - Co byście powiedzieli, gdybyśmy połączyli siły?

Melias odsunął się w bok, aby ominąć mężczyznę.

- Nie polujemy na skarby. W każdym bądź razie dzięki. Uśmiech Bakluna zniknął i wyglądał on na szczerze smutnego.

- To nie dobrze, ponieważ im więcej - tym bezpieczniej. Współpraca byłaby lepsza dla nas wszystkich. Tak czy owak, planowaliśmy tę wyprawę, zanim tu przybyliście. Być może się tam spotkamy - uśmiechnął się ponownie i wrócił na miejsce.

Bez słowa, nie oglądając się za siebie, Melias zaczął iść, prowadząc do schodów. Ahleage i Draga, którzy siedzieli przy innym stole, opróżniając ostatni kufel przed snem, weszli na stopnie zaraz za nim.

- Obawiam się, że możecie mieć kłopoty z tą trójką - wyszeptał Ostler, prowadząc ich do pokoi. - Mogą chcieć dotrzeć do ruin jako pierwsi.

- Nie są dla nas zmartwieniem - rzekł Melias. - Zbadamy fort, a jeśli spróbują się wtrącić, wtedy się z nimi rozprawimy.

Kiedy grupa dotarła do podestu, frontowe drzwi gospody rozwarły się na oścież i wpadł przez nie młody mężczyzna.

- Atak na Hommlet! - krzyczał. - Pali się wieża lorda Burne'a!



- Niech to szlag - wykrzyknął Ostler, gdy w pomieszczeniu wybuchł chaos.

Melias, Ahleage i Draga ruszyli w kierunku drzwi i zanim Shanhaevel zdał sobie z tego sprawę, podążył w ich ślady. Biegąc za nimi, sięgnął po swój drag i złapał go oburącz.

Na zewnątrz, pośród nocy, zaczął padać śnieg - duże, ciężkie płatki spływające na ziemię, pokrywały ją z przytłumionym pogłosem, niczym palce uderzające miękko o wypchaną poduszkę. Poza tym dźwiękiem - świat był niesamowicie cichy. Cienka okrywa już zalegała ziemię, biały koc szybko przykrywał wilgotny, błotnisty podwórzec.

Shanhaevel zwolnił kroku, zdumiony zmianą pogody. Śnieg? Nie jest tak zimno. Z pewnością, ziemia nie jest na tyle chłodna, żeby śnieg się utrzymał. Wstrząsnął się raz, ale nie było czasu, żeby się nad tym dalej zastanawiać. Grupa mieszkańców przebiegła obok niego, a zaraz za linią drzew, na wschodzie, na nocnym niebie, widniała pomarańczowa luna płomieni, rozproszona do mglistej poświaty.

Melias biegł do głównego skrzyżowania dróg, a Ahleage, Draga i Shanhaevel zmierzali zaraz za nim. Żołnierz zatrzymał się z wyciągniętym mieczem, rozglądając dookoła tak, jakby coś wyczuł. Shanhaevel przyjrzał się otoczeniu, szukając oznak ataku i nasłuchując wiele mówiących krzyków czy odgłosów walki. Na początku wykrył jedynie serię stłumionych okrzyków dochodzących z dołu drogi, z miejsca, gdzie płonął ogień. Melias odwrócił się i pobiegł w tamtą stronę, a pozostali ruszyli za nim.

Shanhaevel zauważył je pierwszy - kształty przemykające się skrycie pośród drzew na południu.

- Poczekajcie - zawołał cicho, pokazując na stwory. Jego żołądek wywrócił się na ten widok.

Pozostała trójka zatrzymała się i wyczekująco odwróciła w kierunku elfa.

- Co takiego? - zapytał Melias, głucho dudniącym głosem dochodzącym zza kurtyny śniegu.

- Tam - odpowiedział Shanhaevel, pokazując palcem w kierunku postaci, które najwyraźniej potajemnie zmierzały do środka miasta.

- Elfie, tutaj jesteśmy ślepi jak jednodniowe kociaki - warknął Draga. - Nie mamy twego wzroku. Do dziewięciu piekieł, co widzisz?

- Osłońcie oczy - ostrzegł Shanhaevel.

Mamrocząc magiczną frazę, czarodziej gestykulował w kierunku drzew, gdzie skradały się groźne cienie. Przymknął oczy, ale przez zamknięte powieki nadal mógł dostrzec nagłą jasność. Spośród drzew dobiegły gardłowe, niskie pomruki i Shanhaevel otworzył oczy, mrugając, ponieważ las wypełniony był promieniami rozmazanego światła, tak jakby z gałęzi wisiały zapalone lampiony.

- Tam! - powiedział Shanhaevel, ponownie wskazując. Tym razem Melias i inni zobaczyli to, co pokazywał. Pół tuzina złych stworzeń potykało się o własne nogi, osłaniając oczy ramionami, chroniąc się przed oślepiającym światłem.

- Niedźwizuki - ryknął Melias i szczerząc zęby ruszył do przodu. Przyłączył się do niego Ahleage z krótkim mieczem w jednej ręce i sztyletem w drugiej.

Draga przyklęknął na mokrym śniegu. Upuszczając kołczan przy boku, nacisnął łuk kolaniem i wygiął go, żeby naciągnąć cięciwę, następnie wyciągnął strzałę z kołczanu. Jednym płynnym ruchem, przyłożył cięciwę do policzka, łuk poszedł do przodu i Draga namierzył pierwszy cel. W momencie, gdy łucznik zwolnił cięciwę, rozległ się donośny brzdęk, a Shanhaevel zobaczył - i usłyszał - jak strzała trafia niedźwiedzuka w nogę, który zawył i padł na ziemię. Draga już sięgał po następną.

W tym czasie Melias i Ahleage zbliżyli się do stworzeń, które stopniowo odzyskiwały wzrok i szykowały się, by stawić czoła napastnikom. Shanhaevel obserwował przez chwilę toczącą się walkę. Melias pewnie i skutecznie władał swym potężnym ostrzem, zataczając nim szerokie łuki i mocno uderzając bronią w tarczę pierwszego niedźwiedzuka, jakiego napotkał. Ahleage zaś wyglądał jak prawdziwy huragan uników i pchnięć, wciąż schodząc w ostatniej chwili z drogi morderczym ciosom i mierząc w ścięgna lub trzewia. Obaj mężczyźni znali się na rzeczy, jednak przeciwnicy przewyższali ich liczbą, nawet wtedy, gdy Draga zdążył już powalić dwóch.

Shanhaevel wahał się. Nie miał już na podorędziu użytecznej ofensywnej magii, przygotowany tego dnia jedynie garstkę praktycznych czarów. Nie spodziewał się udziału w żadnej bitwie. Światło pomogło, ale teraz jedyne, co mu pozostało, to jego kostur. Wystarczający do złamania ręki czy zębra, pomyślał, ale jak dobry przeciwko dzwiedziolakowi? Mimo obaw ruszył z pomocą. Sam widok zwalistych humanoidów sprawił, że zagotowała mu się krew w żyłach.

Draga znalazł się obok niego, odrzuciwszy łuk, kiedy walka zacieśniła się. Razem przedarli się przez drzewa i pospieszyli w kierunku niedźwiedzuka, który chciał zająć Meliasa z tyłu.

Bestia warknęła na nich i spróbowała pchnąć Dragę mieczem. Shanhaevel skręcił, oskrzydłając stworzenie. Drzewa utrudniały użycie draga, ale kiedy dzwiedziolak ponownie rzucił się na Dragę, elf podniósł zakończony żelazem koniec draga do góry, trafił stworzenie w tył łokcia i usłyszał miły dla ucha chrzęst.

Rycząc z bólu, dzwiedziolak obrócił się do Shanhaevela z nienawiścią wyzierającą ze zwężonych czerwonych oczu. Zraniona łapa stwora wisiała bezwładnie. Shanhaevel zrobił krok do tyłu, ale jego atak dał Dradze wszystko, czego ten potrzebował. Łucznik zadał cios mieczem, wrażliwie ostrze głęboko w trzewia stwora i pod żebrami skierował je do serca. Z potwornym, bulgoczącym skowytym niedźwiedzuk upadł na ziemię i znieruchomiał.

Shanhaevel rozejrzał się, akurat, żeby spostrzec, jak kolejna bestia zatacza się, a Ahleage, który właśnie pchnął sztyletem w jej gardło, szykuje się do następnego ciosu. Zraniony stwór przeszedł kilka kroków po śniegu, zaciskając łapy wokół zranionej szyi, następnie ukląkł na jedno kolano i przewrócił się na bok, wijąc się i charcząc. Melias stał nad ciałem następnego.

Za elfem wciąż rozlegały się odgłosy walki. Zanim zdołał się odwrócić, dojrzał zaskoczenie w oczach Dragi. Obracając się, Shanhaevel odkrył, że dwa ostatnie niedźwiedzuki walczyły ze sobą. Zamrugał, uświadomiwszy sobie, że drugie stworzenie nie było niedźwiedzukiem, ale wielkim brązowym niedźwiedziem, stojącym na tylnych łapach. Niedźwiedzuk rzucił broń i uważnie obserwował potężne łapy niedźwiedzia, starając się przewidzieć atak.

Draga minął oszołomionego elfa, by zająć się niedźwiedzukiem, gdy nagle humanoid zeszytywniał i dostał ataku skurczów, a u podstawy jego czaszki pojawiła się wystająca rękojeść sztyletu. Dygocząc, stwór osunął się na ziemię i tak pozostał. Shanhaevel kątem oka dojrzał Ahleage i obrócił się, by zobaczyć, jak ten podnosi się z wykroku po rzucie. Draga jednakże nie opuścił broni. Zwrócił się w stronę niedźwiedzia. Zwierzę, wciąż stojąc na tylnych łapach, ruszyło do przodu, a Draga przygotował się do zadania ciosu.

- Nie! - ktoś krzyknął głośno i w mgnieniu oka zza kurtyny padającego śniegu wytrysnęła postać, która zatrzymała uderzenie łucznika, podnosząc sejmitar i sparowując uderzenie Dragi.

Łuczniczka odsunął się, tak samo zaskoczony jak Shanhaevel, i popatrzył się na przybysza. Była to kobieta, chociaż rysy jej twarzy skrywał śnieg.

- Spokojnie, Mobley! - odezwała się do niedźwiedzia.

Ten opuścił się na wszystkie cztery łapy, zamruczał basem w jej kierunku, następnie usiadł na zadzie, a ona zaczęła drapać go za uchem.

- Jest ich więcej na wschodzie, ty wielka niezdaro - powiedziała, odwróciwszy się do Dragi i zmierzwiwszy go chłodnym spojrzeniem. - Leć walczyć z nimi i zostaw Mobley'a w spokoju. A ty - odwróciła się do Shanhaevela - zgaś to głupie światło. Idź rzucać te swoje czary gdzie indziej.

Z tymi słowy odwróciła się do nich tyłem i skierowała z powrotem do lasu. Niedźwiedź poczłapał za nią. Dziwną dwójkę szybko zasłoniły wielkie pierzaste płatki, które wciąż padały z nieba i przykrywały ziemię.

Draga po prostu stał, oszołomiony, następnie odwrócił się i mrugając, spojrzał na Shanhaevela.

- Widziałeś to? Shanhaevel przytaknął

- Jak myślisz, kim ona jest?

- Zgaduję, że to Shirral, uczennica druida Jaroo.

- O nie - westchnął Draga.

- O tak - odparł Shanhaevel. - Powiedziała, że na wschodzie są kolejne niedźwiedzuki.

Melias przyłączył się do nich i również patrzył w ślad za kobietą.

- Chodźmy - powiedział. - Świetna robota z tym magicznym światłem, Shanhaevelu. Dobre wycucie chwili.

Melias odwrócił się i poszedł z powrotem do drogi, Draga i Ahleage poszli za nim. Shanhaevel wahał się jedynie przez chwilę, spoglądając w miejsce, gdzie zniknęła Shirral, zanim wymamrotał odpowiednią frazę i poczuł, że połączenie magicznych mocy rozluźnia się i niknie, ponownie skrywając drzewa w ciemnościach.

\* \* \*

Zanim Melias i jego drużyna dotarli do wieży stojącej na niskim wzgórzu we wschodniej części osady i strzegącej drogi do Dyvers, bitwa została zakończona. Budowla była tą samą, którą Shanhaevel widział z daleka, kiedy wjeżdżał do Hommlet. Pozostała praktycznie nienaruszona, nietknięta przez pożar. Poważnym uszkodzeniom uległy jedynie rusztowania i fundamenty stojące za nią, gdzie Burne i Rufus zapoczątkowali budowę solidnej strażnicy przylegającej do wieży. Robotnicy zatrudnieni do jej budowy zdołali ugasić ogień, jednak podczas ataku kilku z nich zostało zabitych lub zniknęło.

Chociaż rusztowania nie zostały zniszczone całkowicie, Burne przewidywał, że pożar zatrzyma budowę na kilka tygodni. Nikt nie był pewien, czy podłożenie ognia było dywersją mającą ułatwić napaść na wioskę, czy też może przeciwnie. Członkowie milicji i część żołnierzy Rufusa rozpoczęli zbieranie ciał zabitych stworów. Nosili oni to samo płonące oko, które Shanhaevel już widział. Wszyscy zgodzili się, że coś z pewnością zorganizowało bestie i sprawiło, że stały się tak niezwykle śmiałe.

Shanhaevel przywołał Ormiela, którego i tak obudził panujący zgiełk. *Złe rzeczy były pośród drzew.* Przekazał Shanhaevel jastrzębiowi. *Czy zostały jeszcze jakieś w pobliżu miejsc, gdzie żyją ludzie?*

Ormiel, chociaż niezbyt zadowolony z przerwania mu drzemki, przeleciał kilka razy wokół wioski, szybując między drzewami i wznosząc się nad pastwiskami, ale jedyną pozostałością dzwiedziolaków były ślady uchodzących stóp, z wolna niknące pod grubiejącą warstwą śniegu. Shanhaevel powiedział to Meliasowi, który spojrzał na niego z ukosa.

- Skąd to wiesz? - zapytał wojownik.

- Bo powiedział mi to mój jastrząb. Wspomniałem o nim wcześniej. Ormiel.
- Jastrząb? - zapytał Melias, najwyraźniej trochę zdziwiony.
- Tak - odrzekł Shanhaevel. - Ormiela i mnie łączy specjalna więź. W pewien sposób mogę do niego mówić, a on do mnie. Właśnie sprawdził okolice Hommlet i mówi, że nie ma już nic pośród drzew.
- Hm - mruknął Melias. - Widziałem już dzisiaj wystarczająco dużo dziwnych rzeczy. Wobec tego, jeśli mówisz, że twój jastrząb twierdzi, że nic tam nie ma, wierzę ci. Wracajmy do gospody.

Shanhaevel spoczywał wygodnie w parującej kąpieli, czując, że ból trzech dni podróży powoli opuszcza jego ciało. Stajenni, Latt i Phip, wielokrotnie powracali z wiadrami niemal parzącej wody i wlewali ją do kadzi dotąd, aż elf nie mógł już prawie wytrzymać z gorąca i powiedział im, że wystarczy. Krótco potem Leah przyniosła ręcznik i pożegnała się, życząc miłej nocy. Słuchając odgłosów karczmy szykującej się do snu, jeszcze przez chwilę rozkoszował się dobrodziejstwem wody i rozważał wszystko, co przydarzyło mu się w czasie długiego dnia.

Unikał myślenia o swym nauczycielu, próbując - zamiast tego - skupić się na przyszłości. Przyłączenie się do wyprawy poszukującej informacji o plądrujących dzwiedziolakach wydawało się wystarczająco nieskomplikowane, a poza tym chciał w jakiś sposób zemścić się na mordercach Lanithaine'a. Wiedział jednak, że było w tym coś więcej. Ten śnieg zaniepokoił go, chociaż nie mógł uzmysłowić sobie dlaczego.

Wzdychając, zamknął oczy i zastanowił się, czego będzie potrzebował, żeby przygotować się do jutrzejszej podróży.

W końcu, kiedy woda oziębiła się do przyjemnej temperatury, ale zanim stała się zimna, Shanhaevel skończył kąpiel. Przyjemnie śpiący - przygotował się do pójścia spać. Dorzucił do ognia świeżego drewna, zgasił lampę i przy świetle kominka wszedł do łóżka.

Wczołgawszy się pod kołdrę i umościwszy na poduszce, wydał z siebie długie, powolne westchnienie, starając się zupełnie rozluźnić ciało. Przez chwilę lub dwie leżał w ciemnościach, nie mogąc przestać myśleć o swym nauczycielu. Zaczął wyobrażać sobie ciało Lanithaine'a leżące pod przykryciem z peleryny, pod stertą kamieni, gdzieś w przydrożnym lesie. Jak zimne, wilgotne i twarde było to posłanie w porównaniu z tym, na którym leżał elf. Jak samotne pod warstwą śniegu.

Shanhaevel potrząsnął głową, próbując pozbyć się tej ponurej wizji.

Raptem dobiegł go hałas, głuchy dźwięk z sąsiedniego pokoju, w którym nocował Ahleage. Zanim jednak odrzucił okrycie i wygrzebał się z łoża, dosłyszał cichy szept rozmowy. Nie mógł zrozumieć słów, ale wkrótce dotarł do niego delikatny kobiecy śmiech, po którym nastąpił stłumiony jęk rozkoszy. Leah.

Shanhaevel przewrócił oczami, słysząc jęki i chichoty dochodzące przez ścianę.

- Boccobie, proszę, nie pozwól dzisiaj im tego robić - mruknął, na wpół uśmiechnięty. Przewracając się na bok, wysoko podciągnął kołdrę, a następnie okręcił jedną z poduszek wokół głowy, przyciskając ją mocno do uszu, żeby powstrzymać hałas. Trochę pomogło, ale nie uciszyło dźwięków do końca. Na chwilę Shanhaevel zapomniał o swych ponurych rozważaniach na temat grobu Lanithaine'a. Wystarczająco szybko, mimo schadzki w sąsiednim pokoju, a może dzięki niej, zapadł w zdrowy sen.

\* \* \*

W małym pomieszczeniu, obok jadalni „Gospody Miłej Karczmarki”, przy świetle pojedynczej, przysłoniętej lampy, rozmawiali cicho Burne i Melias, planując wyprawę do fortu. Między nimi na stole spoczywał ciasno zrolowany zwój pergaminu.

- Uda ci się, mój przyjacielu - powiedział Burne, pocieszająco kładąc rękę na ramieniu Meliasa. - Jeśli prawdą jest to, w co wierzymy, jeśli przegnani kapłani są w pobliżu, próbując odbudować świątynię, możesz mieć szansę odkrycia miejsca pobytu księcia Thrommela. Melias pokiwał głową.

- Akurat teraz to najmniejsze z moich zmartwień. Jeśli w jakiś sposób znajdą ją, zdołają uwolnić...

Żołnierz nie dokończył myśli i przez kilka uderzeń serca pokój pozostawał w ciszy.

- Będzie to trudniejsze, niż mógłbyś sobie wyobrazić - odparł Burne. - Stare pieczęcie, które umieściliśmy na tych wrotach wciąż są silne. Wytrzymają. Ale musimy znaleźć klucz wspomniany w wierszu mędrca - powiedział, stukając w leżący przed nim pergamin. - Musimy to uczynić, zanim zrobią to oni i skończyć to, skończyć to tak, jak powinniśmy byli to zrobić dziesięć lat temu.

- Dokładnie - przytaknął Melias. - Tym razem nikt nie powie nam, żebyśmy wracali. Gdybyśmy tylko wtedy nie stracili Falrintha. Moglibyśmy zniszczyć demona, nie tylko uwięzić.

- Tak - zgodził się Burne - ale co się stało, to się nie odstanie. On poległ w walce, a my przeżyliśmy. Nie możemy cofnąć czasu i zmienić historii. Możemy jednak upewnić się, że pieczęcie, którymi zamknęliśmy portale świątyni, na zawsze zatrzymają demona. Będę próbował dowiedzieć się, na czym polega tajemnica klucza. Kiedy tylko coś odkryję, dam ci znać. Znajdź klucz i powróć tutaj. Do tego czasu będę wiedział, jak go zniszczyć.

\* \* \*

Shanhaevel obudził się rankiem, by dostrzec, że wzdłuż krawędzi zasłony przy oknie pokoju przedostaje się przyjemne światło. Przeciągnął się, czując się całkowicie odświeżony, nawet po tak krótkiej nocy. Jakież cuda może sprawić wygodne łóżko! Odrzucił przykrycie i ubrał się szybko, a następnie odsunął zasłony, żeby wpuścić więcej światła. Wyjrzał na zewnątrz. Zapowiadał się jasny, słoneczny dzień, a niesamowity śnieg z poprzedniej nocy niemal zupełnie się roztopił.

Elf usiadł przy stole. Rozpiąwszy jedną z sakw, wyjął gruby pakunek owinięty w natłuszczoną skórę. Rozwijając zabezpieczający materiał, zauważył z zadowoleniem, że jego księga czarów wciąż była sucha. Mamrocząc nad okładką kilka magicznych sylab, ostrożnie otworzył książkę i zastanawiając się, przewracał jej strony. Po raz pierwszy zabierał się do tego zadania bez konsultacji ze swoim nauczycielem i przez to czuł się dziwnie. Po kilku chwilach głębokiego namysłu wybrał czary na ten dzień i zaczął się ich uczyć na pamięć.

W połowie nauki rozległo się słabe pukanie do drzwi. Shanhaevel przeszedł przez pokój i otworzył je. Na korytarzu stał Melias z dużym skórzanym plecakiem i zwojem liny przewieszonym przez ramię.

- Nie jesteś gotowy? Słońce wstało przed godziną. Zdażyłem już wstąpić do kupców po zapasy - mężczyzna skrzywił się kwaśno, co sugerowało, że doświadczenie to nie było zbyt przyjemne.

- Uczę się - Shanhaevel wskazał na stół. - Nie powinno mi to już zająć wiele czasu.

- No dobrze. Cóż, jadłeś już przynajmniej?

Kiedy Shanhaevel pokręcił przecząco głową, wojownik skrzywił się.

- Powiem Glorze, żeby przysłała ci na górę śniadanie, żebyś mógł jeść podczas pracy.

Mówiąc to, Melias obrócił się na pięcie i poszedł w głąb korytarza, zmierzając w kierunku schodów.

- Dziękuję - zawołał za nim Shanhaevel, następnie zamknął drzwi i powrócił do księgi czarów.

Wkrótce potem rozległo się kolejne stukanie i do pokoju weszła Leah, niosąc tacę z parującą owsianką, świeżym chlebem i chłodnym mlekiem.

- Po prostu postaw to tutaj - Shanhaevel wskazał na puste miejsce na stole, przy którym pracował.

Głośne kroki dziewczyny rozległy się w pomieszczeniu i taca ze śniadaniem wylądowała z trzaskiem w miejscu, które jej pokazał.

- Czy coś się stało? - spytał.

- Nic, proszę pana - Leah zarumieniła się. - Przepraszam. Chodzi o to, że Paidy nie ma, gdzie się ukrywa, czy coś, a ja muszę odwalić całą robotę. Proszę mi wybaczyć i nie mówić pani Gundigoot o moim zachowaniu - dygnęła i wybiegła z pokoju.

Shanhaevel patrzył wystarczająco długo, żeby widzieć, jak znika, następnie wzruszył ramionami i zabrał się do śniadania, kończąc naukę.

W chwili, gdy Shanhaevel dotarł na dół i ze swym podróżnym kosturem w ręce wyszedł przez frontowe drzwi, reszta kompanii już tam czekała. To rzeczywiście był czysty, jasny poranek, chociaż śnieg ciągle leżał w ocienionych miejscach. Elf mógł dostrzec swój oddech rozwiewany przez łagodny poranny wietrzyk.

Shanhaevel nie zdążył ująć czterech kroków, gdy zobaczył stojącą samotnie Shirral owiniętą w ciemnobrązową pelerynę narzuconą na skórzany pancerz. Opierała się na podróżnym drągu, stojąc tyłem do elfa i wpatrując się w dal drogi. Jej złociste włosy spływały aż do ramion łagodnymi falami. W ręku trzymała procę i, bawiąc się, kręciła nią młynka, do pasa zaś miała przytroczone sejmitar.

Może nadszedł czas, żeby się bardziej odpowiednio przedstawić, pomyślał Shanhaevel. Zobaczyć, czy poranne słońce zrobiło coś z jej usposobieniem.

Kiedy zmienił kierunek marszu, by podejść do dziewczyny, druidka usłyszała kroki i odwróciła się w jego stronę. Zamarł w pół kroku oszołomiony. Wąska, smągła twarz dziewczyny nosiła niewątpliwie ślady rysów elfów, a jej nieco szpiczaste uszy potwierdzały to dziedzictwo. Ale nie jest pełnej krwi, uświadomił sobie. Urodziła się z mieszanego związku, jest mieszańcem elfa i człowieka, co wyjaśnia, dlaczego nie zauważył tego ubiegłej nocy.

Oprócz tego była absolutnie piękna.

Shanhaevel zdał sobie sprawę, że się na nią gapi, a ona patrzyła wprost na niego, jej lodowato niebieskie oczy błyszczały gniewem, a ramiona trzymała skrzyżowane na piersiach. Pokręcił głową, uświadamiając sobie swe grubiaństwo i przeszedł resztę dzielącej ich odległości, zamierzając się przedstawić.

- Spotkaliśmy się ubiegłej nocy - powiedział z lekkim chichotem - ale nie przedstawiliśmy się sobie. Jestem Shan...

- Wiem, kim jesteś, Jaroo mi powiedział.

Shanhaevel zamarł, z podniesioną jedną brwią, zdumiony obcesowym zachowaniem druidki.

- Przepraszam, nie miałem zamiaru się gapić. Po prostu nie spodziewałem się...

- Mieszkańca? Cóż, to ci zaskoczenie. Nikt się nie spodziewa. Ale tak bywa. Świat jest pełen nieoczekiwanego, czyż nie?

Mówiąc to, Shirral odwróciła się i odeszła kilka kroków, ignorując go, skupiwszy się na zacieśnianiu popręgu przy siodle konia.

Shanhaevel stał przez kilka chwil z rozdziawionymi ustami, aż przesuwający się przed nim cień wyrwał go z letargu. To Ahleage na kasztanowym wałachu, próbował opanować rozbrykanego wierzchowca. Shanhaevel spojrział w górę na młodego mężczyznę i niemal roześmiał się głośno, zapominając o minionej konfrontacji z druidką.

Oczy Ahleage były zaczerwienione, a twarz podpuchnięta, tak jakby przez całą noc spał, trzymając ją między dwiema poduszkami. W każdym bądź razie - pewnego rodzaju poduszkami, pomyślał Shanhaevel.

- Nie za wiele się spało w nocy, co? - zapytał Shanhaevel, śmiejąc się.

Ahleage zamrugał parę razy, jakby starając się zrozumieć słowa elfa, potem uśmiechnął się sennym, ale zadowolonym uśmiechem i znowu odwrócił konia, mamrocząc coś o potrzebie zjedzenia porządnego śniadania.

Shanhaevel pokręcił głową w rozbawieniu i odwrócił się, by stanąć naprzeciwko dwóch kolejnych koni. Siedzieli na nich zachmurzony Melias i bardzo duży uśmiechnięty mężczyzna.

- Uch, cześć wam - powiedział, przenosząc wzrok z Meliasa na nie znanego mu przybysza i z powrotem.

- Serwus - odparł wielki mężczyzna, uśmiechając się jeszcze szerzej. Pochylił się i wyciągnął mięsistą dłoń. Jego oddech czuć było piwem i to silnie.

Shanhaevel rzucił zdziwione spojrzenie na Meliasa, który skrzywił się jeszcze bardziej, i uchwycił wyciągniętą ku niemu dłoń, potrząsając nią energicznie.

Syn kapitana, uświadomił sobie elf, przypominając sobie teraz zduszone pomruki podczas zebrania poprzedniej nocy. Więc jest pijakiem, tak? Zastanawiał się Shanhaevel. Zaraz jak on się nazywa?

- Jestem Elmo - przedstawił się młody człowiek, jakby czytając w myślach Shanhaevela.  
- Jesteś elfem!

- Tak - potaknął Shanhaevel, śmiejąc się z prostolinijności wielkiego prostego mężczyzny. - Jestem Shanhaevel. Miło mi cię poznać.

Uśmiech mężczyzny został zastąpiony poważną, zatroskaną miną.

- Tamta dwójka powiedziała mi, że nazywasz się Potomek Cienia - powiedział Elmo, wskazując ponad ramieniem elfa.

Shanhaevel nawet nie zadał sobie trudu odwrócenia się, by wiedzieć, na kogo pokazuje jego rozmówca. Przewrócił oczami i spróbował się roześmiać.

- Po prostu robili sobie z ciebie żarty. Naprawdę nazywam się Shanhaevel. Oni lubią nazywać mnie tym drugim imieniem.

Elmo zastanawiał się nad tym przez chwilę, następnie uśmiechnął się i znowu pokiwał głową.

- Dobra, Shanhaevel.

Elf poświęcił chwilę na przyjrzenie się ubraniu Elma. Mężczyzna nosił kolczugę, a do siodła przymocowany miał łuk ze zdjętą cięciwą. Oczy Shanhaevela rozszerzyły się znacznie na widok potężnego, podwójnego topora na plecach Elma.

- Umiesz się tym posługiwać? - zapytał, pokazując na broń.

- Uhm - odparł Elmo, a następnie z pochwy przy pasie wyciągnął piękny sztylet. - To lubię najbardziej. Dał mi go mój brat, Otis! - oznajmił, promieniując dumą. Wyciągnął sztylet rękojeścią naprzód, aby Shanhaevel mógł go zobaczyć.

- No dalej, możesz go potrzymać. Wspaniały, co?

Shanhaevel sięgnął i wziął sztylet. Nóż zdumiewająco pasował do jego dłoni i sam fakt trzymania go, spowodował, że poczuł niezwykły, znajomy dreszcz. Już kilka razy w życiu czuł coś podobnego. Nawet w blasku wczesnego poranka sprawne oczy elfa dostrzegły perfekcyjne ostrze, na którym, w pobliżu rękojeści, wyryty był malutki znaczek.

Magiczny, ze zdumieniem pomyślał Shanhaevel. Zastanawiał się, czy on w ogóle wie? Elf spojrział w górę na uśmiechniętą twarz prostego człowieka, pokazał, że docenia doskonałe wyważenie ostrza w dłoni, następnie obrócił broń i oddał ją Elmowi rękojeścią do przodu.

- Bardzo ładny - powiedział - powinieneś go pilnować.

- Ależ będę - odrzekł Elmo. - Dał mi go mój brat, Otis! Shanhaevel przytaknął, a Elmo uśmiechnął się ponownie.

Mężczyzna chwycił za lejce i pojechał pokazać sztylet Dradze i Ahleage, opuszczając Shanhaevela i Meliasa.



- Na niebiosia - zauważył Shanhaevel - nie wygląda na najmądrzejszego człowieka w mieście. Ale za to może będzie wystarczająco dobrze posługiwać się toporem, jeśli będziemy go trzymali z daleka od piwska.

- Tak - przytaknął wciąż zachmurzony Melias - wolałbym raczej nie musieć pilnować go, żeby nie wpakował się w kłopoty, ale Hroth ręczy za niego, więc... - wzruszył ramionami - nie mogę po prostu powiedzieć mu, żeby wrócił do domu. Podejrzewam, że musielibyśmy wynieść się wtedy z miasta - potrząsnął głową, jak gdyby po to, żeby strząsnąć z niej kłopoty. - Musimy ruszać. Gdzie twój koń?

Shanhaevel wskazał Latta wiodącego z pobliskiej stajni parę koni, z których jeden był już osiodłany.

- Dalej! Ruszajmy - zawołał Melias podniesionym głosem, żeby zwrócić uwagę wszystkich.

Drużyna zebrała się razem i wyruszyła. Shanhaevel znalazł się obok Shirral. Nie był pewien, co jej powiedzieć, kiedy tak wyjeżdżali na drogę, ale z pewnością nie chciał, żeby krzywiła się na niego przez cały dzień, więc zaczął przeproszać.

- Przepraszam za tamten początek - zaczął - nie chciałem wprawić cię w zakłopotanie.

- Nieważne - powiedziała druidka nie patrząc na niego. Kiedy wydawało się, że Shirral nic więcej nie powie, Shanhaevel ciągnął dalej.

- Nie, naprawdę. Byłem zaskoczony, ale tylko dlatego, że sam ściagam tyle spojrzeń.

Wtedy Shirral spojrzała na niego, a jej rysy nieco złagodniały.

- W porządku - powiedziała po chwili. - Po prostu gniewam się na Jaroo za wysłanie mnie tu z wami. Mam ciekawsze rzeczy do roboty niż włóczenie się po lasach z bandą chłopów.

Shanhaevel zachichotał, wywołując tym kolejny grymas druidki.

- Ja również nie jestem tu z wyboru - powiedział, próbując wyjaśnić. - Mój zmarły mistrz i Burne byli starymi przyjaciółmi, więc znalazłem się tu nie z własnej woli. Uwierz mi, wolałbym być w domu.

Shirral spojrzała na Shanhaevela, ale jedyną odpowiedzią było niewyraźne mruknięcie.

- W każdym bądź razie - ciągnął Shanhaevel - ostatniej nocy ty i twój przyjaciel naprawdę nas zaskoczyliście.

- Kto, Mobley? On jest niegroźny, zwykle.

- Z wyjątkiem chwili, gdy w pobliżu są niedźwiedziki - dodał Shanhaevel.

- Tak, i idioci wycinający mieczami drogę w lesie.

- Cóż, ja nie mam miecza.

Shirral spojrzała na niego, a jej niebieskie oczy zaświeciły jasno.

- I inni idioci rzucający rozświetlające czary po lesie, przez co drzewa wyglądają jak choinki na Święto Potrzeb. Ani Mobley, ani ja nie wiedzieliśmy, co się dzieje - powiedziała oburzona. - Jaroo przetrzepałby mi skórę, i wam też, gdyby cokolwiek stało się Mobley'owi.

- Przepraszam - odrzekł Shanhaevel. - Staralem się oślepić niedźwiedziki, a nie ciebie. Nawet nie wiedzieliśmy, że tam jesteś. - Tak, cóż... - powiedziała Shirral, przerywając w połowie rozpoczętego zdania...

W tym momencie wyprawa zbliżała się do wieży Burne'a i Rufusa i wszyscy mogli przyrzec się lepiej uszkodzeniom spowodowanym przez pożar. Niektóre kawałki poczerńałego drewna wciąż dymiły, a kilka odcinków rusztowań było nie do naprawy, ale nie wyglądało to aż tak źle, jak sądził Burne ubiegłej nocy.

- Skrzyżowanie z dawną drogą jest dokładnie przed nami - powiedziała Shirral, kiedy grupa opuściła skraj miasta.

Teraz drogę z dwóch stron otaczały drzewa. Na skrzyżowaniu Melias zjechał z głównego szlaku na prawo, a reszta podążyła za nim. Stara główna droga była niewiele lepsza od szlaków dzikich zwierząt, zarośnięta i prawie niewidoczna. Shanhaevel i Shirral jechali obok

Elma, a ich trójka stanowiła koniec orszaku. Dalej w przedzie Draga rozpoczął pieśń, śpiewając głosem czystym i delikatnym jak poranne słońce jakąś pełną bezsensownych słów przyśpiewkę, której Shanhaevel nigdy przedtem nie słyszał.

- Jaroo powiedział mi, że masz przyjaciela - odezwała się Shirral. - Jastrzębia?

Shanhaevel odwrócił się i spojrział na nią.

- Poznali się zeszłej nocy - powiedziała Shirral, uświadamiając sobie zmieszanie Shanhaevela. - Jaroo mówił mi, że spotkał twego druha po napadzie niedźwiedźków.

Shanhaevel przytaknął i wysilił swój umysł. *Ormielu, jesteś tu?*

*Tak*, nadeszła odpowiedź jastrzębia. *Poluję na myszy.*

*Przybądź do mnie*, zakomenderował i uśmiechnął się do Shirral i Elma.

- To pewny przyjaciel i dobry obserwator. Zawołałem go, więc będziecie mogli go poznać.

Shirral uśmiechnęła się również i elf zdał sobie sprawę, że zrobiła to po raz pierwszy od chwili, kiedy się poznali wczoraj w lesie. Olśnił go ten uśmiech, ale starał się tego nie pokazać po sobie. Zamiast tego obrócił się i spojrział na drogę przed sobą.

Pojawił się Ormiel, nadlatujący znad drzew za drużyną. Shanhaevel uśmiechnął się, gdy jastrzęb okrążył grupę i usadowił się na jego ramieniu.

Kiedy ptak wylądował, Shirral zachłysnęła się z zachwyty i uśmiechnęła tak promiennie, jak tylko Shanhaevel mógł sobie wyobrazić.

- Witam, cudowna piękności - powiedziała, wyciągając rękę, by pogłodzić czubek głowy Ormiela i delikatnie dotykając piór.

Shanhaevel przyglądał się druidce, oczarowany i olśniony jej urodą.

- Masz - powiedział, sięgając do kieszeni i wyciągając pasek suszonego mięsa, który jej wręczył. - Uwielbia to.

Shirral ostrożnie podniosła dłoń do góry i przysunęła kawałek mięsa do dzioba Ormiela. Ptak patrzył na mięso bez mrugnięcia. Wtem, w ułamku sekundy, jego głowa wystrzeliła do przodu, jastrzęb chwycił mięso z ręki druidki i zaczął je zjadać.

- Cóż za wspaniałe stworzenie - powiedziała Shirral.

- Tak - zgodził się Shanhaevel, obracając głowę, żeby zobaczyć reakcję Elma. Wielki mężczyzna po prostu przyglądał się ze skupionym wyrazem twarzy.

- Ormiel jest wyjątkowy - dodał elf, a następnie odezwał się w myślach do swego towarzysza. *Dzisiaj obserwuj szlak przed nami.*

*Twoja przyjaciółka z oczami koloru nieba mówi do mnie*, odpowiedział Ormiel. *Duży mężczyzna mówi do mnie.*

Shanhaevel nieomal się udławił słysząc zdanie ptaka na temat Shirral, a potem dotarła do niego druga połowa stwierdzenia Ormiela. *Duży mężczyzna?*

- Ormiel twierdzi, że mówicie do niego - powiedział Shanhaevel kręcąc głową między Shirral i Elmem.

- Może mnie słyszeć? To wspaniałe! - odrzekła druidka.

Wciąż głąskała pióra ptaka i mówiła do niego łagodnym tonem. Elmo jednak nie powiedział nic, ponownie obracając się w siodle, żeby spojrzeć na drogę przed sobą.

*Nie przyjaciółka, tylko znajoma.* Pomyślał Shanhaevel. *Jaki duży mężczyzna mówi do ciebie?* Duży mężczyzna ze lśnącymi piórami i złym powietrzem. Lśniące pióra oznaczają broję, ale złe powietrze? Och! Uświadomił sobie Shanhaevel. Oddech Elma. - Ormiel twierdzi, że ty też do niego mówisz - rzekł Shanhaevel.

Elmo jedynie uśmiechnął się, nie patrząc na elfa.

- Shirral rozmawia ze zwierzętami. Ja po prostu patrzę. Tym niemniej Ormiel to bardzo ładny ptak, Shanhaevelu.

Shanhaevel pokręcił głową, zastanawiając się, czy Elmo potrafi w jakiś sposób rozmawiać ze zwierzętami, nawet o tym nie wiedząc. Obserwował topornika przez dłuższą chwilę,

ale Elmo nie dostarczył mu żadnych wskazówek. Przestając się zastanawiać, Shanhaevel powtórzył Ormielowi: *Patrz dzisiaj na drogę i szukaj złych rzeczy.*

*Tak. Patrzeć. Patrzeć i polować. Niebieskooka jest bardzo miła.*

Shanhaevel spojrział ponownie na Shirral, która - wciąż zajęta jastrzębiem - wyglądała na bardzo szczęśliwą. *Tak. Dziękuję ci Ormielu. Jest bardzo miła.*

Hedrack podszedł do jednego z pieców ogrzewających jego komnaty. Wyciągnął z niego płonąca szczapę, następnie przeszedł na środek pomieszczenia i usiadł po turecku na szczycie piramidy grubych pluszowych dywanów i poduszek. Zamknawszy oczy i wypowiedziawszy kilka słów modlitwy do Iuza, zapalił stojącą przed nim pojedynczą, czarną świecę i rzucił czar. Chwilę później pojawiła się ułudna, mglista postać Laretha. Kiedy Hedrack nawiązał kontakt wzrokowy ze swoim polowym dowódcą, postać mężczyzny uśmiechnęła się i ukloniła.

- Uniżone pozdrowienia, o Usta Iuza - zaintonował Larem, pozostając w uklonie.

Hedrack przez moment przyglądał się jego sylwetce, rozpamiętując, z drobnym ukluciem zazdrości, za jak bardzo przystojnego uchodził jego poddany. Grzywa piaskowych włosów otaczała surową twarz z władczyimi niebieskimi oczami. Szerokie ramiona Laretha i jego diabelski uśmiezek zawsze przyciągały spojrzenia kobiet, a dowódca polowy dobrze o tym wiedział. Doszło nawet do tego, że przeświadczenie Laretha o własnej urodzie sprawiło, że ostatnio stał się odrobinę bezczelny.

Zawsze z najładniejszymi, pomyślał wysoki kapłan, to chęć wywyższenia się ponad stan.

Durbas, autor *Podboju, Posłuszeństwa i Rozkazu*, utrzymywał, że reprimenda udzielona od czasu do czasu jest absolutnie konieczna, żeby przypomnieć sługom o ich prawdziwym miejscu i uniknąć wzbudzenia fałszywego wrażenia faworyzowania czy mylnego przekonania, że sługa mógłby kiedyś zastąpić pana. Lareth był z pewnością jednym z tych, w stosunku do których ta rada mogła się okazać po prostu zbawienna.

- Pozdrowienia, komendancie Lareth - odpowiedział Hedrack. - Powstań i zdaj raport. Lareth wyprostował się i rozpoczął.

- Dzisiejszego wieczora wysłę oddziały w trzech kierunkach, Hedracku. - Hedrack zmarszczył brwi z powodu poufałości kapitana. - Jednakże, ostatniej nocy, nasz atak na Hommlet nie poszedł tak dobrze, jak oczekiwaliśmy.

Aha, pomyślał Hedrack, małe uchybienie, które wykorzystam, by przypomnieć mu o jego miejscu.

- Tak? - rzekł wysoki kapłan, unosząc brwi dla podkreślenia niezadowolenia.

- Grupa walecznych podróżników, którzy zatrzymali się na noc w miasteczku, przyszła wieśniakom z pomocą - Lareth westchnął. - W ataku straciłem całe pół tuzina niedźwiedzków.

- Zawiodłeś mnie - powiedział Hedrack, patrząc na niego wilkiem.

Brwi Laretha wyskoczyły do góry w zdumieniu. Wyraźnie nie przywykł do bycia tak otwarcie ganionym.

- Powierzyłem ci rekrutację nowych oddziałów i zdobycie łupów, które wypełniłyby nasze kufry. Nie pamiętam nic na temat ograniczania liczby mego wojska na skutek błędów w dowodzeniu.

- Mój panie, upraszam o wybaczenie, ale to była nieoczekiwana i nieunikniona sytuacja. Wycofałem się w chwili...

- Nieoczekiwana i nieunikniona? Jasne jest dla mnie, że nie przykładasz do swoich obowiązków uwagi, na jaką zasługują. Kompetentny dowódca zawsze zbiera stosowne

informacje wywiadowcze, zanim zaatakuje wroga, i zawsze ma nie jeden, ale dwa plany awaryjne na wypadek „nieoczekiwanych” - Hedrack podkreślił własne słowa Laretha - sytuacji, tak aby nic nie mogło stać się „nieuniknionym” *błędem*.

- Oczywiście, mój panie - odpowiedział Lareth. - Upraszam o przebaczenie i zapewniam, że zdwoję środki ostrożności.

Hedrack nie był pewien, czy skruszona postawa Laretha była szczerą, ale czuł, że mężczyzna odebrał zamierzoną wiadomość jasno i wyraźnie: Nie zakładaj zbyt wiele. Hedrack nagle pomyślał o czymś innym.

- Iuz ostrzegł mnie, że wrogowie działają przeciwko nam. Nawet w tej chwili wysłannicy Cuthberta zmierzają w tę stronę. Może ci, co się wtrącili, właśnie do takich należą?

- Mam powody, żeby tak przypuszczać - odparł Lareth, sprawiając, że brwi Hedracka uniosły się.

- Taaak? A dlaczego to?

- Moi szpiedzy w Hommlet donoszą, że jest tam drużyna, prowadzona przez wysłannika samego króla, która zamierza zbadać naszą placówkę. Przygotowuję plany, aby jak najszybciej się z nim rozprawić.

Hedrack opuścił wzrok i spojrzał na mężczyznę.

- Dobrze. Dopilnuj, żeby się tak stało. I donieś mi, kiedy to zrobisz - zbył sprawę machnięciem ręki i zmienił temat. - Co ze świeżymi ofiarami? Kiedy otrzymam więcej?

Czarujący uśmiech Laretha powrócił w mgnieniu oka.

- Udało mi się pochwycić kilka w czasie napadu na Hommlet, mimo nieoczekiwanego oporu. Wysłałem nową partię jeszcze tamtej nocy. Myślę, że będziesz bardzo zadowolony.

- Dobrze, dobrze - powiedział, potakując Hedrack. - Czekam, żeby się im przyjrzeć. Coś jeszcze do dodania?

Lareth pokiwał głową.

- Do końca miesiąca będę miał przynajmniej pięćdziesięciu nowych żołnierzy. I, jeżeli moje doniesienia są prawdziwe, kolejnych dwustu pięćdziesięciu przed końcem następnego.

- Wspaniale - powiedział szczerze zadowolony Hedrack. - Wobec tego idzie nam lepiej, niż się spodziewaliśmy. Tak trzymać. I bez kolejnych niefortunnych wypadków.

- Słucham i jestem posłuszny, mój panie.

Ruiny fortu znajdowały się po lewej stronie drogi, otoczone cuchnącym bagnem i połączone z głównym szlakiem ścieżką na grobli, która wznosiła się wysoko, by nie pochłonęło jej bagnisko. Większość murów wciąż stała, chociaż w niektórych miejscach już się zawaliły i wszystko wyglądało, jakby zaraz miało spaść do bagna. Belki z czegoś, co kiedyś musiało być drugim piętrem, wystawały w kilku miejscach, poczerniałe od ognia. Całą budowlę porastało gęste winorośle i żółte, niezdrowo wyglądające pnącza. Główne wrota były zniszczone i wisiały krzywo, a zwodzony most wciąż łączył rozpadlinę rozciągającą się między ścieżką i bramą strażnicy.

Melias przyjrzał się fortowi, zastanawiając się głęboko. Reszta kompanii czekała w niesamowitej ciszy poranka, a milczenie przerywał jedynie basowy rechot żab i przelotne cuchnące podmuchy, docierające ze strony moczarów. W końcu Melias pokiwał głową, na wpeł do siebie, i pokazał wszystkim, żeby jechali dalej. Powoli drużyna ruszyła do zrujnowanej strażnicy.

Ahleage, siedzący na koniu obok Shanhaevela kaszlnął i złapał się za nos.

- Ach! - zajęczał. - Śmierdzi!

- Shanhaevelu - zawołał Melias - czy mógłbyś poprosić jastrzębia, żeby przeprowadził rekonesans? Chciałbym wiedzieć, czy jest tu ktoś, czy coś, zanim wjedziemy do środka.

Shanhaevel przytaknął. *Ormielu*, pomyślał, szukając myślami swego druha.

*Jestem tu.*

*Przeleć nad wielkim zniszczonym gniazdem człowieka. Czy są tam jakieś złe rzeczy? Jacyś ludzie?*

Z drzew po lewej stronie grupy wzleciał jastrząb, jego potężne skrzydła wzniosły go w powietrze. Przeleciał nad drużyną zaledwie kilka stóp nad ich głowami i poszybował w kierunku strażnicy. Shanhaevel obserwował, jak Ormiel kilka razy okrążył miejsce i wylądował na wysokim parapecie prawie nietkniętej wieży w pobliżu głównego wejścia. Stamtąd jastrząb rozejrzał się po okolicy, przekrzywiając głowę to w jedną, to w drugą stronę.

*Nie ma złych rzeczy. Nie ma ludzi.*

- Ormiel mówi, że nic tu nie ma - Shanhaevel pokręcił głową.

- Dziękuję - Melias obrócił się w siodle, by spojrzeć na resztę grupy. - Dobra, wszyscy mają zachować czujność. Jedziemy.

Mówiąc to, wojownik odwrócił się i pojechał naprzód, zmierzając w kierunku ścieżki prowadzącej do głównych wrot strażnicy.

Obracając się, żeby podążyć za nim, Shanhaevel zwrócił się do jastrzębia. *Ormielu. Dobra robota. Teraz poluj.* Ormiel odleciał ze stanowiska na szczycie wieży, szukając pożywienia.

Grupa dojechała do grobli, przekraczającej bagnisko, gdzie lekki wietrzyk poruszał wrzosami. Z pośród drzew dobiegł krzyk jakiegoś nie znanego Shanhaewelowi ptaka. Elf przyglądał się ruinom, szukając jakiś oznak, że ktoś ich obserwuje.

Melias zsiadł z konia, pokazując pozostałym, żeby zrobili to samo. Stał przez kilka chwil, patrząc na budowlę. W końcu odwrócił się do grupy

- Tutaj zostawimy konie. Chcę, żeby prowadził Ahleage. Zanim wejdziemy na most, trzeba się upewnić, że nas utrzyma.

- Dobra - powiedział Ahleage, już zmierzając wzdłuż grobli. Reszta drużyny ruszyła kilka kroków za nim. Zanim zdolali ująć nawet nie trzecią część drogi, coś wyskoczyło z bagna po prawej stronie. Shanhaevel okręcił się w porę, żeby ujrzeć, jak ląduje obok niego ogromna, prawie dwumetrowa żaba. Kilka innych gigantycznych stworzeń wskoczyło w środek kompani, a ta najbliższa Shanhaevela wyciągnęła swój długi, lepki język, łapiąc go za ramię i ciągnąc tak, że poleciał w stronę rozdziawionej paszczy stworzenia. Shanhaevel dziko uderzał ciężkim drągiem, starając się ogłuszyć potwora. Mając jednak jedno ramię spętane językiem bestii, nie mógł skutecznie władać bronią, a co gorsze, wciąż był przyciągany coraz bliżej i bliżej rozwartej paszczki. Shanhaevel rozpaczliwie wbił kostur w ziemię, starając się oprzeć sile ciągnącego go żabiego języka. Niewiele to pomogło.

- Ma mnie! - krzyknął Shanhaevel ze strachu, ledwo co powstrzymując głos przed załamaniem. - Weźcie to ode mnie! - wzywał pomocy, rozglądając się wokół, ale reszta drużyny także nie próżnowała, zmagając się z innymi żabami, chociaż niewiele stworzeń było tak dużych jak to, które zaatakowało elfa.

Jedna z bestii trzymała nogę Dragi i powoli ciągnęła go po ziemi, łucznik, siedząc na poślankach przodem do żaby, trzymał łuk i strzelał w łeb stworzenia. Trzy lub cztery drzewce już sterczały z jej głowy i potwór trząsał się i skakał z bólu. Melias i Shirral współpracowali, starając się wspólnie zabić kolejną żabę, a Elmo rozprawił się z trzecią, rozplatawszy ją prawie na pół jednym ciosem topora. Dwie następne wyskoczyły z bagna natychmiast, gdy wielki mężczyzna zadał morderczy cios i jedna szybko chwyciła go za nogę długim jęzorem.

Shanhaevel zapragnął użyć magii, ale nie mógł się wystarczająco skoncentrować, żeby prawidłowo rzucić czar. Żaba ponownie pociągnęła i znalazł się bliżej jej pyska. Jeszcze raz i stanę się przekąską, pomyślał. Rozpaczliwie zakręcił młynka drągiem i usiadł stopami w stronę żaby. Kiedy stworzenie szarpnęło go po raz trzeci, podniósł drąg i wrzucił go poprzecznie w rozdziawioną paszczę, niczym końskie wędzidło. Następnie szybko uniosł nogi i oparł je na końcach drąga, pchając z całej siły.

Bestia zaczęła rzucać i kręcić łbem. Shanhaevelowi trudno było zachować równowagę, ale trzymał się, chociaż czuł że ramię trzymające drąg zaraz wypadnie ze stawu, a nogi puchną mu z wysiłku. Szybko, zanim straci siły, sięgnął wolną ręką do tuniki i wyciągnął długi sztylet. Przykładając ostrze do napiętego języka żaby, zaczął ciąć w tę i z powrotem, przecinając różowe mięso.

Żaba momentalnie uwolniła ramię Shanhaevela i cofnęła poharatany jęzor. Elf odepchnął się od niej tak mocno, jak tylko mógł i przetoczył, lądując na kolanach na drugim brzegu grobli. Żaba rzuciła łbem i wypłuła drąg. Trzymając sztylet w dłoni, Shanhaevel podniósł się na nogi. Bestia skoczyła za nim z otwartą szeroko paszczą, a elf zrobił pół kroku do tyłu, potykając się, gdy zahaczył o krawędź ścieżki i o strome zbocze za nią. Klęcząc na jednym kolanie, podniósł sztylet, by się bronić, ryzykownie balansując na krawędzi grobli. Stworzenie wylądowało tuż przed nim, a jego zimne, okrągłe ślepia wpatrywały się żarłocznie w potencjalny posiłek.

Shanhaevel uniosł sztylet, żeby wrazić go między te ślepia i nagle, pozornie znikąd, pojawił się Ahleage i opuścił w dół swój miecz, ucinając potworowi głowę. Shanhaevel wzdrygnął się zszokowany nagłością ataku, a łeb żaby podskoczył i potoczył się obok niego do mrocznego bagna. Elf westchnął ciężko i osunął się na ziemię, głęboko oddychając.

Ahleage uśmiechnął się do Shanhaevela, a odgłosy walki wokół nich powoli cichły. Leżąc na plecach, elf patrzył w usiane chmurami niebo i próbował złapać oddech. Nogi trzęsły mu się z wysiłku, a ramię spuchło. Poruszył nim, żeby je sprawdzić i ucieszył się, że nie było poważnie zranione.

Melias oświadczył wkrótce, że grupa powinna ruszyć, więc stoczyli cielska żab w dół grobli, pozwalając im spaść do błotnistej wody. Kiedy skończyli, ponownie przygotowali się do wkroczenia do budowli.

Gdy tylko Ahleage zrobił pierwszy krok, z pozostawionej w tyle drogi dobiegł ich krzyk. Shanhaevel obrócił się, by zobaczyć, jak wszyscy po raz drugi wyciągają broń. Był to jeden z trójki mężczyzn spotkanych w gospodzie ostatniej nocy, ten z blizną na grzbiecie dłoni, Kobort albo Zert, elf nie był pewny. Biegł w kierunku drużyny, machając, żeby przyciągnąć ich uwagę.

- Wystarczy, nie podchodź bliżej - ostrzegł Melias, podnosząc miecz, kiedy człowiek ten dobiegł do nich.

Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku, oddychając ciężko i z pewną bojaźnią spoglądając na broń.

- Proszę - wydyszał - Zert jest ranny. Wpadł... w pułapkę i nie... mogę go wyciągnąć. Potrzebujemy... waszej pomocy - mężczyzna, oddychając ciężko, pokazał w kierunku, z którego przybiegł.

Oczy Meliasa zwęziły się podejrzliwie.

- Co tu robicie?

- Wyruszyliśmy... z samego rana - wyjaśnił mężczyzna. - Turuko, Zert i ja. Chcieliśmy... znaleźć skarb, tak jak wam powiedzieliśmy.

- Ale przybiegasz z innej strony - stwierdził Ahleage, trzymając w dłoniach parę sztyletów. - Fort jest tam - pokazał jednym z nich na zniszczoną budowlę.

Kobort przytaknął, wciąż starając się złapać oddech.

- Weszliśmy do środka i znaleźliśmy wejście do podziemi. Tam dalej jest drugie wyjście - wskazał na drogę, z której przybiegł. - Jedna ze ścian zawaliła się, kiedy tamtędy przechodziliśmy. Zupełnie pogrzebała Turuka, a Zert ma unieruchomioną nogę. Nie mogę sam unieść kamieni. Proszę, on bardzo krwawi.

Melias zmarszczył brwi, zastanawiając się.

- Czy zauważyliście jakieś ślady, że ktoś tu ostatnio był?

- Nie ma nikogo innego - Kobort wyglądał na zaskoczonego. - Wygląda na to, że mogli obozować jacyś bandyci - pokazał znowu, tym razem na widoczny poziom fortu. - Ale musieli się stąd wynieść, ponieważ teraz nie ma tu nikogo. Proszę, Zert umiera!

Shirral ruszyła do swego konia, wskoczyła i pognęła naprzód.

- Dalej! - krzyknęła przez ramię głosem nabrzmiałym emocją. - Nie możemy zostawić go na pewną śmierć.

Melias chrząknął nerwowo, ale wsiadł na konia i popędził za nią, a reszta grupy uczyniła to samo. Kobort biegł obok nich, wciąż dziękując.

- Po prostu pokaż nam, gdzie to jest - powiedział Melias.

Kobort przytaknął i gdy dojechali do podstawy wzniesienia, przepchnął się przez krzaki po jednej ze stron drogi. Shanhaevel zsiadł i, przywiązawszy konia do krzaków, poszedł za Meliasem i innymi w głąb chaszczki.

Kilka kroków od drogi Kobort wskazał grupie częściowo ukryte za krzakami wejście do tunelu.

- Tutaj - powiedział i wszedł do środka.

- Czekaj! - zawołał Melias, łapiąc Koborta za ramię, by go zatrzymać. - Rozpakować ekwipunek - powiedział do wszystkich. - Jeśli coś tu jest nie w porządku, chcę być przygotowany. Jak daleko jest twój przyjaciel? - zapytał, zwracając się do Koborta.

Kobort przełknął ślinę, widocznie starając się pomyśleć.

- Może ze sto kroków - powiedział w końcu bez zbytnej pewności.

- Nie masz pochodni lub czegoś takiego? - zapytał Melias. - Jak znalazłeś drogę do wyjścia?



- Och, zostawiłem pochodnię z Zertem, żeby się nie bał - odrzekł Kobort. - Dostrzegłem światło na końcu tunelu, więc po prostu szedłem, macając rękami ścianę i tak tu trafiłem.

Melias pokiwał głową, krzywiąc usta.

- W porządku, zapalcie jakieś latarnie i zobaczmy, co się tam dzieje.

Kiedy drużyna przygotowała się, Kobort wprowadził ich do tunelu, który był długi, prosty i opadał lekko w kierunku, w którym szli. Kobort pierwszy, zanim Melias. Ahleage i Draga za żołnierzem, a Shanhaevel razem z Shirral podążali za nimi. Pochód zamykał Elmo.

Gdy kompania posuwała się w czerń korytarza, Shanhaevel zmarszczył brwi, myśląc. Coś jest nie w porządku. Co takiego? Może po stu krokach, tak jak powiedział Kobort, grupa dotarła do miejsca, gdzie kończył się tunel. Były tam dwie pary drzwi, jedne dokładnie przed nimi, a drugie po prawej. Te po prawej były otwarte, a za nimi otwierał się kolejny korytarz.

- Jest tam - odezwał się Kobort, a jego głos odbił się dziwnym echem w korytarzu. Przy świetle latarni grupy Shanhaevel dostrzegł, że mężczyzna pokazuje na otwarte drzwi po prawej. - Zert! Znalazłem pomoc! Idziemy do ciebie! Wytrzymaj jeszcze chwilę!

W odpowiedzi na zawołanie Koborta z głębi drugiego korytarza rozległ się słaby jęk.

- Ciii! - upomniał Melias. - Twoje krzyki mogą spowodować kolejny zawał. Od tej pory szeptać.

Kobort przytaknął z zaangażowaniem.

- W porządku - powiedział Melias - Ahleage prowadzi. Sprawdź całe miejsce, szukaj słabych punktów i idź wolno!

- Hej, nie musisz mi przypominać - odparł młody mężczyzna, ostrożnie ruszając naprzód.

Shanhaevel z trudem oparł się intensywnemu pragnieniu złapania i zatrzymania współtowarzysza. Do diabła, zbeształ się, co cię tak wystraszyło? Cały czas nie mógł tego zrozumieć, ale zdecydowanie coś było nie tak.

Z Ahleage na przedzie grupa poszła dalej w dół korytarza, który biegł jakieś dwadzieścia metrów do przodu i skręcał. Zza zakrętu dochodził słaby blask latarni.

Shanhaevel starał przekonać sam siebie, że jego obawy są głupie, ale niepokojące przecucie nie chciało go opuścić.

Ahleage dotarł do zakrętu i skręcił za róg, a pozostali szli blisko za nim. Za zakrętem korytarz przechodził w spore pomieszczenie - komnatę zastawioną różnymi sprzętami: dużym nieheblowanym stołem i takimi samymi krzesłami. Wzdłuż ścian stały skrzynie i beczki z różnymi dobrami - żywnością, bronią, pancerzami i kocami - wystarczającymi, żeby zaopatrzyć małą armię. W przeciwległej ścianie znajdowały się drzwi, ale nigdzie nie było zawaliska ani nikogo. W uchwycie na ścianie trzaskała samotna pochodnia.

- Zert jest tam - wyszeptał Kobort, wskazując na odległy zakątek, gdzie, jak teraz zauważył Shanhaevel, otwierało się drugie pomieszczenie.

Właśnie wtedy Shanhaevel coś sobie uświadomił: żaby! Kobort nie wspomniał, żeby jego drużyna została zaatakowana przez żaby.

Właśnie miał to powiedzieć Meliasowi, kiedy z ukrycia po drugiej stronie stołu wyłoniła się szóstka uzbrojonych, brudnych mężczyzn. Dwójka z nich wycelowała w zdezorientowaną grupę kusze. W tej samej chwili inny oddział, złożony z kilku gnolli, wyszedł z drugiego pomieszczenia, wymachując mieczami. Wszyscy towarzysze zamarli, chociaż Draga momentalnie wycelował strzałę w pierś najbliższego człowieka.

- Na matkę Ralishaza - przeklął Ahleage. - Wy bękarty! Shanhaevel obrócił się, podążając za jego spojrzeniem.

W grupie ludzi na drugim końcu stołu znajdowali się Turuko i Zert. Zaledwie sekundę lub dwie później, wychodząc z kompanii, z korytarza, którym przyprowadził ich tu Kobort, pojawił się trzeci oddział. Byli otoczeni.

Głupcze! Zganił się Shanhaevel. To było oczywiste. Dlaczego nie spostrzegłem tego wcześniej?

- Kłamał - powiedział Shanhaevel. - Nie walczyli z żabami.

- Co? - rzucił Melias, z dłońmi zaciśniętymi tak, że aż zbieleły mu kostki. - O czym ty mówisz?

- Powiedział, że weszli od frontu, ale nie zaatakowały ich żaby. Powinienem być domyślić się wcześniej. Przykro mi. - Pomocy, proszę, pomocy - kpiąco rzucił Turuko, śmiejąc się nieprzyjaźnie. - Zostałem pogrzebany żywcem, a Zert ma złamaną nogę - roześmiał się. - Połóżcie broń na ziemi i kopnijcie na bok. Już!

Melias ryknął ze wściekłości, ale ponieważ celowało w niego kilka kuszy, powoli wyciągnął swój miecz i położył go na ziemi. Idąc za przykładem przywódcy, Draga zwolnił cięciwę i odrzucił łuk. Reszta drużyny poszła w ich ślady i wkrótce wszystka broń leżała poza ich zasięgiem. Melias wpatrywał się w Koborta, który dołączył do swych kamratów.

- Mistrzu Lareth, mamy ich - zawołał ubrany na karmazynowo Turuko, obracając się do drzwi.

Chwilę później drzwi z boku pomieszczenia otworzyły się szeroko. W przejściu stanął duży mężczyzna, ubrany w lśniącą płytkową zbroję z namalowanym na napierśniku płonącym okiem. Jego twarz skrywał hełm, a wrogość, jaka z niej promieniowała, sprawiła, że Shanhaevel na moment stracił oddech. W jednej ręce mężczyzna dzierżył buzdygan, a w drugiej drąg. Wkroczył do komnaty i podszedł do Meliasa. Żołnierz, czując emanujące od postaci w hełmie zło, mimowolnie zadygotał, ale nie cofnął się.

- Jestem Lareth, kapłan i pan tego miejsca - powiedział mężczyzna, spoglądając na stojących przed nim ludzi - a wy jesteście niczym w porównaniu z mocą Świątyni Złych Żywiołów. Zginiecie dla mej przyjemności.

Potem pojedynczym, pełnym gracji ruchem mężczyzna zaatakował, najpierw trafiając Meliasa prosto w pierś jednym końcem drąga, a następnie uderzając Ahleage drugim. Ahleage uskoczył przed atakiem, ale cios wymierzony w Meliasa dosięgnął i przeniknął go ogniem bólu i wojownik krzyknął. Okrzyk ten trwał jednak krótko, bo Lareth dokończył krwawego dzieła, uderzając buzdyganem prosto w twarz Meliasa. Żołnierz, skurczony, z twarzą, która była już tylko zmieszana miazgą krwi, tkanek i zmiażdżonych kości, padł na ziemię.

Shanhaevel stał jak przykuty do miejsca, w którym się znajdował, przerażony tym, co rozgrywało się przed jego oczami, ale niezdolny do najmniejszego ruchu. Obrzydliwe, przejmujące uczucie zła bijące od haniebnego mężczyzny wydawało się go dusić. Pozostali również zastygli na chwilę skamieniali ze zgrozy.

W tej chwili w pomieszczeniu wybuchł chaos, a żołnierze Laretha ruszyli naprzód, chcąc posiekać rozbrojonych jeńców tam, gdzie ci stali. Pozostała przy życiu część drużyny, w pozycjach obronnych, przycisnęła się do siebie, plecy do pleców. W rękach Ahleage pojawiły się sztylety. Shanhaevel wzdrygnął się, gdy wystrzeliło kilka kusz, jednak żadna ze strzał go nie trafiła - chociaż jeden belt przeleciał tak blisko, że czuł niesiony przez niego podmuch, gdy ten przemknął koło jego nosa. Robił, co mógł, by zignorować wzbierające wokół niego zamieszanie i skoncentrować się na rzucaniu czarów. Gdzieś w głębi umysłu modlił się, żeby to wystarczyło.

Shanhaevel szeroko rozpostarł palce, wskazując nimi na Laretha, i wymówił pojedynczą magiczną frazę. Elfi czarodziej ściągnął na haniebnego kapłana ogromną kulę płomieni, otaczającą go zwęglającym gorącym. Shanhaevel miał nadzieję, że kapłan spali się lub będzie tak ciężko ranny, że zostanie wyłączony z walki. Kiedy jednak czar rozwiął się, w rozmazanym świetle pomieszczenia wisiał gęsty dym. Zarówno członkowie drużyny, jak i napastnicy zatrzymali się, spoglądając w kierunku Laretha.

Zły kapłan wydawał się nietknięty przez płomień.

- Na Boccoba! - krzyknął skonsternowany Shanhaevel.

Lareth roześmiał się. Zimny głos rozległ się w pomieszczeniu, odbijając echem od kamiennych ścian, a nikczemność jego zła spłynęła na drużynę niczym wstrętą mgłą, wywracając żołądek Shanhaevela.

- Zabić ich! - rozkazał kapłan i ruszył, by zaatakować elfa.

Draga śmignął między Shanhaevelem i Larethem, wydał z siebie straszliwy okrzyk i pognął do przodu, szarżując na kapłana, łapiąc go za kołnierz i przyduszając do ściany. Lareth sapnął z powodu siły ciosu, ale szybko otrząsnął się, łatwo odpychając łuczника.

Przetaczając się na bok, z dala od walki, Shanhaevel znalazł się w pobliżu Shirral, która krzyknęła w nie znanym mu języku. Momentalnie w jej dłoni wykwitło płomienne ostrze, jarzący się, ognisty sejmitar.

Magia, pomyślał Shanhaevel z podziwem. Cudownie!

Druidka i czarodziej znajdowali się naprzeciwko zbliżającej się grupy gnolli, które szczerzyły zęby i warczały, zmniejszając dystans. Każde ze stworzeń trzymało duży topór, a kilka miało nawet tarcze. Shanhaevel powtórnie zaczął czarować, mając nadzieję, że Shirral da sobie radę z wstrętnymi humanoidami na tyle długo, żeby udało mu się przywołać własną magię. Wymawiając proste zaklęcie oczarowania, pokazał na grupkę zbliżających się gnolli i trzy z nich padły na ziemię, pogrążone w głębokim śnie, pozostawiając na nogach czwartego, który teraz przyjął postawę defensywną, gapiąc się na gorejące ostrze w dłoni druidki.

Dalej, Shirral, w myślach ponaglił druidkę, i obrócił się, żeby zobaczyć, co dzieje się z innymi. Prawie przy tym stracił głowę, którą niemal odciąłby mu Kobort, zachodzący go z tyłu z wysoko podniesionym mieczem. Shanhaevel zanurkował, starając się oddalić od niebezpiecznego przeciwnika, który zamachnął się na elfa z całą siłą i teraz odzyskiwał równowagę.

Mężczyzna spojrział na Shanhaevela, a jego nozdrza rozszerzyły się.

- Już nie żyjesz, leśny chłopcze! - zaryczał, ponownie atakując i biorąc zamach mieczem.

Shanhaevel rzucił w niego jednym z krzesel i odskoczył, rozpaczliwie pragnąc, żeby trafiło ono zbira i dało mu sekundę czy dwie na rzucenie kolejnego czaru. Kiedy mężczyzna kopnięciem odsunął krzesło z drogi i ponownie zbliżał się do elfa, Shanhaevel wykrzyknął zaklęcie, kierując dłoń w jego stronę. Jasny błysk światła niemal w ułamku sekundy wytrysnął z czubka palca elfa i przemknął, uderzając w pierś bandyty.

Kobort zachłysnął się i zatoczył do tyłu, upuszczając miecz i chwytając za pierś, która lekko dymiała, potknął się o skrzynię i przewrócił. Shanhaevel dostrzegł leżący na ziemi topór Elma i chwycił go. Czuł się niezręcznie ściskając ciężką broń. Często rąbał drewno dla siebie i Lanithaine'a, ale *to* była całkiem inna broń - z dużo krótszym styliskiem i groźną podwójną główką, prawie tak wielką jak jego pierś - poza tym dla elfa była dużo za ciężka.

Siląc się na odwagę, Shanhaevel, z bronią w rękę, przysunął się do Koborta. Mężczyzna starał się unieść na kolana. Elf podniósł topór tak wysoko, jak tylko zdołał, i opuścił ogromne ostrze na tył głowy powstającego. Usłyszał straszliwy trzask, trysnęła krew, Kobort upadł na ziemię i już się nie podniósł. Shanhaevel wydał z siebie chrapliwe westchnienie i spojrział na resztę walczących.

Elmo został prawie zepchnięty w kąt przez Zerta i drugiego bandytę, którzy trzymali go na dystans włóczniami. Z uda wielkiego topornika wystawał bełt kuszy i mężczyzna zataczał się, robiąc uniki przed pchnięciami włóczni. Przekląwszy, Shanhaevel rzucił się do przodu, krzycząc ile sił w płucach. Dwaj mężczyźni zrobili pół obrotu, chcąc zobaczyć, co to za hałas, i kiedy zobaczyli biegnącego ku nim elfa z toporem w rękach, odwrócili się, by zatrzymać jego natarcie.

Doskonale, pomyślał Shanhaevel. Zatrzymał się w biegu, upadł na kolano i ślizgiem między bandytami posłał topór w kierunku Elma. Ten jednym płynnym ruchem chwycił broń, mimo że Zert i jego kamrat widzieli, jak topór prześlizguje się między nimi. W chwili, gdy uświadomili sobie, że ich przeciwnik jest uzbrojony, było już za późno.

Płynnym zamachem Elmo wraził ostrze topora w pierś jednego z bandytów, zwalając go z nóg i rzucając dwa kroki w tył, następnie odwrócił się do Zerta, który cofał się przerażony. Zanim opryszek zdołał uciec, Elmo trafił go prosto w biodro. Zert krzyczał, upadając, a Elmo, nie tracąc czasu, podskoczył ku niemu, by dokończyć dzieła. Shanhaevel oddalił się od tego pojedynku i przyjrzał reszcie kompanii.

Co zdumiewające - większa część napastników została powalona. Shirral, z ramieniem ociekającym krwią, Ahleage i Draga walczyli teraz z Larethem. Bez wahania Shanhaevel ponownie rzucił czar, przyzywając kolejne dwa pociski, takie same, jak te, które wykorzystał przed minutą przeciwko Kobortowi. Nieomylnie, świecące na zielono wiązki światła przemknęły przez komnatę i trafiły Laretha prosto w pierś. Kapłan chrząknął i zatoczył się w tył. Draga wykorzystał okazję powstałą dzięki magicznemu atakowi i ciął go w ramię.

Lareth zaryczał z bólu i wściekłości i powalił Dragę ciężkim drągiem. Shirral pomknęła naprzód, trafiając ognistym ostrzem w głowę kapłana. Lareth zlekceważył cios i uderzył drągiem w tułów druidki. Shirral upadła z jękiem, ale zanim Lareth zdążył podbiec, by ją wykończyć, znalazł się za nim Ahleage, trafiając go sztyletem prosto w krzyż.

Wyjąc jak w agonii, Lareth zakręcił młynka, wywijając buzdyganem, aby sparować kolejne ciosy. Ahleage musiał rzucić się na ziemię i poturlać, by uniknąć zmiżdżenia czaszki.

Oddychając ciężko i krwawiąc z kilku ran, Lareth odsunął się od Dragi i przyjrzał swej nieudanej zasadzce.

- Wykończcie ich! - ryknął, a potem wykonał kilka gestów i skrył się w chmurze nieprzeniknionej ciemności.

- Ty bękarcie! - krzyknął Ahleage, skacząc w magiczny mrok.

Shanhaevel zawahał się, wiedząc, że przyłączenie się do Ahleage w walce na oślep byłoby bezsensowne. Prawdopodobnie wsadziłby mi sztylet w żebra, sądząc, że jestem Larethem, pomyślał elfi czarodziej i odwrócił się, żeby jeszcze raz przyjrzeć się komnacie.

Jedynym stojącym jeszcze na nogach wrogiem był Turuko, walczący obecnie z Elmo, który atakował Bakluna wysoko trzymanym, zakrwawionym toporem. Elmo ściągnął broń na dół, ale Turuko był szybszy, kiedy jego przeciwnik zamachnął się, Baklun wyskoczył do góry, aż jego kosmyk włosów został za nim, uniknął ciosu ostrza i kopnął, trafiając Elma w ramię, kopniak był na tyle silny, że posłał ogromnego mężczyznę na podłogę.

Shanhaevel wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, zdumiony i skonsternowany, ponieważ uświadomił sobie, że Turuko musi być członkiem Szkarłatnego Bractwa, legendarnego zakonu walczących mnichów.

*Tutaj?* Zastanawiał się elf, podczas gdy on i jego towarzysze rozproszyli się, szykując się do ponownej walki. Szkarłatne Braterstwo współpracuje ze świątynią? Umiejętność walki mnichów była legendarna. Turuko stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo nawet bez broni. Oddalając tę myśl, czarodziej czekał na sposobność do ataku.

Pierwszy zbliżył się do mnicha Draga, z mieczem w dłoni. Shanhaevel wykrzywił się i trzymając mocno swój drąg, zaczął się przysuwać, żeby mu pomóc. Elmo znowu stał, rycząc w furii i ponownie podnosząc topór do ataku.

Turuko poruszał się niczym trąba powietrzna, otoczony ich trójką, a jego ręce i nogi wily się niczym węże. Shanhaevel starał się nadażyć za ruchami Bakluna, ale Turuko był zbyt szybki.

Mnich zatrzymał się na chwilę i uśmiechnął się.

- Tak, szanowni przeciwnicy, w rzeczy samej. Nie spodziewałem się... - przerwał, śmiejąc się dobrodusznie. - Ale to pierwsza zasada walki, czyż nie? Nie wolno niedoceniać przeciwnika. Cóż, po raz drugi nie popełnię tego błędu. Dalej, skończymy to.

Zawirował, stosując różne zabójcze ciosy, jeden po drugim - kopnięcia, uderzenia pięści - pełne gracji i gibkie - pokazujące jego ogromną wytrzymałość i nieprawdopodobną wręcz

sprawność. Po każdym udanym ruchu łądował na wprost innego przeciwnika, gotowy do uderzenia wszystkich i każdego, kto go zaatakuje.

Elmo rzucił się pierwszy, puszczając topór szerokim łukiem. Turuko uchylił się przed ciosem i zawirował, kopiąc Dragę w mostek, zanim łuczniczka nawet zorientował się, co go uderzyło. Draga chrząknęła, cofając się o krok, mierząc mieczem w Turuko, kiedy ten obracał się w kierunku Shanhaevela. Mnich uniknął obu ataków i posławszy kopniak w stronę Elma o mały włos nie trafiłby go w głowę. Elmo ponownie zamachnął się toporem, ale Shanhaevel zobaczył, że wielki mężczyzna, mając zranioną nogę i tak wielu towarzyszy wokół siebie, ma problemy z użyciem ciężkiej broni.

- Dawajcie, co macie najlepszego! - zapiął Turuko, śmiejąc się podczas obrotów i uników, z łatwością przesuwając się od jednego przeciwnika do drugiego. - Powitam to z miłą chęcią.

- Jeśli się poddasz - powiedział Elmo - obiecuję, że będziesz żył.

- Ha! - zaśmiał się Turuko, obracając się, by wykopnąć miecz z rąk Dragi i uderzając mężczyzną pięścią w twarz. Był to cios z boku, ale Draga zatoczył się do tyłu, dysząc ze zmęczenia.

- Jeśli zaatakujesz, obiecuję, że zginiesz! - powiedział Turuko, unikając jednocześnie ciosu Shanhaevela i zamachu Elma.

Nastąpiła przerwa w walce, kiedy trzech mężczyzn walczących z mnichem odsunęli się do tyłu, ciężko oddychając.

Do diabła, pomyślał Shanhaevel, pragnąc mieć jeszcze jakieś odpowiednie czary, które pomogłyby mu w atakach. Cokolwiek spróbowałby użyć, zagroziłoby jednak jego towarzyszom. Uchwycił lepiej drąg i znalazł jego środek ciężkości.

Trójka mężczyzn otoczyła Turuka, zbliżając się, by znów zacząć walczyć. Tym razem pierwszy uderzył Draga, doskakując ze zwodem i rzucając się w tył. Kiedy Turuko wirował wciąż w odpowiedzi na atak, Shanhaevel zrobił krok do przodu i spróbował trafić przeciwnika w nogi, ale odsunął się, zanim Turuko zdążył wylądować i wyprowadzić kontrę. Teraz walczyli skuteczniej, robiąc uniki, atakując i zmuszając mnicha do trudniejszej obrony niż przed chwilą.

Kiedy tak obaj, Draga i Shanhaevel, starali się zmęczyć Turuka, Elmo, z uniesionym toporem, ponownie włączył się do walki. Mnich roześmiał się, przygotowując do uniknięcia ataku, ale w ostatniej chwili Elmo puścił topór, posyłając go wirującym lotem, i uśmiech Turuka zmienił się w grymas zaskoczenia, kiedy broń, obracając się w locie, zmierzała w stronę jego głowy. Schylił się przed nią wystarczająco sprawnie, ale Elmo rzucił mu się na nogi. Turuko okręcił się, odwracając do ogromnego mężczyzny, gotowy do kopnięcia, ale Elmo był szybszy - *zdumiewająco* szybki, o czym później przypomniał sobie Shanhaevel. Elmo dosięgnął Turuko z dołu.

Kiedy Elmo pochwycił mnicha, w jego ręce zaiskrzyła iskra niebieskawego srebra i mnich nagle znieruchomiał, ze szklistymi ze zdumienia oczami. Spojrzał w oczy Elma, a jego własne zdradziły ból, jaki czuł. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk, a potem upadł. Elmo pozwolił mu się osunąć na płyty podłogi, z wystającym mu z piersi sztyletem.

Shanhaevel spostrzegł, że magiczne ciemności wykorzystane przez Laretha do ucieczki, rozwiały się, Ahleage opierał się o ścianę, żywy, ale trzymając się za głowę w miejscu, gdzie strużka krwi spływała mu na twarz. Po mrocznym kapłanie nie było śladu. Shirral pochylała się nad Meliasem. Wojownik leżał na plecach, z jednym pozostałym okiem wpatrzonym w powałę. Wciąż płytko oddychał.

Shanhaevel ukląkł przy Shirral i spojrzał na Meliasa, starając się nie okazywać żalu. Drużka trzymała dłoń żołnierza i płakała. Pozostali klęczeli obok Meliasa, pocieszając go, ale dla wszystkich było jasne, że jest on już właściwie martwy.

- Lepiej, żeby ten łajdak Kobort i jego dwaj towarzysze nie żyli - powiedział Ahleage, staniając się na nogach i dołączając do reszty.

- Są martwi - orzekł Elmo, układając głowę Meliasa na swych udach. - Lareth wkrótce do nich dołączy, obiecuję.

- Nie mogę go uratować - jęknęła Shirral przez zaciśnięte zęby. Zwiesiła głowę i zaszlochła. - Moje leczenie nie jest na tyle potężne.

Melias próbował coś powiedzieć, ale jego słowa były jedynie niewyraźnym mamrota-  
niem. Shanhaevel i inni pochyłili się, nasłuchując uważnie.

- K-klucz - wyszeptał Melias, walcząc o oddech. - Znajdźcie... klucz. P-proszę.

Jego głowa opadła na uda Elma, a dłoń wyślizgnęła się z uchwytu Shirral. Jedyne oko wciąż patrzyło się w sklepienie komnaty, ale już nic nie widziało. Z ostatecznym westchnieniem ostatni oddech opuścił ciało.

Ahleage, z zaciśniętymi i drżącymi mięśniami szczęki, wstał i odwrócił się od ciała Meliasa. Ciężkim krokiem poszedł na drugi kraniec pomieszczenia i zaczął chodzić tam i z powrotem. Draga stał z boku, z wyrazem szacunku na twarzy, ale nic nie powiedział. Elmo pochylił się i ostrożnie naciągnął na twarz żołnierza jego pelerynę. Shirral szlochała cicho.

Co do diabła mamy teraz zrobić? Zastanawiał się Shanhaevel, czując w piersi zbyt znajome i zarazem nowe uczucie bólu. To tak jak z Lanithaine'em. Tyle że teraz czuje to każdy. Czy to wszystko, co nam pozostało? Ból i śmierć? Jeżeli tylko tego możemy się spodziewać na tej wyprawie, to powinienem wrócić do domu. I tak nie ma już powodu, żeby zostać.

A jednak było coś, uświadomił sobie elf. Była Shirral. Westchnął, niepewny, czy chce odjechać, i zdumiało to go bardziej niż cokolwiek innego. Nie sądziłem, że usłyszę się mówiącego takie słowa, zastanowił się. Ale tak było. Opuścić Shirral? Żołądek podszedł mu niemal do gardła. Jednak myśl, żeby powiedzieć jej, co czuje, sprawiła, że poczuł się jeszcze gorzej. Więc tylko delikatnie położył dłoń na ramieniu Shirral i przytrzymał je łagodnie.

- Zrobiłaś, co mogłaś - powiedział miękko. - Bez twoich czarów, bez płomiennego ostrza wszyscy poleglibyśmy z ich rąk.

Shirral potaknęła, ale nie podniosła oczu.

- Jaroo próbował zachęcić mnie, żebym uczyła się więcej - powiedziała w końcu - żebym zajęła się moją energią po to, by rzucić potężniejsze czary. Jednakże nigdy nie chciałam poświęcić na to czasu - pociągnęła nosem i obróciła się, by spojrzeć na Shanhaevela. - Gdybym to zrobiła, mogłabym mu jakoś pomóc - teraz w jej oczach nie było iskerek. Były zamglone, a smutek i zmęczenie sprawiły, że wokół nich pojawiły się czerwone obwódki. Mógł jedynie przytaknąć.

- Ja też coś chciałem zrobić tamtej nocy - na drodze, kiedy umarł Lanithaine... coś, cokolwiek, co utrzymałoby go przy życiu. Nie potrafiłem. Prędzej czy później wszyscy odkrywamy, że moc to nie wszystko. Lanithaine często mówił mi, że to nie moc nas określa. To, co osiągasz, rozwijając swoje umiejętności, sprawia, że jesteś tym, kim jesteś. W tej chwili, wszyscy potrzebujemy twych zdolności. Cały czas możesz nam pomóc. Ale teraz ktoś musi opatrzeć twoją ranę - pokazał na zalane krwią ramię druidki.

Shirral popatrzyła na niego, a następnie skinęła głową.

- Nigdy więcej nie chcę czuć się taka... nieużyteczna - mówiąc to, wstała. - To ja nas tu przyprowadziłam. To ja powiedziałam, że nie możemy pozwolić, żeby Zert umarł. Melias chciał zachować ostrożność, a ja mu nie pozwoliłam, to moja wina - powiedziała, zanim poszła opatrywać rannych.

Shanhaevel już otwierał usta, żeby powiedzieć, że to jego wina, nie jej, że gdyby w porę uświadomił sobie, że Zert kłamie, nigdy nie wpadliby w zasadzkę, ale ona już odwróciła się i słowa zamarzyły mu na ustach. Wzdychając, podniósł się i rozejrzał dookoła, patrząc, w czym może pomóc.

Ahleage i Draga chodzili od ciała do ciała, upewniając się, że nikt nie przeżył. Shanhaevel zauważył, że trzy gnolle, które padły ofiarą jego magicznie wywołanego snu, zniknęły. Musiały obudzić się i ulotnić w czasie walki. Lub też ukrywają się gdzieś, czekając, kiedy stracą czujność. Powiedział o tym reszcie, przestrzegając ich, aby byli ostrożni.

Shirral najpierw zajęła się raną Elma. Ogromny mężczyzna wziął głęboki oddech, a następnie wyrwał belt z ciała, krzywiąc się z oczywistego bólu. Mruczając pod nosem, Shirral delikatnie położyła ręce na ranie, która zaczęła słabo świecić. Chwilę później Elmo sprawdzał swoją nogę, chodząc tam i z powrotem, bez wyraźnego utykania. Uśmiechnął się do Shirral, ale ta zachwiała się tak, że musiał ją złapać.

- Straciłaś dużo krwi - powiedział Elmo, kładąc ją na ziemi w momencie, gdy Shanhaevel, z bijącym jak oszalone sercem, pędem rzucił się w ich stronę.

Tylko nie ona! Pomyślał spanikowany, klękając obok.

- Shanhaevel, sprawdź w plecaku Meliasa - zarządził Elmo. - Powinny tam być magiczne eliksiry.

Shanhaevel szybko podszedł do martwego żołnierza i zdjął jego plecak. Spiesząc się do Shirral, przetrząsnął ekwipunek, zatrzymując się tylko na moment, aby zerknąć na pracowicie wykonany pojemnik na zwoje, zanim odłożył go na bok i wrócił do szukania, aż znalazł małą zalakowaną buteleczkę.

- To? - zapytał się, podnosząc ją do góry, a ogromny topornik przytaknął.

- Shirral, musisz to wypić - powiedział Shanhaevel, przykładając buteleczkę do warg druidki. Wyciągnął korek i poczuł, że napój pachnie cynamonem i popiołem. Ostrożnie wlał go dziewczynie do ust. Gdy Shirral go wypła, zaczęła się z niej wydzielać błękitna poświata, emanująca przede wszystkim z jej zranionego ramienia. Kilka chwil później druidka usiadła.

- Nie strasz mnie w ten sposób - powiedział Shanhaevel. Spojrzała na niego zagadkowo, ale upewniła młodego czarodzieja, że wszystko z nią w porządku.

Kiedy Ahleage i Draga potwierdzili, że żaden z wrogów nie przeżył, Elmo podszedł do ciała Turuka i wyciągnął swój sztylet z jego piersi.

- Powinniśmy wrzucić to - wskazał na martwych bandytów - do bagna. Niech strawią ich moczary. I musimy zabrać Meliasa z powrotem do Hommlet. Zasługuje na pogrzeb bohatera. Ale najpierw musimy dowiedzieć się czegoś o tym koszmarnym kapłanie wojownika. Kim jest ten Lareth?

- Zgadzam się - powiedział Ahleage. Ukłękł obok ciała jednego z bandytów i zaczął przeszukiwać jego kieszenie. - Ale po kolei. Oni nie będą już tego potrzebowali - rzekł, wyciągając małą sakiewkę - uznajmy to za małe zadośćuczynienie za to, co nam zrobili.

- Popilnuję wejścia - powiedział Draga, idąc w kierunku korytarza - żeby upewnić się, że już nikt nas zniecka nie zaatakuję.

Shanhaevel gapił się w plecy Elma, jakoś wcale nie zdziwiony nagłym przejęciem władzy przez dużego mężczyznę. Wiedziałem, że jest w nim coś więcej, niż pozwalał nam zobaczyć, pomyślał elf, idąc za nim do siedziby kapłana.

Za drzwiami otwierała się wystawnie urządzone komnata, wypełniona grubymi dywanami, arrasami, wyściełanymi krzesłami i kanapą, z której aż spadały wypchane poduszki. Słabo oświetlone pomieszczenie ogrzewał piecyk, z którego ulatniała się woń kadzideł. Kiedy Elmo i Shanhaevel zaczęli dokładniej rozglądać się po komnacie, znaleźli przysmaki, dobre wina i srebrną zastawę stołową, łącznie z kompletem przepięknie wyrzeźbionych kielichów. W krendencie stojącym wzdłuż jednej ze ścian, znajdowała się alabastrowa szkatułka pełna rzadkich i cennych pomad oraz pełno szlachetnych kamieni i biżuterii.

Jednak najważniejszym odkryciem okazało się małe biurko do pisania służące także jako ołtarzyk. Shanhaevel patrząc na nie, zbladł i zatrzęsł się.

- Na Boccoba! - wymamrotał. - To ołtarz Lolth.

- Wiem - odparł Elmo. - Zniszczymy go, kiedy tu skończymy.

Shanhaevel określił się, by spojrzeć w twarz wielkiego topornika.

- A właściwie skąd to wiesz? Jesteś kimś więcej niż zapitym synem wieśniaka. Przyznaj to.

Elmo nie podniósł wzroku z pliku pergaminów, którym zaczął się przyglądać.



- Tak, kimś więcej, ale to nie jest właściwy czas na opowiedzenie tej historii. Spójrz na to - rzekł, zmieniając temat, kiedy wziął część dokumentów. - Na cokolwiek się dzisiaj natknęliśmy, to jest to zdecydowanie coś więcej niż ci bandyci.

Shanhaevel popatrzył na dużego mężczyznę przez chwilę dłużej, w zdumieniu kręcąc głową, a następnie spojrzął na to, co pokazywał mu Elmo.

Dokumenty zawierały informacje o ostatnich działaniach Laretha. Raporty i listy napisane były przez kogoś o imieniu Hedrack, najwyraźniej zwierzchnika Laretha i zawierały plany napaści na okoliczne szlaki karawan. Wspominały również o technikach rekrutacji, podawały instrukcje dotyczące żołdów dla oddziałów wojskowych, harmonogramy dostaw różnych dóbr - zbroi, broni, prowiantu, a nawet niewolników - oraz długoterminowy plan zniszczenia Hommlet dzięki wykorzystaniu „najpotężniejszych sił żywiołów”. Na nieszczęście miejsca nie były jasno opisane, tak jakby Hedrack obawiał się, że ktoś może przypadkiem znaleźć plany. Tym niemniej jednak jasne było, że Lareth służył bardzo tajemniczej i potężnej organizacji, która znajdowała się gdzieś w pobliżu.

- Świątynia - domyślił się Shanhaevel, wciągnąwszy powietrze przez zęby. - Dam sobie uciąć prawą rękę, że to właśnie tam jest Hedrack.

- Myślę, że masz słuszość - odparł Elmo, potakując - a ja założę się, że to tam także udał się Lareth. Chodź, powiemy reszcie.

\* \* \*

Towarzysze wrzucili ciała bandytów do bagna, owinąwszy je w ich posłania i strąciwszy z ruin, tak że zniknęły szybko pod powierzchnią brudnej, śmierdzącej wody. Owinęto również ciało Meliasa w jego płaszcz i złożono w pobliżu wejścia do tunelu, gdzie czekało, aż ktoś położy je na konia.

- Jedźmy do domu - powiedziała Shirral, kiedy skończyli. - Robi się późno.

Elmo potakująco skinął głową i wstał.

- Wezmę Meliasa.

Wielki mężczyzna ostrożnie podniósł ciało ich przywódcy i wyszedł w światło popołudnia. Za nim podążyli Ahleage i Draga, niosący małą skrzynię z kosztownościami, jakie tu znaleźli. Shanhaevel został sam z pogrążoną w głębokim smutku druidką.

- Shirral - rozpoczął Shanhaevel - to, co się dzisiaj stało... to nie była twoja wina. Kłamstwo Zerta skierowane było do nas wszystkich, do mnie, i wszyscy daliśmy się na nie nabrać. Przestań się obwiniać.

- Ty przynajmniej coś podejrzewałeś. A ja byłam bezgranicznie naiwna. Namówiłam go, żebyśmy tam poszli. Nalegałam na to, odjechałam, nie dając mu szansy na zastanowienie się. Byłam tak całkowicie pewna, że mam rację, i to kosztowało życie Meliasa. Praktycznie - sama go zabiłam.

- Nie! - wykrzyczał Shanhaevel. Pochwycił druidkę za ramiona i zmusił, żeby spojrziała mu prosto w oczy. - Przestań! Nic takiego nie zrobiłaś.

Shirral znów się rozplakała, a wielkie łzy zaczęły spływać w dół jej twarzy, jednak nie powiedziała, jedynie przygryzła wargę i spojrziała w bok.

- Zrobiliśmy to, co uważaliśmy za słuszne - kontynuował elf. - Ludzie, którzy cię znają, którym na tobie zależy - podkreślił ostatnie słowa - rozumieją to. I ty też powinnaś.

Shirral spojrziała na elfa ponownie, teraz jej niebieskie oczy rozblęskły, gdy rozszyfrowała znaczenie jego słów.

- Ludzie, którym na mnie zależy? Shanhaevel, nagle zdenerwowany, potaknął.

- Czy myślisz, że Jaroo obwiniałby cię za to, co się stało? - ciągnął, żeby zamaskować zmieszanie. - Czy obwiniałby mnie Lanithaine?

Przekrzywiła głowę na bok, jakby zdając sobie sprawę, że unikał powiedzenia tego, co naprawdę myślał. Tak, zależy mi na tobie, powiedział głos w jego głowie.

- Nie wiem - odpowiedziała niemal szeptem. - Ale to nie on umarł z powodu mojej głupoty. Powinieneś przestać myśleć o mnie w ten sposób i wrócić do domu.

Powiedziawszy to, odwróciła się, by odejść. Shanhaevel wypuścił oddech, który dotąd wstrzymywał.

- Poczekaj! - zawołał, idąc za nią. Razem wyszli na dwór. - Dlaczego? Mówisz, że nie ma powodu bym został? Żadnego?

Shirral spojrzała na niego ponownie, gdy doszli do drogi.

- Mówię, że *nie dopuszczę*, żeby był jakiś powód, przynajmniej nie taki. Śmierć Meliasa boli dostatecznie. Nie mogłabym patrzeć, jak ginie ktoś jeszcze z mojego powodu. Mam swą pracę z Jaroo. To dla mnie wszystko, co może być. W ten sposób jest bezpiecznie.

Druidka nie dodała już nic więcej, odwróciła się, przyspieszyła marsz w górę drogi i zostawiła Shanhaevela z tyłu. Elf obserwował oddalającą się kobietę, czując w piersi głęboki ból, następnie powoli poszedł za nią.

Na szczycie wzniesienia, gdzie grupa zostawiła konie, Elmo przywiązywał ciało Meliasa w poprzek siodła wojownika. Ahleage i Draga przymocowywali skrzynię z łupami do grzbietu należącego do Lanithaine'a jucznego konia. Shirral sprawdzała siodło swego rumaka, ściągając popręg i poprawiając strzemiona tak, żeby dobrze pasowały.

W tej chwili przez bagno przeleciało rzenie konia i cała grupa - jednocześnie wyciągając broń - obróciła się do tyłu. Drogą prowadzącą z Hommlet zbliżał się potężnie zbudowany mężczyzna. Miał na sobie płytkową zbroję i dosiadał konia tak dużego i umięśnionego, iż było oczywiste, że został wyhodowany, aby służyć na wojnie. Miał też przewieszoną przez plecy tarczę, a u pasa wsiadł mu doskonale wyglądający miecz. Wyglądał na znużonego drogą i jakby zagubionego. Kiedy dostrzegł, że grupa go zauważyła, zwolnił konia. Ściągnawszy rękawice z dłoni, sięgnął do góry, zdjął swój pozbawiony przyłbicy hełm i przyjrzał się kompanii. Był gładko ogolony i miał krótkie, kręcone czarne włosy.

Nieznajomy kliknął językiem i jego rumak podszedł bliżej, tam gdzie z toporem w dłoni stał Elmo.

- Na Cuthberta, to prawda - wymamrotał nieznajomy na wpół do siebie. Jego oczy rozszerzyły się, a spojrzenie powędrowało od jednej osoby do drugiej, po kolei zatrzymując się na każdym członku wyprawy. - Nigdy już nie zwątpię, mój panie - dodał, wciąż się przypatrując.

- Co takiego? - powiedział Elmo, uważnie i ostrożnie przyglądając się mężczyźnie.

- Czy możemy w czymś pomóc? - zapytała Shirral.

- Nie wiem - odparł przybysz - mam nadzieję, że tak. Zostałem wysłany, żeby was znaleźć.

- Znaleźć nas? - zapytał Ahleage uśmiechając się półgębkiem. - Przez kogo?

- Przez świętego Cuthberta, mego boga i przewodnika.

- Co? - wykrzyknął Ahleage, prawie się udusiwszy. - Dlaczego bóg miałby cię wysłać, żeby nas znaleźć?

- Nie wiem - odrzekł przybysz, uśmiechając się ciepło. - Wiem, że zabrzmi to dziwnie, ale objawił mi się we śnie, pokazał wasze twarze i przysłał tu, abym was znalazł.

- Znalazł nas?? - powtórzył Elmo, wciąż ściskając topór.

- Tak. Widziałem każdego z was. Czarodzieja ze srebrną grzywą, łotrzyka z ciętym językiem, dużego człowieka z toporem, kędzierzawego mężczyznę z łukiem i pieśnią w sercu oraz kobietę, druidkę. Powiedział, że będę potrzebował was, a wy mnie. Jest zadanie do wykonania i musiałem was odszukać, abyśmy mogli to zrobić wspólnie.

- To brzmi naprawdę szlachetnie - powiedział Ahleage, spoglądając kątem oka na resztę towarzyszy, ale - jak widzisz - nasze zadanie dobiegło do nagłego końca - skinął głową w stronę ciała Meliasa - i jedziemy w różne strony. Czy twój bóg powiedział ci o tym?

Mężczyzna skrzywił się.

- Święty Cuthbert wyjaśnił mi, że na tej ścieżce napotkam pewne trudności, ale wiem, że jego wolą jest, abyśmy stanowili grupę, więc mam nadzieję, że rozważycie to ponownie. *Musicie* to rozważyć.

Teraz Shanhaevel popatrzył na innych i kiedy złapał spojrzenie Ahleage, młody mężczyzna podniósł dłoń do boku twarzy, by zasłonić ją przed przybyszem i przewrócił oczami, co miało znaczyć, że uważa, iż mają do czynienia z wariatem. Shanhaevel z trudem powstrzymał się od śmiechu, ale szybko spoważniał. Może da mi to więcej czasu z Shirral, pomyślał.

- Wydajesz się szczerzy - powiedziała druidka - ale nie mamy pojęcia, czy mówisz prawdę, czy nie. Poza tym nie znamy nawet twojego imienia.

Mężczyzna wzdrygnął się i ze zmieszana pokręcił głową.

- Na Cuthberta, przepraszam! Jestem sir Govin Dahna, rycerz świętego Cuthberta. Możecie mówić mi Govin. Jeśli w mieście jest jakiś kapłan, pójdę do niego i zezwolę na przeprowadzenie testu prawdy, żeby udowodnić wam, że jestem tym, za kogo się podaję.

- Wobec tego w porządku, Govinie - powiedział Shanhaevel, wskazując po kolei na wszystkich. - To jest Elmo, tam stoi Draga, to Shirral, to Ahleage, a ja jestem Shanhaevel Potomek Cienia - rzekł elf, rzucając spojrzenie w kierunku Ahleage. - Ta nieszczęśliwa dusza na grzbiecie konia to Melias.

- Tak, to jedno z twoich imion, Shanhaevelu. Jednakże masz także inne. *Faldurios su wel dwa sulis min anweilios su Shantirel Galaerivel, magiost.*

Oczy Shanhaevela rozszerzyły się, gdy wpatrywał się w stojącego przed nim mężczyznę. Govin przemówił w języku elfa: *Ci, którzy znają cię dobrze, nazywają cię Shantirelem Galaerivelem, magiem.*

Shirral z rozdziawionymi ustami patrzyła to na rycerza, to na Shanhaevela.

- *Kileria su delmier, Kahvlirae* - w końcu odpowiedział Shahaevel, lekko się skłaniając. *Mówisz prawdę, szlachetny rycerzu.* - Zdaje się, że te sny dużo ci o nas powiedziały.

Zrozpaczony Ahleage potrząsnął głową.

- Co, do dziewięciu piekieł, przed chwilą ci powiedział?

- Powiedział mi coś, co powinni wiedzieć jedynie mieszkańcy Uwiędłego Lasu i nazwał mnie czarodziejem.

Mimo dyskomfortu, że ten człowiek wiedział o nim tak wiele Shanhaevel zaczynał lubić rycerza. Było to dziwne. W jakiś sposób czuło się... prawo, tak, to było to, *prawo* - gdy znajdował się tu Govin. To najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek pomyślałeś, Shantirelu Galaerivelu.

- Wybaczcie mi - skłonił się sir Govin. - Nie chciałem was zaalarmować. Moim życzeniem było jedynie udowodnienie, że mój przyjazd tu jest uzasadniony. Zdaję sobie sprawę, że musicie wiele przemyśleć. Może oddałę się i pozwolę wam porozmawiać na osobności.

- Nie sędzę, żeby to było konieczne - powiedział Elmo. Podjął decyzję z tym spojrzeniem, które już raz przekonało Shanhaevela, że jest w nim coś więcej, niż to im opowiedział. - Musisz być zmęczony po całej podróży z...

- Z Dyvers. Jadę tu z Dyvers.

- Tak, w rzeczy samej daleka podróż. Nasz nieszczęśliwy towarzysz, Melias, wymaga odpowiedniego pochówku, mamy nadzieję dotrzeć z nim do Hommlet, ale robi się późno, powinniśmy rozbić obóz i dalej się nad tym zastanowić. Z miłą chęcią zaakceptujemy twe towarzystwo.

- Przyjmuję wasze zaproszenie - odrzekł rycerz z małym, ale pełnym uznania ukłonem.

Kiedy drużyna rozbiła obozowisko, zapadał już zmrok. Wybrali miejsce schronienia w pewnej odległości od fortu, na jakimś wzniesieniu bardziej suchym niż pobliskie moczary i w osłoniętym miejscu rozpalili ognisko.

Wszyscy skupili się wokół ognia i jedli z apetytem smaczny gulasz z zajęczego mięsa. Shanhaevel właśnie skończył opowiadać sir Govinowi o wydarzeniach w forcie i śmierci Meliasa. Teraz zapanowała wyczekująca cisza, a każdy przyglądał się jedzącemu rycerzowi, czekając na jego opowieść.

Govin spokojnie połykał łyżki gulaszu, pozornie nieświadomy, że wszyscy mu się przyglądają. W końcu wytarł ostatnie krople sosu chlebem i odstawił pustą miskę. Oparł się wygodnie o drzewo i splótł palce.

Shanhaevel ukradkiem spojrział w stronę Shirral. Nie odzywała się do niego od czasu ich ostatniej rozmowy. Teraz siedziała z lekko pochyloną głową, wpatrując się w przestrzeń.

- Teraz wiem, dlaczego zostałem tu przysłany - rozpoczął Govin. - Wasze zadanie nie jest jeszcze dokończony, jednak wasz zapal zniknął i chcecie się wycofać - pochylił się do przodu, szykując się do przemowy.

- Ów Melias, niech odpoczywa w pokoju, był przewodnikiem. Sprowadził was tutaj i miał solidne postanowienie doprowadzić sprawę do końca. Ponieważ teraz go nie ma, ja zostałem przysłany, nie przez jakiegoś lorda, króla czy wicehrabiego, ale przez siłę o wiele silniejszą i bardziej wytrwałą. W tym momencie Ahleage kaszlnął i kiedy Shanhaevel spojrział w jego stronę zobaczył wypisane na twarzy mężczyzny szyderstwo.

- Może - powiedział Ahleage - ale ja nie wyznaję twego boga, więc czego on ode mnie chce? Nie wiem, czy te dziwne sny są dla mnie wystarczająco dobrym powodem do pchania się w kłopoty i zapewne nie są nim także dla mojego przyjaciela Dragi.

Draga zaledwie wzruszył ramionami i wrócił do rzeźbienia w kawałku gałęzi.

- Oczywiście, że nie - odrzekł Govin. - Nie każdy słyszy czy rozpoznaje wezwanie Cuthberta. Musicie znaleźć własne powody dla wybrania tej ścieżki, nie mogę wam dać tego, czego pragniecie, ale wierzę, że tym niemniej to osiągniecie. Wygrana znajduje się na końcu tej drogi, wystarczy, że na nią wejdziecie.

- Sir Govinie - powiedział Shanhaevel, splatając palce i pochylając się do przodu - jeśli wszystko, co mówisz jest prawdą, wyglądałoby na to, że wyniknie z tego coś bardzo poważnego. Dlaczego uważasz, że Cuthbert chce, żebyś ty nami przewodził.

Shanhaevel wiedział, że było to pytanie sugerujące odpowiedź, ale chciał zobaczyć, jak wiele z tego, co się tu działo, zrozumiał rycerz.

- Nie przybyłem tu, by wami dowodzić. To nie moje zadanie. Stanowicie już drużynę, nauczyliście się polegać na sobie przed moim przybyciem. Jest dla mnie jasne, że mogę do was jedynie dołączyć, nie odważyłbym się was prowadzić. Żeby jednak odpowiedzieć na twoje pytanie, nie mogę z całą pewnością powiedzieć, co z tego wyniknie, ale wierzę, że posiadam część odpowiedzi. To wiesz, następna rzecz, jaka objawiła mi się we śnie, chociaż jeszcze nie wiem, co oznacza. Oto on:

*Dwójka w przeszłości połączona,*

*Rzecz zbudowana, magia rzucona  
Potęga rosła, kraj wzięty pod panowanie  
I ludzie także, wszystko zaplanowane.*

*Klucz bez zamka był stworzony,  
Pokryty złotem, klejnotami wysadzony.  
Czarów pełen, oddany w ręce człowieka,  
By widział, jak moc Dobra ucieka.*

*Ale nadeszły wojska z mieczem obnażonym,  
Zastawszy zło jeszcze niegotowym.  
Za Jeleniem podążyły Korony  
I Księżyc, i lud z miast obronnych.*

*Dwójka została rozdzielona i odszedł on,  
Gdy nadszedł dzień sądny, lecz została ona,  
Zniszczyła klucz i posiała skały  
Do pudeł czterech, a zamki to czary.*

*Czyniąc to, była spóźniona,  
On uciekł, ona pochwycona.  
Jej własna, własna siedziba  
Stała się celą i rozpacz ją skrywa.*

*Miejsce ruiną się stało, zniszczone  
I z okowami wokół serca osławione  
Złej siły - ale klucz pozostawiony  
Nigdy nie został odnaleziony.*

*On nie wie, gdzie ona się znajduje.  
Ona mocą swych legionów próbuje  
Odbudować swą Świątynię straconą  
Z pomocą ciał ludzi, siłą osłabioną.*

*Liczba umarłych będzie w pokłosiach  
W wodzie, płomieniach, ziemi i na niebiosach.  
Nie dla nich dawnego klucza istota  
Odnaleziona być musi - kula ze złota.*

*Uważaj przyjacielu, przegrasz sromotnie,  
Chyba że zgromadzisz środki roztropnie,  
By szukać i znaleźć pudła cztery,  
A potem uciec w niebyt szczery.*

*Mając klucz, powieść ci się może  
Obalić jej chciwość i złe moce.  
Zniszcz klucz, kiedy skończysz czyn swój,  
A potem ciesz się, laur zwycięzcy twój.*

Kiedy rycerz skończył, Shanhaevel był pewny, że jego twarz jest kredowobiała. Spojrzał po kolei na swych towarzyszy i zobaczył, że wszyscy wyglądali na głęboko wstrząśniętych.

- Melias, zanim umarł, błagał nas, żebyśmy znaleźli klucz - cicho odezwał się elf. - Nikt z nas nie wiedział, o co mu chodzi.

- I co z tego? - odparł Ahleage - mógł mówić o czymkolwiek, a ten wiersz też może oznaczać cokolwiek! Nie ma żadnego dowodu, że chodzi o to samo.

Shanhaevel przytaknął i wtedy przypomniał sobie o czymś.

- No cóż, może jest pewien sposób, żebyśmy się czegoś dowiedzieli - powiedział, wstając.

Podszedł do góry ekwipunku, przebierając w nim, aż znalazł plecak Meliasa, wróciwszy na miejsce, otworzył go i zaczął szukać pojemnika na zwoje.

- Czy uważasz, że to dobry pomysł? - powątpiewająco spytała Shirral. - Był wysłannikiem króla. Możesz w ten sposób złamać jakieś prawo.

- Być może są tam rozkazy od wicehrabiego czy króla - rzekł Elmo, pokazując Shanhaevelowi, żeby otworzył pojemnik - i jeśli jest tam coś ważnego dla nas, powinniśmy to zobaczyć. Myślę, że w tych warunkach, przekroczenie prawa nie będzie wzięte nam za złe.

Shanhaevel przez chwilę popatrzył na Elma i zerwał pieczęć z pojemnika. Znajdująca się w środku rolka pergaminu była pomarszczona i zniszczona. Wszyscy zgromadzili się wokół niego, gdy zaczął wpatrywać się w słowa napisane na zwoju dokładnym, ładnym charakterem pisma. Był to, słowo w słowo, poemat, który właśnie zacytował rycerz.

- Nie sądzę, żeby były jeszcze jakieś wątpliwości - powiedział Shanhaevel zdyszczanym szeptem.

Oczy Ahleage rozszerzyły się, gdy potrzasał głową zgadzając się z oceną elfa.

- Ale co to oznacza? - Shirral zwróciła się do Govina.

- Nie wiem - rycerz wzruszył ramionami - ale akceptuję mądrość Cuthberta, który nas tu razem zgromadził. Wierzę, że jakiegokolwiek zadanie przed nami stoi, zostanie ono nam ujawnione, kiedy przyjdzie czas.

Shirral ponownie przygryzała wargę, a Elmo skrzywił się.

- Myślę, że czas *już* nadszedł - powiedział ogromny mężczyzna. - Nadszedł czas na pewne wyjaśnienia - Elmo podniósł się z ziemi, gdzie siedział, i zwrócił do grupy. - Widzicie, nie jestem tylko żłopiącym piwsko prostakiem, chociaż, ponieważ w ostatnich godzinach nie starałem się specjalnie podtrzymywać to moje wcielenie więc - jak przypuszczam - większość z was zdążyła się już o tym przekonać. To obraz, który utrzymywałem przez wiele lat i który był bardzo pomocny w unikaniu podejrzeń.

Shanhaevel pochylił się do przodu ciekawy, co ten ogromny mężczyzna, którego mina stała się nagle poważna i inteligentna, ma jeszcze do powiedzenia.

- Widzicie - kontynuował Elmo, przyglądając się swoim dłoniom. - Ja również pracuję dla wicehrabiego - pośród grupy rozległo się kilka westchnień. - Jestem Rycerzem Jelenia, myśliwym, tropicielem. Moim zadaniem było trzymanie pieczy nad wydarzeniami na tym terenie - przyjazdami i odjazdami kupców, obcych, takich jak wy. Niewiele przejechało przez Hommlet bez mojej wiedzy.

Shanhaevel spostrzegł, że ze zdumienia kręci głową i zobaczył, że wszyscy wokół ogniska dzielają jego uczucie. - Wiedziałem, że coś jest nie tak! - odezwał się elf - już od momentu, kiedy Ormiel powiedział mi, że mówisz do niego. Od czasu do czasu robiłeś coś, co nie pasowało do obrazu twojej postaci, przepraszam za wyrażenie, do prostego, nierozgarniętego chłopca, jakim wydawałeś się być. - Tak - potaknął Elmo, uśmiechając się. - Jesteś niesamowicie przebiegły, „szczenię zrodzone w lesie cieni”, bardziej niż większość ludzi, jakich spotykam. Raz czy dwa nie unikałem wpadki, ale przez większość czasu obserwowałem wasze reakcje. Chciałem upewnić się, że mogę wam zaufać, każdemu z was. Dzisiaj dowiedzia-

łem się, że mogę i że będzie to bardzo ważna część naszych relacji, jeśli mamy doprowadzić sprawę do końca.

- Skąd znasz moje prawdziwe imię? - zapytał elf, nie będąc jednak tak naprawdę zdziwiony.

- Mówiłem ci, moim zadaniem jest wiedzieć jak najwięcej, o każdym, kto tu przybywa - Elmo uśmiechnął się ponownie, gdy Shanhaevel przytaknął, akceptując to wytłumaczenie. - W tym wypadku są dwa powody. Po pierwsze, powiedział mi to Ormiel. Tak więc kawały twych przyjaciół nie miały znaczenia...

- I tak bardziej podoba mi się jego przezwisko - wtrącił Ahleage, szczerząc zęby i bawiąc się jednym ze swoich sztyletów.

- A drugim powodem jest: *Estrumiel de sudri oltrinos* - ja też mówię w twoim języku - Shanhaevel zamrugnął ze zdumienia, podobnie uczyniła Shirral, ale Govin jedynie się uśmiechnął. - W każdym bądź razie - ciągnął Elmo - Govin ma rację. Jedynie dotknęliśmy powierzchni problemu. Wiedziałem już o tym od jakiegoś czasu, ale nie mogłem ryzykować ujawnienia swej tożsamości, dopóki nie byłem pewny, że możemy coś z tym zrobić.

Przez kilka chwil Elmo wpatrywał się w płomienie. Jego czoło zmarszczyło się, a twarz stała się ponura. Wydawał się gromadzić odwagę.

- Świątynia Złych Żywiółów, zwana przez innych Świątynią Żywiółów, powróciła do życia - kontynuował Elmo. - Mam źródła w Nulb, następnej osadzie na wschodzie i w osiedlach najbliższych temu miejscu, które to potwierdzają. Zamierzam ją powstrzymać.

Elmo popatrzył na każdego z kompanów.

Shanhaevel siedział w milczeniu, rozmyślając. *To po to tu jestem?* Pomyślał. Czym innym było szukanie kryjówki bandytów, ale teraz...

Wciąż jednak, uświadomił sobie elf, było w tym jakieś ciepło, które czuł, gdy tak rozmyślał. Ci ludzie są moimi przyjaciółmi, napomniał się. Ufam im, a oni mnie. I Shirral. Shanhaevel spojrzał na druidkę, która znów przygryzała wargę ze smutnym wyrazem twarzy. To jej dom, pomyślał. Ona także potrzebuje mojej pomocy.

- Jestem z tobą - odezwał się Shanhaevel. Zdecydował się już, że zostanie i weźmie w tym udział, niezależnie od tego, co zrobi Shirral. - A ty? - spytał się jej.

Druidka spokojnie spojrzała na czarodzieja, a gdy tak mu się przyglądała, w jej oczach odbijały się tańczące płomienie ogniska. W końcu skrzywiła się i pokręciła głową.

- W porządku - powiedziała jednak. Shanhaevel uśmiechnął się mimowolnie.

- No cóż, ja nie jestem - burknął Ahleage, rzucając kamień w kierunku drzew. - Tu kończy się moja droga. Jutro jadę poszukać zieleńszych pastwisk. Draga, jedziesz ze mną?

Łuczniczka zmarszczyła brwi i spojrzał znad rzeczy, którą rzeźbił, i jak Shanhaevel mógł teraz dostrzec, był to flet lub podobny instrument.

- Jeśli opuścimy ich i przegramy, kto inny się za to weźmie?

- A kogo to obchodzi? To *nie nasz* problem!

- Prędzej czy później takim się stanie - odpowiedziała Shirral. - Jeśli świątynia urośnie i stanie się zbyt silna, by ją powstrzymać, nie będzie już zieleńszych pastwisk.

- Nie wiem, w jakiego boga wierzycie - powiedział Govin. - Nie mogę prosić was, żebyście się zgodzili z powodu wiary. Ale mogę przewidzieć, że czyn ten będzie dla was wielkim dobrodziejstwem.

Ahleage nachmurzył się, spoglądając na pozostałych, następnie westchnął i ciężko usiadł.

- A niech to wszyscy diabli. Zostanę i pomogę - popatrzył na Dragę. - Od kiedy to zrobiłeś się taki szlachetny?

Draga tylko uśmiechnął się zmieszany i milczał, powróciwszy do rzeźbienia.

- Doskonale - powiedział Elmo. O brzasku wyruszymy do świątyni.

- Więc postanowione - przemówił Shanhaevel. - Ustanówmy przymierze.

- Nie - uśmiechając się powiedział Govin. - Jesteśmy Przymierzem. Nazwa ta objawiła mi się we śnie: Przymierze.

\* \* \*

Ogień obozowiska palił się słabo. Nocne powietrze było chłodne i wypełnione odgłosami snu. Jedynie trzymający wartę Shanhaevel, Ahleage i Draga nie spali. Łucznik siedział trochę na uboczu, wciąż pracując nad fletem i od czasu do czasu coś na nim cicho grał, wypróbując instrument, zanim zaczynał rzeźbić go dalej.

- Hm - mruknął Shanhaevel, spoglądając w gwiazdy nad opróżnianego kubka. - Więc jaka jest twoja opowieść, Ahleage? - spytał cicho - dlaczego związałeś się z Meliasem?

Ahleage w zamyśleniu oblizał wargi.

- Cóż - powiedział bawiąc się nieodłącznym sztyletem - powiedzmy po prostu, że gdy zmęczyłem się ulicznym życiem Verboboncu, Melias i ja natknęliśmy się na siebie pewnej nocy i zaproponował mi pracę. Była to przyjemna zmiana, więc zgodziłem się.

Shanhaevel zachichotał pod nosem.

- Chciałeś coś ukraść, on cię złapał i dał szansę uniknięcia lochów wicehrabiego w zamian za przyłączenie się do niego.

- Cóż - uśmiechnął się Ahleage - niezupełnie, ale dość blisko. Moja obecność tam z pewnością nie była mile widziana. Shanhaevel przytaknął ze zrozumieniem.

- Co z Dragą? - zapytał, wskazując na mężczyznę siedzącego naprzeciwko niego. - Skąd on jest?

- Nie wiem - odpowiedział Ahleage, wzruszywszy ramionami. - Nie mówi wiele, ale lubi się pośmiać i diabelnie dobrze strzela z tego łuku - dokończył wystarczająco głośno, żeby Draga to usłyszał.

Łucznik wznosił oczy do nieba i uśmiechnął się, a następnie zagrał krótką melodyjkę. Brzmiała jeszcze fałszywie, ale Shanhaevel słyszał, że dźwięk poprawia się w miarę posuwania się pracy.

- Tak, rzeczywiście - odparł elf, śmiejąc się.

- A co z tobą? - spytał Ahleage, patrząc prosto na elfa. - Skąd jesteś? I co do diaska miał na myśli Elmo, kiedy nazwał cię „szczeniciem lasu cieni”.

Shanhaevel rozsiadł się wygodniej.

- Kiedy Burne poprosił Lanithaine'a o pomoc, wydawało się oczywiste, że ja też przybędę. Gdy Lanithaine umierał - z trudem opanował wzburzenie ogarniające go wraz ze wspomnieniem tamtego wydarzenia, które dokonało się zaledwie parę krótkich nocy temu - wymógł na mnie przyrzeczenie, że pojedę bez niego.

- Więc Burne chciał, żeby ktoś pokręcił się w okolicach ruin starego fortu i ty po prostu się zgodziłeś? - Ahleage spoglądał sceptycznie.

- Cóż, kiedy się zgadzałem, nie wiedziałem dokładnie, jak ma wyglądać zadanie, ale zasadniczo: tak. To coś, co musiałem zrobić dla Lanithaine'a. A to właśnie oznacza moje imię.

- Co?

- Moje pełne imię to Shantirel Galaerivel - elf spojrział na niego. - „Szczenie zrodzone w Lesie Cieni” to najwierniejsze tłumaczenie, ale ja wolę „dziecię” niż „szczenie”. „Shanhaevel” to skrócona forma, która oznacza „Dziecię Cienia”.

- Dziecię Cienia? - powtórzył Ahleage spoglądając na Shanhaevela. - Dlaczego rodzice cię tak nazwali?

Shanhaevel uśmiechnął się, patrząc, jak Ahleage sięga po bukłak, by ponownie napełnić kubek winem.



- Właściwie zostałem osierocony. Płaczącego znalazł mnie drwal na polowaniu. Niespecjalnie lubił dzieci, i działa się to głęboko w ponurej części Uwiędłego Lasu, więc nadał mi to nieprzyjemne imię w języku elfów.

- Więc nie znasz swoich rodziców? Nie odnaleziono ich?

- Mieszkali z dala od osiedli - pokręcił głową elf. - Zostali zabici przez ettercapy, ludzi pająki, którzy zamieszkują najmroczniejszą część lasów. Nikt nie jest właściwie pewien, jak udało mi się przetrwać. W każdym bądź razie - ciągnął - moja ciotka Soli - nie jest naprawdę moją ciotką, ale tak o niej myślę - jest starszą radą w miejscu, gdzie się wychowywałem. Ciotka Solianturel skróciła moje imię do Shanhaevel. Dziecię Cienia.

- Więc dlatego nazywasz się Shanhaevelem - powiedział Ahleage. - Potomek Cienia podobają mi się bardziej. Naprawdę, to właśnie oznacza twoje imię.

Zrezygnowany Shanhaevel pokręcił głową.

- Niech będzie to cokolwiek, co ci się podoba. Shanhaevel obrócił się, by spojrzeć w nocne niebo. Rzucił spojrzenie w kierunku Shirral, śpiącej po drugiej stronie dogasającego ogniska, owiniętej w grubą pelerynę.

- Wiesz, ona lubi cię bardziej, niż to okazuje - powiedział Ahleage. - Zbyt łatwo się podajesz.

- Co? O czym ty mówisz? - Shanhaevel prawie udławił się winem.

- Nie jestem głupi i pozostali też nie. Wszyscy wiedzą, co do niej czujesz. Uwierz mi, mogę to dojrzeć w twoich oczach, gdy się na nią patrzysz i w jej oczach też. Jest po prostu uparta, to wszystko.

Shanhaevel przechylił głowę na bok, przyglądając się Ahleage i zastanawiając nad jego słowami.

- Jasno dała mi do zrozumienia, że powinienem odjechać.

- To jest to, *co powiedziała* - Ahleage parsknął szyderczo. - Ale nie to, *co myślała*.

Shanhaevel pokręcił głową, ale zdał sobie sprawę, że nagle z powrotem myśli o otwierających się przed nim możliwościach.

Kroki Hedracka rozbrzmiewały cicho i odbijały się echem po komnatach, gdy najwyższy kapłan Iuzy śpieszył do prywatnej kaplicy za drgającą fioletową kotarą. Minawszy podium i pomieszczenie z trzema ołtarzami, Hedrack opadł na kolana i, wzięwszy głęboki oddech, zaczął się modlić, lekko zmarszczywszy brwi w poszukiwaniu właściwych słów. Nie minęło wiele czasu, gdy kapłan poczuł obecność bóstwa w swojej głowie.

- Mój Panie Iuzie - powiedział Hedrack niskim głosem. - Jestem Twoimi Ustami. Ogłaszam twe życzenia światu, który szeźnie pod twymi stopami.

*Wyczuwam twój niepokój, sługo.* Grobowy głos w głowie kapłana spłynął w dół jego kręgosłupa.

Hedrack dobrze widział, że nie wolno mu niczego przed swym panem ukrywać.

- Tak, mój Panie. Przynoszę niedobre wieści. Straciliśmy fort. Lareth zdołał uciec i jest ze mną, ale na miejscu pozostały pewne rzeczy, które - jeśli wpadną w niepowołane ręce - mogą ściągnąć na nas kłopoty.

Odpowiedź nie nadeszła, niemniej jednak Hedrack czuł fale nienawistnego niezadowolenia spływające na niego, gdy Iuz wrzał gniewem. Mimowolnie kapłan zadrzał, mała cząstka w nim obawiała się, że złość boga dotknie jego samego.

*Jak? W końcu zapytał Iuz głosem bardziej zgrzytliwym niż kiedykolwiek. Jak to się stało?*

- Lareth doniósł, że napadła na niego zgraja intruzów dysponująca znaczną magią. Wciąż staram się poznać szczegóły - myśli Hedracka podążyły ku przystojnemu kapłanowi, zakute-mu teraz w łańcuchy w jednej z jego komnat wypoczynkowych i oczekującemu na dalsze pytania po jego powrocie. - Wkrótce będę wiedział więcej. *To jego sprawka, powiedział bóg. Ostrzegalem cię, że wysłał swych sługusów, którzy mają nam przeszkodzić. Nie możesz go zlekceważyć. To, że pokonali jednego z naszych najlepszych dowódców...*

- Rozumiem, mój panie - odpowiedział Hedrack. Wiedział, że drużyna poszukiwaczy przygód, którzy zdołali pokonać siły Laretha, podąży za tropem do Nulb, szukając dalszych wieści o świątyni. Instrukcje Hedracka wydane wojsku były jasne: zniszczyć ich, kiedy przyjadą i przynieść mu ich ciała.

*Jakieś inne wiadomości?* Zapytał Iuz, przerywając rozmyślenia Hedracka.

- Ach, dobre wieści, mój Panie. Zaczęliśmy sprowadzać stworzenia z innych planów. Sam widziałem trzy, a Falrinth i inni podwładni ściągnęli jeszcze klika. Nasza armia rośnie, mój Panie.

*Doskonale, promieniał Iuz. Co z mą ukochaną. Znalazłeś ją już?*

- Wysiłki szybko posuwają nas do przodu. Pozostaje ona jednak marginalnie tylko świadoma i porozumiewanie się z nią jest żmudne. Wydaje się nie wiedzieć, gdzie jest, a próby wróżenia przez Falrintha nie na wiele się zdają. Udało się nam za to znaleźć klucz, o którym wspomniała - złotą czaszkę, chociaż nie wydaje się kompletny. Są tam cztery gniazda, które prawdopodobnie zostały przygotowane, by coś pomieścić... być może klejnoty. Kiedy Falrinth dowie się, jak to działa, użyjemy tego, aby ją uwolnić.

*Oczywiście!* Wykrzyknął Iuz, a promieniująca od niego fala zadowolenia zalała Hedracka. *Zawsze była roztropna. Gniazda rzeczywiście są przeznaczone na klejnoty, a każdy ma*

*oznaczać inny żywioł. To artefakt, który skonstruowaliśmy razem, by pomógł nam w rządzeniu świątynią. Musiała w jakiś sposób dostroić go do siebie. Znajdźcie kamienie, umieśćcie je w odpowiednich gniazdach, a znajdziecie ją.*

- Doskonale, mój Panie. Natychmiast powiadomię Falrintha.

*Musisz ją odnaleźć!* Powiedział Iuz, a fale jego nacisku załyły Hedracka niczym ciemna, mroczna woda. *To twoje główne zadanie w służbie dla mnie. Odnajdź jej więzienie i wyzwól ją.*

- Słyszę i jestem posłuszny - Hedrack skłonił się niżej, dotykając głową posadzki.

W tym samym momencie Iuz odszedł, zostawiając kapłana samego w kaplicy, skupionego na swych własnych myślach

Jak długo mogę odwlekać jej uwolnienie? Zastanawiał się kapłan.

Hedrack potrząsnął głową, oddalając tę myśl. Wiedział, że wykona rozkazy swego boga w odpowiednim czasie. W rzeczy samej, odpowiedni czas był tu niezwykle ważny. Zbyt szybko - i straci kontrolę nad zwalczającymi się frakcjami na wyższych poziomach. Zbyt późno - i będzie ryzykował gniew swego pana.

Tymczasem miał inne pilne sprawy, włącznie z rozprawieniem się z tą bandą niby-bohaterów, którzy wsadzili nos tam, gdzie nie trzeba. Myślenie o tych kretynach i bycie zmuszonym do opowiedzenia niepomyślnych nowin swemu władcy wprowadziło kapłana w zły nastrój. Kiedy wrócił do siebie, Deus i Ahma stanęli na baczność i zasalutowali. Oddalił ettina i otworzył drzwi do komnaty.

Wchodząc do pokoju, Hedrack przyjrzał mu się dokładnie, Mika zajęta była doprowadzaniem go do porządku, a Astelle leżała wyciągnięta na łóżku, trzymając podbródek w dłoniach i w nadąsaniu wydymając wargi. Zachowywała się tak, odkąd Hedrack sprowadził nową dziewczynę.

Siedząca w kącie młoda kobieta patrzyła na Hedracka pełnymi trwogi oczami. Jej ręce i nogi były związane. Miała podartą i brudną sukienkę, niewątpliwy wynik szarpaniny, która wynikła w chwili pojmania jej przez ludzi Laretha podczas ostatniego, brzemiennego w skutki napadu na Hommet. Jej ciemne włosy były splątane wokół spoconej twarzy. Hedrack uśmiechnął się do niej, co sprawiło, że przerażona dziewczyna cofnęła się jeszcze głębiej do kąta.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kapłan odwrócił się i otworzył je, aby wpuścić Barkinara, dowódcę oddziałów świątyni i zastępcę Hedracka.

- Mamy partię nowych ofiar - rozpoczął Barkinar, zerkając na Mikę, gdy ta spieszyła przynieść zimny napój gościowi. - Sądziłem, że będziesz chciał doglądać ich dostarczenia do portali.

Hedrack westchnął, myśląc, jak wiele było do zrobienia i jak bardzo chciałby mieć czas na rozmyślenia. Na rozmyślenia i na spędzenie czasu ze swoją nową zabawką. Obrócił się, żeby spojrzeć na młodą, związaną kobietę w rogu pokoju, następnie na Astelle, która wciąż leżała na łóżku, nie starając się pomóc Mice w uprzyjemnieniu wizyty Barkinarowi. Być może, przyszło mu nagle do głowy, mógłbym urządzić małe przedstawienie.

- Tak - powiedział do Barkinara. - Bardzo chętnie to zrobią. Zaraz tam będę.

Barkinar skinął głową i wyszedł.

Hedrack zamknął za nim drzwi i obrócił się, by spojrzeć na dziewczynę w rogu. Przeszedł przez pomieszczenie i ukucnął przed nią, rozkoszując się jej drzeniem. Uśmiechając się, wyciągnął nóż z buta i przeciął więzy na nadgarstkach i kostkach dziewczyny. Gdy się zasłoniła, pomachał przed nią dłońmi i wymówił kilka słów modlitwy.

- A teraz młoda osóbkko, jak masz na imię? - zapytał, gdy mina dziewczyny zmieniła się z przerażonej na pełną entuzjazmu.

- Paida - odpowiedziała, ciesząc się, że łaskawie się do niej odezwał.

- Wobec tego, Paido, bądź grzeczną dziewczynką i idź do Miki. Pomoże ci nauczyć się, czego się od ciebie oczekuje.

Paida uśmiechnęła się i skoczywszy na nogi, podbiegła do drugiej dziewczyny.

Hedrack obrócił się do wciąż nadąsanej Astelle.

- Ty - powiedział, łapiąc ją za nadgarstki i podnosząc na nogi - ty i ja pójdziemy na spacer.

Twarz Astelle rozpromieniła się, kiedy zaczęła iść za swym panem. Hedrack uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak wspaniałą ofiarą będzie ona dla jednej z jego cennych żywiołaków.

W nocy Shanhaevel miał sen. Objawił mu się Burne i elf doskonale widział jego niematerialną twarz.

- Shanhaevelu, musisz pamiętać to, co ci teraz powiem, kiedy już się obudzisz. Przypuszczam, że coś strasznego przydarzyło się Meliasowi, ponieważ nie mogę osiągnąć jego umysłu. Jeżeli Elmo wciąż żyje, wyjaśni wam więcej, nadszedł czas, żebyś ty i reszta poznali całą prawdę. Siły świątyni odradzają się i musicie powstrzymać je przed uwolnieniem potwornego zła. Zła, którego nie zdołaliśmy zniszczyć dziesięć lat temu. Przepraszam, że zatailiśmy to przed wami. Melias i ja sądziliśmy, że najlepiej będzie ujawnić wszystko dopiero we właściwym czasie, ale teraz, nie możemy już dłużej zwlekać. Musicie znaleźć złoty klucz i powrócić z nim do mnie. Do tego czasu wynajdę sposób jego zniszczenia. Klucz ma kształt czaszki pozbawionej dolnej szczęki. Zawiera cztery klejnoty, jeden na każdy żywioł, ułożone w kształcie krzyża. Musicie spenetrować świątynię, odnaleźć klucz i zwrócić go mnie. Cokolwiek się stanie, zdobądźcie klucz! Od waszego powodzenia zależy wiele żywotów.

Twarz Burne'a zniknęła, a sny Shanhaevela stały się pełne czyhających nań demonicznych twarzy i złotych czaszek. Kiedy się obudził, horyzont rozjaśniała właśnie delikatna różowość świtu. Drżąc z zimna, usiadł, doskonale pamiętając senne przesłanie Burne'a. Kiedy reszta Przymierza wstała, elf podzielił się z nimi wiadomością.

Wysłuchawszy nowiny, Elmo przytaknął.

- Owa czaszka jest mi znana, przynajmniej częściowo. Została stworzona podczas powstania świątyni, jako artefakt mocy. To musi być złota kula, o której wspomina wiersz. Tak więc musimy ją odszukać. Musimy znaleźć klucz, nim będzie za późno.

- Co znaczy „za późno”? - zapytał Ahleage, ze zmartwieniem wypisanym na twarzy.

- „Za późno” będzie wtedy, gdy przywódcy świątyni znajdą ten klucz przed nami i użyją go do uwolnienia demona

- Co? - zachłysnął się Ahleage. - Wczoraj nikt nie powiedział mi o demonach! To dla mnie zbyt wiele.

- Została tam uwięziona wraz z pokonaniem świątyni - wyjaśnił Elmo. - Burne, Lanithaine, i inni, wraz z księciem wyruszyli, żeby pokonać ją w Bitwie o Łąki Emridy. Straty były duże i kiedy nadszedł czas na jej zniszczenie, byli zbyt osłabieni. Zamiast tego uwięzili ją głęboko w jej własnej kryjówce, pętając i uniemożliwiając uwolnienie. Niestety, musiała to w jakiś sposób przewidzieć i przygotowała ten artefakt, klucz, żeby stał się środkiem do jej wyzwolenia. Wiedziała, że jest to jedynie kwestią czasu, zanim ktoś go wreszcie znajdzie i otwórzę zamki do jej więzienia.

- Na Boccoba - westchnął Shanhaevel. - Melias wiedział o tym przez cały czas. On i Burne. I Lanithaine. Dlaczego nam tego po prostu nie powiedzieli?

- Nie chcieli was przerazić, co niewątpliwie nastąpiłoby, gdybyście od razu poznali całą prawdę. Nie uznawałem tych racji, ale nie była to moja wyprawa, więc na nie przystałem.

Mimo niecierpliwości Elmo, który pilił, by szybko ruszać dalej, drużyna musiała pochować Meliasa. Zdawali sobie sprawę, że nie mają czasu na powrót do Hommlet, aby urządzić żołnierzowi odpowiedni pogrzeb, więc wybrali spokojne miejsce w pobliżu obozowiska. Gavin wypowiedział parę zdań mających uhonorować człowieka, którego nigdy nie spotkał.

Grobu z dwóch stron strzegły dwa potężne klony, które właśnie zaczęły wypuszczać liście, a ich pączki płonęły szkarłatem w porannym słońcu. To dobry wyróżnik, zdecydował Shanhaevel, gdy dosiedli wierzchowców i wyruszyli do Nulb. Nulb było brudnym, zapuszczonym, niebezpiecznym miejscem i ponieważ nie chcieli zwracać na siebie uwagi, opuścili drogę i objechali miasto dookoła, aby całkowicie je ominąć. Zamiast tego skierowali się prosto do świątyni, mając nadzieję na znalezienie spokojnego i ukrytego schronienia w pobliżu zniszczonej budowli, gdzie można by spędzić noc. Kiedy większa część dnia minęła, niebo zaszło chmurami, a Shanhaevel poczuł unoszącą się w powietrzu groźbę deszczu.

Elf spojrział na Shirral. Przez cały dzień, mimo wysiłków czarodzieja, żeby skłonić ją do rozmowy, była zamyślona i cicha. Nie znalazł jeszcze dobrego sposobu na otworzenie się przed nią, na sprawdzenie, czy wczorajsza opinia Ahleage była prawdziwa. Pokręcił głową i ponownie skierował uwagę na wąski szlak, którym prowadził ich Elmo.

Droga do świątyni była zaledwie koleinami w trawie. Gęsty las naciskał na nią z obu stron, ale jasne było, że ostatnio jest znów wykorzystywana, co całą grupę postawiło na baczność. Shanhaevel cały czas nie mógł pozbyć się wrażenia, że są obserwowani. Naciągnął kaptur, ponieważ zaczęło mżyć i skulił się, jak gdyby chroniąc się przed natrętnymi oczami.

Po około godzinie jazdy, przy niknącym, przesączonym przez chmury świetle późnego popołudnia, dojechali do skraju lasu i zobaczyli ją. Zsiadłszy i zostawiwszy konie w małym skupisku drzew przy drodze, grupa niepostrzeżenie podchodziła do zrujnowanej świątyni, bacząc na strażę. Wydawało się, że nie ma tam nikogo.

Rośliny otaczające to miejsce były wątłe i powykrzywiane, z mnóstwem pokrzyw, dzikich róż i ostów. Wiele drzew umarło i wyschło, a krzaki porastające ich podstawy skarłowaciały i miały nienaturalne, pożółkłe od choroby, barwy. Tu i tam z wysokich chwastów wystawały zbielełe szczątki niezliczonych szkieleatów, na wpół zagrzebane w ziemi czaszki i inne kości rozrzucone pośród zbrązowiałej trawy.

Główną budowlę otaczała sterta szarego gruzu oraz nieliczne ocalałe fragmenty muru. W północno-wschodnim narożniku zewnętrznych murów stał kikut wieży. Nie było widać oznak życia, poza gromadką kruków przesiadujących na szczycie budowli.

Główny budynek, właściwie doskonale zachowany, był imponującym bastionem pełnym łukowatych przypór i szkaradnych uśmiechniętych twarzy wyrzeźbionych w kamieniu. Całą budowlę pokrywały ohydne pnącza i winorośle, jak gdyby atakujące ją w próbie dotarcia do znajdującego się wewnątrz obfitego źródła zła.

Światło, teraz rozproszone przez chmury na niebie, wydawało się docierać tutaj jakby słabsze i mniej skuteczne. Shanhaevel bał się. Więcej niż raz dostrzegł kącikiem oka gwałtowny ruch, ale kiedy patrzył w tamtym kierunku widział jedynie cień lub czarne krzaki poruszone lekkim wiatrem.

- Na Cuthberta, to miejsce tryska złem - powiedział Govin. - Moje usta pełne są jego cierpkiego smaku.

- Taaa... - zgodził się Ahleage - a do tego wciąż widzę rzeczy, których nie ma.

- Chodźmy - powiedział Govin, połuzowując miecz w pochwie. - Rozejrzyjmy się tu.

- Poczekajcie - odezwał się Shanhaevel. - Dlaczego nie ma tu żadnych straży?

- Zadałem już sobie to pytanie z tuzin razy - dodał Ahleage.

- Podejrzewam - odpowiedział Govin - że obecne tu zło wystarcza, aby zniechęcić większość potencjalnych poszukiwaczy przygód, a poza tym jest pewien sens w tym, żeby nadać temu miejscu raczej opuszczony wygląd, niż zapełniać je strażnikami.

- Cóż, nawet jeśli nie widzimy straży, to nie znaczy, że się tu gdzieś nie ukrywa - ostrzegł Shanhaevel. - Najpierw zrobmy mały rekonesans. Zawołam Ormiela i zobaczymy, co on może dostrzec.

- Dobry pomysł - przytaknęła Shirral, rozglądając się szeroko otwartymi oczami. - Upewnijmy się dokładnie, zanim wejdziemy do środka.

Sięgnawszy myślami, Shanhaevel odezwał się do jastrzębia, przywołując go. Ormiel nadleciał z tyłu i zaczął okrążyć zrujnowaną świątynię, ale nagle skręcił i usiadł na pobliskim drzewie.

- *Ormielu, zobacz dla mnie* - powiedział mu Shanhaevel. - *Leć i patrz.*

- *Nie* - odpowiedział jastrząb. - *Złe miejsce.*

- Nie zbliży się do tego miejsca - wyjaśnił czarodziej pozostałym. Shanhaevel westchnął i pokręcił głową. - On też wyczuwa zło.

- Wobec tego musimy zaufać własnemu rozsądkowi i zmysłom - powiedział Govin, kierując się do świątyni - i naszej wierze, że dobro doprowadzi nas do celu.

- Obawiałem się, że to powie - wymamrotał Ahleage.

Kierując się sugestią Elma, podeszli do zrujnowanej budowli z boku. Wszyscy uznali, że unikanie głównej drogi będzie rozsądniejsze. Wkrótce odkryli jednak, że chociaż mury zostały obalone i zniszczone, przejście tamtędy jest niemal niemożliwe. Znajdujące się wszędzie ciernie, pokrzyw i pnącza były zbyt gęste i wysokie, by się przez nie przedostać.

- Możemy spędzić tutaj całą noc, próbując przez to przejść - zrzędził Elmo, wycierając krew z kolejnego zadrażnienia na grzbiecie dłoni. Jego skóra już pokryta była spuchniętymi, czerwonymi rankami. - Chociaż nienawidzę pukać do głównych drzwi, sądzę, że będziemy musieli wrócić na szlak. Nie ma innej drogi do środka.

Niechętnie skierowali się na południe, zmierzając wzdłuż prowadzącej do środka drogi. Przed nimi widniał wielki łuk głównych wrót, rzucający mroczny cień na same odrzwia. Pomysł wkroczenia w obręb zniszczonych murów przyprawił Shanhaevela o dreszcze. Całe miejsce kipiało nienawiścią i wrogością.

Co do diabła tu robimy? Zastanawiał się. To miejsce musi żywić się naszym strachem.

Padająca mżawka zaczęła zmieniać się w rozmiękły grad, który gęstniał z minuty na minutę. Dudnił o każdą powierzchnię, z trzaskiem uderzając o kamienie ruin i bębniąc o ich skulone postacie, gdy szczerzej spowijali się pelerynami i chowali głowy pod kapturami.

W niknącym świetle wczesnego wieczora towarzysze zbliżyli się do głównych wrót, przyglądając się bliźniaczym drzwiom z brązu, wznoszącym się na wysokość ponad siedmiu metrów i niemal tak samo szerokich. Wrota były dokładnie zamknięte przez spoczywające na nich ogromne żelazne łańcuchy, a Shanhaevel spostrzegł, że każde pęknięcie i szczelina zostały zalane roztopionym metalem. Jednak ważniejszy był zestaw magicznych run wyrytych na bramie, z których każda świeciła srebrną poświatą. Shanhaevel nie potrafił odczytać całości zapisu, ale jego znaczenie było wystarczająco jasne. Żaden z towarzyszy nie mógł zebrać w sobie tyle siły woli, by podejść do drzwi bliżej niż na trzy metry. Przejście było nie do sforsowania.

- To pieczęcie ochronne - powiedział Shanhaevel, odwracając się, by uciec przed uczuciem sprzeciwu, które ogarniało go, gdy próbował się zbliżyć do wrót. - Zostały tu umieszczone przez Burne'a, Lanithaine'a i innych, kiedy dekadę temu upadła świątynia. To w ten sposób zamknęli w środku demona.

- Więc nie ma sposobu, żeby je otworzyć? - zapytał Govin.

- Żadnego, który znam - odparł Shanhaevel, wciąż drżąc z powodu bliskości świątyni.

- Wobec tego chodźmy - zasugerował Govin, zmierzając wzdłuż ściany budynku. - Musi istnieć jakieś inne wejście, jakieś ukryte przejście, które oni wykorzystują.

Reszta kompanii podążyła za rycerzem, który ostrożnie przedzierał się przez wysokie chwasty i uschnięte drzewa, idąc za czymś, co wyglądało na ślady zwierząt buszujących w paprociach. Gdy zbliżyli się do tylnej ściany świątyni, Shanhaevel ponownie spostrzegł wiele kruków siedzących na szczycie wieży na tle stalowego nieba. Spoglądały na nich z resztek górnych pięt.

Kruki nigdy nie są dobrym znakiem, powiedział sobie, a następnie przewrócił oczami. To głupie, zganił się. To tylko ptaki.

Kiedy podeszli do podstawy wieży, kruki podniosły larum i cały tuzin, lub nawet więcej, poderwał się ze swych grzęd. Ptaki zaczęły pikować w kierunku grupy, a obserwującemu je Shanhaevelowi zdawało się, że robią się coraz większe.

- Uważajcie! - krzyknął Shanhaevel, sięgając po drag, by uderzyć pierwsze przelatujące obok niego ogromne stworzenie. Pęd powietrza, jaki powstał od uderzeń wielkich, mających prawie trzy metrową rozpiętość skrzydeł ptaka, prawie przewrócił elfa na ziemię.

W tej chwili reszta Przymierza, świadoma ataku, czekała z wyciągniętą bronią i obserwowała uważnie gromadzące się i szybujące nad nimi gigantyczne kruki. Elmo zaryczał z bólu, kiedy jedna z bestii dosięgła go swą łapą, chwytając ostrymi jak brzytwa szponami za tył ramienia. Draga, Elmo i Ahleage podnieśli łuki i szyli w ptaki. Govin, Shirral i Shanhaevel robili wszystko, co w ich mocy, by odgonić te stworzenia, które atakowały łuczników.

Jakby tego było mało, nagle, grupa znalazła się pod gradem strzał. Jeden z pocisków rozdarł opończę Shanhaevela, minimalnie mijając jego nogę. Inny trafił Ahleage w ramię. Mężczyzna krzyknął i prawie upuścił łuk.

- Wieża! - wykrzyknął Govin, odwracając w bok swą tarczę, by osłaniała przed kolejnymi kierowanymi w niego pociskami. - Mierz z otworów strzelniczych! Kryć się!

Grupie udało się wycofać spod wieży, w tym samym czasie odpierając ataki kruków i kierując się w stronę zagajnika usków, niskich, krzaczastych drzew cenionych za swe słodkie owoce. Jednakże bładniebieskie jagody rosnących tutaj poskręcanych i karłowatych drzewek były pokryte groźnymi czerwonymi plamami.

Jednak nawet w tym osłoniętym miejscu bitwa toczyła się nadal. Na początku kruki były wszędzie i Shanhaevel został kilka razy dość groźnie raniony w ręce i nogi przez latające bestie. Obaj łucznicy musieli się ciężko napracować, by strącić większość ptaków, jednego po drugim, z wieczornego nieba. W końcu, kiedy w powietrzu zostały jedynie jeden lub dwa gigantyczne stwory, i te odwróciły się i uciekły, pozostawiając Przymierze - mokre, krwawiące i dyszące - skryte wśród chorowitych drzew. Elmo wyszedł ze schronienia, by rozprawić się z tą resztą potwornych ptaków, które zostały jedynie ranne i kręciły się po ziemi, bijąc nierówno skrzydłami i na próżno próbując odlecieć. Zebrał też pozostałe w całości strzały. W tym czasie Shirral zajmowała się rannymi towarzyszami.

- Cóż, jeśli przedtem nie domyślali się, że nadchodzimy - cicho parsknął zniesmaczony Ahleage, wskazując ponad ramieniem na wieżę - teraz wiedzą o tym doskonale. Nie ma szans, aby się tam dostać, nie stając się poduszczką na igły. Być może uda mi się tam wślizgnąć, ale co wtedy? Nie zamierzam tam pójść samemu.

Shanhaevel zastanowił się przez chwilę. Przyszła mu do głowy pewna myśl, ale nie był pewien, czy mu się podoba. Jaki mam wybór? Zapytał sam siebie.

- Mam pomysł - rzekł, wzdychając - ale nie jest zbyt szlachetny. Mogę ich zabić, tamtych na górze, miejmy nadzieję, że wszystkich za jednym razem. Jednak, zanim zgodzę się to zrobić, chciałbym ich ostrzec.

- Pójdę, rozkażę im, aby się poddali - powiedział Govin. - Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Rycerz powstał i skierował się w stronę wieży. Zaslaniając się tarczą, podszedł do głównego wejścia. Reszta grupy przyglądała mu się z ukrycia.

- Posłuchajcie mnie! - ryknął pełnym głosem Govin. - W imię Cuthberta i dobra, poddajcie się! To wasza jedyna szansa! W przeciwnym razie zostaniecie unicestwieni!

W odpowiedzi z otworów strzelniczych poleciało kilka strzał, zmuszając rycerza do schowania się za tarczą. Pospiesznie cofając się, Govin powrócił do swoich.

- W porządku, dałem im szansę. Nie ważne, czy sądzą, że blefujemy, czy nie, ale chcą walczyć. Co masz na myśli, czarodzieju?



- Czekaście i patrzcie - powiedział Shanhaevel, przygotowując się do rzucenia czaru. Wziąwszy głęboki oddech, rozpoczął zaklęcie niewidzialności. Kiedy skończył czar i zniknął druzynie z oczu, Ahleage zachichotał.

- Miałem nadzieję, że to zrobisz - powiedział.

- Szszsz - cicho odrzekł Shanhaevel. - Jestem prawie gotowy. Govin, daj mi jakieś dwie minuty, potem wyjdź i ponów żądanie.

- Tak, uwielbiam robić z siebie łatwy cel - burknął rycerz. - Dobra, dwie minuty.

Shanhaevel powstał.

- Reszta z was, siedzieć na miejscu. To nie powinno potrwać długo.

Skierował się do wieży, starając się nie poruszać trawy i chwastów pod stopami. Skradał się, zachowując równowagę przy pomocy drąga i sprawdzając, czy nie zostawia w błocie ła-two dostrzegalnych śladów. Dobrze idzie, powiedział sobie, dotarłszy do podstawy wieży, w pobliżu jednego z otworów strzelniczych. Teraz musiał jedynie poczekać na pojawienie się Govina.

Chwilę później rycerz wyszedł.

- To wasza ostatnia szansa. Poddajcie się lub zaatakujemy! - ponownie krzyknął Govin, kiedy dotarł do miejsca, w którym był uprzednio.

Do Shanhaevela dobiegł przez otwór odgłos śmiechu, a chwilę później szmery przygotowań do ataku. W rycerza poleciały kolejne strzały, jedna z nich trafiła go w ramię, jęknął więc tylko i zaczął się wycofywać.

Shanhaevel, ponury i spięty przed czekającym go zadaniem, zerknął przez jeden ze strzelniczych otworów do środka wieży i zobaczył nędznie wyglądającego bandytę z łukiem w ręce spoglądającego prosto na niego. Zwalczył chęć natychmiastowego schowania się przed mężczyzną, powtarzając sobie, że tamten nie może go widzieć. Żołnierz wycofał się i za chwilę dołączył do swoich kamratów. Wziąwszy głęboki oddech, żeby się uspokoić, Shanhaevel wyszeptał zaklęcie, podnosząc w miarę recytacji drąg do góry. Kiedy zbliżał się do końca czaru, wrzucił go do środka i pokazał palcem na wieżę.

Z drugiej strony otworu zabrzmiał pojedynczy okrzyk zdumienia, ale Shanhaevel, wiedząc, że rzucanie czaru rozwiało jego niewidzialność, zdążył już się uchylić, schylając się nisko i przypadając do podstawy wieży. Mgnienie oka później, wraz z rozpoczęciem działania zaklęcia, rozległ się stłumiony, ale wstrząsający grzmot. Z każdego otworu strzelniczego niczym płomienne oddechy bestii, wystrzeliły języki ognia. Potakując z ponurą satysfakcją czarodziej gestem dał znak swym towarzyszom, że mogą już do niego dołączyć.

Reszta grupy wyszła z ukrycia i biegiem zbliżyła się do wieży. Tym razem nie było deszczu strzał. Kiedy dotarli do elfa, Ahleage spojrzał na Shanhaevela.

- Co do diabła zrobiłeś? - spytał go.

- Posłałem im odrobinę magii - odrzekł mu Shanhaevel.

- Wygląda, jakby całe wnętrze wieży eksplodowało - stwierdził Elmo. - Słyszałem o takich czarach. Czy ty to zrobiłeś?

- Tak - przytaknął Shanhaevel, ale nie czuł się z tego powodu szczególnie dumny. - Nie sądzę, żeby ktokolwiek przeżył - myśl ta nie sprawiła mu satysfakcji - to bardzo brutalny czar.

Govin, z ramieniem najwidoczniej uleczonym przez Shirral, wyciągnął swój miecz.

- Schowajmy się przed tą śnieżycą i sprawdźmy, co się tam stało.

Okazało się, że drzwi są zablokowane i zamknięte od zewnątrz kłódką, jednak rozpracowanie zamka nie zabrało Ahleage wiele czasu.

- To dziwne - zauważył Shanhaevel - musieli się tu dostać inną drogą.

- Być może jest tam wejście od świątyni - zasugerował Govin.

Wewnątrz unosił się gryzący zapach siarkowego dymu i silny odór spalonego mięsa. Ostrożnie, z bronią trzymaną w pogotowiu, Przymierze weszło do środka wieży.

Żaden z bandytów nie przeżył. Z miejsc, w których znajdowały się ciała zabitych, jasno było widać, że czekali tutaj, przygotowani, by zaatakować każdego, kto byłby na tyle naiwny, aby wejść do świątyni przez główne drzwi. Wejście otaczały dwa niskie mury, tak zaprojektowane, by zaprowadzić intruzów na środek, gdzie rozprawiłyby się z nimi szeregi włóczników i kuszników. Ognisty podmuch magii zabił ich natychmiast i powalił tam, gdzie stali.

Poczucie winy zalało Shanhaevela. Nie wiedzieli, co ich zaatakowało. Próbował się nie zastanawiać, co czuli w chwili natychmiastowej ognistej śmierci. Zaatakowali nas, napomniał się, i służą złu tak potężnemu, że przesiąknięte jest nim nawet powietrze. Potrząsnął głową, odmawiając sobie żalości z powodu tych opryszków.

Grupa nie traciła czasu i zapaliwszy kilka latarni, zabrała się do przeszukiwania wnętrza wieży. W głównym pomieszczeniu, w którym zginęli bandyci, nie było wielu rzeczy poza kilkoma meblami, paroma starymi opończami, kocami i kilkoma workami z prowiantem. Resztki na wpół zjedzonego posiłku wciąż spoczywały na stołach, teraz spalone na węgiel. Z krokwi zwisały liczne wędzone mięsa i kiełbasy, a także worki ziół i cebuli. Pod wznoszącymi się schodami, zablokowanymi przez zawalenie się górnych pięter wieży, stało kilka beczek wypełnionych wodą, pieczywem i kwaśno pachnącym winem.

W wieży, poza głównym pomieszczeniem, znajdowały się jeszcze dwa mniejsze, będące najwidoczniej kwaterami dowódców bandytów. Ahleage przejrzał zawartość dębowej skrzyni znajdującej się w pierwszej komnacie, ale znalazł jedynie ubrania i rzeczy osobiste. W drugim pokoju odkryli kolejną skrzynię, tym razem dokładnie zamkniętą. Ahleage ukucnął, by rozprawić się z zamkiem.

- Au! - jęknął młody mężczyzna, odrywając dłoń od zamka i wsadzając palec do ust. - Coś mnie ukłuło!

Shanhaevel podszedł do Ahleage i spojrzał na zamek. Ze środka wystawała mała igła.

- Spójrz, co jest w zamku - wskazał na sprytnie zabezpieczenie.

- O, rany - powiedział Ahleage, nagle osuwając się na ziemię. - Nie czuję się zbyt dobrze. Zbladł i zaczął się pocić.

Shanhaevel odwrócił się z powrotem do skrzyni i dokładnie przyjrzał się igle w zamku. Na Boccoba, pomyślał, gdy zauważył lepka substancję pokrywającą ostrze.

- Co to? - spytał Elmo, kiedy zobaczył ściągniętą twarz elfa.

- Został otruty - powiedział Shanhaevel. - Na igle jest trucizna.

- Z drogi. Już! - Shirral zerwała się z krzesła, gdzie przeglądała jakieś papiery na biurku i uklękła obok Ahleage. - Potrzebuję trochę miejsca!

Zamknawszy oczy, Shirral modliła się, kładąc ręce nad piersią Ahleage. Shanhaevel słuchał, jak druidka wzywała siły natury, prosząc o pomoc ducha ziemi. Kiedy skończyła, odchyliła się do tyłu, uważnie przypatrując się twarzy mężczyzny.

Ahleage leżał z zamkniętymi oczami, nie poruszając się. Shanhaevelowi wydawało się, że barwa jego skóry poprawiła się, ale elf nie miał doświadczenia w tego typu sprawach. Gdy tak oczekiwał, czy Ahleage przeżyje, serce mocno waliło mu w piersiach. Wszyscy z niepokojem pochylili się nad zemdlonym mężczyzną.

- Ahleage? - zawołała Shirral. Jej oczy wypełniły się łzami. - Ahleage, słyszysz mnie?

Ahleage otworzył jedno oko, zerkając najpierw na druidkę, a potem na twarze wszystkich zgromadzonych wokół niego.

- Tttaaakkkk? - spytał, przeciągając słowo.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała zmartwiona Shirral.

- Właściwie nie.

- Wobec tego powiedz mi, co jest nie tak - prosiła druidka. Cokolwiek potrzebujesz, jeśli mogę to zrobić, zrobię to. - Ach, to - sucho zauważył Ahleage. - Wszystko w porządku. Po prostu jestem głodny, pewnie nie masz jakiegoś pieczonego kurczaka?

- Och, na miłość bo... - warknęła Shirral, zrywając się na nogi. - Myślałam, że się spóźniłam. A niech cię, Ahleage! Wystraszyłeś mnie na śmierć. Kopnęła go w bok nogi.

- Auu! - jęknął Ahleage, śmiejąc się i łapiąc za boki, kiedy druidka oddaliła się. - Powinnościście zobaczyć wyraz swoich twarzy! To było bezcenne! Shanhaevel przewrócił oczami i usiadł.

- A niech cię, Ahleage. Wiesz, jaki wpływ wywarła na nią śmierć Meliasa. To wcale nie było śmieszne.

- Ależ było - odparł, a łzy ściekały mu po policzkach. - Przynajmniej *dla mnie*.

Shanhaevel wstał i podszedł do Shirral, która stała na drugim końcu komnaty z ramionami złożonymi w poprzek piersi. Elf mógł spostrzec, że wcale się nie bawiła.

- Hej - powiedział - to zgrywus. On...

- A niech go szlag! - mruknęła Shirral, a pojedyncza łza spłynęła po jej policzku. - Myślałam, że się spóźniłam. Myślałam, że umiera.

- Ciii - uspokoił druidkę Shanhaevel, obracając ją twarzą do siebie i przytulając. Ku jego przyjemnemu zaskoczeniu nie opierała się, miękąc w uścisku. - On po prostu taki jest. Wiesz, że jest ci wdzięczny, za to, co zrobiłaś, nawet jeśli tego nie mówi.

- Wiem - odpowiedziała Shirral. - Po prostu mnie przestraszył, to wszystko.

Przez chwilę wtuliła twarz w pierś Shanhaevela, następnie podniosła oczy do góry i spojrzała na niego. Elf odwzajemnił spojrzenie, zastanawiając się, o czym myśli. - Już dobrze? - zapytał, ocierając jej łzę.

Potaknęła i uwolniła się z jego objęcia. Do tego czasu Ahleage był już ponownie na nogach, zdolawszy opanować śmiech, ale lekki uśmieszek wciąż widniał na jego ustach.

- Nie waż się tego zrobić ponownie! - Shirral walnęła Ahleage w ramię, ale tym razem Shanhaevel usłyszał w słowach druidki nutkę śmiechu. - Kurczak - powiedziała przewracając oczami i odeszła.

Ahleage zachichotał i spojrzał na resztę grupy.

- Widzicie? *Ona* uważa, że to było śmieszne.

Govin westchnął głośno, a Shanhaevel uśmiechnął się kpiąco.

- Skończymy tutaj i ruszajmy dalej - powiedział elf.

Mimo dokładnego przeszukania wieży, towarzysze nie znaleźli drogi prowadzącej z niej do świątyni. Zostawili ją więc za sobą, mając nadzieję na znalezienie innego wejścia. Na zewnątrz grad zmienił się w śnieg, chociaż wciąż było go zbyt mało, by mógł pokryć ziemię.

- Ten śnieg wydaje się nienaturalny - zamruczała Shirral. - Nigdy nie pada o tej porze roku.

Shanhaevel musiał przyznać jej rację, nie był także pewien, czy to dziwne uczucie wędrujące wzdłuż kręgosłupa nie było również sprawką świątyni.

Towarzysze dokończyli wędrowkę wokół budynku tego przybytku zła i ponownie zatrzymali się przy głównym wejściu. Było już dobrze po zmroku.

- Do diaska - zaklął Govin. - Jak się dostać do środka?

- Nigdy nie znajdziemy wejścia w ciemnościach i śnieżycy - powiedział Elmo. - Oddalmy się stąd i rozbijmy obóz gdzieś w pobliżu drogi. Wejścia poszukamy rano.

Wszyscy byli zmęczeni, przemarznięci i głodni, więc nikt nie oponował. Przymierze szybko ruszyło szlakiem, czując, jak resztki zła szeptają w kącikach ich umysłów. Kiedy świątynia znalazła się poza zasięgiem wzroku, samopoczucie grupy znacznie się poprawiło. Uczucie ulgi było tak duże, że niemal można było go dotknąć. Odwiązali konie i ledwo zdążyli wrócić na drogę, kiedy Shanhaevel usłyszał odległy tętent kopyt.

- Ciii! - zawołała znajdująca się z tyłu Shirral. - Słyszę jeźdźców.

- Z drogi! - zakomenderował Elmo, obracając konia i wjeżdżając między drzewa na poboczu.

Shanhaevel popędził własnego rumaka i skrył się pod osłonę drzew. Kiedy wjechał kilka metrów między konary, zatrzymał konia i zaczął nasłuchiwać. Tak, z pewnością od strony Nulb słyhać było tętent galopujących koni. Chwilę później dźwięk ucichł.

Shanhaevel zawołał jastrzębia. *Ormielu jesteś tam?*

*Tak, nadeszła senna odpowiedź.*

*Przyleć do mnie.*

- Co się z nimi stało? - wyszeptał podenerwowany Ahleage. - Gdzie pojechali?

- Nie jestem pewien - opowiedział Elmo. - Poczekajmy jeszcze chwilę. Nie chcę wpaść w żadną zasadzkę.

Chwilę później Ormiel śmignął obok ramienia Shanhaevela.

- Bogowie! - warknął Ahleage, wzdrygając się, gdy ptak minął go w locie. - Co to do diabłów było?

- Cii! To tylko Ormiel - wyszeptał czarodziej, uśmiechając się w ciemnościach. *Ludzie jechali tą drogą. Znajdź ich.*

*Znajdę,* odpowiedział jastrząb, odlatując w noc.

- Powiedz swojemu ptakowi, żeby więcej mnie tak nie straszył - syknął Ahleage, garbiąc ramiona.

- Wysłałeś Ormiela, żeby przyjrzał się drodze? - spytał Elmo.

- Tak. Powiedziałem mu, żeby znalazł jeźdźców. Może zobaczy, dokąd pojechali.

- Dobry pomysł. Siedzmy cicho, bacznie rozglądajmy się i nasłuchujmy.

Grupa siedziała, czekając na powrót druha Shanhaevela. Ciszę przerywał jedynie spadający śnieg, osiadający na otaczających ich gałęziach. Ormiel odezwał się do Shanhaevela. *Jeźdźcy wjechali w drzewa.*

- Jedziemy - oznajmił elf. - Ormiel znalazł miejsce, w którym opuścili drogę - powiadomił pozostałych.

- Więc udajmy się tam - powiedział Govin.

Grupą wrócili na drogę. *Pokaż się*, zawołał elf, nasłuchując naprowadzających pisków jastrzębia. Zauważył go może czterdzieści metrów przed nimi.

- Ormiel mówi, że jeźdźcy w tym miejscu zboczyli ze szlaku i wjechali w las - powiedział Shanhaevel reszcie grupy, gdy zbliżyli się do miejsca, gdzie wysoko na gałęzi siedział jastrząb.

Kiedy tam dojechali, spostrzegli ledwo widoczną prowadzącą w las ścieżkę, którą wcześniej przeoczyli. Elmo zeskoczył z konia i przez chwilę badał ziemię.

- Taaa... to świeże ślady. Ciężko dostrzec je w ciemności, ale na szczęście ułatwia to śnieg. To tu pojechali nasi goście.

Kiedy grupa skręciła z głównego szlaku i podążyła wąską dróżką, przestało śnieżyć, a zachmurzone poprzednio niebo oczyściło się. Shanhaevel ściągnął kaptur. *Ormielu, czy jeźdźcy są w pobliżu?*

*Wjechali do gniazda człowieka.*

Podzielił się tą wiadomością z innymi.

Po krótkiej chwili ścieżka wywiodła ich na otwartą polanę. W środku stała waląca się chałupa i odpowiednio zapuszczona stodoła. Wyglądało na to, że nikogo nie ma. W tym momencie zza krawędzi chmur wyrzała Luna, zalewając polanę i las światłem. Celene, błękitna młodsza siostra Luny, wciąż pozostawała ukryta, ale ciemnoniebieska poświata wokół pobliskiej chmury zdradzała, gdzie się znajduje.

- Czy sądzicie, że wiedzieli, że nadjeżdżamy i skryli się? - zapytała Shirral, rozglądając się dookoła.

- Nie wiem - odpowiedział Elmo, potrząsnawszy głową. - Ale wygląda, że ślady prowadzą do stodoły.

Wszyscy spojrzeli na ziemię. Świeże ślady końskie miały chałupę i nikły przy drzwiach budynku.

- W środku nie ma światła - powiedział Govin. - Albo się tam ukrywają, albo pojechali gdzie indziej.

- Sprawdźę to - zaferował się Ahleage, zsiadając z konia. - Niech wszyscy tu zostaną, chyba, że usłyszycie mój krzyk, wtedy biegiem do mnie.

Ahleage począł skradać się w mrok i wkrótce zniknął z oczu.

- Kiedy chce zniknąć, naprawdę znika - westchnęła Shirral.

- Cofnijmy się odrobinę w las, zejźmy z widoku - zasugerował Shanhaevel. - Nawet jeśli nie ma tam tych oprychów, mogą wracać, a nie chcemy stać na środku drogi, kiedy będą to robić.

Reszta drużyny zsiadła z koni i wprowadziła je między drzewa, przywiązując do nisko rosnących gałęzi. Czekając, słuchali wody kapiącej z rozpuszczającego się śniegu pokrywającego konary.

Dziwne, pomyślał Shanhaevel. Śnieg pojawia się i znika niemal na chybił trafił. Jaka może być tego przyczyna?

Ostatnie chmury zniknęły, ale gwiazdy wciąż świeciły niemrawo, przesłonięte mgiełką. Nawet mała Celene była niewiele więcej niż niebieskim cieniem za Luną. Zanim powrócił Ahleage, blade księżycowe cienie przesunęły się blisko o długość ramienia

- Chałupa jest pusta - oznajmił przyciszonym głosem. - W stodole jednak stoi kilka koni.

- Ich konie tam są, a oni nie, tak? - zapytał Draga. - Gdzie poszli?

- Nie wiem - odpowiedział Ahleage - ale warto poczekać i się dowiedzieć. Wokół jest kilka dobrych kryjówek. Możemy się nawet schować w chałupie.

- Czy Ormiel przypadkiem nie wie, gdzie się udali? - spytał Elmo.

- Spytałem się go - Shanhaevel wezwał jastrzębia i przekazał mu pytanie Elma, ale ptak jedynie powtórzył to, co powiedział wcześniej, że jeźdźcy wjechali do gniazda człowieka.

- On sądzi, że są w jednym z budynków.

- No cóż, nie są - podkreślił Ahleage. - Sprawdziłem.

- Może jest tam jakieś tajemne przejście - odezwała się Shirral. - Zapadnia prowadząca do tunelu czy coś takiego.

- Możliwe - przyznał Ahleage. - Nie szukałem niczego takiego.

- Więc co robimy? - spytał Elmo

- Mnie podoba się pomysł poczekania - odparł Govin, a Shanhaevel przytaknął, zgadzając się.

- Tak - dodał elf. - Możemy wystawić warty i zobaczyć, skąd się pojawiają. Sugerowałbym, żeby część z nas schowała się w domu, a część gdzieś indziej, w jednym z miejsc, o których mówił Ahleage.

Wszyscy przystali na ten plan i podjęto decyzję, że Govin, Elmo i Draga poczekają w domu, a Shanhaevel, Shirral i Ahleage ukryją się za starą studnią, która stała w pobliżu krawędzi lasu.

- Mam czary, które się tu przydadzą - napomknęła Shirral, kiedy ich trójka kierowała się do studni. - Razem powinniśmy być w stanie zaskoczyć każdego, kto wjedzie na polanę.

- Tak - powiedział Shanhaevel, starając się wygodnie usadowić za studnią. - Gdziekolwiek by poszli, nie ucieszą się, widząc nas, kiedy powrócą.

Słumił dłonią długie ziewnięcie, a dwójka przyjaciół usiadła na suchym miejscu obok niego. Kiedy wszyscy troje usadowili się za studnią, powieki Shanhaevela zaczęły mu ciążyć. To nie pora na spanie, powiedział sobie, ale przygody długiego dnia zmęczyły go i więcej niż raz złapał się na tym, że gwałtownie podrywa głowę, która sama leciała mu w dół. Potarł oczy i spojrzał na Shirral i Ahleage. Oboje wyglądali na walczących ze snem tak samo rozpaczliwie jak on. Może to jednak nie był dobry pomysł, pomyślał. Tak w ogóle, to czego mamy nadzieję dowiedzieć się od tych bydlaków?

W tej chwili czarodziej usłyszał odległy dźwięk, który brzmiał jak naciąganie cięciwy. Ahleage i Shirral również go usłyszeli. Wszyscy pochylili się do przodu, wyglądając ostrożnie zza krawędzi studni w kierunku stodoły i chałupy. Nikogo tam nie było. Wtem usłyszeli kolejny dźwięk, szuranie i głosy, które odbijały się dziwnym echem pośród nocy. Shanhaevel rozejrzał się na wszystkie strony, ale nikogo nie zobaczył.

- Gdzie? - wyszeptał bezgłośnie, obróciwszy się do swych przyjaciół. Ahleage nie mógł dostrzec ust czarodzieja, ale Shirral wzruszyła ramionami i spojrzała na niego zmieszana.

Ahleage nagle wstał, trzymając się krawędzi studni i nasłuchując, następnie, z szeroko rozwartymi oczami, odskoczył do tyłu, obok przyjaciół, pokazując im, żeby przykucnęli i byli cicho. Oboje zamarli, wstrzymując oddech i nasłuchując uważnie.

W tej chwili ze studni wynurzyła się ciemna postać.

\* \* \*

Hedrack skrzywił się, patrząc nad wypolerowanym blatem swego stołu na siedzącego po przeciwnej stronie Falrintha. Wysoki kapłan świątyni, Usta Iuza, nie był zadowolony z tego, co usłyszał od czarodzieja.

- Jesteś pewien - spytał ponownie Hedrack, nie chcąc żadnych niedomówień - że tam byli?

- Tak, jak mówiłem - powtórzył Falrinth, jeszcze raz opowiadając swą historię kapłanowi w zbroi. - Kiedy Grozdan nie odwiedził mnie tego wieczora, tak jak to powinien zrobić, wysłałem Kriitcha, aby zobaczył, co się stało. Jego oczami zobaczyłem Grozdana i jego ludzi, wszyscy nie żyli. Kriitch sprawdził, że zniknęły wszystkie cenne rzeczy. Nie widziałem, kto to zrobił, ale domyślałem się, że to ci, których szukasz, chociaż nie mam pojęcia, jak ominęli naszych szpiegów w Nulb.

- Hmm - zastanawiał się Hedrack. Czarodziej miał oczywiście rację, chociaż Hedrack nienawidził przypuszczeń. Ci natręci, przed którymi ostrzegał Iuz, stawali się coraz bardziej irytujący, kapłan spodziewał się, że rozprawi się z nimi szybko i ostatecznie - czy raczej oczekiwał, że jego podwładni rozprawią się z nimi szybko i ostatecznie - a zamiast tego spotykała go porażka za porażką. Miał zbyt wiele rzeczy na głowie i zbyt wiele zadań dla swych dowódców, aby poświęcić więcej czasu tym żalonym kretynom, którzy myśleli, że mogą wsadzić swój nos w jego sprawy, ale zdawało się, że nie ma wyboru. - Dobrze - powiedział w końcu Hedrack, ponownie spoglądając na Falrintha. - Są większym cierniem w moim boku, niżli się tego spodziewałem. Znowu ich nie doceniłem. Nie chcę następnych kłopotów. Znajdź ich, wykorzystaj swe wróżbiarskie umiejętności, by ich odszukać, a wtedy pošlę Laretha, żeby się z nimi rozprawił.

- Oczywiście - odrzekł Falrinth, potakując ze zrozumieniem. - Powiadomię cię natychmiast, jak tylko dowiem się, gdzie się znajdują.

Czarodziej powstał, kierując się do wyjścia i ciągnąc za sobą swą ciężką togę.

- Czego dowiedziałeś się o kluczu? - zapytał Hedrack, zatrzymując wychodzącego czarodzieja. - Czy określiłeś już, jak mamy go użyć?

- Znam już pewne jego cechy, ale nie wszystkie. Kiedy znajdę cztery klejnoty, będę miał odpowiedzi, których oczekujesz

- Najpierw odzyskaj tych intruzów. Nie zawieź mnie, czarodzieju. I pospiesz się - ostrzegł Hedrack, krzywiąc się. - Wkrótce nadejdzie czas, by wyruszyć na naszych wrogów. Chcę, żeby ten problem został rozwiązany zanim się to stanie.

- Rozumiem - powiedział Falrinth, wychodząc z komnaty. - Przyniosę dobre wiadomości.

Hedrack, pogrążony w myślach, zamknął drzwi na klucz i powrócił do swego krzesła. Westchnął, czując, że spoczywa na nim ogromny ciężar dowodzenia. Świątynie walczą ponownie, pomyślał, a ona nie pomaga zbyt wiele w szukaniu. To z powodu jej głupiej dumy została schwytana i uwięziona, a teraz muszą ją odnaleźć i uwolnić.

Ledwie słyszalny dźwięk oderwał Hedracka od jego rozmyślań i zmusił do spojrzenia w drugi koniec pokoju, gdzie drząc, stały Mika i Paida. To Paida wydała z siebie jęk, ale obie dziewczyny patrzyły na swego pana z bolesnym wyrazem twarzy. Zakazał im mówić, ale sarnie oczy Paidy wyglądały szczególnie ekspresyjnie. Jej usta były mocno zaciśnięte, tym niemniej jęczała cicho, najwyraźniej próbując nakłonić Hedracka, by pozwolił jej przerwać nakaz milczenia.

Wysoki kapłan uśmiechnął się i podszedł do swych dwóch dziewcząt. Przykucnął przy Paidzie, z satysfakcją zauważając, z jakim wysiłkiem utrzymywała się, stojąc na koniuszkach palców. Sprawdził też nogi Miki, przebiegając dłonią po jej łydkach, czując kamienną twardość napiętych mięśni. Dziewczyna jęknęła z bólu pod jego dotykiem.

Obie piękności stały w dziwnym pudle, ze stopami uwięzionymi przez specjalnie skonstruowaną pokrywę z otworami, która więziła ich nogi mniej więcej na wysokości kolan. Prawie całe dno pudła było pokryte małymi, ostrymi kolcami, czystego miejsca wystarczało jedynie na stanie na czubkach palców. Każda z dziewczyn miała dwie możliwości: stać wyciągnięta jak struna lub opuścić pięty i tym samym opaść na kolce.

Wino, które Mika wylała na jedwabne szaty Hedracka, pochodziło ze szczególnie dobrego rocznika, no i oczywiście toga nadawała się teraz do wyrzucenia. Hedrack zdecydował, że ukaze obie dziewczyny, tak aby Paida przekonała się, jak wiele oczekuje jej nowy pan w kwe-

stii posłuszeństwa, pilności i oddania. Uważał, że kwadrans stania w pudłach będzie odpowiednią karą, a paląca się świeca powiedziała mu, że zostało jeszcze jakieś pięć minut.

Hedrack uśmiechnął się do swych dwóch kochanych służek.

- Muszę znowu na chwilę wyjść, ale wkrótce wrócę.

Dwie uwięzione dziewczyny jęknęły zgodnie, ale posłusznie nic nie powiedziały. Pojedyncza łza spłynęła po policzku Paidy, a jej dłonie zacisnęły się i otworzyły, widząc, że chwila uwolnienia oddala się. Hedrack z zadowoleniem pokiwał głową i wyszedł.



Shanhaevel ledwo zdołał powstrzymać westchnienie zdumienia, gdy ujrzał mężczyznę trzymającego w jednym ręku parę dzirytów, a w drugim procę, który właśnie wychylił się ze studni. W poświacie księżycowej nocy elf dostrzegł, że ten nieoczekiwany gość nosił siatkową kolczugę, a na plecach miał tarczę. Co zadziwiające, przybysz nie zauważył ani elfa, ani dwójki jego towarzyszy schowanych za ocembrowaniem studni. Przerzuciwszy nogę przez krawędź, mężczyzna wy dostał się z szybu i skierował się do zrujnowanej stodoły, stojącej obok chałupy. Natychmiast pojawił się drugi, a za nim trzeci.

Shanhaevel naliczył sześciu żołnierzy, a wszyscy byli dobrze uzbrojeni i nosili pancerze. Na szczęście, nie widać było, żeby któryś z nich miał jakikolwiek łuk. Sześciu obcych rozmawiało cicho, rozstrzygając coś ostrym tonem w drodze do stodoły.

Shirral ani Ahleage nie poruszyli się jeszcze i Shanhaevel również pozostał nieruchomy, wszyscy zupełnie zaskoczeni pojawieniem się przybyszów.

Otrząsnąwszy się, elf szybko wybrał zakłęcie i przygotował się do jego rzucenia. Podniósł się i zajrzał w głąb ocembrowania, ale było tam pusto, nic poza suchym szybem. Zadowolony, że nikt więcej nie ma zamiaru w tej chwili wychodzić ze studni, Shanhaevel ponownie ukucnął.

- Nic tam nie ma - wyszeptał w kierunku towarzyszy. - Do dzieła - dodał, wskazując na oddalających się mężczyzn.

Obydwoje, druidka i Ahleage, przytaknęli.

Shirral zamknęła oczy i zmówiła modlitwę. Gdy skończyła, wyciągnęła przed siebie rękę, gestykułując w stronę mężczyzn idących gęsiego do stodoły.

W tym samym momencie Ahleage wstał i nisko pochylony ruszył do przodu, bezszelestnie poruszając się po trawie. Shanhaevel, z przygotowanym czarem, podążył za nim. Gdzieś z przodu dobiegł krzyk i ludzie zmierzający do stodoły zatrzymali się, w zamieszaniu przyjmując postawy obronne.

To czar Shirral, z satysfakcją zauważył Shanhaevel, obserwując, jak okoliczne rośliny obudziły się do życia, owijając się i oplatając wokół stóp i kostek sześciu mężczyzn i mocno je trzymając. Jedynie jeden z nich umknął przed sięgającą do jego nóg i chwytającą go trawą, odskakując od pozostałych i prawie się przy tym przewracając. Ahleage skoczył na niego, przykładając mu sztylet do gardła, zanim tamten zdążył sobie uświadomić jego obecność.

- Poddajcie się wszyscy - rozkazał Ahleage. - Odrzućcie broń na bok i nie stawiajcie oporu.

Kilku mężczyzn, wydawszy okrzyki sprzeciwu, próbowało się obrócić, by stawić czoła napastnikom, ale kiedy zdali sobie sprawę, że - spętani mocno przez rośliny - są całkowicie bezradni, niechętnie poddali się, rzucając broń.

Shirral pozostała z tyłu, pilnując, czy jeszcze coś nie wyłoni się ze studni. Shanhaevel, zebrawszy porzuconą broń, zagwizdał piskliwie, aby zasygnalizować reszcie Przymierza, że może wyjść z ukrycia. Elmo i Draga znajdowali się już na zewnątrz chałupy, gdy pojawił się Govin, niosąc ze sobą zapaloną latarnię oświetlającą im drogę. Po chwili jeniec, którego trzymał Ahleage, został związany i ten, uwolniony od swego balastu, mógł dołączyć do czekają-

cej przy studni Shirral. Wziął od Govina latarnię, podniósł ją wysoko i zajął do środka. Następnie, zostawiwszy lampę na krawędzi, przerzucił nogi i zniknął w środku.

Shanhaevel zebrał broń leżącą poza obszarem czaru Shirral, tej która upadła przy żołnierzach, nie mógł dosięgnąć bez ryzyka zostania pochwyconym przez trawy. Akurat kiedy skończył, Ahleage wyszedł ze studni i razem dołączyli do reszty grupy.

- Co tam jest? - zapytał Govin, pokazując na studnię.

- Wygląda na jakiś rodzaj tajnego przejścia - odrzekł Ahleage. - Seria występów dociera do około połowy drogi w dół, a dalej stoi oparta o ścianę drabina. Na dnie są drzwi pomalowane tak, żeby wyglądały jak ściana studni. Zająłem do środka i zobaczyłem, że za nimi jest długi tunel. Drzwi zamykane są od środka, ale rygiel nie był zasunięty.

- Uwolnię was z więzów - powiedziała Shirral uzyskawszy potaknięcie Elma. - Ale nawet nie myślcie o sięgnięciu po broń.

Sześciu nieznajomych spojrzęło wyzywająco na swych porywaczy, ale kiedy Shirral kazała trawom ich puścić, żaden nie próbował się opierać. Govin, Elmo, Shirral i Ahleage zaprowadzili jeńców do stodoły, a Shanhaevel został z tyłu, zbierając resztę broni. Draga, z łukiem w ręce, zajął stanowisko przy studni. Kiedy Shanhaevel pozbierał wszystko, dołączył do przyjaciół w środku, pozostawiając Dragę na samotnej warcie.

Mężczyźni zostali szybko rozebrani z pancerzy i skrupowani. Govin i Elmo przesłuchiwali ich pojedynczo, przed podjęciem decyzji, co z nimi zrobić. W tym czasie Ahleage i Shanhaevel odsunęli się, by porozmawiać na osobności, pozostawiając Shirral pilnującą więźniów.

- Nie możemy zatrzymać jeńców - powiedział elf. - Chcemy móc przemieszczać się szybko i niewidocznie. Spowolnią nas i sprawią, że staniemy się łatwym łupem.

- Wobec tego zabijmy ich i miejmy to z głowy - zasugerował Ahleage. - Nie. Zabicie ich nie jest rozwiązaniem.

- Dlaczego? Zabiliśmy tych ludzi w więzy.

- Nie jestem mordercą, Ahleage. To nie jest tak jak z więżą. Tamci bandyci mieli szansę na poddanie się i nie skorzystali z niej. - Shanhaevel czuł, że w takim samym stopniu próbuje przekonać siebie, jak i stojącego przed nim człowieka.

- To była właściwa decyzja. Oni zabiliby nas, gdyby tylko mieli okazję. To wojna, Shanhaevelu. Zabić - lub zostać zabitym. Ale jeśli nie pozwalasz mi ich wykończyć, mam inny pomysł. Może w rękawie ukrywasz jakieś czary, które przekonałyby ich, żeby odeszli na dobre i nigdy nie wrócili.

- Hm - zastanowił się Shanhaevel. - Iluzje to nie moja specjalność. Daj mi trochę czasu, abym się nad tym zastanowił.

- W porządku. Zobaczmy, czego dowiedzieli się Elmo i Govin i zmykajmy stąd.

Kiedy dwaj mężczyźni skończyli przesłuchiwanie jeńców, wszyscy zebraли się, by omówić sytuację.

- Nikt z nich nie chce mówić - rozpoczął Govin - co wcale nie jest takie dziwne. Wyglądają na zastraszonych. Coś nimi wstrząsnęło, coś innego niż nasza zasadzka.

- Przyznali, że mieli polecenie czekać na nas w mieście, a następnie pochwyć - dodał Elmo. Spodziewali się nas.. Ominięcie miasta tak, że nas nie zauważyli, było dobrym posunięciem.

- A co jest za drzwiami na dnie studni? - spytała Shirral.

- Nie chcieli powiedzieć. Podejrzewam, że ich kryjówka.

- Więc, według was - powiedział Ahleage - jakie mamy szanse, żeby przekonać ich, że gdzieś indziej mogą znaleźć zieleńsze pastwiska?

Govin i Elmo popatrzyli na siebie i pomyśleli przez chwilę.

- Przypuszczam - odparł w końcu Govin - że gdybyśmy przemówili do rozumu ich przywódcy, reszta poszłaby za nim.

- Przywódcy? - spytał Shanhaevel. - Macie na myśli kogoś za tamtymi drzwiami? Jak myślicie, ilu ludzi możemy tam jeszcze znaleźć?

- Ciężko powiedzieć - odrzekł Govin. Podejrzewam, że mają nadzieję, że spróbujemy się tego dowiedzieć i że spotka nas z tego powodu marny koniec. Ale ja miałem na myśli dowodzącego tą szóstką. Ten tam z brodą to ich sierżant - dodał rycerz, wskazując ukradkiem. - Jeśli wmówimy mu, że powinien uciec i nigdy nie wracać, zapewne przekona do tego i innych.

- To wystarczająco łatwe, by się tego podjąć - powiedziała Shirral. - Przyprowadźcie go tu samego i dajcie mi z nim kilka minut sam na sam.

Shanhaevel obrócił się i skonsternowany ze zdumieniem spojrzął na Shirral.

- Nie, głuptasie! - powiedziała druidka przewróciwszy oczami, gdy dojrzała jego wyraz twarzy. - Miałam na myśli, że mogę przekonać go za pomocą magii, że dobrze zrobi, jeśli odjedzie wraz ze swymi ludźmi.

Shanhaevel uśmiechnął się zmieszany do druidki i przytaknął.

- O tym nie pomyślałem - powiedział.

- Na to wychodzi - odparła Shirral, wykrzywiając się do niego.

Shanhaevel, Elmo i Shirral odciągnęli sierżanta na bok, a reszta została, strzegąc więźniów.

Shirral usiadła naprzeciwko związanego jeńca i spojrziała mu w oczy. Następnie zanuciła cicho, rozpoczynając zaklęcie. Kiedy skończyła magiczne strofy, delikatnie przebiegła palcami po twarzy mężczyzny, a Shanhaevel dostrzegł, że jej wyraz zmienił się z ponurej przekory na chęć pomocy.

- Teraz - powiedziała Shirral - chcę, żebyś opowiedział mi o sobie - jej głos był miękki, słodki i towarzyszył mu szeroki uśmiech, odwzajemniony przez więźnia. Shanhaevel z zadowoleniem pokiwał głową i powrócił do pozostałych.

Po kilku kolejnych minutach wrócił Elmo, zostawiając Shirral samą z mężczyzną.

- Powiodło się? - spytał czarodziej.

- Chłopie, Shirral potrafi ciągnąć za język - odrzekł Elmo. - Właśnie przekonuje go, że najlepiej będzie, jeśli on i jego ludzie wsiądą na konie i odjadą, gdzie ich oczy poniosą. Korytarz prowadzi do wieży. Wiodą do niej sekretne drzwi znajdujące się w sypialni, gdzie otrul się Ahleage. Są przestraszeni, ponieważ znaleźli tam martwych towarzyszy.

- Aha - powiedział, potakując Shanhaevel. - Przypuszczam, że to byłoby wszystko. Wyjaśniałoby to także, jak dostali się do środka tamci żołnierze.

- Nie wiedzą zbyt wiele o samej świątyni - ciągnął Elmo. - Po prostu napadają i zbierają informacje. Ich kapitan, ktoś o imieniu Grozdan, zniknął co jakiś czas w tunelu, aby odwiedzić świątynię i odebrać rozkazy. To w ten sposób dostali instrukcje, żeby czekać w Nulb i schwycić nas.

- Jest jakaś droga do środka - powiedział Shanhaevel.

- Czy są jakieś pułapki w tym tunelu? - spytał Ahleage.

- Nie - odparł Govin. - Shirral dokładnie wypytała go, jak bezpieczny jest ten korytarz, a on odpowiedział, że nie ma żadnych przeszkód.

- Po tym, jak już dawno minął oczekiwany czas naszego przybycia do miasta i nie pokazaliśmy się, wrócili tu by zdać raport - dodał Elmo. - Kiedy odkryli, że wszyscy w wieży nie żyją, umknęli tutaj i zastanawiali się, co zrobić dalej.

- Czy powinniśmy spodziewać się, że dzisiaj w nocy ktoś się tu jeszcze pokaże? - spytał czarodziej.

- Nie wiem - odpowiedział Elmo. - Wygląda na to, że nikt oprócz nich nie używa tego korytarza. Z pewnością nie wiedzą, jak Grozdan przechodził z tunelu do samej świątyni, ale nie widzieli tam nikogo innego.

- Tak dla pewności, chciałbym zabarykadować drzwi z tej strony - powiedział Ahleage. - Poproszę Dragę, żeby mi pomógł.

- Brzmi dobrze - powiedział Govin. - Wyprawimy tych ludzi w ich stronę.

Sześciu bandytów odzyskało pancerze i konie, ale nie broń. W powodu przerażającego obrazu, jaki zastali w wieży, ich przywódca nie miał trudności z przekonaniem ich i wkrótce gęsiego odjechali w środek nocy.

- Zasugerowałam mu, że mogą znaleźć lepszą - i bezpieczniejszą robotę w Dyvers i zupełnie się ze mną zgodził - powiedziała Shirral, lekko się uśmiechając. - Był przekonany, że ogromnie się tam wzbogacą. Nie sądzę, żebyśmy mieli z ich strony jakieś problemy. Ahleage i Draga zdążyli już wrócić po zablokowaniu przejścia i Ahleage przysiadł, przeszukując dobra, które wcześniej tego dnia wynieśli z wieży. Kiedy Shanhaevel ziewnął i zaczął myśleć nad przygotowaniem się do snu, Ahleage gwizdnął ze zdumienia.

- Ojej! Co to? - wymamrotał, na wpół do siebie, kiedy z otworu między listwami małej szkatułki wyciągnął arkusz czystego pergaminu.

- Co tam masz? - zapytał Elmo, przysuwając się do Ahleage, by rzucić okiem na kartę.

- Nic na niej nie ma - wymamrotał Ahleage, obracając kartkę na wszystkie strony.

- Hej, popatrz! - wykrzyknęła Shirral, podszedłszy do Ahleage i złapawszy go za nadgarstek. Podniosła rękę mężczyzny wysoko do góry. - Kiedy trzymasz to pod światło, widać tu mapę.

Reszta kompanii zebrała się wokół druidki i przyglądała się niewyraźnym liniom na mapie.

- Tunel prowadzi prosto do wieży, tak jak powiedzieli - zauważyła, pokazując na mapę.

- Tu jest drugi tunel, idący pod świątynią - dodał Govin, wskazując na miejsce, gdzie podziemne przejście rozchodziło się w dwóch kierunkach. - Dokładnie tak, jak podejrzewaliśmy.

- Sądząc, po tym, jak jest zaznaczony na mapie, może być ukryty - odrzekła Shirral - co również potwierdza to, o czym myśleliśmy: tamta szóstka nie wiedziała o jego istnieniu.

- To właśnie tamtędy ten Grozdan udawał się na spotkanie ze swymi zwierzchnikami - stwierdził Shanhaevel. - Prawdopodobnie prowadzi do niższych poziomów świątyni.

- Więc pierwszą rzeczą, jaką zrobimy jutro rano, będzie zbadanie tego tunelu - rzekł Govin.

W tej chwili było już dobrze po północy i wszyscy byli wyczerpani. Govin zgłosił się, że obejmie pierwszą wartę. Rycerz postawił na ganku stare krzesło i usadowił się na nim możliwie wygodnie, podczas gdy pozostali szykowali się do snu.

Shanhaevel, zdumiony złym stanem domu, gdzie oprócz dużego, przestronnego pomieszczenia służącego za jadalnię, pokój dzienny i kuchnię znajdowały się dwa mniejsze pokoje, które zapewne były sypialniami, chociaż zostało w nich niewiele mebli, postawił drąg w rogu jednej z sypialni i wyciągnął posłanie z sakwy, którą przyniósł, kiedy rozkulbaczyli konie. Shirral przez chwilę stała w drzwiach, przyglądając mu się uważnie.

- Czy znajdzie się tu dla mnie miejsce? - jakoś nieśmiało spytała druidka.

Shanhaevel spojrział na nią - otoczoną światłem samotnej latarni w drugim pomieszczeniu - a następnie skinął poważnie głową.

- Zimno tu - powiedziała, wchodząc i rzucając własne rzeczy obok jego posłania. - Będzie nam ciepłej, jeśli wspólnie przykryjemy się dwoma kocami.

Czarodziej zdążył już rozłożyć swój koc, tak aby mógł się w niego zawinąć, ale Shirral rzuciła własną wełnianą derkę na wierzchu jego okrycia i położyła się pod połowę przykrycia, zostawiając drugą połowę dla niego. Shanhaevel zauważył, że ziewnęła równie głęboko, jak on sam zrobił to już kilka razy, odkąd weszli do chaty. Uśmiechając się i ciesząc na czekające go przyjazne ciepło posłania, wpełzł pod koc.

Przez chwilę Shanhaevel leżał nieruchomo, wdychając słaby zapach włosów Shirral leżących obok jego twarzy, ale zaraz poczuł jej ruch, obrócenie się w jego stronę i spojrział w jej oczy, wiedząc, że ona widzi go nawet w ciemnościach. Przycisnęła usta do jego ust, raz

tylko, i zamknęła powieki. Wkrótce oboje oddychali powoli, w spokojnym rytmie snu, przytuleni do siebie w zimnie przedwiosennej nocy.

Hedrack uśmiechnął się, zadowolony z tego, co miał wyjawic swemu panu, Iuzowi.

- Twoja ukochana, mój Panie, z każdym dniem jest bardziej przytomna. Nieświadomie zaczęła wpływać na żywioły przyrody wokół świątyni. Wierzę, że mogę skupić jej moc i ją wykorzystać. Nie jest jeszcze w pełni sił, ale jest coraz mocniejsza.

*To dobra wiadomość.* Ucieszył się Iuz, a jego demoniczne zadowolenie spłynęło na Hedracka. To było przyjemne uczucie. *Opanuj tę moc, obróć ją przeciwko nędznym natrętom, których wysłał ten wąsaty dandys. Jednakże nie zabijaj ich. Sprowadź tutaj, do świątyni. Chcę, żeby złożono z nich ofiarę.*

- Słucham i jestem posłuszny, mój Panie.

Hedrack skłonił się, wiedząc, że spłynie na niego radość jego pana, jeśli uda mu się to zrobić. Ale Iuz już nie było.

Opuścił więc wewnętrzną świątynię i poszedł odwiedzić celę swego więźnia. Larem wpatrywał się w ciemność szklistym wzrokiem. Ślady oparzeń na jego twarzy miały nigdy nie zejść, oszpecając niegdyś przystojnego kapłana z fortu. Tak jak podejrzewał Hedrack, Lareth był zbyt zainteresowany swoją urodą, zbyt pochłonięty swą własną chwałą. Hedrack sprawił więc, aby to już nigdy nie stało się problemem, a teraz umysł Laretha kipiał z wściekłości przeciwko tym niewiernym, którzy kosztowali go utratę chwały. Nie nadawał się już na wiele, ale do tego celu, jaki przewidział dla niego Hedrack, Lareth był idealnym narzędziem.

- Mam dla ciebie zadanie - powiedział wysoki kapłan, dając znak strażnikom, aby uwolnili więźnia.

Lareth wyglądał strasznie, ale w oczach mężczyzny zapalił się płomień, którego nie było tam chwilę wcześniej.

- Są tutaj, wiesz? - łagodnie przemówił Hedrack, zbliżywszy się.

Lareth zamrugał i spojrzał w oczy Hedracka.

- Poza tym zbliżają się. I pamiętasz, co ci zrobili.

- Tak... - powoli przytaknął Lareth, a jego nozdrza rozszerzyły się.

- Plany, które miałeś... perspektywy... Wszystko zrujnowali.

- Tak! Nienawidzę ich.

- Upokorzenie porażki - przypomniał mu Hedrack. - Wiem, że chcesz naprawić swe błędy, czyż nie?

- Tak. Proszę, pozwól mi ich zniszczyć.

- Nie - ton kapłana był stanowczy. - Nie zniszczyć. Schwytać. Na powierzchni czeka wojsko. Jest twoje. Obejmiesz dowództwo, tak jak to miałeś zrobić. Wiesz, gdzie jest wróg. Prowadź armię i dokonaj zemsty. Pokonaj wrogów i przyprowadź ich do mnie, żywych, tak aby zostali oddani żywiołom i odpowiednio poświęceni Iuzowi.

Teraz głowa Laretha potakiwała energicznie, a ślina splamiła jego wargi, gdy ciężko dyszał z przepelniającej go wściekłości. Był prawie bezmyślną maszyną i gotował się na oddanie życia w zamian za przywilej schwywania szóstki wrogów, którzy ukrywali się w opuszczonym gospodarstwie. Wił się i prężył, pragnąc ruszyć naprzód, aby rozpocząć swą ostatnią, największą misję, ale nie chciał odejść bez pozwolenia tego, który tak skuteczne - za pomocą bólu, przerażającego bólu - wytłumaczył mu jego błędy.

Hedrack wiedział, że mała, trzeźwo myśląca cząstka umysłu Laretha wciąż wierzyła, że jego pani, ta pajęcza dziwka Lolth, uratuje go, weźmie do siebie i z powrotem uczyni pięknym. Wielki kapłan wiedział, że złamany człowiek stojący przed nim wciąż sądził, że został przeznaczony do większych celów w jej służbie i że otrzyma szansę, aby się zemścić. W pewien sposób Hedrack nawet współczuł Larethowi, jakże żalosnemu z tą jego fałszywą nadzieją. Jeżeli była jakaś rzecz, której był pewien, to tego, że jeżeli we wszechświecie, ponad tym wszystkim, była jakaś stała, była nią małość bogów. Hedrack był przekonany, że Lolth nie miałyby pożytku z człowieka takiego jak Lareth. Dostrzegłaby wady plamiące jego przekłętą duszę i nie wyleczyłaby zniszczonej twarzy. Mogłaby go najwyżej zignorować lub, co gorsze, zdradzić w chwili, kiedy ufałby jej najmocniej. Taka była Lolth, taki był Iuz i inni boscy władcy. Nie akceptowali porażek, szkodziły ich wizerunkowi. Hedrack jednak, we własnym interesie, dążył do wykorzystania nadziei Laretha. Uśmiechnął się i łagodnie pomachał dłonią, cicho rzucając czar. Miał zamiar użyć swej magii, aby przekształcić złamanego, pokonanego mężczyznę w swoje własne narzędzie i pozbyć się utrapienia, które zbyt długo go niepokoiło. Lolth, zbyt dumna Lolth, zobaczy jak jej wścibstwo, jej mieszanie się w sprawy świątyni nie wychodzi jej na dobre. Jej władza nad tym człowiekiem zostanie nadwątlona i wykorzystana w celu, jaki by jej nigdy nie przyszedł do głowy. Hedrack uśmiechnął się na myśl o wściewości tej pajęczej dziwki, kiedy przekona się, że pokrzyżował jej szyki. Prawie życzył sobie, żeby móc zobaczyć jej twarz. Prawie.

- Teraz idź, mój przyjacielu - w końcu zakomenderował Hedrack. - Dosiądź swego rumaka i obejmij dowództwo nad wojskiem. Przyrowadź tych znienawidzonych w łańcuchach, a wtedy będziesz mógł pomóc mi ukarać ich za wszystkie przewinienia.

Hedrack popchnął lekko Laretha, a mężczyzna, który niegdyś był piękny i dumny, niemal przewrócił się w swej gorliwości, chcąc jak najprędzej wykonać rozkazy wysokiego kapłana.

Hedrack opuścił celę zaraz za nim, kierując się z powrotem do głównej świątyni. Przeszedł przez wijącą się kotarę i minął trzy małe ołtarzyki prywatnej kaplicy. Zszedł schodami do komnaty z klejnotami, gdzie snop perłowo białego światła oświetlał stojący na środku tron.

Usadowiwszy się na wysadzonym klejnotami siedzisku, Hedrack sięgnął umysłem w poszukiwaniu.

- *Obudź się, moja Pani. Twoi słudzy potrzebują pomocy. Dlaczego zakłócasz mój sen?* Odpowiedziała, mniej sennie niż przedtem. *Mam dosyć odpowiadania na twoje pytanie. Dlaczego mnie nie uwolnisz?*

- Cierpliwości, Pani. Lord Iuz i ja mamy plan, który cię do nas wkrótce sprowadzi, obiecuję, ale najpierw potrzebuję twojej pomocy.

W drugim umyśle pojawiła się nadzieja, pragnienie uwolnienia.

*Co? Jak mogę ci pomóc, będąc w tej pułapce?*

- Wezwij swą moc, moja Pani. Wezwij siły żywiołów.

*Ale to nie moja domena! Żywioły to jego sprawa.*

- To nie ma znaczenia, moja Pani. Skieruj energię do otaczającej cię świątyni. My zajmujemy się resztą.

Poczuł to: szum ścian, wibrację energii. Tak, pomyślał, to działa.

- Bardzo dobrze, moja Pani. Wypełnij to sobą. Wkrótce cię uwolnimy, obiecuję. Wkrótce.

Hedrack podniósł się z tronu i wyszedł z komnaty. Był bardzo zadowolony.

\* \* \*

Shanhaevel obudził się z dreszczami. Mruknął i otworzył oczy, aby zobaczyć leżącą obok niego Shirral, która również drżała. Owinęła wokół siebie większą część koców, odkrywając jedynie kark i ramiona. Nagle jego umysł rozjaśnił się i elf podniósł się gwałtownie.

- Dlaczego do diaska jest tak zimno - zapytał.

- Nie mam pojęcia - odrzekła - ale coś jest nie tak. Nie czujesz tego? W powietrzu? Shanhaevel przetarł oczy i wygramolił się z posłania.

- Na Boccoba! Jest lodowato! - wymamrotał w ciemnościach. Więcej niż zimno, uświadomił sobie. Shirral miała rację. Coś *było* nie tak. Czuł to. Wybiegł z pokoju.

W głównym pomieszczeniu Draga próbował rozniecić ogień, a Govin chodził w tę i z powrotem, na wpół ubrany, rozcierając zmarznięte członki i klnąc. Kiedy Shanhaevel wsunął się do pomieszczenia, z drugiego pokoju wyszedł Elmo, zabijając ręce. Widząc czarodzieja, Govin zatrzymał się.

- To nie jest normalne - wykrzyknął rycerz. - Mamy *wiosnę* nie zimę! I to nie wszystko - czuję *zło* w powietrzu.

Shanhaevel ograniczył się do potaknięcia i zbliżył do ognia.

- Która godzina! - zapytał.

- Prawie świt - odpowiedział Draga. - Dopiero co wróciłem z warty i miałem obudzić Elma, ale Govin już wstał. Elmo, jak widać, też już jest na nogach.

- Kto mógłby spać w takim zimnie - wymamrotał Elmo, dołączając do reszty towarzystwa przy ogniu. - Skąd do diaska przyszła ta pogoda?

- Wiesz dobrze, skąd - rzekł Govin, wskazując kciukiem w kierunku świątyni. - Czujecie to.

Nikt nie zaprzeczył.

- Od jak dawna robi się zimno? - spytał Elmo.

- Raptem od jakiejś pół godziny. I jest zupełnie bezwietrznie. Nie wieje nawet wiatr z północy.

Było niepokojąco cicho i spokojnie. - Musimy z powrotem wystawić wartę - powiedział Shanhaevel. - Można nas tu łatwo złapać.

- Mogę tam wrócić - odparł Draga - ale najpierw muszę wziąć ciepłą pelerynę.

Do pokoju weszła opatulona kocem Shirral, ale zamiast zbliżyć się do ognia, z ponurym wyrazem twarzy podeszła do drzwi. Otworzywszy je na oścież, wyszła na ganek.

Shanhaevel, wyczuwając jej skrajny niepokój, poszedł za nią. Podeszedł do niej od tyłu, objął za ramiona i obrócił do siebie.

- Co się stało? - spytał.

Zamiast odpowiadać, pokazała. Obrócił się, by spojrzeć na małe podwórze. Znowu zaczęło śnieżyć, bardziej niż kiedykolwiek w jego życiu.

- Na Cuthberta! - warknął Govin, wychodząc za nimi na dwór. - Coś obudzili.

- Tak - cicho powiedziała Shirral. - Demona. I jest wystarczająco silna, by zagrozić samej Matce.

- W porządku - odezwał się Elmo, wciągając buty i niezdarne wyskakując na ganek. - Draga i ja wyjdziemy na dwór i zaciągniemy wartę, podczas gdy reszta będzie się szykować. Shanhaevelu, dołącz do nas tak szybko, jak tylko będziesz mógł. Możemy potrzebować twoich oczu.

Potaknąwszy, Shanhaevel odwrócił się i poszedł do mniejszego pomieszczenia, by zebrać swe rzeczy. Wszyscy zaczęli plątać się naokoło, ubierając i przygotowując na to, co mogło nastąpić. Shanhaevel stłumił ziewnięcie, chwytając pelerynę i drag. Kiedy wychodził z pokoju, naciągając opończę na ramiona, Shirral złapała go za ramię.

- Uważaj - powiedziała i pochyliła się, żeby delikatnie pocałować go w usta. - Czuję, że dzieje się coś dziwnego.

Shanhaevel obrócił się, by wyjść z pokoju, ale zawrócił i przyciągnął Shirral do siebie, przytulając ją mocno. Zapach jej włosów wypełnił mu nozdrza, a ciepło ciała przyspieszyło bicie serca. Puściwszy ją, żeby nałożyła pancerz, wyszedł z pokoju, by dołączyć do Elma i Dragi.



Na zewnątrz Shanhaevel, drżąc z zimna, dokładnie opatulił się peleryną. Śnieg padał równo, a ziemia zaczęła już znikać pod białym puchem. Potrząsnął głową ze zdziwienia i niepokojem na myśl, że taki śnieg może padać o tak późnej porze roku.

- Przyjemna noc na małą wartę, co? - rzekł z uśmiechem Elmo, ale zmartwienie w jego oczach przeczyło żartobliwemu tonowi.

- Cokolwiek się dzieje - parsknął Shanhaevel - wystraszyło to wszystkich.

- Coś się stanie - powiedział Draga. - I to wkrótce. Czuję to. - Tak - odparł Elmo. - Wszyscy wyczuwamy atak i nie mogę tego wyjaśnić, co mnie martwi. W walce lubię opierać swą strategię na wiedzy, gdzie jest wróg, jaki jest silny i co robi, a nie na wrogim uczuciu wypełniającym powietrze, ten śnieg nam nie pomoże. *Wszędzie* jest zło. Nie podoba mi się to.

- Elmo, mówisz jak weteran, który uczestniczył w wielu kampaniach polowych - powiedział elf z lekkim uśmiechem. - To kolejny z twoich małych sekretów, o których nikt nie wiedział.

Elmo zaśmiał się.

- Mówiłem wam, jestem członkiem Rycerzy Jelenia z Furyondy. Przeszedłem szkolenie z taktyki wojennej.

- Hej - przerwał im Draga, kucając nisko i szepcząc. - Widzicie to?

Shanhaevel i Elmo przykucnęli obok łucznika, wpatrując się w zasłoniętą śniegiem polanę. Nawet dla wzroku elfa stojący za gęstą zasłoną śniegu las jawił się jak niewyraźna plama. W oddali, pośród drzew, majaczyły ciemne postacie - wiele postaci. Pochylone nisko zbliżały się do gospodarstwa - ludzie i inne stworzenia, duże stworzenia, jak ogry i trolle.

- Bogowie - żołądek Shanhaevela podskoczył mu do gardła. Próbował się uspokoić, biorąc głęboki oddech. - Na Boccoba! Draga! Nie potrzebujesz mojej pomocy podczas warty. Twój wzrok jest prawie tak dobry jak mój. W naszą stronę zmierza cała armia.

- Tego właśnie obawiałem się usłyszeć - odrzekł Elmo. - Draga sprawdź tamtą stronę. Zobacz, co zbliża się z tego kierunku.

Draga posłuchał, a Elmo zająrzył za drugi róg domu, aby spojrzeć na tył gospodarstwa.

Shanhaevel odwrócił się, rozglądając na wszystkie strony, żeby dobrze ocenić zbliżające się siły, trafnie namierzyć przeciwników. Wydawało mu się, że była ich przynajmniej setka, plus może ze dwa tuziny ogrów, troll i nawet coś, co wyglądało jak gigant. Starał się stłumić panikę wzbierającą w piersi. Gigant!

Draga wrócił z boku budynku, kręcąc głową.

- Nie damy rady. Otoczyli nas.

- Po tej stronie to samo - powiedział Elmo. - Wobec tego bronimy domu. Z powrotem do środka.

Cała trójka wycofała się do wnętrza, a Elmo szybko wyjaśnił sytuację reszcie grupy.

- Jesteśmy w pułapce - wymamrotał Ahleage, wykonując szybki ruch nadgarstkami i wyciągając dwa sztylety. - I co teraz?

- Módlmy się, żeby bogowie dali nam siłę, aby ich odeprzeć - wyszeptał Elmo. - Każdy bierze jedno okno. Zamknąć okiennice i zostawić małą szczelinę.

Członkowie Przymierza zbliżyli się do okien, przyjmując postawy obronne i obserwując.

- Shanhaevelu, czy masz przygotowane jakieś zaklęcia magicznego światła? - spytał Elmo z dogodnego punktu obserwacyjnego przy frontowych drzwiach.

- Tak - odparł Shanhaevel - dwa.

- Wobec tego przygotuj się, by rozjaśnić noc, ponieważ sądzę, że mają zamiar atakować.

Jak na hasło - z zewnątrz dobiegł krzyk i armia ruszyła naprzód.

- Teraz, światło! - krzyknął Elmo, otwierając drzwi i wypuszczając strzałę.

Polana zawrzała wyciem atakującego wojska, wojennym okrzykiem znamionującym szarżę. Nadbiegali ze wszystkich stron, pędząc z bronią w dłoniach. Shanhaevel pospiesznie

wymamrotał słowa czaru, mierząc w powietrze jakieś trzydzieści kroków od siebie, prosto nad głowy atakujących.

Łuk Elma śpiewał, gdy ten wysyłał strzałę za strzałą, powalając zbliżających się ludzi tak szybko, jak tylko mógł. Na miejsce każdego, którego trafił, pojawiała się jednak trzech następnych, którzy podchodzili jeszcze bliżej.

Gdy tylko jego czar zadziałał, Shanhaevel obrócił się i pomknął do okna po drugiej stronie pomieszczenia. Tam Ahleage i Draga używali swych łuków nie mniej gorliwie, niż robił to Elmo, jednak żaden z nich nie widział tak dobrze zbliżających się wrogów. Shanhaevel rzucił drugie zaklęcie, oświetlając teren łucznikom.

- Teraz lepiej! - powiedział Draga, strzelając ze śmiertelną precyzją. Ahleage przyłączył się do niego i wkrótce skosili pierwsze szeregi atakujących napastników.

Shirral zajęła pozycję w jednej z sypialni, przy oknie wychodzącym na stodołę i używała swej procy z nadzieją na powstrzymanie szarżujących. Govin stał na środku pokoju, gotów rzucić się z pomocą tam, gdzie mogli wderzeć się wrogowie.

Po kilku rundach wściekłych ataków, w których obrońcy nie wypuszczali łuków z rąk, pierwsza fala napastników wycofała się, znikając między drzewami. Shanhaevel wrócił do Elma, ponieważ tam wydawał się być najsłabszy punkt obrony i miejsce, gdzie było zebranych najwięcej wrogich sił.

- To tylko mały rekonesans - powiedział Elmo. - Po prostu chcieli zobaczyć, jak się zachowamy. Teraz się przegrupują i zaatakują w miejscu, gdzie sadzą, że jesteśmy najsłabsi.

Shanhaevel rozejrzał się dookoła, wskazując na Shirral, zostawioną w drugim pokoju z procą w dłoni. Elmo spojrzał i przytaknął.

- Tak - powiedział. - Ja też zaatakowałbym z tamtej strony. Oczywiście nie pokazali całej siły, więc kiedy nadejdą...

- Czego nie widzieliśmy? - spytał elf.

- Łuczników i magii - odrzekł Elmo. Shanhaevel potaknął.

- Powinniśmy się zamienić miejscami, żeby utrudnić im zadanie.

- Dobry pomysł - uśmiechnął się Elmo i podszedł do Govina, pokazując mu, żeby zajął jego pozycję.

- Zmieniamy się, mając nadzieję, że to ich zaskoczy - wyjaśnił Shanhaevel podchodzącemu Govinowi.

Rycerz pokiwał głową.

- Poczekaj z resztą magii, aż się naprawdę zbliżą.

- Wiesz, że to magiczne światło nie potrwa długo. Kiedy zniknie, będziemy mieli kłopoty.

- Nie sądzę, żebyśmy się musieli długo tym martwić - powiedział Govin, pokazując niebo na wschodzie, które właśnie zaczynało jaśnieć, chociaż ciężko było to dostrzec z powodu śniegu, który padał coraz mocniej.

- Jest jak gęsie pierze - powiedział Shanhaevel, pragnąc, żeby działo się to w innych okolicznościach, aby mógł się tym cieszyć.

Spośród drzew zabrzmiał krzyk i horda zaatakowała po raz drugi. Tym razem, jak przepowiedział Elmo, piechocie towarzyszył deszcz strzał, zmuszając członków Przymierza do ukrycia się za zasłonami.

- Czym możesz ich potraktować? - spytał Govin, wyglądając przez szczelinę w drzwiach na nadbiegających ludzi i bestie.

Shanhaevel zaryzykował i na krótko wyjrzał na zewnątrz i natychmiast jedna strzała zadźwięczała koło niego, a druga wbiła się w ścianę kilka centymetrów od framugi drzwi.

- Mam tego mnóstwo, ale potrzebuję czasu, żeby wypowiedzieć zaklęcie - powiedział elf, cofnąwszy się do środka.

- Załatwię ci czas, jeśli zdołam, czarodzieju, ale są prawie na ganku. Lepiej zrób coś szybko.

Skupiwszy energię, Shanhaevel sięgnął po magię z innych planów, a następnie wychylił się na wystarczająco długo, by dostrzec większy odział ludzi. Wycelował czar i z jego palca, prosto we wrogów, wytrysnął pojedynczy bursztynowy płomień. Kiedy trafił, wybuchł, a odział pochłonęła kula płomienia, pogrążając go w palącym żarze. Ludzie złapani przez piekło, krzyknęli krótko, zanim nie padli na spaloną ziemię.

- Doskonale! - powiedział Govin. - Następni zbliżają się z lewej.

Shanhaevel zaczął przygotowywać kolejny czar, znów gromadząc magiczne siły i skupiając je razem. Rzucił zaklęcie i szybko zatrzasnął za sobą drzwi.

Govin przyglądał się, ale kiedy nie błysnął żaden płomień, obrócił się do elfa i krzyknął: - Coś nie tak?

- Nie - odparł Shanhaevel. - Po prostu stworzyłem chmurę okropnego smrodu i umieściłem ją jakieś trzy metry od budynku. Przynajmniej przez kilka chwil nic tędy nie przejdzie.

- Hm - zmarszczył się rycerz. - Walka za pomocą smrodu... Wy czarodzieje...

- Pójdę zobaczyć, czy ktoś mnie nie potrzebuje - odrzekł Shanhaevel z uśmiechem.

Govin przytaknął, a Shanhaevel przebiegł przez pokój do Shirral, która stała z Dragą, miotającym strzałę za strzałą. Kiedy obróciła się i zobaczyła elfa, machnięciem pokazała mu na Elma i Ahleage. Obrócił się, by zobaczyć, że za chwilę znaczne siły nieprzyjaciela, które dotarły już do okna, mogą przełamać ich opór i wdrzeć się do środka. Elmo próbował zatrzymać ich toporem, a Ahleage stał obok niego z łukiem w dłoni.

Shanhaevel rzucił czar, a kiedy magia zmaterializowała się, pięć postaci, pogrążonych w głębokim śnie, osunęło się na ziemię. To przechyliło szalę zwycięstwa na stronę obrońców domu.

Krzyk z tyłu zmusił Shanhaevela do ponownego obrotu, a to, co zobaczył, sprawiło, że jego serce ominęło jedno uderzenie. Do frontowych drzwi zbliżał się gigant niosący płonące kłody, które najwidoczniej miał zamiar rzucić na dom.

Do wszystkich diabłów! Wściekł się elf. Zapomniałem, że będzie zbyt wysoki na chmurę smrodu. Govin wydawał się wahać, czy nie zaatakować giganta, ale sam ogrom stworzenia powstrzymywał rycerza.

- Govinie, poczekaj! - krzyknął czarodziej. - Otwórz drzwi i zrób mi miejsce.

Rycerz potaknął, otworzył drzwi na oścież i odskoczył na bok.

Nie tracąc czasu, Shanhaevel wymierzył błyskawicą w wielkie stworzenie, ale nie był wystarczająco szybki. Błyskawica, która przemknęła mu przed oczami była prawdziwa i trafiła w giganta, ale kiedy potężny humanoid zawył w agonii i padł w przód, impet zaniósł go aż pod sam dom. Ziemia się zatrzęsała, a powietrze eksplodowało kawałkami desek i odłamkami drewna, kiedy cielsko giganta runęło na ganek i zniszczyło frontową ścianę budynku.

Obaj, Shanhaevel i Govin, uciekli przed eksplozją, rzuciwszy się, aby uniknąć poszarpanych belek rozerwanych siłą wybuchu. W tej chwili ogień z płonących kłód niesionych przez giganta zaczął się już rozprzestrzeniać, zapalając wyschnięte drewno chaty. Dym wypełnił pozostałości zniszczonego budynku. Wydawało się, że przez chwilę nikt więcej nie ma zamiaru ich atakować, więc Shanhaevel osunął się na podłogę i zaczął kaszleć, dusząc się dymem.

- Jeśli nie potrafisz ugasić ognia, musimy się stąd wynosić! - powiedział Elmo, podchodząc do elfa i pomagając mu stanąć na nogi.

- Hej, wszyscy! Zebrać się na zewnątrz, zanim ponownie nas zaatakują!

\* \* \*

Shanhaevel wygramolił się przez dziurę będącą niegdyś przednią ścianą, trzymając się z dala od płomieni, które szybko rozrastały się w huczące piekło.

Zbyt szybko, pomyślał zamroczony Shanhaevel, obserwując języki ognia skaczące z miejsca na miejsce i pożerające drewno. Płonie zbyt szybko: żywiołaki - uświadomił sobie, wychodząc na ośnieżone podwórze. Istoty płomienia skakały po ruinach, paląc wszystko, co zdołały. Rozpoczął się świt, ale światło dzienne wciąż było słabe i szare. Spoglądając w tył, Shanhaevel widział, jak reszta towarzyszy ucieka z płonącego gospodarstwa, które miało zostać strawione w przeciągu paru zaledwie chwil.

- Słuchajcie! - powiedział Elmo, a jego głos zabrzmiał zbyt głośno we wczesnym poranku. - Zostaniemy tutaj, dokładnie pośrodku - kontynuował Elmo cichszym głosem. - Najpierw łuki i proca, a potem, jak znajdą się w zasięgu, przywitamy ich wszystkim, co mamy.

- Nie jest dobrze - westchnęła Shirral. - Pozostało mi jedynie kilka czarów leczenia i parę innych rzeczy nieprzydatnych w walce. Nic, czym mogłabym im zaszkodzić. - Wobec tego szykuj się do leczenia - polecił Elmo. - Shanhaevelu, jakiegokolwiek masz czary, zrób z nich mądry użytek.

Wszyscy potaknęli i przygotowali się do ostatecznego starcia. Mimo że śnieg przestał padać, dym z pożaru sprawił, że pole walki było tak samo niewyraźne i nieprzeniknione jak przedtem. Gdzieś z dala zabrzmiał gardłowy okrzyk, ale nie był to okrzyk ataku. Był to krzyk złości, pełen rozpacz, nienawiści i wściekłości.

- Na Boccoba! A co to takiego? - westchnął Shanhaevel, gotując się na to, co miało nadejść i oczekując jakiejś bestii lub stworzenia przyzwanego z niższych planów.

Pierwszą sylwetką, jaka pojawiła się zza gęstego, falującego dymu, nie było jednak jakieś potworne stworzenie. Był to człowiek na koniu.

Był to Lareth.

Shanhaevel obserwował kapłana. Ten niegdyś przystojny mężczyzna przedstawiał sobą straszliwy widok, jego twarz nosiła piętna zadane ogniem i jakimś ostrym narzędziem. Shanhaevel mimowolnie cofnął się, kiedy ujrzał chorobliwą nienawiść w oczach mężczyzny. Wiedział, że inni członkowie Przymierza również ją zobaczyli, ponieważ usłyszał westchnienia kilku swych towarzyszy. Nikt się nie poruszył przez kilka chwil.

- Tak - odezwał się Lareth, a jego niegdyś miękki głos był teraz chropowaty niczym żwir. Shanhaevel zastanawiał się, jakie żrące substancje mogły zostać wlane do przełyku tego człowieka, aby zniszczyć przyjemne dźwięki, które wydobywały się z nich poprzednio. - Zobaczcie, na co mnie skazaliście, jak okaleczyliście mnie swoją ingerencją! Teraz to wy będziecie cierpieć, tak jak ja cierpiałem z waszych rąk.

Govin podszedł do przodu z wysoko uniesionym mieczem.

- Nie, Larethcie! Twoje cierpienia nie są z naszej winy. Nie możesz nas za nie winić.

- Nie kłam! - wykrzyknął Lareth, a jego oczy zapłonęły wściekłością. - Ból! Cały ten ból! I to *wasze* twarze widziałem! *Wasze!* Byliście tam!

- Zastanów się dobrze - mówiąc to, Govin pokręcił głową, najwidoczniej sądząc, że oszalały kapłan jest wciąż zdolny do rozsądnego myślenia. - Nie pokonaliśmy cię ani nie poszliśmy za tobą z fortu. Uciekłeś, a ktoś inny zadał ci te straszliwe cierpienia. My byśmy tego nie dokonali. Na taką karę może skazać cię jedynie okrutny i bezduszny pan, a taki władca nie zasługuje na twoją lojalność. Zakończ tę wojnę, poddaj się nam, a my ci pomożemy. Nie potraktujemy cię tak, jak ci, którzy oszpecili twoją twarz.

Przez chwilę wydawało się, że Lareth słucha rycerza, ale kiedy Govin przypomniał kapłanowi o tym, że jego poprzednio piękna twarz jest teraz poorana bliznami, oczy Laretha ponownie zapłonęły szaloną wściekłością. - Łgarstwa! Nie będę ich słuchał. Zginiecie w objęciach ognia, wody, ziemi i powietrza!

Koń Laretha stanął dęba i kapłan musiał obiema rękami chwycić za łęk siodła, żeby uchronić się przed upadkiem. Shanhaevel rozejrzał się dookoła, oczekując nieuchronnego nadejścia kolejnych wrogów, ale nikt się nie pojawiał. Oprócz skwierczenia płomieni i stukotu kopyt konia kapłana było niewiarygodnie cicho.

Pole bitwy owiał silny podmuch wiatru, który rozwał mgłę i dym oraz pozwolił kompanom na lepsze przyjrzenie się rzezi, jakiej dokonali. Ziemia wokół zniszczonego gospodarstwa była dosłownie przykryta stertami armii szalonego kapłana. Niewielu ocalałych uciekało do lasu. Pozostał jedynie Lareth, próbujący odzyskać kontrolę nad spanikowanym i wierzgającym rumakiem. Był sam przeciwko szóstce towarzyszy.

W oczach kapłana wciąż paliła się wściekłość, ale teraz, jak spostrzegł elf, dołączyło do niej coś innego. Lareth bał się. Był świadkiem, jak sześć osób pokonało jego armię. Mimo tego obłąkane pragnienie zniszczenia tych, którzy - jak sądził - oszpecili go, sprawiało, że nadal chciał walczyć. Jego koń wciąż wierzgał, ale kapłan utrzymał się w siodle, obrzucając całe Przymierze wrogim spojrzeniem.

- Zobaczę, jak umieracie - wykrzyknął, kręcąc młynka buzdyganem. - Zniszczę was i zobaczę, jak żywioty pochłaniają wasze ciała!

- Pragnienie naszej krwi stanie się twoją zgubą, kapłanie! - ryknął Govin, wyciągając w stronę Laretha oskarżający palec. - Pokonaliśmy twoją armię i wykrwawiliśmy twego pana. Czy myślisz, że sam możesz mieć nadzieję na pokonanie nas? Moc świętego Cuthberta odda zwycięstwo w nasze ręce! Jeśli się nie poddasz, zginiesz!

Warcząc jak oszalały, Lareth podniósł się w strzemiączkach i krzyknął z całych sił:

- Pomóż mi, moja pani Lolth!

Biorąc szeroki zamach buzdycanem, kapłan rozpedził konia. Kiedy szaleniec zaszarżował, drużyna rozbiegła się na boki z przygotowaną bronią. Shanhaevel nastawił się na atak, ale Lareth skierował się prosto na Govina, który niewzruszenie stał na lekko ugiętych nogach z mieczem gotowym do uderzenia.

Kiedy Lareth zbliżył się do rycerza, Govin niespodziewanie runął wprost pod szarżującego konia. Rumak zarżał i stanął dęba, a rycerz pchnięciem od dołu zamierzył się na Laretha. Trafił kapłana prosto w pierś, ciosem, który zdruzgotał pancerz i posłał w powietrze fontannę krwi. Siła uderzenia rzuciła Laretha w śnieg. Gdy przerażony wierzchowiec uciekł, Govin zbliżył się do Laretha, który próbował jeszcze podnieść się na kolano. Z jego piersi spływała krew, nadająca ośnieżonej ziemi kolor wina.

- Pomóż mi, moja pani Lolth! - powtórzył Lareth, a jego głos łamał się pod wpływem ogromnej utraty krwi. Zaczął coś mruzczyć - rzuca czar, uświadomił sobie Shanhaevel, słysząc ponure słowa. Lareth, mimo osłabienia, podniósł dłoń pokazując na Govina.

Zanim kapłan zdołał skończyć swe diaboliczne zaklęcie, Govin wziął zamach mieczem i opuścił go szerokim łukiem, aż sapiąc z wysiłku. Ostrze trafiło idealnie, przecinając kark Laretha. Głowa kapłana potoczyła się na bok, natomiast ciało wyczekująco klęczało jeszcze przez chwilę, a potem ostatecznie przewróciło się w zabarwione na czerwono zasypane śniegiem.

\* \* \*

Hedrack chodził tam i z powrotem po komnacie, przyglądając się Falrinthowi i z niecierpliwością oczekując na nowiny. Czarodziej klęczał na kilku grubych poduszkach na środku podłogi z dłońmi złożonymi na podolku. Wydawał się być w transie, jego niewidzące oczy nie mrugały.

Wysoki kapłan poczuł nagle mrowienie, magiczne uczucie, które postawiło mu włoski na karku. Lareth nie żyje, dotarło do kapłana i Hedrack uśmiechnął się, zastanawiając, czy ta pąjąca dziwka wiedziała, co uczynił jej słudze. Ale najpierw Hedrack chciał poznać wynik bitwy na górze. Z pomrukiem zdenerwowania, przykucnął przed czarodziejem.

- Co tam widzisz? - spytał Falrintha - Jak poszła bitwa? Zwyciężyliśmy?

Czarodziej drgnął, jakby nagle przebudził się z drzemki.

- Nie. Obronili się, armia została pokonana i uciekła. Lareth nie żyje.

- Tak, wiem - odparł Hedrack, ponownie krążąc po komnacie. - Jak duże są nasze straty?

- Może z połowa, ale drużyna broniąc się, wyczerpała wiele magii. Pozostałe siły można przegrupować - zasugerował Falrinth.

Hedrack zastanowił się nad tym przez chwilę, a następnie pokręcił przecząco głową.

- Nie, pozwólmy im uciec. Spodziewałem się takiego wyniku i przygotowałem plan awaryjny. Poślę Barkinara, aby zebrał pozostałych przy życiu i przygotował ich na możliwość, niewielką jednak, że ci intryganci przeżyją moją małą niespodziankę i skierują się do świątyni.

Falrinth przytaknął, jednak wyraz jego twarzy jasno dawał do zrozumienia, że nie pojął, o co chodzi Hedrackowi.

- Jak sobie życzysz - w końcu powiedział czarodziej.

- Odejdź - rozkazał Hedrack. - Pilnuj tych poszukiwaczy i jak tylko będziesz coś wiedział to mów. Chcę znać ich następne ruchy.

Falrinth podniósł się i zaczął się zbierać do wyjścia.

- Oni mogą znaleźć wejście do środka - powiedział czarodziej. - Okazali się bardziej zaradni, niż to przewidywaliśmy.

- Być może - przytaknął wysoki kapłan, wykrzywiając usta. - Dlatego będzie na nich czekał Barkinar.

Falrinth przytaknął i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Hedrack jeszcze przez chwilę po odejściu czarodzieja wpatrywał się w zamknięte odrzwia, zastanawiając się, co najlepiej będzie uczynić. Postanowił, że pozwoli, aby nędzni intryganci weszli do świątyni. Pomyśl ten, chociaż niebezpieczny, sprawił, że aż oblizwał wargi z uciechy. Jeśli dostaną się do środka, będzie łatwiej ich schwytać i dostarczyć Iuzowi.

\* \* \*

Poranek, poza odgłosami, jakie wydawali strudzeni walką przyjaciele, oddychając ciężko i posapując, był całkiem cichy. Przez chwilę Przymierze stało nieruchomo, wpatrując się w bezgłowe ciało Laretha leżące w głębokim śniegu. Palce martwego kapłana wciąż się poruszały, być może nawet po śmierci starając się dokończyć czar, którego nie udało mu się rzucić za życia.

Govin, wciąż z mieczem w dłoniach, stał na lekko rozstawionych stopach i przyglądał się swemu dziełu. Pochylił głowę, zamknął oczy i cicho wypowiedział kilka słów podziękowania świętemu Cuthbertowi za danie mu siły potrzebnej do odniesienia zwycięstwa. Kiedy ponownie otworzył oczy, nie było w nim żalu - ani złości, ani radości - zauważył Shanhaevel - jedynie spojrzenie człowieka, który zrobił to, co musiał zrobić i nie będzie się nad tym dłużej rozwodził.

Shanhaevel także, na moment, zamyślił się, wdzięczny losowi za to, że bitwa się skończyła.

Nagle ciche poranne powietrze przeszło przenikliwe zawrodozenie nienaturalnym odgłosem śmierci i rozpacz. W mgnieniu oka czarodziej zorientował się, że pośród lasów przebudziła się śmierć. Zbladł, widząc jak ciemna, mglista rzecz wznosi się z ciała zabitego kapłana - potworny cień wyciągnął osiem cienkich nóg, rosnących powoli w powietrzu, zanim nie stanęły mocno na ziemi. Głowa stworzenia - demonicznego, niematerialnego pająka - należała do Laretha.

- Na Boccoba! - wykrzyknął Shanhaevel, czując jak krew w żyłach staje się tak zimna jak otaczający go śnieg.

- Do studni! - krzyknął Elmo, już biegnąc. W szaleńczym pędzie szóstka towarzyszy śmięła przez podwórzec, kierując się prosto do studni. Shanhaevel rozpoczął zaklęcie, nie przerywając recytacji, mimo że Elmo już dopadł do ocembrowania i przechodził na drugą stronę. Kawalki gruzu i desek latały wokół niego, gdy rozpaczliwie starał się rozebrać blokadę postawioną poprzedniej nocy przez Dragę i Ahleage. W końcu oczyścił kawałek przejścia, wygrzebując otwór tak duży, aby człowiek mógł się zmieścić i gestem nakazał Shirral, aby przeszła pierwsza. Ahleage był następny. Do czasu, gdy Draga, Govin i Elmo zniknęli w studni, duch zdążył się już prawie oddzielić od ciała, z którego powstał, i nie można było nie zrozumieć wiadomości, jaką przekazywał w potwornym wyciu, zwiastującym jego pragnienie życia, dusz. Cień łaknął życia, a Shanhaevel rozumiał, co oznaczało zostanie złapanym. Pieśń stworzona niosła w sobie ciemność, terror, wieczny ból i zimno. Elf modlił się, żeby jego czar, wspomóżony dużą ilością śniegu, skrył drogę ucieczki Przymierza. Gwałtownym ruchem dłoni czarodziej dokończył zaklęcia i natychmiast poczuł mroźny, dotkliwy wiatr, który przyzwał. Podmuchy wirowały na polanie, tworząc ze śniegu i dymu oślepiającą szarą mgłę, która czyniła niewidocznym wszelki ruch i uniemożliwiała odczytanie tropów na śniegu. Zadowolony,

że ich ślady zostały ukryte, Shanhaevel wskoczył do studni, zatrzymując się na chwilę na początku drabiny.

*Ormielu, leć! Odleć daleko i czekaj na moje wezwanie. Ja chowam się w ziemi. Złe rzeczy pośród drzew. Odlatuję.* Nadeszła odpowiedź. *Tak,* odpowiedział Shanhaevel. *Może mnie nie być przez długi czas. Czekaj na mnie. Ogrzej się. Będę czekać.*

Usłyszawszy to, Shanhaevel zszedł na dno i wskoczył do tunelu, Govin zamknął drzwi, a Ahleage opuścił sztabę na miejsce. Grupa stała dysząc i spoglądając po sobie szeroko otwartymi oczami w świetle latarni, której blask dodatkowo przytłumił Elmo.

- Co to było? - drżącym głosem wyszeptał Draga.

- Nieumierająca śmierć - ponuro odparł Govin. - Wkrótce nas dopadnie. Wyczuwa naszą siłę życiową i nie spocznie, dopóki nas nie znajdzie.

- Zgaduję, że wobec tego nadszedł czas na spenetrowanie świątyni - drwiąco powiedział Ahleage, ale w jego oczach nie było humoru.

- Prowadź - powiedziała mu Shirral, a jej twarz pobłyskiwała blado w ciemnościach.

\* \* \*

Tunel opadał równomiernie, wiodąc przez gliniaste podłoże, w regularnych odstępach podpierany solidnymi balami z drewna. Po jakimś czasie odkryli, że został wyrąbany w skale wapiennej. Było wąsko i zimno, ale Ahleage posuwał się cały czas naprzód, dość szybko, lecz ostrożnie. Czteryście kroków i kilka lekkich zakrętów dalej znaleźli się w północnym krańcu jaskini długiej na jakiś tuzin metrów. Drugie przejście prowadziło na wschód. Według mapy, znalezionej przez Ahleage w pokrywie kufra, szóstka poszukiwaczy była teraz mniej więcej pod miejscem, gdzie znajdował się północno-zachodni narożnik świątyni, oczywiście wciąż głęboko pod powierzchnią ziemi.

- To tu - powiedział Ahleage, uniósłszy wysoko latarnię i przyglądając się trzymanej w dłoni kartce papieru. - Zgodnie z mapą drugi korytarz powinien odchodzić dokładnie stamtąd - pokazał na południowo-wschodni narożnik owalnej jaskini. W naturalnej wapiennej ścianie nie było widać niczego specjalnego.

- Pozwólcie mi spojrzeć - powiedział Shanhaevel - moje oczy lepiej się do tego nadają.

Czarodziej podszedł do wskazanego przez Ahleage miejsca i przyjrzał się skale.

Shirral przysunęła się do niego.

- Nie tylko ty masz dobry wzrok - mruknęła.

Shanhaevel spojrział się na nią, potaknął i wrócił do obserwacji ściany. - Pójdę drugim korytarzem i zobaczę, gdzie się kończy - oznajmił Ahleage. - Zaraz wracam. - Idę z tobą - powiedział Draga. - Tak na wszelki wypadek.

Mówiąc to, odeszli obaj, zabierając ze sobą jedną z latarni.

Elmo wysoko trzymał drugą, starając się, by każdy dokładnie mógł się przyjrzeć wapiennym ścianom.

- Zawsze niepokoi mnie, kiedy on tak odchodzi - wymamrotał Govin, kręcąc się w kółko w środku pomieszczenia. - Nadejdzie czas, kiedy nie wróci i... - nie dokończył rycerz.

- Tu jest! - wykrzyknęła Shirral, prowadząc palcem po słabej pionowej szczelinie. - Dokładnie tutaj.

Reszta grupy stłoczyła się wokół niej, przyglądając się odkryciu.

- Wygląda na to, że to obracająca się płyta - powiedział Govin. - Elmo, spróbujemy?

Potakując, Elmo stanął obok rycerza i obaj popchnęli kamień. Przekręcił się łatwo, odkrywając wąskie przejście.

Shanhaevel podniósł postawioną przez Elma latarnię i zaświecił do środka tunelu. Korytarz biegł prosto do miejsca, skąd docierało nikłe światło.



- Cóż, to zgadza się z tym, co jest narysowane na mapie - powiedziała Shirral. - Szkoda, że nie pokazuje ona, co znajduje się na drugim końcu.

- Zaraz się tego dowiemy - powiedział Govin. - Jak tylko powróci ta dwójka.

- Czy jesteś pewien, że to dobry pomysł? - spytała Shirral. - W walce zużyłam wiele magii. Muszę odpocząć i odzyskać moc.

- Nie sądzę, żebyśmy mogli sobie pozwolić na czekanie - rzekł Elmo. - Ta wyjąca rzecz, która powstała z Laretha, będzie nas ścigać i nie możemy dopuścić do tego, żeby nas dogoniła.

Shirral pokiwała głową.

- Chyba masz rację.

Chwilę później powrócili Ahleage i łucznik, niosąc ze sobą skrzynię. Draga w wolnej ręce niósł także jakieś sukno i dodatkowy kołczan.

- Zobaczcie, co znaleźliśmy - powiedział Ahleage, stawiając skrzynię i otwierając jej wieko. W środku znajdowały się małe pojemniki, wszystkie kunsztownie wykonane i pokryte kosztownościami. - Tunel ciągnie się kawał drogi, a na końcu jest małe pomieszczenie. To wszystko leżało u podstawy drabiny. Nie zawracaliśmy sobie głowy wchodzeniem do wieży.

Shanhaevel zauważył zwinięte sukno w dłoni Dragi i spytał, czy może mu się przyjrzeć. Kiedy je rozłożył, spostrzegł, że jest to peleryna utkana rzadko spotykanym splotem. Widział taki materiał tylko raz, w domu w Uwiędłym Lesie.

- Elfia! - westchnął. - To rzeczywiście rzadkie znalezisko. Patrzcie.

Zarzucił pelerynę na ramiona i podszedł do ściany. Reszta grupy westchnęła ze zdumienia, kiedy wtopił się w otaczające skały.

- To magia? - spytał Ahleage, gdy Shanhaevel zdjął opończę.

- Częściowo - odparł elf. - Magia i sposób, w jaki elfy splatają włókna, aby odbijały światło.

- A co z tym? - zapytał się Draga, wyciągając znaleziony kołczan.

Shanhaevel podszedł do łuczniaka i wyjął strzałę. Przez chwilę przyglądał się jej uważnie. Jego oczy spostrzegły to, co miał nadzieję dojrzeć, mały znaczek wryty na drzewcu.

- Noszą magiczny znak - powiedział Dradze. - Są bardzo cenne. Używaj ich rozważnie.

Draga przytaknął z drwiącym uśmiechem, przełożył strzały do własnego kołczanu i wyrzucił znaleziony.

- Resztę zostawmy tutaj - zdecydował Govin pokazując na skrzynię. - Weźmiemy to, wracając.

- Zakładając, że będziemy tędy wracali - powiedział Ahleage. - Ta armia nad naszymi głowami na pewno w końcu domyśli się, gdzie zniknęliśmy - zamknął wieko i postawił skrzynię przy ścianie obok tunelu, do którego kierowała się grupa.

- Chodźmy - ponaglił Elmo.

Jeden po drugim członkowie Przymierza weszli w wąskie przejście i prowadzeni przez Ahleage poszli tunelem. Opadał bardziej gwałtownie niż poprzedni i był tak wąski, że od czasu do czasu Govin, Elmo i Draga musieli iść bokiem, żeby się przecisnąć.

Szli wolno, ale w końcu przejście rozszerzyło się i skręciło, stając się lepiej zbudowanym korytarzem. Strop był wykończony łukami, a w ścianach, co jakiś czas, znajdowały się uchwyty na pochodnie. W niektórych wciąż tkwiły nasączone oliwą szczapy, chociaż żadna z nich nie była zapalona. Sama praca kamieniarska świadczyła o dobrej jakości solidnym rzemiośle, a ściany i podłoga zostały dobrze wypolerowane.

Po chwili Shanhaevel poczuł lekki prąd powietrza, z którego wydedukował, że miejsce było w jakiś sposób wentylowane.

- Myślę, że dotarliśmy - wyszeptła Shirral, dotykając z drzeniem dłonią do jednej ze ścian. Korytarz przed nimi ponownie zakręcał.

- Taaa... dotarliśmy - powiedział Govin. - Wyczuwam zło. Nawet ściany przesiąknięte są złem.

- Zostańcie tu - cicho zawołał Ahleage i śmignął w ciemność, zatrzymując się na rogu i rozglądając się wokoło. Poczekał przez chwilę i zniknął za zakretem.

Govin westchnął, ale wszyscy czekali na powrót Ahleage. Shanhaevel zastanawiał się nad pozostałymi mu czarami, rozważając, które mogą być najbardziej użyteczne.

W tym momencie usłyszeli krzyk Ahleage, a zza załomu rozbłysło ostre pomarańczowe światło płomieni rozświetlające cały korytarz.

Govin momentalnie znalazł się za zakrętem korytarza, trzymając w dłoni wyciągnięty miecz. Reszta drużyny bezzwłocznie podążyła za nim. Za Ahleage, wokół narożników dużego skrzyżowania, szerokie przejście rozbłyskało płomieniami, podczas gdy tą część korytarza, którą obecnie przemierzali kryły ciemności. Kiedy Shanhaevel dostrzegł stojącą kawałek dalej nieruchomą sylwetkę Ahleage, z jednym ramieniem uniesionym do góry, tak jakby jego towarzysz zasłaniał się przed atakiem, serce elfa na moment zamarło. Postać mężczyzny nawet nie drgnęła.

- Govinie, zaczekaj! - krzyknął elf, zwalniając i przytulając się do ściany tunelu. Rycerz zatrzymał się i obrócił, by spojrzeć na Shanhaevela, który gwałtownie gestykulował, żeby zawrócić go z drogi.

- Chodź tutaj! - syknął czarodziej.

- Na Cuthberta! Co mu się stało? - przez zaciśnięte zęby zapytał Govin, kiedy wrócił do czarodzieja. Ponownie zrobił pół kroku w przód, prawie niezdolny do powstrzymania się od ruszenia na odsiecz Ahleage. Ze swego miejsca, będącego dogodnym punktem obserwacyjnym, Shanhaevel spostrzegł, że sprawdziły się jego najgorsze obawy: Ahleage został zmieniony w kamień.

- Spokojnie, rycerzu - powiedział Elmo zbliżając się do nich. - Cokolwiek spotkało Ahleage, może się przydarzyć też i tobie. Musimy być ostrożni.

- Wygląda, że został zamieniony w kamień - wyszeptał Shanhaevel.

Govin wybałuszył oczy. - Co? - warknął. - Musimy coś zrobić!

- Cii! - syknął Shanhaevel, nakazując rycerzowi, żeby ściszył głos. - Zrobimy! Ale jeśli nie będziesz cicho, cała świątynia dowie się, że tu jesteśmy.

- Co powinniśmy począć? - spytał Draga zza pleców tej trójki.

- Pozwól mi pomyśleć - odparł czarodziej. - Cokolwiek zrobicie, *nie patrzcie* na cokolwiek, co wyjdzie zza tego rogu.

Shanhaevel przez moment przyglądał się Ahleage, a odległe płomienie migotały i rzucały jego cień na ścianę.

- W porządku - powiedział w końcu elf, wręczając swój drag Elmowi. - Govinie, daj mi tarczę.

Rycerz spojrział na niego ze zdziwieniem, ale wykonał polecenie. Shanhaevel aż westchnął, kiedy ją chwycił, jako że była dużo cięższa, niż się spodziewał. Uniósł ją przed sobą i, przyciskając plecy do ściany, poszedł w dół korytarza.

- Co do diaska robisz? - krzyknął Govin.

Shanhaevel zignorował rycerza i zbliżył się do skrzyżowania, tak że znalazł się zaraz za Ahleage. Trzymając tarczę wysoko przed sobą, w ten sposób, że zasłaniała mu oczy, wyszedł za róg, wpatrując się w podłogę.

- Czarodzieju! Zatrzymaj się! - powtórnie krzyknął Govin.

Shanhaevel ponownie go zignorował, koncentrując się na tym, na co patrzył, czy raczej, na tym, na co nie patrzył. Powoli, przesuując tarczę dookoła, po kawałku przyjrzał się przejściu.

Błyski ognia dochodziły z kilku miejsc, a najjaśniejsze były te, które dobiegały z dwóch koksowników stojących po jednym na każdym rogu skrzyżowania w kształcie litery T. Bliższy z nich znajdował się jedynie kilkanaście centymetrów od Ahleage. Każdy koksownik zapalał strumyczek ognia pochodzący z palącej się oliwy, płynącej w płytkich kanałkach wykutych w podłodze wzdłuż ścian. Kanałki miały jakieś dziesięć metrów długości i były wyprowadzone z ogromnej fontanny. Tą również wypełniała jasno płonąca oliwa. W ścianach otaczających fontannę, po obu stronach, znajdowały się drzwi. Między Shanhaevelem i fontanną płonącej oliwy stało stworzenie, które znał wyłącznie z legend.

Ciembrozowa bestia była nieco podobna do jaszczura, jednak zamiast czterech łap miała osiem. Zwierzę syczało i warczało, kołysząc łbem w przód i w tył, jakby starając się przyciągnąć wzrok czarodzieja, Shanhaevel jednak spoglądał w bok, unikając spojrzenia mu w oczy.

Zrozumiawszy, z czym przyszło mu się zmierzyć, elf pospiesznie zaczął się cofać, wciąż trzymając podniesioną tarczę i odwracając wzrok od spojrzenia bestii. W końcu zawrócił i podszedł kilka kroków w stronę grupy, obniżając tarczę, aby porozmawiać.

- To bazyliszek - cicho powiedział czarodziej. - Jego spojrzenie może zamienić człowieka w kamień. Jeśli wyjrzy zza rogu, nie spoglądajcie w jego pysk!

Grupa zamarła i czekała przez kilka chwil, ale potwór nie pojawił się. Zaskoczony Shanhaevel próbował przypomnieć sobie wszystko, co słyszał o tym legendarnym stworzeniu.

- Poczekajcie tu na mnie - odezwał się w końcu.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał Govin.

- Spróbuję go zniszczyć - odparł czarodziej, starając się, żeby jego głos zabrzmiał bardziej pewnie, niż on sam czuł się w rzeczywistości. - Mimo bitwy na górze wciąż zostało mi jeszcze parę czarów.

- Uważaj na siebie - poprosiła go Shirral, błyskając swoimi lodowato niebieskimi oczami.

Shanhaevel potaknął, przełknął ślinę i obrócił się, by ostrożnie przesunąć się za załom przejścia. Nic nie miało dla niego sensu. Dlaczego to stworzenie znalazło się na dole? Jak się tu dostało? Pamiętał, że odbity wzrok bazyliszka mógł zamienić potwora w kamień, ale był całkiem pewien, że żaden z towarzyszy nie ma niczego nawet odlegle przypominającego lustro. Kręcąc głową, doszedł do rogu i chowając się za skamieniałym towarzyszem rozpoczął czar.

Stojąc za Ahleage i trzymając tarczę Govina między sobą a bestią, Shanhaevel skierował wolną rękę w stronę bazyliszka i wymówił końcowe frazy zaklęcia. Momentalnie poczuł biegnącą wzdłuż ramienia magiczną siłę, która rozbłysła światłem błyskawicy. Shanhaevel obserwował, jak jego magiczny piorun połączył brzegi korytarza między nim a odległą ścianą, gdzie wciąż paliła się ognista fontanna. Błyskawica pochłonęła ciało przykucniętego przed elfem stwora - i przeszła przez nie, nie robiąc mu najmniejszej nawet krzywdy.

Bazyliszek, najwidoczniej nie drażnięty jego atakiem, wciąż trzymał się na łapach, sycząc i bujając się niemal tak samo jak przedtem.

- Co do diaska robisz? - krzyknęła Shirral.

Shanhaevel nie odpowiedział. Oczy zwięziły mu się ze zdumienia. Mimo że jego piorun nie miał takiej mocy jak te Lanithaine'a, był pewien, że bestia powinna odnieść jakieś obrażenia.

Może bazyliszki są odporne na magię elektryczności, pomyślał czarodziej. Wobec tego spróbujmy trochę ognia.

Obniżywszy tarczę, ale wciąż uważając, żeby nie spojrzeć w pysk potwora - Shanhaevel przywołał jeden ze swych znanych, niezawodnych do tej pory czarów. Z jego rozpostartych palców wytrysnęła kula ognia, zmierzająca w stronę bazyliszka.

I tym razem nic się nie stało. Bazyliszek w najmniejszym stopniu nie zareagował i wyglądał na zupełnie nie zranionego atakiem czarodzieja. Shanhaevel, potrząsając głową, cofnął się i zaczął myśleć. Znajdujący się za nim Govin zrobił parę kroków do przodu.

- Co się do diaska dzieje? - nalegająco zapytał rycerz - żyje jeszcze?

- Taaa... - odparł Shanhaevel głosem zdradzającym frustrację. - Jak dotąd nawet go nie drasnąłem. Mam jeszcze jeden pomysł. Poczekajcie.

Powiedziawszy to, Shanhaevel sięgnął po kolejny zapas magicznej energii, skupiając siły mistyczne i kształtując z nich pożądaną czar. Wyszedł zza załomu i wycelował palec w bok bazyliszka, odpalając dwa zielone pociski, które powinny nieomylnie polecieć w kierunku bestii i trafić w nią. Niestety, tak się nie stało. Pierwszy pocisk wystrzelił prosto do przodu, ale zamiast uderzyć w bestię, przeleciał przez nią i rozbił się o odległą ścianę. Drugi natomiast już po drodze parsknął i zgasł, nieszkodliwie upadając z boku.

- Na Oerth - niedowierzająco krzyknął Shanhaevel. - To tak, jakby go tam nie było! - W tym momencie olśniło go. - Oczywiście! - powiedział strzelając z palców. - Nie ma go! To iluzja!

- Co tam mamrociesz? - spytał Govin, wciąż stojący za czarodziejem.

Shanhaevel roześmiał się. Nagle wszystko nabrało sensu! Stworzenie było iluzją, co wyjaśniało fakt, że pozostało przy fontannie, że nie wyszło zza rogu, żeby zaatakować ukrywającą się grupę i to, że żadne z zaklęć czarodzieja nie wyrządziło mu najmniejszej szkody.

- Wszystko w porządku - powiedział Shanhaevel, opuszczając tarczę Govina i obracając się do przyjaciół - nie ma go tam naprawdę. To magia iluzji, jeśli tylko uwierzysz, że go tam nie ma, znika. Ale musicie...

- Shanhaevel, uważaj! - krzyknął Elmo, jednym płynnym ruchem wznosząc łuk i przyciągając strzałę do policzka.

Shanhaevel okręcił się na pięcie, działając, zanim pomyślał, że może się pomylił i że bazyliszek po prostu zniknął z tamtego miejsca, aby pojawić się zaraz za nim. Ale tym, na co spojrzał, obróciwszy się gwałtownie, nie była magiczna bestia, ale elfka, z uśmiechem biorąca zamach mieczem, aby go powalić jednym uderzeniem.

Zachłyszawszy się ze zdumienia, Shanhaevel zasłonił się tarczą rycerza, zbyt wolno, żeby sparować cios, ale wystarczająco szybko, żeby zepchnąć zabójcze pchnięcie na bok tak, że ześlizgnęło się po żebrach, zamiast przebić mu serce. Odskakując od napastniczki, poczuł w boku płynne ciepło i ostry, kłujący ból.

W tym samym ułamku sekundy, w ramieniu elfki utkwiała strzała. Kobieta warknęła z wściekłości i zniknęła. Shirral krzyknęła, a Shanhaevel usłyszał dobiegający z tyłu dźwięk leżącej strzały, zobaczył, jak jedna za drugą przeleciały mu przed oczyma i zniknęły w powietrzu. Do uszu czarodzieja dobiegł jeszcze jęk bólu i w tej samej chwili uderzył plecami o ścianę i osunął się na podłogę, z bokiem przesiąkniętym krwią.

Govin podniósł miecz i zamachnął się, mierząc w miejsce, gdzie przed ułamkiem sekundy znajdowała się ich przeciwniczka. Jego ostrze świsnęło w powietrzu. Sięgnawszy w dół i wzięwszy tarczę z rąk Shanhaevela, rycerz podniósł ją do góry i posunął się do przodu, przyjmując pozycję obronną. Jego miecz zręcznie zakreślał szerokie półkola.

- Ostrożnie! - wychrypiał Shanhaevel, próbując ostrzec Govina. - Jeśli uwierzysz, że tamten tam, bazyliszek, jest prawdziwy, zmieni cię w kamień!

Kiedy Elmo i Draga przebiegli obok z bronią w dłoniach, obok Shanhaevela zjawiała się Shirral. Druidka wzięła go za ramiona i odciągnęła do tyłu, z dala od walki. Jego bok rwał z bólu.

Shirral puściła czarodzieja i pozwoliła mu osunąć się na ziemię, sama w tym czasie szukając czegoś w głębi swego plecaka.

- Masz - powiedziała - wyjmując jedną z buteleczek, które grupa znalazła w skrzyni na wieży. - Wypij to - nakazała podnosząc mu ją do ust. Przełknął gęsty płyn, który Shirral wle-

wała mu do gardła. Miał smak popiołu i cynamonu. Tak samo jak napój, który uleczył druidkę.

Kiedy eliksir dotarł do żołądka, Shanhaevel zauważył, że ogarnia go leciutkie mrowienie. Po chwili stało się silniejsze i zauważył, że skupiło się w pobliżu rany, aż zaczął czuć, że ta zasklepia się i rozcięte ciało ponownie staje się jednością. Po chwili ból wyraźnie zelżał. Shanhaevel spojrział się na dół i zobaczył różową, świeżo zabliznioną tkankę, wyzierającą przez rozcięcie czarnej koszuli. Wstał, ponownie czując się w pełni sił.

Shirral już była na nogach, przysuwając się do Ahleage.

- Ostrożnie! - zawołał Shanhaevel zbliżając się do niej. - Pamiętaj, potwór nie jest prawdziwy, musisz w to naprawdę uwierzyć.

Shirral potaknęła, ale cała jej uwaga była już skupiona na polowaniu. Za plecami druidki Govin, Elmo i Draga poruszali się wolno i ostrożnie, starając się znaleźć niewidzialną napastniczkę.

Kiedy Shanhaevel podniósł drag, zdał sobie sprawę, że prawie zupełnie wyczerpał swe magiczne zasoby. Znaczną część energii wykorzystał w bitwie na powierzchni i teraz, po użyciu kolejnych czarów przeciwko bazyliżkowi, którego wcale nie było, zastanawiał się, czy od początku nie było to intencją przeciwnika. Bazyliżek znalazł się tu po to, żeby wyczerpać nasze siły - pomyślał. Elfka - i każdy inny tutaj - chcieli nas zmęczyć przed głównym atakiem.

W tej chwili kącikiem oka Shanhaevel zauważył jakiś ruch i obrócił głowę akurat, żeby spostrzec, jak elfka skacze z ukrycia w górze jednej ze ścian i celuje mieczem w plecy Shirral. Shanhaevel otworzył usta do krzyku, ale wszystko zdarzyło się zbyt szybko i zobaczył, jak ostrze zagłębia się między łopatkami druidki.

- Nie! - wykrzyknął Shanhaevel, widząc, jak Shirral osuwa się na podłogę. Zanim zdał sobie z tego sprawę, biegł w kierunku napastniczki z podniesionym dragiem. Elfka, stojąca nad Shirral obróciła się, uśmiechnęła wrogo do Shanhaevela i ponownie zniknęła mu z oczu.

Zapominając o kobiecie, Shanhaevel, ze zmartwiałym sercem, opadł na kolana obok leżącej Shirral.

Shirral nadal oddychała, ale jej ciało było bezwładne, a szkliste oczy wpatrywały się w przestrzeń. Shanhaevel chwycił jej głowę, powstrzymując łzy. Wciąż mamy czas, krzyczał jego umysł. Nie pozwól jej umrzeć!

- Govinie! - wykrzyknął czarodziej. - Shirral cię potrzebuje! Pozostała trójka zbliżyła się i otoczyła leżącą druidkę.

Zwróceniu do niej tyłem, strzegli przed kolejnym atakiem niewidzialnej napastniczki. Słyszając swe imię, Govin cofnął się do ochronnego kręgu i uklęknął naprzeciwko Shanhaevela.

- Nie jest dobrze - wyszeptał Shanhaevel, wciąż obejmując Shirral. - Tracimy ją.

- Pozwól mi się przyjrzeć - powiedział rycerz.

Rana między łopatkami była poszarpana, długa i głęboka, Shanhaevel zadrżał, spoglądając na dzieło elfki, zrozpaczony widokiem kości widniejącej pośród poszarpanej tkanki. Wyglądało to, jakby uszkodzony ciosem został kręgosłup druidki.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - powiedział Govin i zamknął oczy. Nie przejmując się krwią, położył ręce na ranie i zaczął się modlić do świętego Cuthberta.

Kiedy rycerz się modlił, Shanhaevel usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi. Spojrzawszy w górę, dostrzegł mężczyznę, ubranego podobnie do niego, który w tym momencie wszedł do pomieszczenia. Mężczyzna zaczął gestykulować, a jego palce tworzyły w powietrzu skomplikowany wzór. Czarodziej! Na usługach złych mocy!

- Nie przerywaj - wyszeptał Shanhaevel do rycerza, a następnie wstał, cały czas obserwując ruchy maga i starając się odgadnąć naturę rzucanego czaru.

Widząc mężczyznę wkraczającego do korytarza, Elmo i Draga zrobili jeden lub dwa kroki, ale obaj nie chcieli zostawić swoich towarzyszy. Shanhaevel zdał sobie sprawę, że znajdu-

jący się naprzeciwko niego czarodziej wykorzystuje to, najwidoczniej obyając się bez ochrony w czasie rzucania zaklęcia.

- Zostańcie tutaj - wymamrotał Shanhaevel, powstrzymując chęć ucieczki przed nieuchronnym czarem, który miał polecieć w ich kierunku. - Pozwólmy Govinowi dokończyć leczenie, a następnie rozprawimy się z magiem.

Cokolwiek ten przygotowywał, Shanhaevel nie rozpoznał zaklęcia. Kiedy czar został wypowiedziany, wokół mężczyzny pojawiła się słabo pobłyskująca kula energii, która lekko zamazała jego obraz. Mag natychmiast zaczął drugie zaklęcie.

- Co on robi? - spytał Draga. Jego szeroko otwarte oczy krążyły tam i z powrotem, szukając niewidzialnej napastniczki, ale nie chcąc odwracać się od czarodzieja. Schował miecz do pochwy, ściągnął łuk z ramienia i wyciągnął strzałę. Naciągając cięciwę, wycelował w maga.

- Shanhaevelu? Mogę?

- Tak - Shanhaevel odpowiedział potakując. - Nie pozwól mu skończyć.

Powiedział to chwilę za późno, ponieważ czarodziej dokończył zaklęcie i nagle pojawił się w pięciu osobach a wszystkie chroniły błyszczące magiczne kule. W tej samej chwili obok Dragi znów zmaterializowała się elfka, tnąc mieczem w broń łucznika. Jej nagłe pojawienie się zaskoczyło łucznika, który wypuścił strzałę ułamek sekundy przedtem, zanim cios zabójczy rozpołowił jego łuk. Strzała nieszkodliwie trafiła w jedną ze ścian.

Elmo skoczył, atakując wojowniczkę toporem i tym razem elfka nie miała szans na przywołanie niewidzialności. Musiała całkowicie skupić się na obronie przed ciosami ogromnego topornika. Z trudem parując wymierzone w siebie potężne uderzenia, kobieta wolno cofała się, rozpaczliwie chroniąc się mieczem przed ciosami.

- Falrintcie! - krzyknęła, cofając się. - Zróbże coś!

Draga rzucił swój zniszczony łuk, wyciągnął miecz i zbliżał się do licznych postaci czarodzieja. Ten pospiesznie rzucał kolejny czar.

W tym momencie krzyknęła Shirral, a Shanhaevel odwrócił się, żeby spojrzeć na druidkę. Govin wciąż nad nią klęczał z zakrwawionymi rękami, ale wyglądało na to, że skończył modlitwę. Shirral, leżąc twarzą do ziemi, wiła się z bólu, a jej paznokcie drapały surową kamienią podłogę.

- Na Matkę! - jęczała głośno, kołysząc się z boku na bok. - Tak boli! Och, jak boli!

- Co z nią jest? - wykrzyknął Shanhaevel, klękając obok Govina.

- Uleczyłem ją, na ile byłem w stanie, ale tak naprawdę zdołałem ją jedynie uratować od śmierci. Wciąż jest poważnie ranna.

- Zajmę się nią - odpowiedział Shanhaevel. - Pomóż Dradze i Elmowi.

Govin zawahał się, spojrzawszy na czarodzieja, a następnie pokiwał głową i stanął na nogi. Poświęcił chwilę, aby przyjrzeć się obu walkom, a potem przyłączył się do Dragi.

Miejmy nadzieję, że nie mamy tu dalszych niewidzialnych nieprzyjaciół, pomyślał Shanhaevel, przetrząsając plecak Shirral.

Kiedy znalazł kolejną z buteleczek, jakie zdobyli w wieży, odkorkował ją ostrożnie. Shirral u jego kolan jęczała cicho i żałośnie. Jej oczy były zamknięte, a na twarzy malowało się cierpienie. Shanhaevel wciągnął nosem zapach eliksiru i wyczuł znajomy aromat cynamonu i popiołu. Pochylił się i podniósł Shirral do pozycji siedzącej.

- No, dalej, wypij to - powiedział, pomagając druidce unieść się. - Wiem, że boli. Spokojnie, po prostu wypij to, a poczujesz się lepiej.

Shirral jęknęła i zacisnęła zęby. Powoli, niezdarnie, usiadła i, kiedy Shanhaevel wlał jej zawartość flakonika do ust, wypija cały płyn. Gdy buteleczka została opróżniona, Shanhaevel zaczął czekać na działanie magii.

Na szczęście lek zadziałał szybko i z ciała Shirral zaczęła emanować słaba niebieska poświata. Druidka ponownie zamknęła oczy, ale tym razem na jej twarzy pojawił się wyraz spo-

koju, a nie bólu. Kiedy lśnienie zniknęło, otworzyła oczy raz jeszcze i spojrzała na swego towarzysza.

- Lepiej? - spytał Shanhaevel. Shirral przytaknęła, a jej błękitne oczy zamigotały.

- Tak - powiedziała. - Dziękuję.

Ton jej głosu uskrzydlił Shanhaevela, ponieważ brzmiało w nim prawdziwe uczucie.

- Chodź - rzekł Shanhaevel, wstając i pomagając powstać Shirral. - Mamy sporo do zrobienia.

Razem podnieśli się i przyjrzeni toczącej się wokół nich walce. Elmo zdołał odepchnąć elfkę na pół długości korytarza, a Draga i Govin rozpaczliwie próbowali zaatakować czarodzieja, którego zabójczyni nazwała Falrinthem. Niestety elfka zdołała właśnie ponownie zniknąć, a Draga i Govin nie mogli zgadnąć, która postać czarodzieja jest prawdziwa, chociaż udało im się ograniczyć liczbę wizerunków z pięciu do trzech. Shanhaevel zauważył także, że mag rzuca kolejny czar.

- Posłuchaj - powiedział Shanhaevel, zwracając się do Shirral. - Możemy pokonać tego Falrintha, jeżeli najpierw pozbedziemy się pani Niewidzialnej.

- Znam kilka sztuczek, które mogą się przydać - odrzekła Shirral - ale najpierw muszę wiedzieć, gdzie ona jest.

- Mam czar, który może poskutkować - odparł Shanhaevel. - Przygotuj się.

Łatwo przywołał magiczną energię, wykonał kilka gestów i poczekał na działanie zaklęcia. Kiedy skończył, widok przed jego oczami zmienił się całkowicie. Widział teraz wszelkie oznaki magii, aury dochodzące z wielu miejsc na całym odcinku korytarza, gdzie walczyła kompania.

Trzy wizerunki Falrintha świeciły jaskrawo, podobnie jak świecące kule energii, co wcale nie zaskoczyło Shanhaevela. Iluzja bazyliuszka, o którym czarodziej już niemal zapomniał, świeciła także. Elf spodziewał się ujrzeć te wszystkie manifestacje magii. Blask dobiegał także od skamieniałego Ahleage, podobnie jak od kilku przedmiotów i broni znajdujących się w posiadaniu towarzyszy. Oprócz tego po obu stronach fontanny zobaczył dwa nieruchome kształty również promieniujące magią. Shanhaevel, zdumiony ich obecnością, przyglądał się im przez chwilę. Miały niewyraźne kontury, niezupełnie ludzkie, i stały nieruchomo, jakby czekając na jakieś instrukcje. Zaskoczony, ale wyczuwając, że nie stanowią bezpośredniego zagrożenia, Shanhaevel dalej przyglądał się otoczeniu.

W ten sposób mógł skupić uwagę na dwóch innych źródłach, jednym, które spodziewał się znaleźć i drugim, które go zdziwiło. Pierwszym, była oczywiście elfia zabójczyni. Zdołała ominąć Elma i kierowała się w górę korytarza. Wydawała się zmierzać na ich dwójkę, co doskonale pasowało Shanhaevelowi. Ostatnia magiczna poświata dobiegała od małego stworzenia znajdującego się wysoko na jednej ze ścian szerokiego korytarza, w pobliżu drzwi, którymi wszedł czarodziej.

Wyglądało to na wija o długości około trzydziestu centymetrów i siedziało w pęknięciu ściany, przyglądając się z zainteresowaniem wszystkiemu, co działo się na dole. Zaskoczyło to Shanhaevela, ale nie miał czasu się zastanowić, ponieważ elfka już zbliżała się do nich.

- Mów cicho i udawaj, że przyglądasz się czarodziejowi - powiedział Shanhaevel do Shirral. - Jest blisko. Gotowa?

- Tak - wyszeptła druidka. - Powiedz mi gdzie.

Zabójczyni zbliżyła się i zatrzymała trochę z boku i za Shirral, a Shanhaevel spiął się w sobie. Kiedy zobaczył, że kobieta podnosi do góry miecz, by go za chwilę opuścić na głowę Shirral, zawirował, parując uderzenie swym drągiem. Elfka zamrugła i, zdziwiona niespodziewaną obroną, na moment nie ruszyła się z miejsca. Shanhaevel wykorzystał sytuację i wymierzył kobiecie cios prosto w mostek drugim końcem drąga.

Shirral odwróciła się i wskazała na kobietę, wykrzykując pojedyncze słowo i przywołując magię ziemi. Natychmiast wokół elfki, która odsunęła się od Shanhaevela i zdawała się odzy-



skiwać siły, pojawiła się słaba purpurowa poświata. Shirral wyciągnęła sejmitar i zmierzała w kierunku elfiej zabójczyni, która zgrabnie uskoczyła na bok. Kiedy Shirral obróciła się, aby stanąć na przeciwko niej, uśmiech drugiej kobiety zmienił się w grymas, cofnęła się ze zmieszaniem wypisanym na twarzy.

Elmo, zobaczywszy rozgardiasz wokół Shanhaevela i Shirral, pospieszył, aby do nich dołączyć i zbliżył się do elfki, która zdążyła zdać sobie sprawę, że nie jest już niewidzialna. Na jej twarzy pojawił się wyraz paniki.

Shanhaevel obrócił się, by zobaczyć, co dzieje się z innymi. To, co rozgrywało się przed jego oczami, zaszokowało go i przeraziło. Draga znalazł się między Govinem a czarodziejem i atakował rycerza, a Govin, nie chcąc skrzywdzić swego towarzysza, starał się go obejść, ale łuczniczka nie pozwalała mu na to.

Został w jakiś sposób zaczarowany, zdał sobie sprawę Shanhaevel. Ten gnojek wykorzystuje Dragę przeciwko nam.

Shanhaevel przesunął się do przodu, gotów zaatakować Falrintha, kiedy Govin przestał walczyć i zachichotał. Elf, skonsternowany, zamarł w pół kroku, zastanawiając się, co tak mogło nagle rozbawić rycerza w tak nieodpowiednim momencie. Govin stał jak przykuty do swego miejsca, a jego chichot przerodził się w pełen śmiech. Upuściwszy miecz i tarczę, rycerz złapał się za boki, zginając się w pół i zanosząc śmiechem, ledwo mogąc złapać oddech.

Kolejne czary, pomyślał Shanhaevel. Koniecznie muszę dostać w swoje ręce księgę czarów tego gnojka. Ale najpierw...

Shanhaevel ponownie zaczął zbliżać się do zdradzieckiego czarodzieja, ale nagle zatrzymał się, zauważając, że jego czar wykrywania magii właśnie rozwiął się, pozostawiając mu jedynie zwyczajne widzenie. Gigantyczny wij w pęknięciu ściany był jednak wciąż widoczny, chociaż dobrze zamaskowany. Shanhaevel nagle zrozumiał, czym jest wstrętny owad.

Pozostała mu zaledwie garstka czarów, ale ten, którym właśnie miał zamiar się posłużyć, mógł się okazać niezwykle przydatny. Po raz kolejny przywoławszy nadnaturalną energię, machnął dłonią w kierunku wija, który widząc gest elfa, odwrócił się i próbował uciec w ścianę. Na szczęście nie był wystarczająco szybki.

W mgnieniu oka w przód poszybowała długa świetlista strzała, ciągnąc za sobą strużkę płynu. Magiczny pocisk trafił, wrażliwie się w ciało gigantycznego owada i oblewając go żrącym płynem. Wij zadygotał w agonii i wypadł z dziury, spadając na kamienną podłogę i transformując się. Shanhaevel usłyszał odległy krzyk czarodzieja i upewnił się, że jego przypuszczenia były słuszne.

Kiedy stworzenie uderzyło o podłogę, legło nieruchomo, ale straciło kształt wija. Shanhaevel nie rozpoznał go dokładnie, ale nie miał wątpliwości, że był to jakiegoś rodzaju imp, przywołany z niższych planów. Jego ciało dymiło i skwierczało, kiedy płyn, będący silnym kwasem wsiąkał w nie i trawił.

- Dziękuję ci, Melfie - wymamrotał Shanhaevel, wyrażając uznanie dla twórcy magicznej strzały kwasu, którą właśnie wykorzystał do zabicia impa.

Do tego czasu Govin przestał się śmiać, a Draga z powrotem stał się sobą. Obaj zbliżali się do Falrintha, którego twarz była teraz z lekka poparzona, niczym od kwasu, i który rozpaczliwie starał się rzucić jeszcze jedno zaklęcie.

- Bierzcie go - zawołał Shanhaevel. - Nie pozwólcie mu na kolejny czar!

Dwójka wojowników nie była wystarczająco szybka. Za Falrinthem pojawił się świecący portal, obramowany dziwnym światłem, do którego mag zdążył się przed nimi cofnąć. Jak tylko przez nie przeszedł, przejście zniknęło z pola widzenia.

- A niech to! - ryknął Govin, trafiając mieczem w miejsce, gdzie przed chwilą znajdował się portal. - Ażeby zaniósł go do piekieł!

Rycerz okręcił się dookoła, szukając czegoś, czegokolwiek, aby zaatakować. Kiedy spostrzegł, że nie ma wrogów, westchnął głośno, a jego ramiona opadły.

- Jeśli kiedykolwiek znajdę tego czarodzieja... - rozpoczął, ale nie dokończył groźby. - Shanhaevelu, nie wiem, czy masz w swoim repertuarze czar, którego użyto przeciwko mnie, ale nigdy nie zmuszaj mnie do takiego śmiechu. Nigdy.

Shanhaevel powstrzymał uśmiech. Mógł sobie jedynie wyobrazić oburzenie, jakie czuł rycerz, musząc przeżywać coś tak upokarzającego. To była niegodziwość.

- Nigdy bym ci tego nie zrobił - powiedział elf poważnie, starając się ukryć uśmiech. - Obiecuję.

Govin przez chwilę mierzył młodego czarodzieja niepewnym wzrokiem, potem szorstko skinął głową i wskazał palcem na coś znajdującego się za Shanhaevelem.

- Co to u diabła jest?

Elf obrócił się, i spostrzegł, że rycerz pokazuje martwego impa.

- Dokładnie - odpowiedział. - To rzecz z samych piekieł - jakiś rodzaj impa, może quasit. Był chowańcem czarodzieja, tak jak Ormiel jest moim. Odkryłem, że nas obserwuje i kiedy go zabiłem, czarodziej również odniósł obrażenia. Między magiem a chowańcem istnieje silna więź. Kiedy jeden cierpi, drugi cierpi również.

- To dlatego nagle znalazł się w agonii?- spytał Govin. - A dlaczego jego twarz wyglądała na poparzoną?

- Ja również odniósłbym poważne obrażenia, jeśli coś przytrafiłoby się Ormielowi.

- No cóż, w takim razie myślę, że wiem, jak wyrównać rachunki, jeśli kiedykolwiek rzucisz na mnie ten piekielny czar śmiechu.

Elf uniósł brwi, ale iskierka w oku Govina przekonała go, że jego druh się z nim po prostu przekomarzał.

- Popatrzmy, jak poszło innym - powiedział rycerz. Shanhaevel obrócił się, aby zobaczyć, jak Shirral i Elmo przyglądają się ciału elfki. Shirral zdjęła coś z twarzy kobiety i nagle wyprostowała się i odsunęła, rzucając tę rzecz z obrzydzeniem. Govin podszedł bliżej, a Shanhaevel i Draga poszli za nim.

- Co się stało? - zapytał łucznik.

- Ona nie jest elfką - odrzekła Shirral, wpatrując się w ciało.

- Co masz na myśli? - spytał Govin.

- Była jedynie przebrana za elfkę - wyjaśnił Elmo z poważnym wyrazem twarzy.

- Cóż, wobec tego cieszymy się przynajmniej, że nie popsuka dobrego imienia elfów - żartował Shanhaevel, podchodząc do druidki, żeby rzucić okiem na ciało. - Więc co cię niepokoi?

Shirral skrzywiła się.

- Nie, nic, oprócz tego, że wygląda, jakby miała w sobie domieszkę orczej krwi.

- Co, mieszaniec, tak? - powiedział Govin, potakując. - Jasne.

- Co to miało znaczyć? - odezwała się Shirral, obracając się, by spojrzeć na rycerza gorącymi oczami.

Shanhaevel mrugnął, obawiając się tego, co miało się zaraz stać.

Govin mrugnął kilka razy ze zdziwionym wyrazem twarzy, wtem jego oczy rozszerzyły się.

- Nie! To znaczy... - zająknął się. - Chodziło mi o to - nie to miałem na myśli! - wziął głęboki oddech. - Chciałem powiedzieć, że byłem zdumiony tym, że znalazł się tu elf. Wiele półorków nie ma szczęścia w życiu, z powodu potępienia przez obie rasy. To sprawia, że półork prędzej wpadłby w objęcia świątyni niż elf. O to mi chodziło.

Shirral nie odwróciła wzroku.

- Nie tylko półorki są potępiane przez obie swe rasy. Według większości ludzi mieszaniec jest mieszanelem, obojętne jaką ma w sobie krew.

Twarz Govina spoważniała.

- Shirral z lasów, córko ziemi i powietrza, masz moje najszczęśliwsze słowo, jako sługi świętego Cuthberta, że twoje pochodzenie zupełnie mnie nie interesuje. Jesteś wierną i prawdziwą towarzyszką. Szanuję twoją przyjaźń i nigdy nie uraziłbym twego dziedzictwa.

Oblicze Shirral złagodniało.

- W porządku, Govinie. Dziękuję.

- Cóż, nie ważne, jaka jest jej krew - powiedział Elmo, powstając - mamy przed sobą poważniejszy problem.

- Co takiego? - spytał Shanhaevel.

- Może to tylko zbieg okoliczności - odparł Elmo, kręcąc głową - ale ona - wskazał na martwego półorka - nazwała go Falrinthem.

- Więc? - spytała Shirral, zabierając kobiecie kolczyki i pas.

- Tak nazywał się czarodziej, który walczył razem z Thrommelem dziesięć lat temu - odparł Elmo. - Burne powiedział mi kiedyś, że Falrinth miał kluczowe miejsce w ich planie zniszczenia demona. Kiedy padł w czasie bitwy i został złapany przez siły świątyni, reszta musiała zmienić plan i zamknąć demona w podziemiach, zamiast się z nim zmierzyć i zniszczyć. Wszyscy żałowali straty przyjaciela. Burne przez wszystkie te lata zakładał, że Falrinth został zabity.

- A ty sądzisz, że to może być on? - spytał Shanhaevel. - Ten sam Falrinth? - To całkiem możliwe - odparł Elmo. - Mogli go złamać, zamiast zabić, przekabacić na swoją stronę. Być może przywódcy świątyni wykorzystują go w poszukiwaniu klucza. Jego wiedza o mocy demona była bardzo rozległa. - Burne musi się o tym dowiedzieć - powiedziała Shirral. - Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby wydostać się stąd i przesłać mu wiadomość.

- Jeśli dostaniemy się na powierzchnię - wtrącił się Draga - jedno z nas może pojechać do Hommlet.

- To duże jeśli - rzekł Elmo. - Po pierwsze trzeba by znaleźć sposób, aby ominąć tamtą armię. Ponadto musimy zobaczyć, jak można pomóc Ahleage.

Wszyscy odwrócili się, przypomniawszy sobie nagle o skamieniałym przyjaciolem. Kiedy spojrzeli na postać Ahleage, owiała ich fala rozpacz. Wyglądało, jakby wyczuwalne zło świątyni stało się jeszcze większe niż dotychczas.

Nie, Shanhaevel, opierał się wewnątrz, nie pozwól, aby cię to pokonało. Walcz z tym.

- Nie rozumiem - powiedział Govin. - Powiedziałeś nam, że bazylipek był fałszywy. Dlaczego wobec tego został zaklęty? Czy efekty również nie powinny być fałszywe?

Shanhaevel przytaknął.

- Niby wszystko się zgadza, ale stwór dla niego wydawał się wystarczająco prawdziwy. Wierzył, że skamienieje... i dlatego jest - przynajmniej w głowie - Shanhaevel zastanawiał się przez chwilę. - Jeśli to prawda...

Shanhaevel pośpieszył do miejsca, gdzie stał skamieniały Ahleage. Przyjrzał się mu dokładnie, badając skórę i ubranie. Ku jego zdumieniu - czy raczej jego braku - Ahleage wcale nie był z kamienia. Jedyne blade światło ich latarni sprawiało, że tak wyglądał. Był jedynie zupełnie i całkowicie sztywny.

- Oczywiście! - rzekł Shanhaevel. - Jest skamieniały jedynie w umyśle.

- Wiec możemy go uratować - powiedział Draga, z widoczną ulgą w głosie.

- Cóż, być może - Shanhaevel zmarszczył brwi. - Właściwie, gdyby nawet naprawdę został zamieniony w kamień, zawsze istnieje sposób na odwrócenie czaru, ale potrzeba do tego specjalnej magii rozproszenia. Znam takie czary, ale potrzebowałbym trochę czasu na naukę, zanim mógłbym je wykorzystać.

- Ja mogę to zrobić - cicho powiedziała Shirral. Druidka zbliżyła się, kiedy Shanhaevel obrócił się w jej stronę z uniesioną jedną brwią. - Myślę, że potrafię odwrócić ten stan.

- Twoja magia pozwala na rozpraszanie? - spytał czarodziej. Shirral przytaknęła, zamknęła oczy i rozpoczęła modlitwę.

Shanhaevel wziął głęboki oddech, mając nadzieję, że zmiernają we właściwą stronę. Podczas gdy Shirral modliła się, reszta grupy stanęła wokół, patrząc wyczekująco. Po kilku długich chwilach, Shirral położyła ręce na zeszywniałym ramieniu Ahleage i wypowiedziała końcowe słowa litanii.

Ciało Ahleage okryła słaba niebieska aura, a sekundę później rozległ się jego krzyk i mężczyzna skoczył do tyłu, zasłaniając się tarczą. Wpadł prosto na Dragę, który złapał swego towarzysza i przytrzymał go. Ahleage aż podskoczył ze zdziwienia, kiedy uświadomił sobie, że w czasie, który dla niego był zaledwie ułamkiem sekundy, zmienił się cały układ odniesienia.

- Co? Co się stało? - spytał Ahleage, odzyskując równowagę. - Gdzie jest ta *rzecz*? - pokazał w kierunku, gdzie uprzednio znajdował się bazyliżek.

Shanhaevel westchnął z ulgi i radości - takiej radości, jakiej nie spodziewał się w tym przeklętym miejscu. Pod wpływem chwili postanowił podroczyć się z Ahleage.

- Rzecz? Jaka rzecz? Usłyszeliśmy twój krzyk, wybiegliśmy zza rogu i takim cię znaleźliśmy.

- Nie! Tu było coś, *bestia*! Widziałem ją!

- Hm - powiedział Elmo, włączając się do zabawy. - Nic tam nie ma. Musiało ci się здаwać.

- Wcale nie! - ryknął oburzony Ahleage. - Było tam!

- Spokojnie, Ahleage - powiedział Draga, poklepując przyjaciela po ramieniu. - Pewnie uciekło przez drzwi, zanim tu się dostaliśmy.

Łucznik zdusił uśmiech, a Shirral zakryła usta dłonią.

- Aha, rozumiem - rzekł Ahleage, obracając się od towarzysza do towarzysza i widząc uśmiechy na wszystkich twarzach. - Po prostu się ze mną droczycie, co?

Słyszając to, wszyscy uśmiechnęli się otwarcie, zarówno z radości, jak i ulgi, że ich kompan był cały i zdrowy.

- Dostałeś się pod wpływ potężnej magii - wyjaśnił wciąż śmiejący się Shanhaevel. - Nabrałeś się na iluzję i byłeś przekonany, że skamieniałeś. Shirral przywróciła cię do życia.

Ahleage zamrugał, rozglądając się po wszystkich i w końcu zawieszając wzrok na druidce.

- Dz-dziękuję - wymamrotał w końcu.

- Och, ależ nie ma za co - słodko odpowiedziała Shirral. - Przynajmniej tyle mogę zrobić dla przyjaciół, którzy oszukują mnie, że umierają od trucizny.

Wszyscy zaśmiali się serdecznie, ale panujące wokół zło świątyni szybko sprawiło, że śmiech zamarł i szybko wrócili do rzeczywistości. Ahleage przyjął magiczną broń i pancerz zabrane zabójczyni.

Kiedy przygotowywali się do dalszej drogi, Shanhaevel przypomniał sobie o dwóch mglistych kształtach, stojących w pobliżu fontanny. Po chwili zastanowienia elf zdecydował, że były to magiczne konstrukty, niewidzialni słudzy przywoływani przez czarodziejów do wykonywania czarnej roboty. Te dwa wspólnie zapalały ogień fontanny, która rozświetliła korytarz, gdy wszedł tu Ahleage.

- Zgaduję, że ta półorcza kobieta była ochroną Falrintha - skomentował Shanhaevel, kiedy przygotowywali się do sprawdzenia drzwi wiodących z korytarza.

- Być może dowiemy się tego za jednym z tych przejść - powiedział Govin, otworzywszy pierwsze z drzwi.

- Tylko idź powoli - ostrzegł Shanhaevel. - Zarówno Shirral, jak i ja wykorzystaliśmy wiele zaklęć. Jeśli natkniemy się na kłopoty, lepiej szybko zwiewajmy.

- Ostrożność to odpowiednie słowo - odparł Govin. - Falrinth może gdzieś tu czyhać.

- Albo jego kolejne zwierzątka - dodał Elmo z tyłu drużyny. Pierwsze drzwi, przez które przeszli, prowadziły do czegoś, co wyglądało na komnatę zabójczyni. Stało tam proste łóżko, stół z krzesłem i ławą oraz szafa. Ściany przystrojone były różnymi rodzajami niezwyklej broni, dziwacznie wyglądającymi sztyletami - narzędziami zabójcy. Grupa spędziła trochę czasu, przeszukując pomieszczenie i znajdując kilka klejnotów, jakąś biżuterię, jak również kilka flakonów gęstego leczniczego eliksiru.

Kiedy skończyli, przeszli korytarzem do drzwi, którymi nadszedł czarodziej. Znajdująca się za nimi komnata należała najwidoczniej do Falrintha. Ściany wypełnione były półkami, na których leżały rozrzucone książki, zwoje, wypchane i zmumifikowane zwierzęta i tym podobne. Oprócz tego stało tam niewielkie łóżko, biurko, kilka komód oraz znajdowały się drugie drzwi. Na wieszaku, w pobliżu, wisiała peleryna z wieloma dziwnymi runami, a obok niej kawałek pergaminu z kolejnymi dziwnymi symbolami. Do przeciwległej ściany przypięta była kolejna karta pergaminu, tym razem większa. Wyglądała na jakiegoś rodzaju mapę. Po samym czarodzieju nie było nawet śladu.

- Uważaj, Govinie - Shanhaevel cicho zawołał do prowadzącego rycerza. - Czarodzieje są znani ze słabości do magicznych pułapek. Nie dotykaj niczego, zanim się temu nie przyjrzę.

Potakując, rycerz wszedł do środka, a grupa podążyła za nim ostrożnie. Wszyscy rozeszli się, szukając oznak możliwego niebezpieczeństwa.

Kiedy upewnili się, że mag naprawdę zniknął, członkowie Przymierza odetchnęli. Shanhaevel podszedł, by zbadać pelerynę i pergamin z runami. Peleryna, mimo bogactwa zdobiących ją wzorów, wyglądała wystarczająco zwyczajnie, więc przeszedł do pergaminu. - Pamiętaj, Ahleage - elf, zabierając się do czytania, usłyszał głos Govina - czarodziej mówił, żeby niczego nie dotykać...

W tym samym momencie oczy Shanhaevela objęły symbol, który natychmiast określił jako magiczny. Niestety, sama czynność czytania runy wywołała jej działanie.

Potężna eksplozja zwała Shanhaevela z nóg, pochłaniając go w kuli palącego ognia. Wybuch trwał ułamek sekundy, ale Shanhaevel był w agonii, jego twarz została poparzona, a oczy oślepięne. Chwycił się za oparzenia i mgnienie oka później uświadomił sobie, że zaraz ochryźnie od krzyku.

Nagle ogarnął go kojący chłód. Ból zniknął, a kiedy odjął ręce od twarzy, spostrzegł, że znowu widzi. Pierwszym widokiem, który go powitał, była pełna niepokoju twarz pochylonej nad nim Shirral.

- Wszystko w porządku? - spytała przerażonym głosem. Shanhaevel przytaknął, bojąc się zaufać swemu głosowi.

- To nie ja - mówił Ahleage gdzieś w pobliżu. - Nic nie dotknąłem.

Shanhaevel uśmiechnął się lekko, próbując podnieść się do pozycji siedzącej. Shirral podała mu dłoń i odsunęła się, żeby zrobić czarodziejowi trochę miejsca.

- To nie ty, Ahleage - powiedział. - To moja wina.

- Widzicie! - twardo powiedział Ahleage. - Mówiłem wam!  
- Być może - odparł Govin - ale widziałem, że zamierzasz...  
- Dobra, dobra - przerwał Elmo - Shanhaevel wydaje się być w porządku, więc skończmy kłótnię, kto to właściwie wywołał.  
- Hej - powiedział Shanhaevel wstając. - Powiedziałem, że to ja. I nie dotknąłem tego. Nie czytacie tu niczego. To właśnie tak się to stało. Nawet *nie patrzcie* na tamtą mapę, zanim nie sprawdzę, czy nie ma tam kolejnych run.  
- Jesteś pewien, że wszystko w porządku? - spytał Govin.  
- Tak - odparł Shanhaevel. - Jestem cały i zdrow - spojrzał na Shirral, która uśmiechnęła się do niego, ale w jej oczach wciąż widniał niepokój.  
- To jednakże był mój ostatni czar uzdrawiania - powiedziała Shirral. - Tak więc wkrótce musimy się zatrzymać i odpocząć, żebym mogła pomodlić się i pomedytować.  
- Powinniśmy przynajmniej sprawdzić drugie drzwi - spierał się Govin. - Jeśli Falrinth gdzieś tu jest, wolałbym zmierzyć się z nim teraz, niż kiedy uleczy się i odzyska moc.  
- Zgadza się - dodał Shanhaevel - ale najpierw chciałbym przyjrzeć się tej mapie.  
- Żartujesz? - spytał Ahleage. - Ostatnia rzecz, której chciałeś się przyjrzeć, prawie urwała ci głowę.  
- Wszystko będzie w porządku - odpowiedział Shanhaevel. - Teraz wiem już, czego szukać. Będę potrzebował lustra. Rozejrzyjcie się i zobaczcie, czy nie ma tu jakiegoś.  
Przeszukali pomieszczenia, ale nikt nie znalazł lusterka, więc Shanhaevel niechętnie zgodził się odłożyć to na później.  
- Mam nadzieję, że jeszcze tu będzie - powiedział tęsknie. Pozostawiając mapę, grupa zwróciła się ku drugim drzwiom. Pozwoliwszy Ahleage na zbadanie ich pod kątem potencjalnych pułapek, Govin otworzył je. Za przejściem był mały warsztat, najwyraźniej laboratorium czarodzieja. Stół pośrodku pokrywały kolby, butle i książki, a półki znajdujące się wzdłuż ścian pełne były różdek, drągów i tym podobnych, wszelkich rozmiarów i kształtów. Falrintha na szczęście również tu nie było.  
Oczy Shanhaevela niemal wyskoczyły z orbit.  
- Na Boccoba! - wymamrotał, rozglądając się po komnacie. - Spójrzcie na te cudeńka! Elmo gwizdnął.  
- Czy to wszystko jest magiczne? - zapytał, pokazując na różne rzeczy na ścianach. Shanhaevel, prawie niezdolny do mówienia, przytaknął.  
- Myślę, że tak - powiedział - ale nie można być pewnym bez pomocy objawień, a ja już nie mam tego czaru. Poszukajcie książek czarów Falrintha. Mogą gdzieś tu być - twarz elfa aż poczerwieniała z podekscytowania. - Pamiętajcie, tylko patrzcie. *Nie dotykajcie* niczego.  
- Może znajdziemy tu lusterko - zasugerowała Shirral. - Dobry pomysł - odparł Draga.  
Grupa rozdzieliła się i zaczęła przeszukiwać pomieszczenie. Shanhaevel był niemal pijany z podniecenia, kiedy przyglądał się różnym przedmiotom na półkach i stole. Jaka żyła złota, pomyślał. Mając taką magię, mógłbym...  
- Tu jest jakieś - powiedział Ahleage, wskazując ostrożnie, aby go nie dotknąć, jakiś przedmiot na drugim końcu stołu.  
Shanhaevel pospieszył zobaczyć, co tamten znalazł. Było to małe polerowane lusterko. Elf ostrożnie podniósł je, a Ahleage prawie zanurkował pod stół, żeby schować się przed niechybnym wybuchem.  
- Spokojnie! - Shanhaevel zachichotał. - Żaden czarodziej nie umieści pułapki w lusterku.  
- Nie obchodzi mnie to - powiedział Ahleage, wstając z podłogi z szeroko rozwartymi oczami. - Stanie zbyt blisko ciebie, kiedy bierzesz się za coś, wydaje się być niebezpieczne. Elf tylko się uśmiechnął i schował lusterko do kieszeni.  
- Dlaczego mag miałby trzymać tu swe najlepsze magiczne przedmioty, zamiast mieć je przy sobie? - spytał Elmo, rozglądając się. - Myślę, że chciałby je móc raczej wykorzystać.

Shanhaevel zmarszczył brwi, ponieważ słowa topornika miały sens. Gdyby to było moje, pomyślał elf, nie trzymałbym tego tutaj. Właściwie, gdybym był Falrinthem, miałbym dwie czy trzy z tych różdżek przy sobie w korytarzu.

- Słusznie, Elmo. Bardzo słusznie.

- Więc, o co wam chodzi? - spytał Ahleage.

- To miejsce wydaje się być zbyt łatwe do odnalezienia - odparł Shanhaevel. - Może mielibyśmy je znaleźć. Żeby już niczego więcej nie szukać...

Miał rozdarte serce. Oczywiście, że Falrinth nie zostawiłby swoich cennych rzeczy ot tak. Jego prawdziwe skarby muszą być ukryte gdzie indziej.

- Chodźmy, przyjrzyjmy się przynajmniej tamtej mapie. Shanhaevel poprowadził wszystkich z powrotem do głównego pomieszczenia. Stojąc tyłem do mapy, przyjrzał się jej. Do diaska, pomyślał czarodziej. Ten Falrinth to bardzo ostrożny facet.

Shanhaevel odłożył lusterko, zdjął mapę ze ściany i zrolował ją. Kiedy to zrobił, jego uwagę przykuł dziwny wygląd muru. Przyjrząwszy się dokładnie, odkrył ciągłe pęknięcie biegnące w górę, wysoko, aż do powały. Śledząc jego drogę Shanhaevel zdał sobie sprawę, że patrzy na następne sekretne drzwi.

- Hej! - zawołał do towarzyszy, głosem ponownie wypełnionym podnieceniem. - Myślę, że znalazłem ukryte przejście.

- To by się zgadzało - powiedział Draga, kiedy towarzysze zebrali się wokół. - Popchniemy?

- Niech najpierw przyjrzy się temu Ahleage - poradził Govin, odsuwając się, by zrobić miejsce.

Przewracając oczami, Ahleage podszedł do ściany i przyjrzał się jej dokładnie, szukając, jak zwykle, jakichkolwiek oznak niebezpieczeństwa.

- Jak dla mnie, w porządku - powiedział, cofając się.

Draga, Elmo i Govin przycisnęli ramiona do ściany i popchnęli. Nic się nie stało. Trzej mężczyźni zdwoili wysiłki, ale bez skutku. Ściana nie przekreśliła się.

- Do wszystkich diabłów! - powiedział w końcu Draga, sapiąc z wysiłku. - To po prostu wygląda jak sekretne drzwi, Shanhaevelu. Tu nie ma nic poza solidną ścianą.

- Może - powiedział po namyśle Shanhaevel. Zmarszczył się. - A może nie. Może to się jakoś inaczej otwiera. Rozejrzyjcie się i poszukajcie jakiegoś przycisku, dźwigni lub czegoś, co mogłoby być czymś w rodzaju przełącznika.

Trochę niechętnie grupa rozdzieliła się, sprawdzając każdy mebel, każdy metr kwadratowy ścian, każdy przedmiot w pokoju. Trwało to kilka minut, aż w końcu Ahleage westchnął i przysiadł na piętach. - To do niczego nie prowadzi - westchnął.

- Z przykrością to przyznaję, ale on ma rację - dodała Shirral. - Myślę, że znaleźliśmy wszystko, co mogliśmy.

- Jeszcze kilka minut - prosił Shanhaevel. - Jeśli odejdziemy, Falrinth wróci tu i oczyści to miejsce.

- Tak w ogóle - powiedział Elmo - możemy nie mieć innego wyjścia. Ta rzecz, która wpełzła z Laretha może wciąż czekać na nas na powierzchni.

- Być może Falrinth wciąż tu gdzieś jest - dodał Govin. - Zraniliśmy go dzisiaj. Będzie lepiej, jeśli złapiemy go, zanim zdąży się wyleczyć i odzyskać siłę oraz zaklęcia.

- Hej! - powiedział Draga, stojąc przy drzwiach i trzymając w dłoni główkę pochodni. - Spójrzcie na to!

Łucznik wyciągnął głównię ze ściany, ale tam, gdzie powinna być zwykła dziura, znajdowała się maleńka dźwignia.

- Jak to działa? - spytał zaskoczony Ahleage, kiedy wszyscy zgromadzili się wokół odkrycia Dragi. Ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął metalowego pręta.

- Spróbuj przekreślić - zasugerował Elmo.

Ahleage przekręcił, popchnął, pociągnął i pastwił się jeszcze nad dźwignią przez jakieś pół minuty, zanim się nie poddał.

- Jeśli ma to coś zrobić, to potrzeba więcej siły, żeby to poruszyć.

- Poczekajcie! - wykrzyknęła Shirral. - Użyjcie pochodni!

- Ach! - powiedział Shanhaevel, potakując gorliwie w zgodzie z druidką. - Włóż głownię z powrotem i wypróbuj ją.

Draga wręczył pochodnię Ahleage, który wsunął ją ponownie na dźwignię. Rozległo się ciche kliknięcie, a wtedy Ahleage przekręcił urządzenie. Tym razem obróciło się łatwo, a za nimi kawałek muru, który przedtem nie chciał ani drgnąć, teraz poruszył się zgrzytliwie.

- Proszę bardzo - zaprosił ich do środka Ahleage.

- A jednak miałeś rację - powiedział Draga do Shanhaevela, wyciągając miecz.

Pomieszczenie za ukrytym portalem było dokładnie tym, co Shanhaevel miał nadzieję znaleźć: drugim laboratorium. Z tym, że to wyglądało na dużo częściej używane i wszędzie znajdowały się niesamowite ilości wyposażenia. Tym jednak co przyciągnęło uwagę wszystkich, było małe metalowe pudełko stojące na środku stołu. Poczuli narastający niepokój, a Govin odmówił dotknięcia tej rzeczy. Ahleage ostrożnie przyjrzał się przedmiotowi z zewnątrz i kiedy nie znalazł nic, co mogłoby być pułapką, do pudła zabrał się Shanhaevel. Zadowolony, że nie stało się nic nieoczekiwanego, elf podniósł wieko.

W środku znajdowała się mała złota czaszka pozbawiona dolnej szczęki. Miała cztery puste gniazda umieszczone w linii krzyża, które wydawały się być wykonane po to, aby trzymać w nich klejnoty.

- Na Boccoba! - westchnął Shanhaevel. - Klucz. Mamy klucz!

- Nie dotykaj tego! - syknął Govin, odciągając elfa od pudła. - Już stąd czuję bijące od tego zło.

Shanhaevel przytaknął, ostrożnie zamknąwszy pudło i zabierając je ze stołu.

- Zabierajmy się stąd - prosił Govin. - Nagle obezwładniło mnie przerażenie, na myśl o tym, że mamy tu jeszcze zostać.

- Rycerz ma rację - dodał Ahleage, gdy grupa zbierała się do odejścia. - Mamy to, po co przyszliśmy. Już dawno powinniśmy stąd zniknąć.

Przymierze opuściło komnaty czarodzieja i skierowało się z powrotem do skrzyżowania w kształcie T. Akurat, gdy mieli wyjść przez tunel prowadzący do wieży i studni, dobiegło ich rozpaczliwe wycie.

Shanhaevel, słysząc ten dźwięk, zadygotał.

- To Lareth - wyszeptał Ahleage - lub to, czym się stał.



Hedrack chodził w tę i z powrotem i jego kroki odbijały się głośnie echem po sali audiencyjnej. Wysoki kapłan był zły, naprawdę zły. Oprócz tego musiał przyznać, że czuł się bardziej niż trochę przestraszony. Wszystkie wspaniałe plany, jakie przygotował, nie powiodły się. Podwładni zawiedli go, a ci przekłęci poszukiwacze sprawili mu niewypowiedzianą ilość kłopotów.

Wrzał gniewem, gotowy wrzucić Falrintha do jednego z węzłów mocy żywiołów za jego ostatnie niepowodzenie. Stracić klucz - złoty klucz, który uwolniłby Zuggtmoy! - to niewybaczalne. A ci intruzi...!

Hedrack zastanawiał się, jak długo jeszcze Iuz będzie znosił takie bluźnierstwa. Wysoki kapłan wiedział, że bez względu na to, czyją winą były te niefortunne wypadki, odpowie za nie on sam.

Lord Iuz nie będzie tolerował takiej niekompetencji, pomyślał, dokładnie tak jak ja. Taki już jest ten świat.

Falrinth poruszył się w swojej niewygodnej pozycji, klęcząc z dłońmi skutymi za plecami. Mimo tego milczał, posłusznie czekając, aż jego zwierzchnik raczy powtórnie się odezwać.

Dobrze, pomyślał Hedrack. Musi bać się o swoje życie, ponieważ nie będę już dłużej cierpliwy.

- Więc jesteś pewien, że to ją uwolni? Nawet *bez klucza*? - wyraźnie podkreślił ostatnie słowa, jasno dając do zrozumienia, że nowa propozycja Falrintha dotycząca uwolnienia demona nie złagodzi jego wyjątkowego niezadowolenia z powodu głupoty czarodzieja.

- Tak, mój panie. Przez pewien czas badałem tę sprawę, zanim dowiedziałem się o istnieniu klucza. Zabezpieczenia wrót nie przeszkodzą moim sługom. Mogą umieścić ładunki i w odpowiednim czasie zainicjować reakcję, podczas kiedy my będziemy się im przyglądać z bezpiecznej odległości. Jestem pewien, że to zadziała.

- Nie ważne, jak to zrobisz. To, co chcę wiedzieć, to czy jesteś przekonany, że to ją uwolni? Czy jej nie zagrozi?

Falrinth próbował wrzucić ramionami, ale jego więzy nie dawały mu takiej możliwości.

- Nie mogę powiedzieć z *całkowitą* pewnością, mój...

- Nie taką odpowiedź chciałem usłyszeć? - wrzasnął Hedrack, jednym susem zbliżając się do czarodzieja i uderzając go w twarz.

Falrinth jęknął z bólu, kiedy jego głowa odskoczyła na bok. Siła ciosu sprawiła, że stracił równowagę i upadł na bok.

Dwóch pomocników - wysokich, wylinianych niedźwiedźków ze zmatowiałymi futrami i zatechłymi drewnianymi pancerzami - natychmiast schyliło się i podniosło go. Czarodziej wpatrywał się w podłogę, a strużka krwi ciekła mu po brodzie. Przed odezwaniem się, wolno rozruszał szczękę.

- Jestem przekonany, że to uwolni ją bez szkody dla jej zdrowia, mój panie - odezwał się w końcu, wyduszając z trudem słowa przez zaciśnięte zęby.

Hedrack uśmiechnął się, zgiąwszy się lekko w biodrach, by spojrzeć prosto w oczy Falrintha.

- To brzmi dużo lepiej - jego twarz ponownie zyskała spokojny wygląd. - Dla twojego własnego dobra lepiej, żeby nic się jej nie stało. Jeśli na skutek tego dozna nawet najmniejszych obrażeń, nie wtrączę cię do jednego z naszych małych prywatnych sanktuariów na dole. Zamiast tego oddam cię prosto w ręce Iuza, jako zabawkę, maskotkę, i wspomnę mu, że potajemnie, za moimi plecami, spiskowałeś z tą pajęczą dziwką.

Słyszając to Falrinth wybałuszył oczy.

- Ach, tak - kontynuował Hedrack głosem ociekającym afektowanym okrucieństwem - nie sądziłeś, że wiem, co? Ja wiele wiem. Ty i Lareth aż prosiliście się o kłopoty, służąc innym za plecami tego, który zgniecie Flanaess w swym uścisku. Może, jeśli wspomnę mu o tym fakcie, będzie mniej skory, żeby obwinać mnie za kłopoty, które spowodowała twoja niekompetencja.

Falrinth trząsał się lekko, o czym poświadczało słabe dźwięczenie krępujących go łańcuchów.

Doskonale, pomyślał Hedrack, uśmiechnąwszy się. Będzie się wystarczająco bał.

Na kiwnięcie głowy wysokiego kapłana niedźwieżuki stanęły po bokach więźnia, podnosząc go, by ponownie zaprowadzić do celi.

Zostawszy sam, Hedrack westchnął długo i boleśnie, jako że niespecjalnie podobało mu się kolejne zadanie. Zszedłszy na dół, do głównej świątyni, przeszedł przez drżącą fioletową kotarę i przygotował się, żeby skontaktować się ze swym panem i władcą. Ukłęknąwszy, zaczął się modlić.

Niemal natychmiast poczuł w umyśle obecność swego boga.

- Mój panie Iuzie - zaintonował - jestem Twoim Ustami, ogłaszam...

*Co nowego?* Domagało się bóstwo, a jego zło spłynęło na kapłana, przesywając go niecierpliwym gniewem.

Hedrack wzdrygnął się, wiedząc, że to będzie najbardziej nieprzyjemne.

- Mój Panie, zaczął, szukając właściwych słów, najlepszego sposobu na osłodzenie wiadomości. - Napotkaliśmy kolejne trudności, niestety, przynoszę niepomysłne wieści.

*Jestem już zmęczony twoimi nieudolnymi sługami, kapłanie. Być może powinienem znaleźć kogoś innego, bardziej sprawnego w wykonywaniu moich życzeń.*

- Panie, twój pokorny sługa prosi o jeszcze trochę wyrozumiałości - błagał Hedrack, teraz naprawdę się płaszcząc. - Mam także lepsze wiadomości, które, mam nadzieję, zrównoważą dotkliwość pozostałych.

Wrogie niezadowolenie Iuza zalało Hedracka, przyprawiając wysokiego kapłana o ból żołądka i sprawiając, że jego kończyny odrętwiały. Ale po chwili uczucie wrogości osłabło.

*Bardzo dobrze, mów.*

- Mój Panie - zaczął Hedrack, odetchnąwszy z ulgą - straciliśmy złoty klucz. Niestety, wpadł w ręce intruzów.

*Ty niekompetentny idioto!* Krzyk grobowego głosu Iuza wstrząsnął umysłem Hedracka i cisnął kapłanem o ziemię. *Jedyna rzecz, jaka może ją uwolnić, a ty ją straciłeś!*

Niemal nieprzytomny z bólu spowodowanego gniewem Iuza, Hedrack usiłował się odezwać.

- N-Nie, mój P-Panie - zdołał wymamrotać przez zaciśnięte zęby. - Jest inny sposób.

Fala nienawiści spowijająca wysokiego kapłana ponownie osłabła.

*No, dalej, nalegał Iuz*

- Falrinth wierzy, że wie, gdzie ona jest - kontynuował Hedrack, złapawszy oddech. - Myśli, że zna sposób na wyswobodzenie jej bez złotej kuli, sądzi, że i tak możemy uwolnić ją z okowów.

Iuz milczał, jakby zastanawiając się przez chwilę. *Interesujące. Mów dalej.*

- Jeśli sobie przypominasz, mój Panie, zanim złapaliśmy go i nawróciliśmy na wiarę świątyni, był członkiem drużyny, która dziesięć lat temu próbowała ją zniszczyć. Wierzy, że

wie, jak działają jej okowy, sądzi, że zna sposób na ich ominięcie i zniszczenie. Wystarczy, że wydám mu rozkaz i spróbuje to zrobić.

*Czy jest to dla niej niebezpieczne?*

- Zapewnił mnie, że nie - powiedział Hedrack, z całych sił pragnąc, żeby czarodziej się nie mylił.

*Już raz cię zawiódł, powątpiewał Iuz, a z jego słowami nadeszła ciemność. Dlaczego miałbyś mu teraz zaufać?*

- Ponieważ zaręczył to swym życiem, mój Panie. Ponieważ teraz wie, że znam jego powiązania z tą pajęczą dziwką i wierzy, że jedynie dzięki moim machinacjom ty się jeszcze o tym nie dowiedziałeś. Dzięki temu mam go w garści. *Hm, dobrze rozegrane. Bardzo dobrze. Przystąp do realizacji nowego planu.* Hedrack uśmiechnął się mimo bólu w klatce piersiowej.

- Tak, mój Panie - odpowiedział, ale bóg już opuścił jego umysł.

\* \* \*

Hedrack wrócił do celi i pochylił się nad Falrinthem, który z ponurym spojrzeniem klęczał w rogu, wciąż tkwiąc w pętach. Czarodziej milczał, wiedząc, czym skończyłoby się rozłozszenie Hedracka. Wysoki kapłan dobrze rozumiał urazę maga. W końcu Falrinth próbował tylko ocalić swe żalosne życie, a w zamian Hedrack wtrącił go do tej celi.

Gdyby tylko zrozumiał, pomyślał wysoki kapłan, od jak wielkiego cierpienia się ocalił. Jego pobyt w tym więzieniu to naprawdę przyjemna alternatywa w porównaniu z tym, co mogło go spotkać.

Wysoki kapłan nakazał strażnikom, aby uwolnili maga. Gdy Falrinth powstał, rozciągając zbyt długo skrępowane mięśnie, Hedrack poklepał go po ramieniu.

- Iuzowi podoba się twój plan, przyjacielu. Natychmiast wdrożymy go w życie. Powinieneś udać się do siebie i z miejsca zabrać za przygotowania.

Falrinth zamrugał, wahając się. Następnie, nie widząc zdrady w twarzy Hedracka, przytaknął i obrzuciwszy strażników ostatnim, ukradkowym spojrzeniem, wyszedł z pomieszczenia.

- No, dalej! - pogonił resztę Elmo, skręciwszy, biegnąc w stronę przejścia, którego jeszcze nie zbadali.

Gdy Shanhaevel zakreślił, by pospieszyć za nim, Ahleage wyhamował pęd i spojrzął się na nich.

- *Zwariowaliście?* - krzyknął. - Nie możemy iść głębiej do świątyni. To samobójstwo!

- Nie mamy wyboru! - syknęła Shirral, próbując chwycić Ahleage i pociągnąć go za resztą. - Nie możemy zostać i stawić czoła *tej rzeczy* akurat teraz. Jesteśmy zmęczeni, a nasza magia wyczerpana.

- Nie! - warknął Ahleage przez zaciśnięte zęby, wyrwijając ramię z uścisku druidki. - Możemy się ukryć! Może czarodziej ma zaklęcie, które uczyni nas niewidzialnymi. Wszystko jest lepsze niż ta piekielna dziura!

- Ahleage - powiedział Shanhaevel, złapawszy przyjaciela za ramiona i zmusiwszy, by spojrzął mu w oczy. - Jeśli się stąd nie wydostaniemy w tej chwili, umrzemy! Nie pozwól, żeby świątynia pokonała cię. To zło, które pastwi się nad twoim umysłem, sprawia, że czujesz się przegrany, zanim nawet podejmiesz walkę. Cokolwiek jest na końcu tego korytarza, nie może być gorsze niż to, co zmierza ku nam. A teraz ruszaj!

Powiedziawszy to, Shanhaevel puścił Ahleage i obrócił się, aby pójść za Elmem w mrok przejścia. Wyglądało to na jakiś rodzaj ślepego zaułka, ale wtedy, na samym końcu korytarza, elf dostrzegł schody prowadzące w górę. Elmo znajdował się na ich szczycie, otwierając wejście umieszczone w stropie. Ogromny mężczyzna wychylił głowę przez otwór i rozejrzał się, a następnie gestem pokazał, aby reszta poszła za nim. Zniknął im z pola widzenia. Kiedy Shanhaevel dotarł do podnóża stromych schodów i czekał, aż dołączą do niego Draga, Govin i Shirral, z tyłu dobiegło go mrożące krew w żyłach wycie. Odgłos ten sprawił, że całe ciało przeszyły mu ciarki i czarodziej zadrżał. Ahleage podbiegł do niego.

- Nie mogę uwierzyć, że dałem się na to namówić - warknął, gdy elf wbiegł na stopnie.

- Albo to, albo spotkanie z potwornością, którą stał się Lareth - odparł Shanhaevel, zaczynając pokonywać zapadnię.

- Nie o tym mówię - wyszeptał Ahleage, czekając, aż elf przecisnie się przez otwór. - Mam na myśli dwie noce temu, przy ognisku. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle dałem się namówić na wyprawę do świątyni.

Gdy tylko Ahleage przeszedł przez przejście, Elmo opuścił pokrywę. Shanhaevel szybko rozejrzał się po miejscu, w którym się znajdowali. Było to małe, okrągłe pomieszczenie, bardzo zakurzone i pełne pajęczyn. Wychodziło z niego tylko jedno wyjście. Jedynym światłem były latarnie drużyny, ale na odległym końcu korytarza elf dostrzegł, docierający zza zakreću, przyćmiony blask pochodni.

- Chodźmy - zarządził Govin, wyciągając miecz i ostrożnie kierując się w stronę wyjścia z pomieszczenia. - Ta rzecz wkrótce się domyśli, gdzie jesteśmy.

- Poczekaj - cicho zawołał Ahleage. - Pozwól mi prowadzić. Istus wie, że jestem głupcem, ale zachowam ostrożność i będę wypatrywać - wruszył ramionami - wszystkiego, co może nas spotkać.

Zgadając się, Govin przepuścił Ahleage przed siebie i drużyna ruszyła w głąb korytarza.

Shanhaevel, krocząc obok Shirral, usilnie starał się nie szurać nogami. Mimo to wydawało mu się, że każdy jego krok jest głośny niczym grom. To nie chodzenie po lesie, napomniął się. Potrząsnąwszy głową, zdwoił wysiłek i próbował iść, zachowując absolutną ciszę.

Stopniowo zaczęła go przygnębiać posepność otoczenia. Masy ziemi i kamienia znajdujące się nad nimi, zdawały się w jakiś sposób powoli obniżać się, naciskać i grozić, że uwiężą ich w ciemnościach. Nawet latarnie niesione przez Elma i Shirral nie radziły sobie z powstrzymaniem zagrażających im cieni, a Shanhaevel uświadomił sobie, że z ciemności dobiegają go różne odgłosy. Wzdrygnął się i przyspieszył, zbliżając do Dragi, który szedł zaraz przed nim.

Korytarz przez pewien czas biegł prosto, a potem skręcał w prawo. Po lewej stronie widniały zamknięte drzwi, a tunel biegł dalej w mrok. To tu znajdowały się zapalone pochodnie, brakowało także obfitego uprzednio kurzu i pajęczyn, co wszystkim wydało się bardzo podejrzane.

- Którędy? - spytała Shirral, głosem ledwo odrobinę głośniejszym od szeptu.

- Żadnych drzwi! - równie cicho odparł Ahleage, obracając się w drugą stronę. - Tak długo, jak ich nie otworzymy, nie zaskoczy nas nic z drugiej strony.

Shirral spojrzała na Shanhaevela, który zaledwie wzruszył ramionami i potaknął. Wędrowali dalej, a Shanhaevel po raz kolejny uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Po krótkiej chwili dotarli do następnego okrągłego pomieszczenia, tym razem większego niż pierwsze. Jego ściany udekorowane były posągami. Ahleage zatrzymał się przy wejściu do nowej komnaty i rozejrzał dookoła.

W sumie zauważyli dziewięć posągów - dziwnych i fantastycznych stworzeń, z których elf znał jedynie kilka. Najbliżej znajdowała się kulista bestia z pojedynczym ogromnym okiem, poniżej którego widniała otwarta paszczyka i dziesięć macek, każda również zakończona okiem. Posąg był wyrzeźbiony w ten sposób, że wydawał się unosić w powietrzu. Obok niego stał na tylnych nogach smok, dużo mniejszy, niż - według Shanhaevela - prawdziwy. Inne kształty czaiły się ukryte w mroku, chociaż pomieszczenie było rozświetlone przez cztery dziwne kule z brązu osadzone w ścianach. Z komnaty wychodziły dwa kolejne korytarze.

- Co teraz? - przez ramię spytał Ahleage, nie odwracając się plecami do komnaty. - Jak daleko chcemy dojść?

- Musimy znaleźć miejsce, aby odpocząć - odezwał się Elmo - coś, gdzie możemy się schować i poczekać na szansę, aby wrócić i wydostać się stąd.

- Tędy - powiedział Govin, wskazując na korytarz po lewej.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Ahleage, krzywiąc się. - Dlaczego jeden ma być lepszy niż drugi?

- Nie wiem, ale jest - odpowiedział rycerz. - *Czuję to.*

Ahleage uniósł brew i popatrzył na Govina niczym na wariata, ale ostatecznie pokręcił głową i przeszedł przez okrągłą komnatę, kierując się w stronę przejścia, na które wskazał Govin.

Gdy Shanhaevel ruszył za nim, zauważył, że świecące kule oddzieliły się od ścian i uniosły się w powietrze. Przyjrzał się im dokładniej i spostrzegł, że zbliżają się do grupy.

- Aha, nie stójmy tu dłużej - powiedział cicho. - Nie sądzę, żeby to pomieszczenie było bezpieczne.

- Błędne ogniki! - krzyknęła Shirral, podążywszy spojrzeniem za jego wzrokiem. Pochnęła idącego przed nią Govina, aby ten pospieszył się. - Nie pozwólcie, aby was dotknęły!

Ahleage spojrział przez ramię i kiedy zobaczył zmierzające ku nim kule, jego oczy rozszerzyły się, obrócił się i czmychnął z pomieszczenia, a reszta grupy pobiegła za nim.

Przymierze pospieszyło nowym korytarzem - w przeciwieństwie do okrągłego holu z posągami - panowały w nim ciemności, chociaż i tu brakowało kurzu, który wskazywałby, że przejście jest nieużywane. Korytarz ten był dłuższy niż Poprzednie tunele i po kilku chwilach

Shanhaevel usłyszał dobiegający z przodu szum wody. Ahleage zwolnił, odzyskując czujność, a elf rzucił spojrzenie w tył. Błędne ogniki, jak nazwała je druidka, nie leciały już za nimi, chociaż wciąż podskakiwały i balansowały w powietrzu w pozostawionej z tyłu komnacie.

Zjełczała woda spływała z umieszczonej we wnęce obrzydliwej fontanny do kilku mis pełnych nie znanych im wodnych roślin. Czyhające wokół demoniczne paszcze tryskały cuchnącym płynem z ust i otworów w okrutnych twarzach.

Ahleage wstrząsnął się i ominął fontannę szerokim łukiem przemykając drugą stroną korytarza.

- Wciąż uważasz, że to dobry pomysł? - przez ramię spytał Govina, gdy szli dalej. Jak długo jeszcze będziemy mieli szczęście?

- Ahleage ma rację - powiedział Elmo, zwalniając. - To prowadzi donikąd lub raczej, słuszniej byłoby rzec, że do zguby. Powinniśmy się zatrzymać i przemyśleć sprawę.

- Nie - nalegał Govin. Wskazał znowu. - Nie mogę tego wyjaśnić, ale musimy iść tą drogą.

- Rycerzu, posłuchaj - odezwał się Ahleage, zmierzając Govina zaciętym spojrzeniem. - Jesteśmy szaleni, że to robimy. Znaleźliśmy klucz i powinniśmy starać się wyjść, a nie zmierzać głębiej. I gdzie są wszyscy? Dlaczego nie wpadliśmy na siły świątyni? Przeraza mnie, że jest tu tak pusto.

- Rozumiem twą niechęć - powiedział rycerz. - Z tego przekłętego miejsca dociera do mnie tak wiele zła, że mam ochotę zwymiotować, ale z jakiegoś powodu, wyczuwam przed nami coś innego.

- Co? - nalegał Ahleage. - Co wyczuwasz?

- Nie wiem. Nie jestem całkowicie pewien, ale w jakiś sposób to jest... *święte*.

Ahleage przewrócił oczami i gwizdnał.

- Wydaje mi się, że to miejsce zatręło twój umysł - powiedział z obrzydzeniem.

Nagle po grzbiecie Shanhaevela przebiegł straszny dreszcz. Trzęsąc się z niewysłowionego obrzydzenia, obrócił się, by zerknąć w tył, na wpół oczekując, że zobaczy tam błędny ognek. Zamiast tego, nie dalej jak dwa kroki od siebie, dostrzegł pajęczny cień, który zamroził mu krew w żyłach.

- Na Boccoba! - wrzasnął czarodziej, instynktownie rzucając się do tyłu i wpadając na Dragę.

Shirral krzyknęła, a Shanhaevel poczuł, że ktoś łapie go za kołnierz i odciąga do tyłu w momencie, gdy jedno z odnóży zrobiło zamach w kierunku jego twarzy, minimalnie tylko chybiając.

Biegli. Govin prowadził, wszyscy szaleńczo przebierali nogami, rozpaczliwie uciekając od polującego na nich pajęczego cienia.

Shanhaevel nie zwracał specjalnej uwagi na kierunek ucieczki, pilnując, aby się tylko nie odłączyć od reszty i coraz to upewniając się, że Shirral wciąż jest obok. Nie odważył się spojrzeć do tyłu, aby zobaczyć, czy ożywiony cień jeszcze tam jest. Po chwili gdzieś z oddali dobiegło przenikliwe zawodzenie. Przeraziło elfa, ale i przyniosło ulgę, bo chociaż straszne, słychać je było w sporym oddaleniu.

Kiedy skręcił za kolejny róg, wciąż bojąc się, żeby nadążyć za Dragą, Shanhaevel prawie wpadł na łuczника, który stał, wpatrując się w Govina. Rycerz znajdował się pośrodku przejścia, tym razem przykrytego grubo kurzem i pajęczynami, niepewnie rozglądając się dookoła.

- Tutaj - powiedział rycerz. Jego głos pełen był wątpliwości. - Gdzieś tutaj... - powtórzył, wpatrując się w podłogę, następnie podszedł do ściany i nacisnął ją dłonią. Grymas zakwitł na jego ustach, kiedy nic się nie stało, następnie, kręcąc głową, odsunął się i pokazał mówiąc:

- Drzwi. Są gdzieś tutaj. Znajdźcie je!

Wzruszając ramionami, Shanhaevel podszedł do miejsca, które wskazał Govin. Przyjrzał się, czując ciarki paniki na myśl, że cieniste stworzenie może ich dogonić. Nagle zauważył łączenie, które w jakiś sposób wyczuł Govin - zarys drzwi.

- Tutaj! - krzyknął cicho elf, wskazując na mur. - Są dokładnie tutaj. Popchnijcie!

Niczym jeden człowiek - towarzysze znaleźli odpowiednie miejsca i popchnęli. Powoli - jak dla Shanhaevela zdecydowanie zbyt powoli - kawałek muru obrócił się.

Potakujący głową z zadowolenia Govin pierwszy przeszedł przez przejście, pokazując innym, aby podążyli za nim. Kiedy ostatnia osoba bezpiecznie przeszła przez wrota, Draga zasunął je z powrotem.

Kiedy ostatecznie zamknęły się z lekkim trzaskiem, łucznik osunął się na ziemię z cichym westchnieniem ulgi.

- Mało brakowało - powiedział spoglądając na towarzyszy. - Zbyt mało.

Wszyscy potaknęli, a Shanhaevel rozejrzał się dookoła, było to pomieszczenie o dziwnym kształcie i nierównych kątach i robiło wrażenie, jakby nie było używane od upadku świątyni dziesięć lat temu. Miejsce to wyglądało jak kaplica, był tam nawet ołtarz przykryty białym sukniem z napisem wykonanym czerwonymi runami:

*Chwalcie tą kapliczkę Dobra Następnie odejdźcie, Wszyscy Prawdziwej i Dobrej Wiary!*

W niszy w murze stał posąg Pholtusa, boga oślepiającego światła. Na zachodniej ścianie wisiał potężny drąg zakończony dużym wielkim dyskiem - znany jako Drąg Srebrnego Słońca, symbol Pholtusa. Zdobienia na pozostałych ścianach sprawiały, że pomieszczenie budziło przyjazne skojarzenia, tak odmienne od przytłaczającej potworności świątyni.

- Skąd wiedziałeś? - zachłystywał się Ahleage, osunąwszy się na podłogę i wyciągnąwszy przed siebie nogi. Na jego czole widniały krople potu.

- Nie wiem - pokręcił głową Govin. - Po prostu to czułem. Dziękuję ci, święty Cuthbercie za twe przewodnictwo - wyszeptał zamknąwszy oczy.

- Może powinieneś podziękować Pholtusowi - napomknął Elmo, wskazując na symbole.

Govin przytaknął.

- Moce wielu świętych bytów mogą udzielić pomocy w sytuacji największej potrzeby. Moje podziękowania obejmują je wszystkie.

- Więc - powiedziała Shirral, która już usadowiła się w kącie - co teraz?

- Poczekamy, odpoczniemy - odpowiedział Elmo, znajdując sobie miejsce i stawiając latarnię, zanim delikatnie położył topór - Czy jesteśmy tu bezpieczni?

- Tak - odparł Govin. - Myślę, że ta rzecz tu nie wejdzie. To miejsce wygląda na święte i duch Laretha nie dostanie się tutaj.

- To nie powstrzyma jednak czego innego - zauważył Shanhaevel. - Czegoś... żywego - wzdrygnął się.

- To coś musiałoby nas najpierw znaleźć - wymamrotał Ahleage, zamykając oczy. - Ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli wiem, jak stąd wrócić.

Grupa ucichła i w końcu każdy odzyskał oddech. Posilili się skromnie i kiedy skończyli, rozsiedli się, odpoczywając.

Draga wyciągnął mały drewniany instrument, nad którym pracował. Zagrał kilka nut, ale z jakiegoś powodu, dźwięki brzmiały płytko i słabo, więc z żalnym spojrzeniem schował swoją zabawkę.

Shanhaevel chodził po pomieszczeniu, przyglądając się różnym ozdobom kaplicy i zastanawiał się, jak ktoś zdołał przetransportować te rzeczy do świątyni bez zwrócenia na siebie uwagi. Gdy przypatrywał się srebrnemu symbolowi, zauważył niepozorny metalowy pierścień skryty na połączeniu drąga i dysku. Kiedy za niego pociągnął, rozległ się wyraźny trzask i obok elfa otworzył się kawałek muru.

- Co zrobiłeś? - wykrzyknął Ahleage, stając na równe nogi z mieczem w dłoni. - Następna komnata! Znalazłeś następną!

- Ostrożnie - odezwał się Govin, również wstając. - Odczuwam ogromny niepokój, jeśli chodzi o to, co tam jest.

Pozbierawszy się, szóstka przyjaciół podeszła ostrożnie do tajemnych drzwi i zajrzała do środka.

Znajdująca się tam sześcioboczna komnata była smoliście czarna i wydawało się, że poza samotnym szkieletem rozciągniętym w pobliżu wejścia, nie ma w niej niczego. Shanhaevel zadygotał. W pomieszczeniu było coś niesamowitego, coś, czego nie mógł ogarnąć. Kiedy grupa weszła w głąb komnaty, elf dostrzegł opartą o odległą ścianę trumnę z zamkniętym łańcuchami wiekiem. Pozostali towarzysze również ją spostrzegli i cała grupa ostrożnie zbliżyła się do sarkofagu. W pokrywie umieszczony był srebrny krzyż, a na nim leżał pojemnik na zwoje.

- Dziwne - westchnęła Shirral, sięgając mieczem, by delikatnie dotknąć znaleziska. - Dlaczego miałyby być tu grobowiec, ukryty za kaplicą?

- I kim jest ten biedny człowiek przy drzwiach? - spytał Ahleage.

- Nie chcę tego wiedzieć - powiedział Govin. - Nie czuję się dobrze.

- Powinniśmy to otworzyć? - spytał Ahleage, ze zdenerwowania wyciągając i chowając sztylety w rękawach.

- Tak - przytaknął Govin. - Myślę, że powinniśmy. Ale bądźmy gotowi. Draga i Ahleage, przyszykujcie łuki. Elmo, Shirral i Shanhaevel, otwórzcie, kiedy doliczę do trzech.

Otoczywszy sarkofag, wszyscy wzięli głęboki oddech, rozkuli zamki i przygotowali się, by zdjąć wieko.

- Na trzy - wyszeptał Govin - otwieramy to. Gotowi? Wszyscy przytaknęli i złapali za krawędź. Shanhaevel na wpół oczekiwał, że coś wyskoczy z trumny i rzuci się na niego. Wzmocniwszy uchwyt, czekał na odliczanie rycerza.

- Jeden - zaczął Govin. Shanhaevel wziął głęboki oddech. - Dwa.

- Trzy!

Wieko z łoskotem upadło na kamienną podłogę i trójka towarzyszy odskoczyła na bok, podczas gdy pozostała część przygotowała się do ataku. Spięty Govin zbliżył się i spojrzał z ciekawością do wnętrza trumny.

Shanhaevel zajrzał do środka z pewnej odległości, wspiąwszy się na palce, by moc lepiej widzieć. Leżał tam mężczyzna, właściwie bardzo przystojny młody mężczyzna. Zupełnie nie wyglądał na umarłego, można by raczej sądzić, że stracił przytomność lub śpi. Miał na sobie doskonale zrobioną kolczugę z narzuconą na nią białą oponczą, a rozpoznanie herbu na piersiach zajęło elfowi zaledwie chwilę. Były tam oznaczenia Furyondy i Veluny, jak również Rycerzy Jelenia. Dwie rodziny królewskie i zakon rycerski, uświadomił sobie czarodziej.

- Bogowie! - westchnął Elmo, przyklękając na jedno kolano, by się lepiej przyjrzeć.

- Co takiego Elmo? - Shanhaevel przysunął się do niego. - Kto to jest?

- Nie wierzę - odezwał się wielki mężczyzna, sięgając, żeby dotknąć pogrążonej w śnie postaci. - To on.

- On, kto? - domagał się Ahleage, kiedy pozostali zebrali się wokoło.

Zanim odpowiedział, Elmo wziął głęboki oddech.

- Książę Thrommel. To zaginiony książę!

Zdumiony Shanhaevel odsunął się do tyłu. *Thrommel?* Tutaj? W trzewiach świątyni? Na Boccoba!

Govin pokręcił głową z niedowierzaniem, a Draga uśmiechnął się od ucha do ucha. Shirral zbadała mężczyznę, sprawdzając, czy nie jest ranny.



Książę poruszył się. Jego pierś uniosła się minimalnie, następnie opadła, a Shanhaevelowi wydawało się, że poruszył ustami. Po raz pierwszy elf zauważył precyzyjnie wykonany złoty pas w talii mężczyzny oraz złoty medalion na szyi z emblematem korony i półksiężyca.

Powieki księcia otworzyły się, a oczy rozszerzyły w świetle latarni. Chwycił dłońmi za krawędzie trumny i próbował się podnieść. Natychmiast pomogła mu silna dłoń Govina. Rycerz podniósł księcia do pozycji siedzącej, a ten zaczął mrugać i rozglądać się dookoła, przyglądając się twarzom szóstki towarzyszy.

- Gdzie...? Gdzie ja jestem? Kim wy jesteście?

- Mój panie - rozpoczął Govin. - Jestem sir Govin Dahna, sługa Cuthberta. To są moi towarzysze i przyjaciele. Czy jesteś ranny?

Książę zamrugał kilka razy, próbując skupić wzrok na twarzy rycerza.

- Nie... nie sędzę - powiedział, na próbę poruszając rękami i nogami. - Jeszcze raz, kim jesteście? I gdzie do diabła się znalazłem?

- Jesteśmy Przymierzem, mój panie - odpowiedział rycerz - a ty jesteś w trzewiach zrzuconej Świątyni Złych Żywiółów.

- Świątynia! Co ja tu robię? Jakie przymierze? O czym ty mówisz?

- Jesteśmy... - rozpoczął Govin, ale przerwał mu Elmo.

- Mój panie, podobnie jak ty - jestem Rycerzem Jelenia. Ci towarzysze i ja zebraliśmy się razem w służbie wicehrabiego Verboboncu i twego ojca z polecenia Burne'a z wieży. Przymierzaliśmy ruiny świątyni i znaleźliśmy ciebie w jakiś sposób magicznie uwięzionego. Najwidoczniej złamaliśmy czar.

- Rozumiem - odparł Thrommel, przecierając oczy - Burne, powiadasz? Co za złowieszcze okoliczności spowodowały, że wysłał was wszystkich w ruiny świątyni? - spytał, ale gestem unieważnił pytanie. - Muszę dostać się do Mitriku, żeby powiadomić wszystkich, że jestem zdrowy i cały - ciągnął. - Jolene musi umierać z niepokoju. Ślub! Powiedźcie mi, że nie odwołano ślubu!

Książę próbował się podnieść, ale zachwiał się na nogach i kilka dłoni podtrzymało go, gdy powoli i ostrożnie wychodził z trumny.

- Mój panie - ponuro powiedział Elmo. - Nie było cię przez siedem lat. Mamy teraz wiosnę 579 roku.

Thrommel otworzył szeroko oczy, chwiejąc się na nogach.

- Na Matkę Istus, *siedem* lat? - westchnął. - Wszyscy muszą sądzić, że nie żyję.

- Nie - wtrącił się Govin. - Nie wszyscy.

- Mój panie - rzekł Elmo. - W jakiś sposób, dzięki pewnym formom wróżenia, członkowie drużyny twego ojca dowiedzieli się, że wciąż żyjesz, ale nie potrafili określić miejsca twego pobytu. Jolene odmówiła wyjścia za mąż, chociaż starało się o nią kilku kandydatów.

- Ach, Jolene - powiedział Thrommel, uśmiechając się łagodnie. - Zawsze lojalna. Mam nadzieję, że wszystko u niej w porządku.

- I Melias - dodał Govin - który był z tobą przy upadku świątyni dziesięć lat temu, żył nadzieją, że kiedyś cię odnajdzie.

- Hm - zadumał się książę, nieświadomie kiwając głową podczas słuchania opowieści. - Jego poświęcenie to dla mnie zaszczyt.

Elmo spojrział na resztę Przymierza, na każdą twarz, sam przybierając ponurą minę.

- Niestety, mój panie, Melias dowodził tą wyprawą, ale padł w bitwie nie dalej jak trzy dni temu. Przykro mi.

- Nie! - krzyknął książę, a jego niepewne nogi w końcu go zdradziły. Usiadł ciężko. - Nie Melias. Z chęcią zobaczyłbym go ponownie.

- A on ciebie, mój panie - odezwał się Shanhaevel. - Tak samo jak mój mistrz, Lanithaine. On także tu zmierzał, kiedy zginął.

Książę spojrział na czarodzieja i zmarszczył brwi.

- Lanithaine, czarodziej?

Shanhaevel ograniczył się do potaknięcia.

- Dwóch towarzyszy z mej kompanii padło w walce, a mnie nie było przez siedem lat? Co się dzieje? Dlaczego znajdujemy się w głębinach świątyni? Opowiedzcie mi swą historię i to szybko.

Shanhaevel mrugnął, słysząc przywódczy ton mężczyzny, ale potem przypomniał sobie, że mimo wszystko był to książę, przywykły do rozkazywania i dostający zawsze to, czego chciał, już po jednym słowie.

Bez ceregieli Elmo wyjaśnił sytuację Thrommelowi. Kiedy skończył, książę zamyślił się na kilka długich chwil.

- Ten klucz... macie go przy sobie? - odezwał się w końcu.

- Tak, książę - powiedział Shanhaevel, wyciągając skrzynkę z plecaka i otwierając wieko, by pokazać jej zawartość księciu.

Obaj, Thrommel i Govin, odskoczyli od pudełka.

- Ugh! To jest przepełnione złem. Czuję zepsucie nawet stąd. - Odwrócił się do Elma. - Mówisz, że odzyskaliście to od czarodzieja imieniem Falrinth? Tego samego, który walczył przy mym boku w Bitwie o Łąki Emridy? Legł on wtedy w walce.

- Wygląda na to, że został schwytany, mój panie - odparł Elmo. - Być może w jakiś sposób został złamany i zmuszony do służby świątyni.

- Zaiste ponura nowina - powiedział Thrommel - ale dotrze do odpowiednich uszu, jak tylko powrócimy na powierzchnię. Mówicie, że Burne próbuje znaleźć sposób na zniszczenie tego klucza?

- Tak - odrzekł Shanhaevel. - Musimy natychmiast zawieść go do Hommlet. Kiedy klucz zostanie zniszczony, na zawsze uwięzi to demona.

- Tak - zdecydował książę - a ja powinienem jeszcze dzisiaj pojechać do Mitriku. Mój miecz! Gdzie jest Fragarach? - Thrommel gorączkowo rozejrzał się dookoła, zaglądając nawet do środka trumny. - Czy był przy mnie miecz?

- Widzę tylko twoją tarczę, książę - powiedział Ahleage, wskazując na tarczę z herbem leżącą u stóp księcia w trumnie. - Miecza nie ma.

- Ach! - krzyknął Thrommel, pokazując na wieko trumny. Shanhaevel popatrzył tam, gdzie na podłodze leżało zrzucone przez Przymierze wieko. Tam gdzie przedtem był krzyż, teraz spoczywał wspaniały szeroki miecz, z rękojeścią oplecioną srebrnym i złotym drutem i głownią wysadzaną przepięknymi szmaragdami. Ostrze świeciło jasno nawet w przyćmionym świetle latarni, połyskując niemal nienaturalnym niebieskim odcieniem.

- Fragarachu! - wykrzyknął Thrommel, wyciągnąwszy dłoń. Miecz sam wyskoczył z wieka i przeleciał do wyciągniętej ręki księcia. Thrommel uniósł ostrze do góry, zamknąwszy oczy z zadowolenia, tak jakby z ostrza do jego ciała spływała jakaś niewidoczna siła.

Kiedy książę Thrommel ponownie otworzył oczy, były pełne zdecydowania i poczucia celu.

- Musimy opuścić tę kaplicę i znaleźć wyjście ze świątyni - powiedział. - Wy musicie dostarczyć klucz Burne'owi, a ja pojechać do Mitriku.

Shanhaevel siedział oparty plecami o ścianę kaplicy, pełniąc wartę, podczas gdy pozostali spali. Mimo woli księcia żeby wyruszyć jak najszybciej, brak snu i wyczerpanie spowodowane walką zmogło członków Przymierza. Kiedy Shanhaevel, Shirral i Draga spali - Elmo, Ahleage, Govin i księżę Thrommel trzymali straż.

W snach Shanhaevela ponownie pojawił się Burne. Objawiła się w nich unosząca się w powietrzu twarz czarodzieja, a jego słowa zostały w pamięci elfa nawet po przebudzeniu.

*Shanhaevelu, odkryłem sposób na zniszczenie klucza. Gdy tylko zdobędziecie go i zdołacie powrócić do Hommet, zniszczymy go razem. Jeżeli, z jakiegoś powodu, nie będziecie mogli się ze mną spotkać, lub coś mi się przydarzy przed waszym powrotem, teraz przekażę ci kroki potrzebne do zniszczenia klucza.*

*Musicie go wystawić - razem z czterema klejnotami - w krótkim odstępie czasu i w odpowiedniej kolejności na działanie czterech żywiołów. Najpierw powietrze - podmuch wiatru powinien dać sobie radę. Następnie idzie mocne uderzenie kamieniem, najlepiej granitem. Potem w kolejności jest poddanie pod działanie palących płomieni, a w końcu zupełne zanurzenie w zimnej, ciemnej wodzie. Tylko po wykonaniu tych czterech kroków czaszka pęknie, a energia magiczna zniknie.*

*Pospieszcie się, Shanhaevelu! Powróćcie do mnie z kluczem!*

Kiedy Shanhaevel obudził się kilka godzin później, sen powstał w jego świadomości, a znaczenie słów Burne'a przeraziło elfa. Klucz nie może być zniszczony, jeżeli nie jest cały, a Przymierze nie ma czterech klejnotów. Jeszcze tu nie skończyliśmy, uświadomił sobie. Zwięksił głowę w rozpacz, obawiając się przekazać te wieści innym, ale w końcu odważył się i jego słowa zostały przywitane wieloma jękami i zaniepokojonymi spojrzeniami.

- Nie mamy wyboru i musimy poszukać klejnotów - ponuro powiedział Govin.
- No i winniśmy dopilnować, aby księżę dotarł na powierzchnię - dodał Elmo.
- Nie - zaprzeczył Thrommel. - Wasze zadanie jest dużo ważniejsze. Dotrę na ziemię prowadzony mądrością Cuthberta. Wy kontynuujcie waszą misję. Znajdźcie kamienie.

Elmo otworzył usta, by zaprotestować, ale księżę i tak nie dałby się przekonać, więc ogromny topornik dał za wygraną.

- Wyruszę przed wami - obwieścił Thrommel. - Przy odrobinie szczęścia nie spotkam pającego cienia, jeśli jednak się pojawi, odciągnę go od was, tak żebyście mogli uciec. - Kiedy spostrzegł, że zarówno Govin i Elmo kręcą głowami i otwierają usta, by zaprotestować, uciszył ich gestem. - Nie martwcie się, przyjaciele. Fragarach obroni mnie przed tym czartem.

Teraz Shanhaevel siedział całkiem obudzony, rozmyślając o wszystkim, przez co przeszedł. Wydawało mu się, że całe lata minęły od chwili, gdy wyruszył z Lanithaine'em do Hommet. Wtedy był niemal kim innym. Z pewnością, jeżeli przeżyje tę straszną wyprawę i kiedykolwiek zdoła wrócić do Uwiędłego Lasu, stanie się inną osobą, zupełnie inną osobą.

Kręcąc głową, Shanhaevel otworzył księgę zaklęć i kilka następnych godzin spędził na uczciwej nauce, zapamiętywaniu formuł koniecznych do rzucania czarów. Kiedy skończył, zaczął zastanawiać się nad tym, co jeszcze może ich spotkać w świątyni. Shirral wciąż znajdowała się w jakimś rodzaju pełnego czci transu, jednocząc się z siłami natury, kumulując w sobie siły ziemi, aby nadać im pożądaną formę.

Shanhaevel westchnął cicho. Choć korzystamy z sił znacznie się różniących, dumał, zasadniczo oboje stajemy się kanałami, kierującymi tę moc *skądś - dokądś*. Dlaczego, w takim razie, nie możemy wykorzystać metody używanej przez drugą osobę?

Czarodziej spojrział na swój plecak wypchany ekwipunkiem. Zauważył szczególne wybrzuszenie i skrzywił się. Była to mała skrzynka, kryjąca niewielką złotą czaszkę, klucz mogący uwolnić bądź zniszczyć demona. Shanhaevel skrzywił się, ponieważ ta rzecz go niepokoiła. Za każdym razem, kiedy podnosił pudło, przepełniało go uczucie mroku i koszmaru. Po prostu go nie cierpiał.

Zrzedząc po cichu, pochylił się, otworzył plecak i wyjął skrzynkę. Spróbował otrząsnąć się z ogarniającego go niepokoju i położył ją na kolanach. Pamiętał wyjaśnienia Burne'a dotyczące zniszczenia przedmiotu i pragnął, żeby móc odprawić tę ceremonię tu i teraz.

Shanhaevel otworzył pudło i popatrzył na małą złotą czaszkę. Przedmiot spoczywał w wymoszczonym suknie zagłębieniu pośrodku skrzynki, wpatrując się w niego pustymi oczodołami. Puszczając wodze wyobraźni, elf mógł niemal wyczuć, że czaszka uśmiecha się do niego.

Bardzo ostrożnie i nie bez pewnej trwogi Shanhaevel sięgnął i wyciągnął czaszkę z jej gniazda. Niemał natychmiast dopadły go wizje - potworne obrazy agonii, tortur i śmierci. Skulił się, cierpiąc z powodu przeszywającego bólu spowodowanego zimnem i wiatrem, gdy tak spadał przez niekończącą się bezbarwną pustkę, jego ciało smagała okrutnie wyjąca burza, która go porwała. Palilo go białe, oślepiające światło. Spadł w nicość i nagle został pogrzebany pod milionami ton pyłu i skał, jego ciało leżało głęboko pod powierzchnią świata. Schwytany, nie mogąc mówić, poruszyć się, otworzyć oczu, czuł się miażdżony przez sam nacisk ziemi. Jego żebra pękły, serce skurczyło się, a powietrze zostało wypchnięte z płuc.

Potem był gdzie indziej, znowu wolny, łączywie próbując odetchnąć zbawiennym powietrzem, tylko po to, aby przekonać się, że jest piekielnie gorące i zwęgla płuca, płomienie ogarnęły jego ciało, spalając włosy, skórę, w mgnieniu oka doprowadzając krew do wrzenia. Otworzył usta, by krzyknąć i poczuł, że jego ciało spala się do nicości. Zadławił się haustem zimnej, słonej wody. Dusząc się, spostrzegł, że znowu ogarnęły go ciemności, i poczuł, że tonie, niżej i niżej, a ciśnienie słonego morza ściąga go głębiej i głębiej i...

Shanhaevel zamrugał, oddychając głęboko. Serce elfa biło jak oszalone, a twarz i ręce pokryte były chłodnym potem. Czuł, że skóra twarzy jest napięta z powodu uczucia bólu i przerażenia.

Kaplica... z powrotem znajdował się w opuszczonej kaplicy. Ponieważ paliła się tylko jedna przysłonięta lampa, małe pomieszczenie było dość ciemne.

Shanhaevel westchnął i odprężył się, czując, że ból napiętych mięśni powoli odpływa. Potrząsnął głową, pozbywając się obrazów, które wciąż tkwiły w zakątkach umysłu i zastanowił się, jak długo tak siedział. Rozejrzał się po śpiących kompanach. Kaplica wydawała się spokojna, ale...

W mgnieniu oka Shanhaevel przeniósł się do koszmarnej świątyni, ozdobionej potwornymi obrazami wyrytymi w kamieniu o kolorze śmierci i rozkładu. Na środku sali stał i patrzył na niego starzec, ubrany w szkarłatną togę i opierający się na drągu. Jego twarz była pomarszczona i wysuszona, a uśmiech, z jakim patrzył na czarodzieja daleki od dobrodusznego. Wolno, niemal ociężale, mężczyzna wyciągnął dłoń w kierunku Shanhaevela i przemówił:

- Daj mi czaszkę, chłopcze - powiedział.

Nienawiść i zło, które zalały elfa, gdy usłyszał te słowa sprawiły, że skulił się i zadrżał. Krzyknął z przerażeniem i starał się uciec, ale, przytłoczony obrzydzeniem i okropieństwem płynącym od stojącej przed nim postaci, zderzył się z wielką kolumną i padł na podłogę.

Stary mężczyzna zaczął iść w jego kierunku, a Shanhaevel mimo rozpaczliwych wysiłków nie mógł się poruszyć.

Starzec sięgnął po czaszkę, chwytając ją i odbierając Shanhaevelowi. Wciąż uśmiechając się, wycofał się, ściskając klucz. Podszedł na przód świątyni, gdzie, przed kolistą wnęką, znajdowało się wielkie podium. Po środku tej wnęki stał ogromny tron wykuty z czarnej skały. Stary mężczyzna usiadł na tronie, który zjechał wraz z nim, znikając w podłodze świątyni.

Shanhaevel poczuł, że podąża za człowiekiem na tronie, opadając coraz niżej w głąbiny pod świątynią. W końcu tron zatrzymał się, mężczyzna wstał i skierował się do środka dużego pomieszczenia pełnego ziemi i pachnącego zgnilizną. Wszędzie rósł mech. W środku sali, obok starca, czekała ogromna istota, był oparty na rozkładzie i zgniliznie. Wyglądająca podobnie do nabrzmiałego grzyba istota stała na czterech bardzo grubych odnóżach. Z boków stworzenia wystawała para dziwnych niby-ramion. Grzybiasta istota śmierdziała rozkładem. Wolno, nieuchronnie, wyciągnęła ramiona w jego kierunku.

Shanhaevel krzyknął...

\* \* \*

Krzyk Shanhaevela zatrzęsł kaplicą. Kiedy czarodziej otworzył oczy, Govin stał na równych nogach, z mieczem w ręce, spoglądając na elfa.

W pobliżu zerwał się też książę Thrommel z Fragarachem w dłoni, najwidoczniej również gotowy do walki z każdym wrogiem.

- Co takiego? Co się stało? - spytał rycerz. Wydawał się gotów do zaatakowania jakiegokolwiek niewidocznego niebezpieczeństwa czyhającego na jego towarzyszy.

Shanhaevel uniósł dłoń, żeby wskazać na dwie przerażające, zagrażające mu postacie i zamrugł. Starzec i grzybiasta istota zniknęli.

- Wizja - wykrztusił z siebie Shanhaevel, spoglądając w dół na własną dłoń, która wciąż ściskała złotą czaszkę. - Stali dokładnie tam. - Teraz wiedział, jak działa złoty klucz i czuł, jak niechciana wiedza płynie do niego z tego przedmiotu.

- Kto? - domagał się Govin, ponownie rozglądając się dokoła. - Kto tu był?

Shanhaevel przelknął i potrząsnął głową. Zrozumiał, co właśnie zobaczył, ponieważ przekazała mu to sama czaszka, nawet jeżeli jego umysł wzdrygał się na myśl o znaczeniu tej wiedzy.

- Iuz - wychrypiał czarodziej, a jego dłoń zaczęła dygotać. - Iuz Dawny. Iuz Straszny.

- Co? - krzyknął Govin.

- Tak - wyszeptał Thrommel. - Dawny od początku brał udział w umacnianiu świątyni. Nie wiedzieliście o tym?

Govin pokręcił głową, a jego twarz poczerwieniała.

Pozostali towarzysze właśnie podnieśli się, chcąc zobaczyć, co się dzieje. Wszyscy wyglądali na całych i zdrowych, a także nieświadomych, że w kaplicy może coś być nie tak.

- Wi... widziałem ich - odezwał się Shanhaevel. Wydawało się to być tak prawdziwe! - Chcieli tego - podniósł czaszkę.

Govin odskoczył w tył, odrzucony wydzielanym przez przedmiot złem.

- On to zrobił - kontynuował Shanhaevel - on i jego pani, demon Zuggtmoy. Widziałem tę dwójkę, stojącą w środku sali. Uśmiechnął się do mnie - Shanhaevel wzdrygnął się na samą myśl - i powiedział mi, że bym dał mu czaszkę.

Reszta towarzyszy, ze zważeniem malującym się na twarzach, rozejrzała się dokoła.

- Teraz nie ma tu nikogo - powiedział Draga.

- Przez cały ten czas nie widziałem ani nie słyszałem tu nikogo - dodał Ahleage, unosząc brew, najwidoczniej, przekonany, że czarodziej ma zwidy.

- Nie - odparł Shanhaevel, kręcąc głową. - Nie rozumiecie. Nie sądzę, że tu naprawdę byli. Poczulem ich obecność dzięki temu - ponownie pokazał na złotą czaszkę, wciąż leżącą

w jego dłoni. Za każdym razem, gdy przypominał sobie że trzyma ją, oblewały go fale mdłości. - Jej z pewnością tu nie było i sędzę, że jego też nie.

- Skąd wiesz? - spytał Elmo, gdy Shirral uklękła obok Shanhaevela i złapała go za wolną rękę.

- Wiem, że jej tu nie było, ponieważ wiem, że wciąż jest uwięziona, zamknięta za wrotami. Nie sędzę, żeby on tu był, ponieważ nie było tu jej. Poza tym, w tej wizji byłem gdzieś indziej - w jakiejś świątyni z wielkim tronem wykonanym z czarnego kamienia. Myślę, że była to wizja wywołana przez tą przeklętą rzecz.

Poblady Shanhaevel schował złotą czaszkę z powrotem do dopasowanego wgłębienia i zatrzasnął wieko skrzynki. Natychmiast poczuł wielką ulgę.

- Skąd to wiesz, tak nagle? - spytała Shirral. Zbliżyła się do Shanhaevela i delikatnie głaskała jego twarz. Jej oczy wypełnione były łzami, a twarz przybrała taki wyraz, jakiego czarodziej jeszcze u niej nie widział.

- Ponieważ *to* mi powiedziało - odparł Shanhaevel, zamykając oczy i nagle czując się bardzo wyczerpany. Dotyk druidki przyjemnie chłodził jego skórę, zmywając ostatnie plamy zła, wciąż na niego zdradziecko czyhającego.

- *To... to ci powiedziało?* - zachłysnął się Govin, widocznie zaniepokojony. - *To mówi? Musimy znaleźć klejnoty i jak najszybciej zniszczyć tę rzecz!*

Shanhaevel otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale właśnie wtedy rozległ się głęboki, donośny grzmot, który szerokim echem odbił się od murów. Ziemia zatrzęsała się pod wpływem fal wstrząsu, a ze ścian posypał się pył.

- Co na Oerth to było? - ryknął Draga, rozstawiwszy szeroko nogi, żeby utrzymać równowagę.

Shanhaevel pomyślał, że jego twarz musiała wiele powiedzieć o tym, co przeżył, bo kiedy Shirral popatrzyła na niego, jej oczy rozszerzyły się z obawy. Kiedy przymówił, jego słowa były ciche.

- Nie wiem.

Hedrack zwawo kroczył na przód, ignorując kurz wiszący w powietrzu w zniszczonej klatce schodowej. Wirujący wokół i unoszący się w powietrzu pył był tak gęsty, że wysoki kapłan nie był pewien, czy wybuch zniszczył magiczny portal. Przedzierając się między gruzem, pełen determinacji, schodził w dół, chcąc za wszelką cenę odkryć prawdę. Kiedy dotarł do podnóża schodów, gdzie niegdyś stały wielkie drzwi, teraz nie było tu nic. Kilka ostatnich stopni zostało zniszczonych, pozostawivszy po sobie jedynie poszarpaną dziurę w podłodze. Ściany po obu stronach zostały rozerwane, a duża część powały zawaliła się. Tam gdzie kiedyś stały magicznie zapieczętowane drzwi, zabraniające przejścia, ziała pustką zimna otchłań. Za nią Hedrack mógł dojrzeć kawałek zakurzonej podłogi Świątyni Ziemi.

Wysoki kapłan zaśmiał się z ukontentowaniem.

- Tak - mruknął cicho. - Doskonale. Jej moc musi wracać, teraz, kiedy jedna z czterech została uwolniona. - Obrócił się, aby spojrzeć na mały oddział ekspertów dowodzony przez Falrintha.

- Zaczynicie się przygotowywać do zniszczenia drugich drzwi. Może tych przy głównym wejściu. Ja wybieram się do komnaty światła, aby z nią porozmawiać.

Falrinth uklonił się nisko, a reszta ludzi i humanoidów rozpierzchła się, by wykonać polecenia wysokiego kapłana.

- Natychmiast zgromadzimy olej i proch - powiedział czarodziej z wyraźnie widoczną gorliwością. - Najpierw przygotuję drzwi, a następnie, kiedy będziemy gotowi, poślę po ciebie.

Zamyślony Hedrack pokiwał głową z roztargnieniem. Nie słuchał dalej, ponieważ pochłaniały go myśli o zaszczytach, jakie spadną na niego, kiedy ona zostanie uwolniona. Iuz z pewnością nagrodi go chwałą i władzą.

- Tak - powiedział w końcu wysoki kapłan - kiedy będziecie gotowi.

Powiedziawszy to, odprawił Falrintha i pozostałych nonszalanckim skinieniem dłoni, a sam udał się do komnaty, w której, za migoczącą zasłoną, znajdował się jej tron.

Kiedy dotarł do komnaty światła, przeszedł przez perłową kolumnę iluminacji i usadowił się na tronie.

*Więzy spadają* powiedziała, zadziwiając Hedracka. Nigdy przedtem nie rozpoczynała ich rozmów. *Czuję się tak dobrze. Uwolnij mnie! Chcę powstać, jeszcze raz przemierzać korytarze i zniszczyć ziemię.*

- Spieszmy się, moja Pani - odparł Hedrack, zdziwiony przytomnością demona. Był zadowolony. Wraz ze zniszczeniem pierwszych wrót, powróciła do niej część siły, a razem z nią świadomość. - Następne drzwi legną w przeciągu godzin.

*Pospieszcie się! Czuję, że szukają mnie inni, chcą mnie unicestwić.*

- Oni nie mają znaczenia - powiedział wysoki kapłan łagodząco. - Nie potrafią zrobić nic więcej poza przeszkadzaniem. Zwycięzimy ich.

*Głupcze!* odpowiedziała ze złością. *Oni mają klucz, złoty klucz! Mając go, mogą mnie zniszczyć. Musisz go odzyskać, jako że jest on mocą świątyni. Bez niego nie będziemy mogli w pełni panować nad żywiołami.*

Hedrack nie odpowiedział od razu. Jej pasja zdumiała go, sprawiła, że mentalnie przed nią uciekł. Siedział przez chwilę w zamyśleniu, zastanawiając się, co oznacza jej gniew, jakie zmiany nastąpią w strukturze władzy świątyni, kiedy zostanie uwolniona. Dekadę temu był niczym, poślednim sługą w sprawach świątyni, obarczonym trywialnymi obowiązkami. Nigdy nie zwróciła na niego uwagi i teraz go nie poznała. Czy uzna jego stanowisko jako przywódcy świątyni, kiedy odzyska władzę, czy może poszuka innych, tych których uważa za bardziej lojalnych, bardziej zaufanych? Nie podobał mu się pomysł pożegnania się z władzą. Ta sytuacja będzie wymagała rozsądnych działań. Trzeba porozmawiać o tym z Iuzem, zdecydował.

Uświadomiwszy sobie, że nie odpowiedział demonowi, Hedrack pospiesznie sformułował odpowiedź.

- Czaszka zostanie odebrana intruzom. Przegrają i staną się ofiarą żywiołów, tak jak wszyscy inni, którzy sprzeciwią się Świątyni Żywiołów. Dopilnuję tego osobiście.

*Tak, odparła. Dopilnuj tego osobiście. Nie mogą wejść do mojego sanktuarium wraz z kluczem. Stanowiłoby to dla mnie wielkie niebezpieczeństwo.*

- Rozumiem i jestem posłuszny - przyjął do wiadomości Hedrack. Wstał z tronu, nie chcąc dać demonowi kolejnej szansy na wytknięcie wad w jego działaniach. Marszcząc brwi, wyszedł z komnaty światła i schodami wiodącymi w górę udał się do większej świątyni, zastanawiając się nad machinacjami, jakich będzie musiał się podjąć, żeby jego pozycja pozostała nietknięta.

\* \* \*

Spojrzenie Shanhaevela wędrowało daleko od jego ciała, niestrudzenie płynąc nad głębokimi śniegami leżącymi na powierzchni w pobliżu głównego wejścia do świątyni. Umożliwił to czar, dzięki któremu mógł widzieć odległe rzeczy - niewidzialne oko prowadzone jego myślą. Zerknął w kierunku głównych drzwi budynku. Widok, jaki się przed nim rozciągał, sprawił, że stracił oddech. Stał tam tłum ludzi, którymi kierował Falrinth. Wyglądało też na to, że czarodziej dysponuje jakiegoś rodzaju magiczną siłą, przesuając pod wrota duże ilości beczek. Pewna ich liczba stała już przy drzwiach, a do sterty dostawiano kolejne.

Shanhaevel rozpoznał magiczne siły jako następne niewidzialne konstrukty, podobne do tych, które napotkał w komnacie z płonąca fontanną - magicznych służących, bezkształtne istoty mogące wypełniać proste polecenia. Kiedy ostatnia beczka ukoronowała stertę, jeden z niewidzialnych służących zdjął z niej pokrywę. Shanhaevel nie słyszał, co zostało powiedziane, ale Falrinth odwrócił się, żeby porozmawiać z innym mężczyzną - w czarnej zbroi ze szkaradnym hełmem. Na plecach peleryny mężczyzny znajdowała się czaszka Iuza.

Shanhaevel zadygotał. Iuz Straszny łączy siły ze schwytanym demonem! Elf zaczynał sądzić, że cała ta wyprawa była koszmarnym nieporozumieniem. Powinniśmy odjechać. Natychmiast się stąd wydostać. Są zbyt potężni. Zbyt silni. Jeśli oddalimy się wystarczająco daleko, świątynia nie będzie miała na nas wpływu.

Mężczyzna w czarnym pancerzu potaknął, a następnie on i wszyscy pozostali cofnęli się od wrót. Falrinth rozpoczął zaklęcie. Shanhaevel uważnie obserwował czarodzieja, starając się odgadnąć, co się stanie.

- Co się dzieje? - głos Ahleage dobiegł gdzieś z tyłu, z kaplicy, gdzie znajdowało się ciało Shanhaevela. - Co tam jest?

W tym momencie elf rozpoznał, że czarem Falrintha było zapalenie i ze straszną pewnością uświadomił sobie, co ma się zaraz stać.

- Na Boccoba! - mruknął Shanhaevel. - Mają zamiar zniszczyć drzwi!



Falrinth dokończył czar i pędem ruszył w przeciwnym kierunku, oddalając się od wrót, podczas kiedy bursztynowy płomień leciał w kierunku sterty beczek. Nagle wszystko wybuchło, wytworzyła się ogromna kula ognia, szybko przesłonięta jeszcze większą chmurą dymu.

Shanhaevel mocno odczuł wybuch, mimo że w rzeczywistości działo się to bardzo daleko. Tak jak poprzednio - wstrząs dotarł aż do fundamentów świątyni. Z ogromną siłą eksplozowały kawałki kamienia, ziemi i drewna. Części tego, co niegdyś było fasadą świątyni, spadały na pobliskie drzewa.

- To niemożliwe! - z przejęciem wyszeptał Thrommel, kiedy wstrząsy ustały. - Magia strzegąca tych drzwi jest zbyt potężna. Została tam umieszczona właśnie po to, aby zapobiec takim wypadkom. Nie powinno być siły władnej, by zniszczyć te drzwi.

- Być może nie powinno - powiedział Shanhaevel - ale dokładnie to zrobili. Zamierzają zniszczyć wszystkie drzwi i uwolnić demona.

- Cóż, wobec tego musimy ich powstrzymać! - ryknął Govin.

Shanhaevel przytaknął i zwolnił czar, sprowadzając swój układ odniesienia z powrotem do kaplicy.

- Tak - odparł czarodziej, mrugając, aby przyzwyczaić się do różnicy w oświetleniu. - Zostawmy w spokoju klejnoty. Musimy powstrzymać ich, zanim zniszczą następne drzwi.

- Tak, ale skąd będziemy wiedzieli, gdzie teraz uderzą? - spytała Shirral. - Nie wiemy, gdzie są następne drzwi.

- Ja wiem - cicho powiedział Thrommel. Wszyscy spojrzeli na księcia.

- Byłem tam, kiedy pieczętowano wrota - wyjaśnił. - Shanhaevelu, widziałeś, jak pracowali przy frontowych drzwiach, prawda?

Elf potaknął.

- Kiedy opuścimy to miejsce, udajcie się właśnie tam. Musicie dotrzeć na powierzchnię i stamtąd ich znaleźć. Wyruszę pierwszy, tak jak to wcześniej zasugerowałem, i mam nadzieję, że odciągnę od was zagrożenia. Pójdziecie za mną. Dostaniecie się do głównej świątyni właśnie przez te drzwi. Idźcie wielkimi schodami. Każde drzwi prowadzą do następnych, głębiej do wnętrza. W końcu znajdziecie te, których jeszcze nie zniszczyli.

- Nie możemy zwlekać - powiedział Govin. - Jesteśmy wypoczęci. Musimy wyruszyć natychmiast.

- Dajcie mi parę minut, a następnie ruszajcie - powtórzył Thrommel. - Powiedzcie mi tylko, jak stąd wyjść.

Shanhaevelowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Poczekajcie - powiedział, po raz kolejny sięgając po plecak i przetrząsając jego zawartość. Wyciągnął zrolowaną mapę, znaną w kwaterze Falrintha, tę z niebezpiecznymi runami. - Może to pomoże - powiedział, rozwijając pergamin. - Kiedy przyglądałem się temu przedtem, niektóre rzeczy wydawały mi się znajome. Dajcie mi chwilę, żeby pozbyć się wybuchających znaków.

- Jeśli masz zamiar zrobić to tutaj, to ja idę tam - odezwał się Ahleage, wychodząc do drugiego pomieszczenia. Reszta grupy i księżę również oddalili się na bezpieczną odległość.

Shanhaevel unieruchomił rogi mapy rzeczami z plecaka. Ostrożnie, unikając bezpośredniego spojrzenia na napisy, rzucił czar rozpraszania, podobny do tego, który zastosowała Shirral, żeby uwolnić Ahleage spod działania iluzorycznego bazyliuszka. Cicho wymawiając słowa zaklęcia, skierował czar w kierunku mapy, uwolnił zawartą w nim energię i część znaków zniknęła.

- W porządku! - Zawołał Shanhaevel, badając mapę. - Teraz możecie na nią spojrzeć.

Grupa zebrała się wokół dużej płachty pergaminu, dokładnie się jej przyglądając. Szybko zorientowali się, że rzeczywiście przedstawiała obraz części świątyni. Były tam komnaty Falrintha oraz większość drogi, jaką przebyło Przymierze, by dostać się do kaplicy, chociaż nie sama kaplica. Shanhaevel wskazał drogę do pomieszczeń Falrintha i tunel do studni, objaśnia-

jąc Thrommelowi, jak ma się wydostać na powierzchnię. Książę uważnie przyglądał się trasie przez kilka chwil, a następnie wstał, by odejść.

- Nie mogę zostać i pomóc wam, chociaż uważam, że sprawa jest tego warta. Muszę powrócić do Furyondy i do Jolene, ale powiadomię Burne'a. Dowie się, co tu się dzieje. Znajdźcie Falrintha i powstrzymajcie go, a później zniszczcie czaszkę.

Powiedziawszy to, książę wyślizgnął się z ukrytej kaplicy i zniknął, pozostawiając Przymierze za zamkniętymi drzwiami.

Grupa siedziała przez chwilę, pozwalając, aby dotarły do nich słowa księcia i dając królewskiemu potomkowi czas na odejście. W końcu nadszedł czas. Towarzysze zebrali ekwipunek i przygotowali się do drogi.

- Miejmy nadzieję, że udało mu się odciągnąć pajęczą cień - odezwał się Govin. - Niech Cuthbert będzie z nim. Dalej, znajdziemy czarodzieja.

Z Govinem na czele Przymierze wymknęło się w ciemność.

Potworności powstałej z Laretha nigdzie nie było. Shanhaevel z niepokojem obserwował każdy cień w czasie powrotnej drogi grupy. Elf mógł jedynie wyobrazić sobie, jakie okropieństwa wędrowały tymi korytarzami, kiedy świątynia znajdowała się w stanie rozkwitu dziesięć lat temu. Był zdumiony, jak bardzo to miejsce było wymarłe i jednocześnie jakże wdzięczny tym, którzy się do tego przyczynili.

Towarzysze zdołali powrócić do tunelu między studnią i wieżą bez żadnych incydentów, ale gdy dotarli prawie do wyjścia, Govin zawahał się.

- Którędy powinniśmy pójść? - spytał, gdy wszyscy przeszli przez ukryte drzwi. - Mam wrażenie, że każda z dróg będzie pod obserwacją.

Zmarszczywszy brwi, Shanhaevel przytaknął.

- Masz słuszość - powiedział elf, rozważając sytuację. - Ale mam coś, co może rozwiązać ten problem. Chodźcie.

Towarzysze ruszyli w stronę studni i zaraz przed drzwiami prowadzącymi do szybu, czarodziej zebrał wszystkich wokół siebie i sięgnął po energię magiczną. Przyzwał energię wtajemniczeń i sprawił, że Przymierze zniknęło.

- Hej! - odezwał się Ahleage. - To piekielnie przydatne.

Powoli, tak żeby nie wpaść i nie potknąć się o innych, grupa ruszyła do studni. Ahleage wyszedł na górę i wyjrzał przez krawędź.

- Wygląda, że nikogo tu nie ma - wyszeptał - chociaż mogą ukrywać się w stodole lub w szczątkach domu.

- Nie ważne - odpowiedział Elmo. - Ruszajmy do świątyni. - Poczekajcie! - powiedział Shanhaevel i wezwał Ormiela. *Przyjacielu!* powitał go jastrząb. *Długi czas ukrywałeś się pod ziemią.*

*Tak*, odparł elf. *Z tobą wszystko w porządku? Głodny, przekazał jastrząb. *Poluję. Czy inni są w lesie? Jakież złe rzeczy? Nie. Teraz nie.**

- Ormiel mówi, że w pobliżu jest pusto, ale na wszelki wypadek chodźmy przez las, zamiast drogą.

Trzymając się tak, aby się nie pogubić, grupa wyszła ze studni w jasne światło dnia. Ominęli stodołę i zrujnowany dom, zamiast tego wybierając przejście między zabudowaniami i lasem. Zostawiając ślady stóp w na wpół stopniałym śniegu, przedzierali się przez las, co szło im dość wolno. Wielokrotnie deptali sobie po piętach i wpadali na plecy towarzyszy, którzy zatrzymywali się bez ostrzeżenia.

W końcu jednak dotarli do świątyni. Zatrzymując się w otworze, który był niegdyś głównym wejściem, rozejrzeli się dokładnie, szukając strażników. Nigdzie ich nie było, co zdumiało Shanhaevela.

- Wysadzili główne wrota - głośno zastanawiał się czarodziej - i nie wystawili wart?

Kiedy upewnili się, że nic nie zamierza ich zaatakować, wkroczyli do środka, przechodząc przez ziejącą dziurę, która była niegdyś zabezpieczona drzwiami. Znalazszy się w środku, dokładnie zbadali wnętrze. Stali w przedsionku, który otwierał się na główną nawę świątyni. Wciąż wyglądało, że nikogo tu nie ma, więc Shanhaevel rozproszył niewidzialność, tak aby mogli się normalnie poruszać.

Całe pomieszczenie zostało bogato udekorowane potwornymi scenami. Posadzkę przed-sionka wyłożono czerwono-brązowymi płytkami, a ściany otynkowano i wymalowano wizerunkami morderstw, zniszczenia, niewoli i jeszcze gorszych uczynków, które sprawiły, że Shanhaevel zbladł i odwrócił wzrok. Uświadomił sobie, że jest to miejsce z jego wizji, która spadła na niego, kiedy trzymał czaszkę.

Tuż za przedsionkiem - podłoga w głównej części świątyni była wyłożona zielonkawymi kamieniami, a światło wpadające przez witraże w wysokich, wąskich oknach, które oskrzydlały główne przejście, mieszało się z tą zielenią, tworząc upiorną, rażącą oczy barwę.

- Na Cuthberta! Co za potworność! - westchnął Govin, ściskając miecz tak mocno, że kostki jego palców zbieleły. - Dlaczego nie zburzyli tej budowli i nie pogrzebali jej pod ziemią? Nie powinni pozwolić jej tak zostać.

- Zgoda rycerzu - powiedział Elmo, kręcąc głową - ale zrobili, co mogli, a teraz my musimy zrobić to samo. Chodźmy zobaczyć, gdzie się udali nasi wrogowie.

Z tymi słowami Elmo obrócił się i skierował do głównej nawy, ogromnego pomieszczenia, które mogło mieć ze czterdzieści kroków szerokości i przynajmniej trzy razy tyle długości. Solidne kolumny z różowego kamienia, pokryte żyłkami w kolorze krwawego mięsa, podtrzymywały wysokie żebrowe sklepienie. Były pokryte płaskorzeźbami - kolejnymi scenami przemocy i zła. Kroki rozglądających się dookoła towarzyszy odbijały się urywanym echem. Jedyne źródło światła stanowiły witraże w oknach, jednak Shanhaevel starał się odwracać wzrok, zanim mógł rozpoznać uchwycone tam sceny.

Z przodu elf dostrzegł ołtarz wycięty z wielkiego bloku różowego marmuru z wgłębieniem na szczytowej płaszczyźnie. Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że wgłębienie miało kształt człowieka z rozpostartymi nogami i tak samo rozłożonymi rękoma. Tutaj kamień był poplamiony ciemniejszymi odcieniami czerwieni. Shanhaevel pokręcił głową i ruszył dalej, ale Shirral, która także zauważyła wiele mówiące wgłębienie, stanęła niczym skamieniała, wpatrując się w ołtarz.

- Nie, nie ociągaj się - powiedział Shanhaevel, podchodząc do druidki. - Spójrz na mnie. Spójrz *na mnie!*

W końcu oderwała spojrzenie od ołtarza i szeroko otwartymi oczami zwróciła na niego wzrok.

- Musisz to powstrzymać, Shirral. Jeśli dotrze to do ciebie, nie przeżyjesz.

- Ja... - powiedziała w końcu, potakując. - W porządku.

Po obu stronach ołtarza rozciągały się dwa skrzydła komnaty, tworzące kąt otwierający się do przodu świątyni. W obu skrzydłach stały ołtarze, każdy w innej tonacji. Skrzydło po lewej było w zieleniach, a po prawej w brązach i czerni.

- Barwy żywiołów... - zauważył Shanhaevel, przyglądając się bliżej skrzydłu po prawej. Na przeciwległej ścianie dostrzegł drzwi. Ciekawe, czy świątynia jest symetryczna, pomyślał, poszedł na lewo i spojrzał w tamtym kierunku. Było tam identyczne wejście.

- Patrzcie! W tych skrzydłach są drzwi.

- Na razie trzymajmy się głównej drogi - powiedział Govin, który zdążył już przejść od centralnego ołtarza do sporej okrągłej dziury w podłodze. - Chcemy znaleźć schody, o których wspomniał książę. - Rycerz stanął na krawędzi rozpadliny i zaglądał w jej głębiny. - Jeśli to się nie uda, lub książę nie pamiętał dokładnie, możemy zastanowić się nad innymi drogami.

Za rozpadliną grupa trafiła na szerokie schody prowadzące w dół. Miały może siedem metrów szerokości, a każdy stopień zrobiony był z szarego kamienia z białymi, niebieskimi, czerwonymi i czarnymi plamkami.

- To właśnie tego szukamy - wyszeptała Shirral, zerkając w znajdującą się poniżej ciemność.

- Moje zmysły są przytłoczone złem, które tu niegdyś panowało - Govin zadygotał. -  
Wciąż czuję cierpienie tych, którzy zostali oddani w ofierze żywiołom. Sam kamień przesiąknięty jest złem.

- Spokojnie rycerzu - powiedział Elmo. - Wszyscy to czujemy. Nie trać głowy.

Za schodami była balustrada, a za nią coś, co mogło być głównym ołtarzem świątyni. Cały obszar za balustradą mienił się kolorami czerwieni, pomarańczy i złota, był też obficie ozdobiony scenami okrutnych kaźni. Pośrodku znajdował się duży kocioł z brązu, szeroki może na trzy metry. Dokładnie nad kotłem, z sufitu zwisał długi łańcuch.

- Świątynia ognia - wyszeptał Shanhaevel, gdy towarzysze stanęli w grupce, rozglądając się wokół. - Sądzę, że czczą płomienie ponad inne żywioły.

- Nie obchodzi mnie, co czczą - powiedział Govin, ponownie się trzęsąc. - Ta budowla powinna zniknąć z powierzchni ziemi.

- Spójrzcie - odezwał się Ahleage, przechodząc od miejsca, w którym stała grupa do samego końca świątyni. - Spójrzcie na ten tron.

Reszta drużyny dołączyła do niego, przyglądając się temu, co chciał im pokazać. Na wysokim podeście stał wielki tron wykonany z czterech różnych rodzajów kamieni - barw żywiołów. Półkoliste podwyższenie było wbudowane w najbardziej na północ wysuniętą ścianę świątyni, najdalszą od wysadzonego wejścia na drugim końcu. Na tylnej ścianie znajdował się napisany wielkimi, szerokimi literami napis, którego treść sprawiła, że Shanhaewelowi stanęły włosy na karku.

*Potęga Żywiołów Śmierci  
Pogrąża Śmiertelników w Rozpaczy  
Ale Raduje Bezimienną  
Niezwykłe.*

- To tron z mojej wizji - powiedział Shanhaevel, drżąc na myśl o strasznej halucynacji. - Klucz z czterema klejnotami na miejscu zabierze cię prosto do niej.

- Bezimienna... - westchnął Draga.

- Modłę się do świętego Cuthberta, żeby nikt nigdy nie zdołał jej uwolnić - powiedział Govin - ale, jeśli ją spotkamy, będziemy mieli w sobie siłę, żeby przetrwać. Schody na dół. Już czas - dodał, odwróciwszy się od tronu i kierując się w stronę centrum świątyni.

Ponownie schodzili w głąbiny świątyni, wciąż szukając Falrintha, mając nadzieję, że dogonią go, zanim zniszczy trzecie drzwi.

Shanhaevel przełknął nerwowo ślinę. Przed nim szedł Ahleage, a za czarodziejem Elmo, który wysoko trzymał latarnię, aby wszyscy mogli cokolwiek widzieć.

Kiedy grupa, idąca gęsiego, dotarła do końca schodów, Shanhaevel dostrzegł kolejną dziurę wyrwaną w budowlu świątyni. Łatwo wyobraził sobie drugą parę magicznie zapieczę-towanych drzwi, które umieszczono u podnóża schodów, ale teraz widział tylko ziejącą otchłań.

- Drugie drzwi - cicho powiedział elf - lub raczej to, co kiedyś nimi było.

- Odczuliśmy tylko dwa wybuchy - powiedział Elmo.

- Więc wkrótce nastąpi trzeci - powiedział Govin, pokazując Ahleage, aby ruszał do przodu.

Za wysadzonymi resztkami drugich wrót znajdował się kawałek ziemistego podłoża, które niegdyś mogło zajmować duży obszar. Teraz spora część pomieszczenia zawaliła się, a na ich drodze leżał wielki zawał gruzu.

- A niech to szlag! - zaklął Govin, uderzając dłonią w dłoń.

- Więc, co teraz? - zapytała Shirral. - Która z pozostałych dróg w dół?

Govin, z ustami zaciśniętymi ze zdenerwowania, pokręcił głową i poprowadził grupę z powrotem na górę. Zatrzymał się przy dziurze, którą badał wcześniej. - Spróbujmy tędy. Musimy znaleźć inną drogę na dół, dostać się do kolejnych drzwi i powstrzymać ich. Popatrzcie tam, jakieś pięć metrów w dół. Tam jest jakiś występ i jeśli nie mam zwidów, odchodzą od niego schody - rycerz wskazał na szyb.

Ahleage, który położył się na brzuchu, by wyrzeć za krawędź otworu, pokiwał głową i popatrzył na Govina.

- Ledwo co powiedziałeś, że masz nadzieję, że nigdy nie spotkamy tej „Bezimiennej”, a teraz chcesz iść prosto do tej otchłani, która zapewne prowadzi wprost do jednego z dziewięciu piekieł.

- Myślę, że na samym dole widzę światło - powiedziała Shirral, przykucnąwszy i wychyliwszy się za krawędź. - To jedynie słaby biały blask, ale jestem prawie pewna, że coś się tam pali.

- Mogłem siedzieć sobie teraz w Hommlet - wymamrotał Ahleage, ale rozwinął linę i przywiązał jeden koniec do słupka balustrady. Zrzuciwszy drugi przez krawędź otworu, kontynuował swą tyradę:

- Na moich kolanach siedziałaby Leah. I mógłbym sobie jeść najlepszego pieczonego kurczaka Glory, ale nieeee, jestem tutaj, właśnie schodzę w dół ze zwariowanym rycerzem i waszą czwórką, wszystkimi szalonymi na tyle, żeby pójść z nim.

- Skończyłeś? - spytał Elmo.

Ahleage wydał wargi, jak gdyby się zastanawiając.

- Na razie tak - odparł w końcu. - Daj mi jednak kilka chwil...

- Wobec tego ruszajmy - powiedział Govin chowając miecz do pochwy.

- Lepiej, abym szedł na początku - zasugerował Ahleage. - Sprawdzę, czy półka jest wytrzymała i bezpieczna, na tyle, żeby na niej stanąć. Czekaście tu, aż zejdem na dół.

Ahleage usiadł i zwiesił nogi przez krawędź. Złapał linę, związał się nią w pasie i zsunął się tak, że zawisł w szybie, wystawiając nad powierzchnię podłogi jedynie głowę.

- Nie zwlekajcie jednak zbyt długo. Jeśli spróbuje mnie tam złapać jakiś demon, wołałbym, żebyście też tam byli.

Z tymi słowami, Ahleage zaczął się opuszczać.

Gdy sprawdził stabilność półki, reszta grupy zeszła do szybu, Shanhaevel przełknął nerwowo ślinę, zerkając przez krawędź wąskiego występu. Głębokość otchłani sprawiła, że zaczął się pocić. Daleko, daleko w dole, widział słaby blask światła, który mówił mu, jak długo spadałby, gdyby się poślizgnął. Z przodu Ahleage parł do przodu, zmierzając do schodów prowadzących w dół szybu. Za czarodziejem Elmo trzymał latarnię wysoko w górze, oświetlając drogę reszcie.

Kiedy grupa schodziła gęsiego, Shanhaevel sprawdzał drągiem, czy podłoże jest stabilne. Spiralne schody, na szczęście wydawały się jednak być solidnie zrobione i nienaruszone. Drużyna zrobiła kilka okrążeń wokół środka szybu i schody skończyły się małą platformą przy ścianie szybu.

- Wspaniale - powiedział Ahleage. - Świetny pomysł, Govinie. Wobec tego cofnijmy się i wypróbujmy te drzwi.

W tym momencie Shanhaevel poczuł na policzku dziwny, chłodny powiew.

- Poczekajcie chwilę! - powiedział elf, kiedy wszyscy odwrócili się, by wracać. - Myślę, że tu coś jest.

- Co? Znalazłeś następne ukryte przejście? - zapytał Ahleage, obróciwszy się do Shanhaevela, gdy ten przyglądał się ścianie.

- Właściwie - odparł elf, naciskając kawałek ściany, który niespodziewanie obsunął się w dół - tak.

- Na Matkę Istus! - wykrzyknął Ahleage. - Przyprawiasz mnie o dreszcze za każdym razem, kiedy to robisz. Elmo, poświeć tu trochę.

Ogromny mężczyzna wyciągnął latarnię do przodu, a Ahleage przecisnął się obok Shanhaevela i zaczął przechodzić przez otwór. Zatrzymał się w pół drogi.

- Co tam jest? - spytał się Shanhaevel zerkając zza pleców Ahleage. Podłoga przed mężczyzną pokryta była kośćmi. Czaszki mieszały się z kośćmi podudzia, a żebra z piszczelami, leżącymi na stosie innych szczątków. Wiele jednak szkieletów było właściwie nietkniętych, a kilka wciąż miało różne rodzaje pancerzy.

- Stoczono tu wielką bitwę - domyślał się Shanhaevel, może było to wtedy, gdy upadła świątynia.

- I to ma poprawić mi samopoczucie? - odezwał się Ahleage, wciąż stojąc jak przykuty do swego miejsca. - Nie chcę tam wchodzić.

- Poczekaj chwilę - powiedział Shanhaevel i odwrócił się, by spojrzeć na resztę towarzyszy, czekających na schodach. - Znaleźliśmy sekretne przejście do jakiegoś rodzaju tunelu, ale jest ono pełne kości.

- Co jest za kośćmi? - zapytała Shirral.

- Wygląda na hol, ale nie mam pewności.

- Nie mamy wyboru - zauważył Govin. - Ruszajmy dalej.

- W porządku - powiedział Shanhaevel i odwrócił się do tyłu, aby przekazać odpowiedź Ahleage.

- A *powiedziałeś* im o kościach? - spytał podenerwowany Ahleage.

- Tak.

- Mnóstwie kości? - Tak.

- Czy to pomysł sir Govina Dahny, sir Musimy-powstrzymać-ich-za-wszelką-cenę?

- Ahleage - odparł Shanhaevel, żeby nie dać wyrazu swemu zaniepokojeniu, powoli i wyraźnie wymawiając każde słowo - przechodź przez drzwi. Natychmiast.

Ahleage westchnął i wszedł do komnaty. Shanhaevel wsunął się zaraz za nim. Miejsce rzeczywiście było holem czy raczej skrzyżowaniem, w kształcie litery T, dwóch holi, z których każdy miał kilka kroków szerokości. Przejście na wprost kończyło się mniej więcej tam, gdzie docierał blask latarni, a po obu jego stronach znajdowały się drzwi.

Gdy ostatni z członków Przymierza przeszedł przez ukryte drzwi, nagle podjechały one do góry, zamykając otwór. Ahleage rzucił się na mur, próbując powstrzymać go przed zupełnym zatrzaśnięciem, ale spóźnił się. Drzwi odcięły im odwrót z solidnym łoskotem.

Ledwo ucichło echo zamykanego przejścia, kiedy po obu stronach korytarza rozległ się stukot. Przerażeni towarzysze patrzyli, jak z podłogi podnosi się kilka nietkniętych szkieletów. Nosząca pancerze pochodzące z ich dni pośród żywych i wywijająca bronią w kościstych palcach grupa pół tuzina lub więcej nieumarłych zaatakowała drużynę z obu stron.

- Tędy! - krzyknął Elmo, przecinając korytarz w kierunku środkowej części skrzyżowania. Inni, z wyjątkiem Ahleage, który rozpaczliwie bębnił w drzwi, pospieszyli za nim. Kiedy mężczyzna zdał sobie sprawę, że jego przyjaciele zostawili go, obrócił się i pognął za nimi do bezpiecznego bocznego korytarza.

Elmo, z przyszykowanym toporem, pokazał Shanhaevelowi i Shirral, aby stanęli za nim i bardziej sprawnymi w walce wręcz kompanami. Draga, Govin i w końcu Ahleage zajęli pozycję u wejścia do korytarza, gotując się do walki. Pierwsi ożywieńcy wyszli zza rogu, bezgłośnie śmiejąc się swymi trupimi szczękami i z łoskotem idąc korytarzem w kierunku oczekujących przyjaciół.

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi obok Shanhaevela i Govina. Stał za nimi ogr z pałką w łapsku, gotów opuścić ją na głowę jakiegokolwiek wroga. Za nim czekał drugi ogr z dzikim uśmiechem na paskudnej, pełnej brodawek twarzy.

Shanhaevel był zbyt zaskoczony, żeby zrobić unik, kiedy ze świstem poleciała na niego pałka. Elf zdołał jedynie skrócić ciało na tyle, aby uniknąć uderzenia w głowę. Broń trafiła go jednak w kark i ramię i posłała prosto na ziemię. Elf upadł jak sparaliżowany i ledwo mógł złapać oddech. Leżał na podłodze, a jego umysł nie był w stanie zarejestrować, co się wokół niego działo. Ogr wyszedł na korytarz, gdzie członkowie Przymierza zmagali się z szeregami szkieletów, i uniósł broń, żeby ponownie uderzyć czarodzieja.

Gdy Shanhaevel, z policzkiem przyciśniętym do ostrych kamieni, spoglądał na ogromną drewnianą maczugę mającą za chwilę opaść na jego głowę, spostrzegł, że jego myśli nagle kierują się do Lanithaine'a. Twarz starego mentora zdawała się zajmować całe pole widzenia elfa, uśmiechając się do niego i Shanhaevel zastanowił się, czy Lanithaine byłby z niego dumny, z tego czego stał się częścią. Przybyłem i przysłużyłem się. Oddałem cześć jego imieniu i pomogłem ochronić ludność Hommlet przed szkodą... Przynajmniej przez chwilę.

Shanhaevel uśmiechnął się do Lanithaine'a, mając nadzieję, że nauczyciel *był* z niego dumny, ale raptem jego wizja zniknęła i znowu był tam ogr, szykujący się do zabicia go. Drużyna nie dała mu jednak tej sposobności. Nagle pojawił się Govin, który wskoczył między ogromne stworzenie i leżącego czarodzieja, parując zamierzony cios swoją tarczą i wrażając miecz głęboko w tułów potwora. W tym samym momencie Shirral odciągnęła Shanhaevela, robiąc Govinowi miejsce do walki.

Elf próbował obrócić głowę, aby uśmiechnąć się do druidki, gdy ta ciągnęła go w bezpieczne miejsce, ale nie mógł się poruszyć. Usłyszał wrzask ogra, kiedy miecz rycerza wypruł mu wnętrzności, i kątem oka dostrzegł Elma, szarżującego na kościotrupa, gruchoczącego nieumarłego swą tarczą i biorącego zamach toporem na kolejnego. Wzrok Shanhaevela zmaćcił się, gdy jego kark i ramię przeszył wstrząs bólu. Szok był tak wielki, że nawet nie był w stanie krzyknąć. Po chwili palący ból zmniejszył się do głuchego rwania i odzyskał czucie w palcach u rąk i stóp.



- Ciii - uspokajała go Shirral, starając się przycisnąć dłonie do jego karku. - Nie ruszaj się!

Płynny ogień, który płynął każdym nerwem jego ciała, zabijał go, zmuszając do krzyku, ale elf był tak słaby, że zdołał wydobyć z siebie tylko słaby jęk. Nagle ogarnęło go błogosławione oziębienie. Czuł promieniowanie przenikające go niczym zamrożony strumień, roztopiający się pod wpływem wiosennego słońca. Koniuszki palców Shirral delikatnie pieściły jego skórę, posyłając ciche fale leczniczej magii, aż do momentu, kiedy ból od ciosu ogra został zredukowany do lekkiego ćmienia w karku i mięśniach ramienia.

Shirral odchyliła się do tyłu, spoglądając na Shanhaevela, który zamrugał i uznał, że może usiąść.

- Dziękuję - odezwał się, nie wiedząc, co jeszcze może powiedzieć.

Bez słowa pochyliła się do przodu, złapała go mocno za kołnierz peleryny i pocałowała, przyciągnąwszy do ust i mocno ściskając. Zamrugał ze zdumienia i oddał pocałunek.

Wtem, równie nagle, Shirral odepchnęła go i wypowiedziała kilka słów modlitwy, tak że zabłysnął jej płonący sejmitar. Wysoko unosząc broń, skoczyła do Dragi, broniącego się przed nie mniej niż trzema szkieletami, których włócznie coraz bardziej zbliżały się do ciała łucznika.

Kręcąc głową, by odzyskać zmysły, Shanhaevel wstał na nogi, zauważając, że wciąż czuje sztywność w miejscu uderzenia.

Govin walczył z drugim ogrem, a reszta towarzyszy zmagala się z nieumarłymi. Teraz, kiedy Shirral walczyła obok Dragi, wyglądało na to, że w najgorszej sytuacji znajduje się Ahleage, odpierający ciosy trzech kościotrupów. Mężczyzna tanecznym krokiem robił uniki i atakował, starając się uniknąć zwarcia, ale był już wyraźnie zmęczony.

- Zajmij ich jeszcze tylko przez sekundę! - zawołał Shanhaevel, stając za nim, a następnie rozpoczął zaklęcie, ściągając magiczną energię i kierując ją w przód w postaci ściany ognia wychodzącej z rozpostartych koniuszków palców. Magiczne płomienie objęły dwa szkielety, palący ogień ogarnął ich kości, które zajęły się jak suche drewno. Kiedy chwilę później podmuch ognia zniknął, szkielety były niczym więcej jak tylko kupką dymiących kości.

- Dzięki, czarodzieju - mruknął Elmo, wykorzystując szerokie, płaskie ostrze swego topora, aby zmiażdżyć szkielety na pył, druzgocząc je wściekłymi ciosami, tak aby już nigdy nie powstały.

Ahleage nie odezwał się, ale ponownie przeszedł do ataku, gruchocząc walczącego z nim trzeciego kościotrupa płazem miecza. Shanhaevel pomagał mu w miarę możliwości machając swym drągiem i miażdżąc kości, gdy tylko dojrzał możliwość czystego uderzenia. Kiedy Elmo roztrzaskał ostatni szkielet o ścianę, Shanhaevel obrócił się, żeby zobaczyć Govina, stojącego nad drugim ogrem. Z ostrza miecza kapala krew, ale ramię rycerza trzymające tarczę wisiało bezwładnie.

Shirral już szła, aby mu pomóc, przygotowując moce magicznego leczenia, żeby uleczyć chore ramię rycerza. Mimo odniesionych ran ogień w oczach Govina powiedział Shanhaelowi, że święty wojownik jest gotowy na jeszcze. Oparłszy się na drągu, by odzyskać oddech, elf przyjrzał się pozostałym towarzyszom. Każdy z nich był ranny, niektórzy bardziej niż inni. Draga otrzymał paskudne cięcie w twarz, które ledwo minęło oko. Elmo miał rozcięty pan-cerz na lewym boku, na wysokości żeber i krwawił. Nawet Shirral chodziła lekko utykając. Jednak żadne z nich nie wyglądało na zastraszone czy przygnębione. Zamiast tego, mimo przygnębiającej atmosfery świątyni, czarodziej wyczuwał gorliwość, tak jakby byli blisko celu. Także jego ogarniało podekscytowanie - czuł przyjemne mrowienie w całym ciele.

Kiedy Shirral uporała się z leczeniem, towarzysze przyjrzeni się otoczeniu, starając się określić, w którą stronę się udać. Na każdym końcu wielkiego holu były inne przejścia i oczywiście pokój, z którego wyszły ogry. Zaczęli właśnie debatować, którędy pójść, gdy Ahleage dłonią nakazał milczenie, nasłuchując z przekrzywioną głową. Z oddali do Shanhaevela do-

biegły przytłumione, wydające się rozmową dźwięki, którym towarzyszyły odgłosy kroków. Pokazując reszcie grupy, żeby ruszyła za nim, Ahleage zaczął skradać się w tym kierunku.

- Lordzie Hedracku, jesteśmy prawie gotowi do zniszczenia trzecich drzwi - mówił mężczyzna w oddali. Brzmiało to tak, jakby głos dochodził zaraz zza zakrętu korytarza.

Hedrack? Shanhaevel pomyślał, że skądś zna to imię. Imię z dokumentów w kryjówce Laretha! Czy to mężczyzna w zbroi, którego dzisiaj widziałem?

- Bardzo dobrze - odparł drugi, głęboki głos o władczym tonie - głos Hedracka, jak domyślił się Shanhaevel. Siła promieniująca z tego głosu sprawiła, że elf nie miał wątpliwości. Kroki ucichły. - Możecie działać dalej. Będę w głównej świątyni, przygotowując się na jej przybycie. Powiadomcie mnie, kiedy poddadzą się ostatnie drzwi.

- Jak sobie życzysz - odpowiedział pierwszy głos, a potem rozległa się wrzawa, tak jakby nadeszła jakaś grupka osób.

- Hedrack! - syknął Govin. - Zajmijmy się nimi teraz, zanim zdołają zniszczyć drzwi! - Z tymi słowy rycerz zniknął za rogiem.

- Nie! - krzyknął za nim Shanhaevel, czując dreszcz na myśl o bezmyślnej szarży bez przygotowania, ale było już za późno. Kręcąc głową, gdy Przymierze zaatakowało za rycerzem, czarodziej skoczył za pozostałymi.

Zakręt korytarza przeniósł ich do szerokiego holu, który biegł pod kątem i kończył się kolejną szeroką klatką schodową prowadzącą w dół. Całe skrzyżowanie miało kształt litery Y, z klatką schodową jako pionową linią na dole litery. Falrinth wraz z małym oddziałem ludzi i niedźwieżuków krzątał się w pobliżu szczytu schodów, spoglądając w dół szybu. Stali odwróceny tyłem do szarżującego rycerza i innych członków Przymierza, a oprócz nich nikogo innego nie było widać.

Słyszac ciężkie kroki Govina, Falrinth okręcił się na pięcie, natychmiast składając ręce do rzucenia czaru. Czarodziej cofnął się, a niedźwieżuki wyciągnęły broń i ruszyły w przód, zatrzymując rycerza. Stękając z wysiłku, Govin rzucił się w wir walki, wysoko podnosząc miecz, by zaatakować wyliniałych humanoidów. Ahleage i Draga uderzyli w mur dźwiędzących sekundę później i po chwili szeroki korytarz stał się ryczącym morzem broni i krwi.

Falrinth był o krok od rzucenia czaru, który Shanhaevel tym razem doskonale rozpoznał - płonącej kuli ognia, którą elf już wcześniej sam wykorzystywał. Shanhaevel otworzył usta, żeby ostrzec pozostałych, ale zanim odezwał się, Ahleage rzucił sztyletem i ostrze zagłębiło się w ramieniu starego czarodzieja. Krzyknawszy i zatoczywszy się z bólu, Falrinth stracił koncentrację i nie udało mu się dokończyć zaklęcia. Warcząc z gniewu, mag włożył dłoń między fałdy togi, wyciągnął krótki kawałek pociemniałego od wieku drewna i schylił się, żeby uniknąć kolejnych ran.

Shanhaevel zmarszczył brwi, widząc różdżkę w dłoni czarodzieja. Szybko rzucił własny czar, przyzywając trzy jaśniejące na zielono pociski i niezawodnie kierując je w kierunku Falrintha. Gdy ten podniósł ramię, by wykorzystać różdżkę, pociski trafiły go jeden po drugim, sprawiając, że zawył w okropnym bólu.

Shanhaevel rzucił kolejne zaklęcie, wysyłając kwasową strzałę, taką samą, jaką zabił impa Falrintha, ale czarodziej miał już dość. Odwrócił się i uciekł w ciemność przeciwległego korytarza, a magiczna strzała kwasu upadła nieszkodliwie na podłogę, w miejscu, w którym stary człowiek stał kilka chwil temu.

Shirral z płonąącym ostrzem w dłoni walczyła z dwoma ludźmi o ponurych spojrzeniach, z których każdy władał krótką włócznią. W tym czasie Govin i Ahleage przedarli się przez największe skupisko wrogów i znaleźli się w pułapce, zaatakowani z dwóch stron przez wyznawców świątyni.

Z wyćwiczonym spokojem Shanhaevel przywołał czar snu i uspił paru pozostałych przeciwników. Kiedy garstka ludzi i niedźwieżuków legła na podłodze, Ahleage podszedł do nich ze sztyletem, żeby dokończyć dzieła. Shanhaevel popatrzył na niego.

- Nie, Ahleage! - krzyknął elf, zatrzymując mężczyznę.  
- Oni chcieli sprowadzić demona na świat! - powiedział Ahleage. - Nie możemy ich pozostawić, żeby zniszczyli drzwi po tym, jak odejdziemy. Gdyby był inny sposób, wykorzystalbyśmy go, ale nie ma takiego. Krew za krew, czarodzieju.

Shanhaevel pokręcił głową.

- Nie podejść pod drzwi, żeby zapalić proch. Może to zrobić jedynie Falrinth za pomocą magii. Zostaw ich przeznaczeniu.

- Nie zaryzykuję - odparł Ahleage. - Płonąca strzała, rzucona latarnia czy pochodnia... Przekonałeś mnie, żeby tu przybył, aby ocalić świat przed jątrzącym się złem. Cóż, teraz tu jestem i zamierzam upewnić się, że dobrze wykonam robotę. Odwróć się, jeśli nie możesz patrzeć.

Zrezygnowany Shanhaevel odszedł w bok, starając się nie słuchać. Zamiast tego skoncentrował się na Shirral, która patrzyła na niego pełnymi bólu oczami.

- Czy zalało nas zło świątyni? - spytał ją cicho. - Co wobec tego w końcu wygra?

- Mniejsze zło - wyszeptala druidka, biorąc jego twarz w dłonie i całując go. - Nasz żal z powodu czynienia mniejszego zła jest tym, co odróżnia nas od złych.

Shanhaevel przytaknął, czując w sercu głęboki smutek, ponieważ zdał sobie sprawę z tego, że Shirral ma rację.

- Teraz rozumiem, dlaczego Lanithaine nigdy nie opowiadał o wojennych przeżyciach - cicho powiedział elf. - Podczas wojny linia oddzielająca dobro od zła robi się niebezpiecznie wąska.

Govin popatrzył na towarzyszy i w końcu jego wzrok spoczął na Ahleage, który wciąż trzymał ociekający krwią sztylet. Rycerz zmarszczył brwi.

- Zanim ten dzień się skończy, będzie jeszcze dużo zabijania - rzekł ponuro. - Niech Cuthbert ma dla nas litość.

- Ruszajmy - powiedział Ahleage, wycierając sztylet w płaszcz martwego dźwiedziolaka.  
- Musimy jeszcze złapać czarodzieja.

Shanhaevel i reszta Przymierza skradali się szerokim korytarzem udekorowanym makabrycznymi freskami. Żołądek elfa podchodził mu do gardła, gdy mijali wizerunki demonów baraszkujących na jakimś ogromnym polu bitwy, tańczących i bawiących się pośród pokonanych wrogów - cierpiących ludzi, elfów, gnomów i krasnoludów. Przegrani leżeli w agonii, ze strzaskanymi czaszkami i połamanymi kończynami. Ciała ofiar pochłaniały potworne rzeczy - wielkie rozlewiska ohydnych substancji, grzybiaste porosty w każdym możliwym kształcie i kolorze, pleśnie i inne rzeczy, których czarodziej nie potrafił rozpoznać. Shanhaevel zmusił się do wbicia wzroku w podłogę, żeby uniknąć patrzenia na przerażające obrazy.

Przejście schodziło łagodnie na dół, a od czasu do czasu przedzielały je partie szerokich schodów i węższych bocznych korytarzy. Falrinth, przebiegając przez kilka wijących się tuneli i klatek schodowych, uciekł głębiej do świątyni. Jego rany zostawiły wyraźny ślad krwi, który teraz prowadził grupę tym okropnym przejściem. Shanhaevel dostrzegł słaby blask światła w miejscu, gdzie hol łączył się z dużo większą przestrzenią.

Elmo, który szedł na przedzie z Govinem, podniósł dłoń, sygnalizując grupie, żeby się zatrzymała. Shanhaevel przerwał marsz w pół kroku, nasłuchując uważnie. Po długiej chwili milczenia do tyłu poszła wiadomość: *Z przodu znajduje się wielka komnata. Bądźcie gotowi do ataku.*

Przypominając sobie magię, którą przygotował wcześniej, Shanhaevel wybrał kilka przydatnych zaklęć i skoncentrował się na mającej nadejść potyczce.

Elmo cicho ruszył do przodu, stąpając bezszelestnie po wielkich czarnych kamieniach korytarza do znajdującej się przed nim rozległej komnaty. Reszta Przymierza, jeden po drugim, pospieszyła za nim, rozbiegając się półkolistnie. Wojownicy stanęli na czele. Shanhaevel i Shirral zostali z tyłu, z dala od walki, ale gotowi do rzucania czarów. Miejsce było najwyraźniej świątynią i Shanhaevel przyjrzał się wielkiej sali, obserwując szczegóły i szukając ukrytych zagrożeń.

Rozległa sala miała mniej więcej kształt litery U, a korytarz, którym przyszli, łączył się z jej podstawą. Z ramion sali prowadziło kilka mniejszych korytarzy, cztery po każdej stronie. Środek komnaty zdominował stojący na szczycie podium wielki ołtarz z prowadzącymi do niego szerokimi stopniami. Przykryty był czerwonym suknem przystrojonym żywiołowymi symbolami ognia. Za ołtarzem znajdowała się ogromna fioletowa kotara, która wiła się i skręcała poruszana jakimś niewyczuwalnym podmuchem. Po każdej stronie ołtarza i trochę z tyłu stały dwa wielkie posągi, każdy z nich o wysokości siedmiu metrów. Po lewej znajdował się posąg starca, którego głowa była szczerzącą zęby czaszką z rogami. Posąg po prawej stronie przedstawiał wielką bulwiastą istotę, widzianą przez Shanhaevela w jego wizji. Elf zadrżał, uświadamiając sobie, że te dwa posągi pokazują luza i jego demoniczną małżonkę, Zuggt-moy.

Ołtarz oskrzydlała para złotych kolumn, które sięgały do sufitu, dobrze ponad piętnaście metrów nad podłogą. Sama powała była pomalowana na podobieństwo nocnego nieba, pełnego jasnych, mrugających gwiazd. Wzdłuż ścian, prawie pod samym sklepieniem, znajdował się rząd podniebnych przypór, na których siedziały szkaradne gargulce lubieżnie uśmiechające się do wszystkich na dole. Ściany, podobnie jak podłoga, zrobione były z najczarniejszego

onyksu, nieskalanego innymi ozdobami. Na nich, w równych odstępach, świeciły słabym światłem nieliczne pochodnie.

W tej chwili drżącą kotarę przekroczyła samotna postać w czarnym pancerzu ze stylizowanym symbolem Iuza wymalowanym jasnym złotem na piersiach. To był ten sam człowiek, którego Shanhaevel widział dzięki swemu czarowi, kiedy zniszczono drugie drzwi.

Zobaczywszy szóstkę intruzów, postać stanęła, przez chwilę przyglądając się grupie. Powoli, niemal od niechcenia, zdjęła hełm.

Mężczyzna pod hełmem nosił krótkie włosy i był gładko ogolony. Uśmiechnął się z lekką pogardą, jednak jego palce nerwowo bębniły po trzymanym pod pachą hełmie.

- Cóż, w końcu spotykamy się twarzą w twarz - odezwał się, a jego głęboki głos rezonował dziwnie w wielkiej komnacie i - jak Shanhaevel natychmiast poznał - był to Hedrack.

- Falrinth powiedział mi, że tutaj zmiierzacie. Z każdą chwilą udowadniamie, że jesteście czymś więcej niż tylko drobną niedogodnością, czyż nie? Ja, Hedrack, Usta Iuza, wysoki kapłan Świątyni Złych Żywiołów, pozdrawiam was - Hedrack uklonił się nisko, wymachując dłonią.

Govin, który stał najbliżej niego, zrobił kilka kroków.

- Jestem sir Govin Dahna, rycerz świętego Cuthberta. Przynoszę temu przekłętemu miejscu światło prawdy i dobra. Poddaj się Hedracku i uniknij mego gniewu.

Wysoki kapłan wybuchnął śmiechem.

- *Poddać się?* Wam? Nie sądzę. Nic nie działaliście, niczego nie udowodniliście! To najlepsza chwila Świątyni Żywiołów! Żywioły pożrą wasze dusze, zanim ten dzień się skończy, sir Govinie Dahno - zaśmiał się ponownie, obrócił i zniknął za zasłoną.

Govin ryknął i zrobił dwa kolejne kroki w przód, mając zamiar gonić mężczyznę, kiedy wybuchł chaos.

Znikąd na grupę spadł lodowy grad. Cienkie, ostre kawałki lodu mknęły przez powietrze, tnąc zarówno ubranie, jak i skórę. Govin upadł na kolano i uniósł tarczę nad głowę. Shanhaevel uciekł ze środka burzy, osłaniając twarz ramieniem przed lodowymi drzazgami. Czuł palący ból wbijających się w niego zewsząd kłujących igieł. Nagle atak skończył się i elf obrócił się dookoła, by zobaczyć, skąd nadeszła napaść. Nic nie zauważył.

Zmarszczywszy brwi, elf sięgnął po energię, którą ukształtował, mając nadzieję, że pokaże mu ona, z którego miejsca używana jest magia. Zanim wymówił słowa zaklęcia, coś ciemnego i szybkiego jak błyskawica przemknęło obok niego, kalecząc go potwornie ostrymi pazurami. Czuł, jak szpony zagłębiają mu się w plecy, wrażliwie się głęboko w ciało.

Elf krzyknął i padł wprzód, tracąc kontrolę nad gromadzoną magią. Upadł i przetoczył się na plecy. Podniósł ramiona, aby obronić się przed następnym atakiem i zobaczył, jak coś śmiga przed nim, jedynie centymetry od twarzy. Kiedy owa rzecz zatoczyła koło i zawróciła, by zaatakować ponownie, spostrzegł, że był to gargulec - magicznie ożywione latające wynaturzenie z podniebnych przypór.

Gramoląc się na kolana, Shanhaevel poczekał na następny atak i kiedy stwór podleciał bliżej, zamachnął się mocno drągiem, trafiając stworzenie prosto w skrzydło. Rozległ się obrzydliwy trzask i gargulec poleciał na bok, niezdarnie lądując na podłodze, Shanhaevel dostrzegł więcej tych stworów latających wokół, ale zignorował je na chwilę, wstając na nogi, aby spojrzeć, co dzieło się z jego towarzyszami.

Wszyscy brali udział w zaciętej walce. Podczas lodowego gradu zaatakowała ich grupa ogrów i trolli. Shanhaevel obrócił się, by oprzeć się plecami o ścianę, mając nadzieję, że go to choć trochę zabezpieczy przed atakami latających gargulców.

Mocno przyciskając się do ściany, rzucił czar, modląc się w zakamarku swego umysłu, aby Boccob pozwolił mu zrobić dobry użytek z magii.

Przygotował błyskawicę, chcąc trafić kilka ogrów, które stały w szeregu naprzeciwko Govina, Dragi i Shirral. Gdy ukończył ostatnie słowa zaklęcia i obrał sobie cel, zaatakował go

troll. Oba jego ogromne, szponiaste łapska, przygotowane były do ciosu. Zaskoczony Shanhaevel krzyknął i poleciał do tyłu, nie mogąc trafić błyskawicą dokładnie tam, gdzie zamierzał. Zamiast tego piorun pomknął do góry. Troll zamachnął się, trafiając Shanhaevela w głowę jednym szponem na sekundę przed tym, jak spowiła go błyskawica. Stworzenie zaskowyczało, gdy elektryczność dotarła do celu, zabijając je na miejscu.

Shanhaevel znów został rzucony na podłogę. Błysk światła oślepił go, w uszach dzwoniło mu od gromu, a całe ciało było bez czucia. Gdy próbował powstać, ponownie coś uderzyło w niego, trafiając prosto w żebra i znów przewracając. Elf leżał na ziemi bez tchu i bezbronny. Gdy jego wzrok zaczął powracać do normy, dostrzegł następny ciemny kształt pikujący ostro z góry. Próbował potoczyć się w bok, ale mięśnie odmówiły posłuszeństwa.

W momencie, gdy wydawało się, że gargulec uderzy dokładnie w niego, pojawiło się ostrze - płonące ostrze - przelatując łukiem, przepoławiając gargulca i ponownie pozbawiając Shanhaevela wzroku. Dwie połowy latającej bestii upadły i podskoczyły kilka razy niczym kamienie, tocząc się w ciemniejsze części świątyni.

Shanhaevel zamrugnął, starając się odzyskać widzenie. Głowa pękała mu od ciosu trolla, a oddech był wciąż płytki. Był przekonany, że ma złamane żebro, a rany na plecach krwawiły.

Przed nim dzielnie walczyła Shirral, odpierając płomiennym ostrzem wszystko, co odważyło się zbliżyć. Gdy Shanhaevel, walcząc z bólem, próbował się podnieść, kątem oka dostrzegł następną wiązkę światła. Zza potwornego posągu Iuza pojawiły się trzy świecące na zielono pociski, kierujące się prosto w Shirral. Druidka zobaczyła nadchodzący atak, ale nie była dość szybka, by się przed nim wystarczająco uchylić. Wszystkie trzy pociski zahaczyły o nią, zwalając z nóg i wywołując okrzyk bólu.

Wyjąc z gniewu i frustracji, Shanhaevel zdołał powstać na nogi, podczas gdy Shirral osunęła się na kolana. I wtedy spostrzegł zbliżającego się do nich ogra. Złapał druidkę za ramię i pomógł jej powstać. Shirral z wysiłkiem podniosła się, wciąż dzierżąc płomienne ostrze, i stanęła naprzeciwko podbiegającego z wielkim toporem ogra.

Działając szybko, Shanhaevel rozpoczął zakłęcie, mrużąc słowa czaru i celując w bestię podchodzącą do Shirral. Prowadzone wzrokiem i umysłem wszystkie trzy zielone pociski, które wyleciały z jego palca, trafiły w ramię i rękę ogra. Shirral rzuciła się do przodu i cięła nisko, wrażając broń w kolana bestii, co spowodowało, że ta zatoczyła się, wyjąc z bólu. Druidka kontynuowała atak, tnąc znowu i znowu, aż bestia poddała się ciosom i padła.

Shanhaevel obrócił się, żeby zobaczyć, kto jeszcze potrzebuje jego pomocy i zauważył Ahleage, otoczonego przez dwa ogry i trolla. Zaciśnięwszy usta, elf ruszył do przodu i rzucił następny czar, przyzywając magiczne czarne macki i umieszczając je między dwoma ogrami. Macki natychmiast wyskoczyły w górę i wijąc się, szukały czegoś do pochwycenia. Znalazły nogi ogrow. Gdy owijały się wokół kończyn stworzeń, ogry wrzasnęły i próbowały je przeciąć, uderzając w magiczne konstrukty potężnymi pałkami. Ahleage odskoczył do tyłu, mogąc nareszcie zmierzyć się z trollem.

Teraz Shanhaevel dostrzegł ruch za ogromną fioletową kotarą. Zmrużywszy oczy, dostrzegł ramię trzymające cienką, pociemniałą ze starości różdżkę. Wycelowana była w miejsce, gdzie Elmo, Draga i Govin walczyli z kilkoma przeciwnikami. Z różdżki wyskoczył cienki biały promień i Shanhaevel zobaczył, jak trójka jego towarzyszy ponownie zostaje zaatakowana gradem lodu.

Wykrzywając się, Shanhaevel przygotował własny czar, czekając i obserwując. Kiedy ramię pojawiło się ponownie, uwolnił zakłęcie. Z koniuszka palca pomknął malutki bursztynowy płomień, który przeleciał przez pomieszczenie w kierunku ukrywającej się za kotarą postaci. Kiedy promień dotarł do celu, detonował, zamieniając się w gigantyczną kulę ognia, która rozszerzyła się w mgnieniu ognia i tak samo szybko zniknęła.

Zza kotary wytoczył się Falrinth, a jego popalone i dymiące ciało upadło u podstawy ołtarza. Potaknąwszy z satysfakcją, Shanhaevel ruszył do przodu, żeby się przyjrzeć, czy czaro-

dzień stanowi jeszcze jakieś zagrożenie, kiedy kątem oka dojrzał inny ruch. Ahleage śmignął do przodu ze sztyletami w dłoniach.

- Ahleage, nie! - wykrzyknął Shanhaevel, ale mężczyzna był zbyt szybki i nie zawahał się. Dobiegając do powalonego czarodzieja, Ahleage wznosił sztylety, ale nigdy nie dokończył zabójczego ciosu. Kotara ożyła, drżąc gwałtownie i strzelając kilkoma ciemnymi kosmykami, które chwyciły go za nogę.

Ahleage zawył, zatoczył się do tyłu i dygocząc, upadł na podłogę. Ku przerażeniu Shanhaevela, noga Ahleage zniknęła przed oczami elfa, kurcząc się i ciemniejąc w przeciagu sekund. Ahleage, niemal w delirium z powodu straszliwego bólu, przewracał się na boki, daremnie ściskając gnijącą nogę i krzycząc, żeby ktoś, ktokolwiek, pomógł mu pozbyć się cierpienia.

Govin dobiegł do Ahleage i ukląkł, by zająć się umęczonym towarzyszem. Bitwa zdawała się być zakończona i reszta drużyny zebrała się wokół powalonego przyjaciela.

Shanhaevel ponownie skierował swą uwagę na Falrintha. Czarodziej żył, ale był popalony tak, że prawie nie można go było poznać i wyglądało na to, że długo już nie pociągnie. Elf chwycił go i odciągnął od kotary, a następnie ukląkł przy jego twarzy.

- Moja towarzyszka, druidka, może cię wyleczyć, ale musisz mi pomóc. Gdzie są klejnoty?

Falrinth bez mrugnięcia patrzył na twarz Shanhaevela i nic nie powiedział.

Shanhaevel potrząsnął głową i spróbował ponownie.

- Może sprawić, że ból zniknie. Świątynia upadnie, a ty ponownie możesz służyć dobru, tak jak wtedy, gdy walczyłeś u boku księcia Thrommela. Odkup winy. Pozwól swemu sercu wrócić na drogę dobra. Powiedz mi, gdzie są klejnoty!

Bardzo słabo, niemal niezauważalnie Falrinth przytaknął.

- Hedrack - szepnął. - Ma je H-hedrack.

Coś - Shanhaevel później nie potrafił wyjaśnić, co - spowodowało, że elf rzucił się w tym momencie do tyłu. Być może było to odbicie w oczach Fairintha lub może szmer ubrania czy świst broni w powietrzu. Cokolwiek to było, Shanhaevel uchylił się, i to ocaliło mu życie. Druzgoczący cios buzdyganem, zamierzony w jego głowę, trafił zamiast tego w twarz Fairintha, opryskując Shanhaevela krwią. Odskakując od potwornego widoku zmiażdżonej głowy starego czarodzieja, elf spojrział do góry, by zobaczyć, jak zamierza się na niego Hedrack z zakrwawionym buzdyganem w ręce.

- Teraz już nie nawrócisz go na dobro - powiedział Hedrack głosem wypełnionym obrzydliwą radością. Zrobił krok w przód, ponownie wznosząc buzdygan.

Cios zablokował Elmo, rzuciwszy się między Shanhaevela i Hedracka z wysoko uniesionym toporem. Hedrack z łatwością usunął się z drogi i zamachnął pięścią celując w żebra topornika. W tym samym ułamku chwili, kapłan rzucił jedno słowo - coś, czego Shanhaevel nie rozumiał, słowo mocy. W momencie kontaktu oczy Elma rozszerzyły się. Dostał skurczu, wyrzucił powietrze z płuc, a wtedy jego kończyny odmówiły mu posłuszeństwa i legł na ziemi. Hedrack uśmiechnął się, widząc nieruchomą postać topornika, parsknął i, obracając się, rzucił następny czar.

Zanim Shanhaevel zdążył zareagować, stracił ślad Hedracka. Jego uwaga została siłą skierowana na coś innego. W jednej chwili wysoki kapłan stał tam, a w następnej już go nie było, Shanhaevela to nie obchodziło, wciąż widział ruchy kapłana, ale to, że Hedrack idzie przez salę, oddala się od niego, nie liczyło się. Nie mogąc otrząsnąć się z tego dziwnego odczucia, elf skupił się na Elmie.

Ten leżał zupełnie nieruchomo, wpatrując się w nicłość. Shirral podbiegła i przewróciła go na bok, zanim Shanhaevel zdołał go choćby dotknąć.

- Wstań! - błagała, z oczami pełnymi łez - Elmo, wstań! Nieruchoma postać Elma wymownie powiedziała Shanhaewelowi, że mężczyzna nie żyje.

- Niiieee! - zapłakała druidka, także uświadomiwszy sobie straszną prawdę. Objęła Elma, przytulając twarz do jego piersi, a jej ciałem wstrząsnął potężny szloch.

Shanhaevel wyciągnął rękę, by ją pocieszyć, ale Shirral odepchnęła ją z dzikim wyrazem twarzy.

- Nie! - krzyknęła, stając na nogi. - Wracaj, łajdaku! - wystartowała niczym pocisk, biegnąc za Hedrackiem.

- Shirral, zaczekaj! - zawołał Shanhaevel, powstrzymując własną rozpacz po śmierci Elma i gramoląc się na nogi, aby ją zatrzymać. Spowolnić jej szaleńczy, obłąkany pościg. Była jednak zbyt szybka i nie mógł je dogonić. - Chodźcie! - wykrzyknął do Govina i Dragi, którzy wciąż klęczeli nad Ahleage, przyglądając mu się ze smutnym wyrazem twarzy.

Shanhaevel nie czekał, by zobaczyć, czy pobiegną za nim. Wyskoczył ze świątyni za Shirral, modląc się, żeby złapać pogrążoną w rozpacz druidkę, zanim ta dogoni Hedracka.

Kręty korytarz, którym Shirral ścigała kapłana, prowadził do kilku wystawnie urządzonej pomieszczeń, sądząc z wyglądu - kwater mieszkalnych. Shanhaevel widział, jak Shirral biegnie przed nim i skręca za róg. Panika wzbierała w jego piersi z każdym krokiem większa, ale biegł za druidką, szarżując zza rogu i niemal wpadając na ogromne stworzenie - dwugłowego potwora, który pochylał się nad leżącym ciałem dziewczyny. Potwór trzymał w łapie wielki topór.

Shirral poruszała się z trudem, z raną na czole czołgając się po grubym dywanie. Dwugłowe monstrum, ettin, zwrócił się do Shanhaevela. Zanim elf zdążył zareagować, w powietrzu błysnął świetlisty młot z granatowego światła. Elf cofnął się od lewitującej broni, starając się zejść z jej drogi, ale magiczny młot był szybszy i trafił go prosto w klatkę piersiową. Kaszląc od ciosu, elf zatoczył się do tyłu i upadł, lądując twardo na podłodze. Miał mroczki w oczach i nie mógł oddychać. Próbował podnieść drąg, ale odkrył, że na nim siedzi i kiedy starał się go wydostać, młot uderzył go powtórnie, trafiając w głowę. Wszystko zniknęło.



- Czarodzieju! No! Dalej! Wstawaj! - był to głos Govina, chociaż wydawał się odległy. Dobiegał zza mgły bólu, pulsującego, ogłuszającego bólu, który tętnił w czaszce Shanhaevela. Chciał się odezwać, ale myśl o otworzeniu ust sprawiła, że ból stał się jeszcze silniejszy, więc zdecydował się tego nie robić.

- No, dalej, Shanhaevelu - głos Dragi przebił się przez pulsowanie. - Obudź się. Porwali Shirral.

Wtedy, niemal mimowolnie, oczy elfa otworzyły się. Wszystko było rozmazane, ale mru-gnął kilka razy, chcąc odzyskać ostrość widzenia i wkrótce pojawiły się przed nim jakieś twa-rze. Govin pochylał się nisko, Ahleage i Draga również.

Shanhaevel leżał na plecach, spoglądając w sufit. Próbował się odezwać i spostrzegł, że jego szczęka jest niesamowicie spuchnięta. Zdołał wydobyć z siebie jedynie słabe chrząknię-cie.

- Możesz pić? - spytał Govin, trzymając małą buteleczkę i unosząc głowę Shanhaevela.

Elf potaknął słabo. Rycerz przycisnął flakonik do ust czarodzieja i wlał część płynu. Zna-jomy smak cynamonu i popiołu potwierdził jego leczniczą naturę. Shanhaevel przełknął gęsty płyn i poczuł, że część bólu opuszcza jego szczękę. Opierając się na jednej ręce, sięgnął po buteleczkę z lekiem i wlał do gardła resztę zawartości, pospiesznie przełykając. Poczuł znajo-me działanie magii, chłód ogarniający ciało, kiedy eliksir wykonywał swe zadanie, kojąc większość bólu, który czuł.

Lecznicy płyn skończył działać i Shanhaevel poczuł się dużo lepiej. Usiadł, popatrzył na twarze trzech otaczających go mężczyzn.

- Co się stało z Shirral? - zapytał dziwnie spokojny.

- Schwycił ją Hedrack - powiedział Ahleage odrobinę drżącym głosem. - Udało mu się zbiec, zanim przedostaliśmy się przez to - pokazał głową na dwugłowego ettina, teraz leżące-go w kałuży rozlanej krwi - i zdołaliśmy wam pomóc.

Do diaska! Pomyślał wściekły Shanhaevel.

- Musimy ją znaleźć - powiedział, próbując wstać. Chwiał się na nogach, wciąż odczuwa-jąc lekki ból głowy od przyjętego uderzenia. - Gdzie poszedł?

Ahleage pokazał na drzwi, którymi przyszedł Shanhaevel.

- Przerzucił ją przez ramię i poszedł tamtędy - powiedział. - Govin zdołał mnie uleczyć - dodał w odpowiedzi na zdziwiony wzrok elfa, wskazując na swą obecnie zdrową nogę. Zady-gotał raz tylko, ale to powiedziało wszystko.

Shanhaevel zauważył bladość mężczyzny, rozpoznając oznakę wstrząsającego przeżycia.

- Z tobą wszystko w porządku? - elf zapytał się Ahleage.

- Przeżyję - mężczyzna skinął głową. - Ale Shirral nie wiadomo, jeśli zaraz się nie ruszy-my,

- Elmo? - Shanhaevel usiłował przełknąć ślinę, ale spostrzegł, że nie może.

Ahleage pokręcił głową i pokazał na owinięte ciało, leżące zaraz za martwym ettinem.

- Pomścimy go - powiedział Govin.

Draga, stojący obok rycerza, przytaknął i mocniej chwycił miecz.

- Więc chodźmy poszukać kapłana. Gdzie mógł się udać? - Shanhaevel rozejrzał się po pomieszczeniu, po raz pierwszy przyglądając się wystawnie umeblowanej komnacie. Na wielkim łóżu przy przeciwległej ścianie pomieszczenia dwie młode kobiety, okrywające swą nagosc futrami, drżały, patrząc na znajdującą się u progu grupę. Shanhaevel widział, że były śmiertelnie przerażone.

- Paida? - Ahleage zrobił kilka kroków w kierunku kobiet, które skuliły się w największym przerażeniu. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. - Na matkę Ralishaza, to ona!

- Musimy je stąd wydostać - beznamiętnie powiedział Govin - i odgadnąć, dokąd Hedrack zabrał Shirral.

Ahleage próbował zbliżyć się do Paidy, ale dziewczyna krzyknęła i odczołgała się na przeciwległy brzeg łóża, zupełnie chowając się pod futrami.

- Hedrack musiał je w jakiś sposób zaczarować - powiedział Shanhaevel. - Zobaczę, czy mogę złamać to zaklęcie.

Rozpoczął czar, obserwując młode kobiety, by upewnić się, że żadna z nich nie spróbuje uciec, zanim zaklęcie zacznie działać. Przez chwilę Paida i druga dziewczyna mrugały ze zdumieniem, a potem na twarzy służki pojawiło się zrozumienie.

- Och, dzięki niech będą Matce! - wykrzyknęła Paida, ponownie dygocząc.

- Proszę, nie pozwólcie mu wrócić - jęknęła druga dziewczyna - ja chcę do domu!

Ahleage uśmiechnął się łagodnie.

- Zabierzemy cię stąd. Jak ci na imię?

- Mika - odpowiedziała. Przysunęła się do Paidy i obie, wciąż otulając się futrami, zeszły z łóża i podeszły do towarzyszy.

- Paida, Mika, czy wiecie gdzie on poszedł? - spytał Ahleage.

Mika zbladła i pokręciła głową.

- Po tym, jak zostałeś uderzony świetlistym młotem - powiedziała Paida, zwracając się do Shanhaevela - znalazł coś w twoich rzeczach i zabrał druidkę. Wyniósł ją, mówiąc Deusowi i Ahmie - pokazała na martwego ettina - żeby powstrzymali pościg.

Serce Shanhaevela podskoczyło mu do gardła. Sięgnął do plecaka i przetrząsnął go w rozpaczliwej frustracji, by potwierdzić to, czego obawiał się najbardziej: pudło ze złotą czaszką zniknęło.

- Ma klucz! - powiedział elf z paniką wzbierającą w głosie. - Zamierza uwolnić Zuggt-moy!

- Nie możemy na to pozwolić - powiedział niskim i napiętym głosem Govin. - Gdzie to zrobi?

- Na poziomie powierzchni, przy wielkim tronie - odparł czarodziej, wskazując kciukiem do góry.

- Wobec tego chodźmy! - rzekł Govin, pokazując kobietom, żeby do nich dołączyły. - Chodźmy, zanim nie będzie za późno.

Gdy tylko Govin przeszedł przez drzwi i ukucnął, by podnieść zawinięte ciało Elma, z cienia wychynął ciemny kształt. Śmignął do przodu, pragnąc pożreć ich wszystkich. W mgnieniu oka dwie z ośmiu pajęczych odnóży nieumarłej bestii uderzyły, jedna cięła Dragę w ramię, a druga przeszła na wskroś ciało Miki. Ze stworzeniem nie było fizycznego kontaktu, niemniej jednak krzyk biednej dziewczyny zamarł jej w krtani, gdy blada jak ściana i nieruchoma legła na ziemi.

Paida krzyczała, podczas gdy Ahleage chwycił ją za ramię i odciągnął od straszliwego martwego ducha. Draga, przyciskając do ciała bezwładne ramię, niezdarnie chwycił miecz, ale zanim nieumarła rzecz zdążyła zaatakować, pojawił się tam Govin.

- Pobłogosław tę broń, święty Cuthbercie! - krzyknął rycerz, tnąc mieczem pajęczy cień. Ostrze przemknęło nie wyhamowując przez zjawę, a twarz Laretha wykrzywiła się z bólu i stworzenie zawył, zataczając się do tyłu w próbie uniknięcia błogosławionego ostrza.

Shanhaevel przyklął na jednym kolanie, sprawdzając, czy można pomóc Mice, ale dziewczyna była martwa, jej życie zostało zabrane dotknięciem lodowatego ducha.

- Idźcie! - wykrzyknął Govin, napierając na potwora. - Idźcie na górę i ocalcie ją! Dogonię was!

Wahając się tylko przez chwilę, Draga, Ahleage i Shanhaevel wypchnęli Paidę z komnaty, biegnąc już, gdy Govin ponownie zamachnął się mieczem, wywołując kolejne wycie bóleści niematerialnego stworzenia.

- Niech święty Cuthbert ma go w swojej opiece - westchnął Shanhaevel, gdy biegli.

- Dlaczego Hedrack zabrał Shirral? - zapytał Draga, gdy przemierzali obecnie puste korytarze. - Co może chcieć jej zrobić?

- Najprawdopodobniej oddać w ofierze demonowi - odparł Ahleage.

Słyszając słowa mężczyzny, Shanhaevel zadrżał, ale nic nie powiedział. Nie chciał o tym myśleć i stanowczo wyrzucił tę myśl ze swego umysłu. To się nie zdarzy, powiedział sobie zdecydowanie. Zatrzymamy go, zanim będzie miał ku temu sposobność.

Gdy grupa zmierzała w górę, Shanhaevel zauważył, że miejsce wygląda na opustoszałe, wielu żołnierzy poległo z naszych rąk lub zdezercerowało, uznał. Nie poprawiało to sytuacji, jeśli demon zostanie uwolniony, liczba zabitych wrogów nie będzie miała znaczenia. Elf przyspieszył kroku jeszcze bardziej.

\* \* \*

Kiedy w końcu czwórka przyjaciół dotarła na najwyższy poziom świątyni, weszła do koszarnej sali, którą badali jako pierwszą, lecz nie znaleźli tam nikogo.

- Draga, weź Paidę i idźcie - wyszeptał Shanhaevel, wskazując na zrujnowane główne wrota. - Zabierz ją w jakieś bezpieczne miejsce.

Draga otworzył usta, żeby zaprotestować, ale kiedy spojrzał na przerażoną kobietę, w końcu przytaknął. Odwrócił się, by odejść, prowadząc przed sobą Paidę.

- Wróć tu - powiedział na pożegnanie.

Shanhaevel obrócił się plecami do wejścia i pokazał na przód ogromnej sali, gdzie przed wielkim półkolistym murem usytuowany był potężny kamienny tron. Stał tam Hedrack, tyłem do nich. Jego sztywna sylwetka i szybkie, precyzyjne ruchy wskazywały, że robi coś pośpiesznie. Na odgłos ich kroków wysoki kapłan obrócił się, a Shanhaevel spostrzegł że w jednej dłoni trzyma czaszkę. Cztery wgłębienia otaczające wierzchołek czerepu zostały wypełnione. W każdym otworze znajdował się teraz klejnot w kolorze poszczególnych żywiołów. Shanhaevel jęknął, uświadomiwszy sobie, że klucz w rękach Hedracka stał się potężną bronią.

Shirral tkwiła na siedzisku tronu ze związanymi dłońmi i nogami oraz kneblem w ustach. Pół jej twarzy zakrywała przepaska na oczy. Obróciła głowę na dźwięk zbliżających się kroków i Shanhaevel cicho odetchnął z ulgą, widząc, że druidka jeszcze żyje.

- Na luza, nie odejdziecie stąd! - parsknął Hedrack z twarzą pociemniałą z gniewu. - Nie pomyślałbym, że nędzni słudzy tego dandysa będą tak wytrwali.

- Wytrwali to wystarczająco dobre określenie, Hedracku - chłodno powiedział Shanhaevel, cały czas podchodząc do mężczyzny i gotując się, żeby rozerwać wysokiego kapłana na strzępy gołymi rękami, jeśli okazałoby się to konieczne.

- Jakikolwiek określenie wybierzesz, nic to nie zmieni - zza pleców elfa zabrzmiał głos Govina.

Shanhaevel odwrócił się, żeby spojrzeć na rycerza, który stał odrobinę z tyłu, z ciałem Elma leżącym u jego stóp. Twarz rycerza wyglądała odrobinę mizernie, ale gościł na niej uśmiech. Shanhaevel oddał uśmiech, wdzięczny losowi, że widzi przyjaciela żywego.

- Z mocy Cuthberta zwycięstwo należy do nas - powiedział Govin. - Nie możesz nam sprostać. Musisz to wiedzieć. Odłóż broń. To twoja jedyna szansa. Nie okazemy ci litości, jeśli się *natychmiast* nie poddasz!

Mówiąc to rycerz zbliżał się do wysokiego kapłana, Shanhaevel i Ahleage szli po jego bokach, gotowi zakończyć tę sprawę raz na zawsze. Shirral, słysząc głosy towarzyszy, napięła mięśnie, próbując rozerwać więzy.

- Więc nich tak się stanie - wypluł z siebie wysoki kapłan, okręcając się, by stanąć z nimi twarzą w twarz. - Wszyscy umrzecie!

Bez patrzenia w tył Hedrack uderzył pięścią w twarz druidkę, sprawiając, że wydała z siebie przytłumiony jęk. Osunęła się w dół, jęcząc, zanim nie padła nieruchomo. Hedrack wyciągnął trzymaną w drugiej dłoni czaszkę i cicho przemówił.

Widząc to, Shanhaevel zaklął wściekle. Ruszył do przodu, gotów wypowiedzieć zaklęcie, które rzuci mężczyznę o ścianę. Kątem oczu widział, że pozostali zareagowali podobnie. Wszyscy byli gotowi zadusić tego człowieka bez chwili wahania.

Zanim którykolwiek z nich zdołał zbliżyć się do wysokiego kapłana, w rozległej sali dał się odczuć podmuch wiatru i nagle w polu widzenia pojawiły się cztery koszarne stworzenia przywołane z jakiegoś niższego planu. Shanhaevel i pozostali skupili się w grupie.

Hedrack wyszczerzył zęby w uśmiechu, odwrócił się z powrotem do tronu i usiadł na nim. Kiedy planarne istoty zbliżały się, aby zaatakować, Hedrack podniósł czaszkę do góry i tron powoli opuścił się w podłogę.

Shanhaevel przez chwilę stał niczym skamieniały, pod wpływem straszliwej świadomości tego, co się właśnie stało. Hedrack przyzwał stworzenia z głębi najniższych planów, żeby osłaniały jego odwrót. Przerazające bestie zbliżały się, a wysoki kapłan zniknął, zapadając się w podłogę podestu i zabierając ze sobą pochwyconą druidkę. Jeśli nikt mu nie przeszkodzi, Zuggtmoy zostanie uwolniona i okoliczne ziemie padną jej ofiarą.

Obserwując wszystkie stworzenia jednocześnie, Shanhaevel próbował się od nich oddalić. Pierwszy, wysoki i nagi potwór, przypominający pokryty czerwoną skórą szkielet, groźnie szczyrzył paszczę, pędząc do przodu i wyciągając po czarodzieja swe długie, kościste szpony. Shanhaevel upadł do tyłu, chroniąc się przed atakiem i niemalże znalazł się w zasięgu drugiej istoty, monstrum w kolorze kości słoniowej i uzbrojonej w kły paszczy psa, z której toczyła się ślina. Wymachiwało ono czterema ramionami, którymi groziło Govinowi. Oczy bestii świeciły paskudnym fioletem, a Shanhaevel poczuł smród zgnilizny, gdy stworzenie rzuciło się na rycerza, celując w niego dwoma ramionami zakończonymi potężnymi szczypcami.

Następna z przyzwaných istot, olbrzymia ropucha o grzbiecie pełnym kolców i groteskowymi ludzkimi ramionami, skoczyła na Shanhaevela, który przetoczył się rozpaczliwie w bok, by się od niej odsunąć. Ropucha wylądowała tam, gdzie elf był ułamek sekundy wcześniej, przewracając psogłowego demona. Dwie bestie odskoczyły na bok, warcząc i sycząc na siebie. Govin wbiegł między nie, wprawnie wywijając mieczem.

Shanhaevel pozbierał się na nogi i zastanowił nad czarem, który uszkodziłby te czarty. Dwa stworzenie zajęte przez Govina ignorowały czarodzieja, ale wysokie, nagie i kościste monstrum ponownie ruszyło do przodu, sprawiając, że elf powtórnie upadł.

- Idź! - ryknął Ahleage, rzucając się na czerwonoskórego potwora i tnąc go mieczem. - Ocal ją!

Kościsty potwór zamachnął się na Ahleage pazurami, ale człowiek był szybszy, ucinając mu ramię w błyskawicznym ataku.

Shanhaevel wykorzystał zamieszanie, żeby wycofać się i pobiegł, odczuwając mdłości z powodu smrodu zgnilizny, siarki i chorób, które emanowały od potworów. Ostatnie ze stworzeń, szczególnie odrażające monstrum podobne do sępa, również z ludzkimi ramionami, zerwało się do lotu i zaczęło go ścigać. Elf przebiegł obok ogromnej klatki schodowej w centrum świątyni, kierując się w stronę tronu. Cały czas biegł, mimo że wciąż czekał na nieuchronne dźgnięcie pazurów w plecy i na cios ostrego dzioba wrywający ciało z jego głowy i karku.

Sępowate stworzenie, zamiast zaatakować, przemknęło obok Shanhaevela, widocznie chcąc się z nim pobawić. Wylądowało mu na drodze, w pobliżu ogromnej dziury w podłodze, którą Przymierze spenetrowało - wydawałoby się - wieczność temu. Rozpostarło skrzydła i zaskrzeczało tryumfalnie, wydając z siebie przeraźliwy dźwięk. Znajdujące się za nim pozostałe bestie wyły, walcząc z Govinem i Ahleage, sprawiając, że Shanhaevelowi przeszły ciarki po plecach. Rozejrzał się rozpaczliwie, szukając jakiejś drogi ucieczki.

On ma Shirral! Krzyczała jakaś jego część. Pospiesz się! Może wciąż można ją uratować. Musisz spróbować! Jeśli nie zdązyszz...

Nie potrafił zmusić się do myślenia, co stałoby się druidce gdyby nie zdążył. Ale to nie będzie miało znaczenia, powiedział sobie, ponieważ Zugtmoy będzie wolna i wszystkich nas spotka ten sam los. Dysząc, otarł oczy rękawem. Jego wolę przyćmiła oszołamiająca ilość zła świątyni, jakie na niego oddziaływało.

To świątynia sprawia, że tracisz nadzieję, napomniał się. Skup się! Nie pozwól jej wygrać!

Shanhaevel oczyścił umysł. Sępowata bestia zbliżała się, kłapiąc dziobem i skrzecząc z radości. Wyciągnął przed siebie drag, trzymając go w obronnej pozycji, czekając, aż będzie miał szansę przemknąć obok potwora i dobiec do tronu. Niestety, żadna okazja nie pojawiała się, minuty biegly i elf czuł się coraz bardziej zrezygowany.

Kątem oka dostrzegł rozmazany ruch i koszmarnie stworzenie poleciało do tyłu uderzone przez Dragę.

- Ocal druidkę! - ryknął łucznik, odsuwając się do tyłu z mieczem w ręce. - Idź, czarodzieju, *idź!*

Demon wrzasnął na znajdującego się przed nim przybysza i kiedy Shanhaevel rzucił się w przód, starając się przeskoczyć obok walczących, czart spróbował zablokować mu drogę. Draga skoczył, celując mieczem w pierś sępowatego i z całą siłą uderzając w bestię. Moc ciosu strzaskała cienkie kości jednego ze skrzydeł cofającego się stworzenia. Czart upadł, rycząc z bólu zadanego przez wojownika i zamierzając się na łucznika dziobem i szponami. Wyszarpnął kawałek ciała Dragi, rozpryskując przy tym fontannę krwi.

W jednej przerażającej chwili Shanhaevel spostrzegł, że obaj, przyjaciel i wróg, zaraz spadną do wielkiego otworu. Planarne stworzenie straciło równowagę. Przechylając się do tyłu, trzepotało zdrowym skrzydłem, próbując stanąć pewnie, a Draga spychał je dalej, nieświadomy zagrożenia.

- Draga! - krzyknął Shanhaevel, robiąc krok do przodu w nadziei, że złapie swego towarzysza, zanim spadnie w przepaść. Ale elf znajdował się zbyt daleko i kiedy jego przyjaciel zrobił ten ostatni krok, walczący przez ułamek sekundy zdawali się wisieć w powietrzu, zanim - zgubieni - ześlizgnęli się w dół.

Shanhaevel mógł jedynie patrzeć na dramat rozgrywający się w ciemnej otchłani. Ostatnie wycie okaleczonego monstrum odbijało się echem, gdy istota spadała na spotkanie śmierci.

- Draga! - wykrzyknął zdruzgotany elf. Spraw, żeby to miało znaczenie, zmotywował się elf, zamykając umysł przed potwornością, jaką właśnie zobaczył. Spraw, żeby to poświęcenie na coś się zdało! *Rusz się!*

Shanhaevel otrząsnął się z rozpacz i ponownie pobiegł w kierunku podwyższenia. Zaczął rzucać zaklęcie, którego jeszcze nigdy nie używał, kolejny z potężnych czarów, które znalazł podczas studiowania tomów Lanithaine'a. Skupiwszy magiczną energię, elf zmienił kształt, transformując się z dobrze znanej postaci elfa w bardzo dziwną i nieznaną postać sowy. Jego serce biło mocno podczas tej przemiany z obawy, że w jej trakcie straci rozum, stanie się sową ciałem i umysłem. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Kiedy czar zaczął działać, wciąż był Shanhaevelem.

Szeroko rozpostarłszy ramiona, odkrył, że były teraz opierzonymi skrzydłami i instynktownie wznosił się w powietrze. Poszybował w kierunku skrytego tronu, modląc się, żeby wciąż można było dostać się do środka. Dostrzegł kwadratowy otwór w miejscu, gdzie znajdował się tron i skierował się w jego kierunku, z furją uderzając skrzydłami, zanim szybko się nie zbliżył.

Shanhaevel nie zastanawiał się nad skutkami swego działania. Nie myślał, że leci do przerażającego demona i mściwego wysokiego kapłana, który chce wyzwolić owego demona. Jedyne, o czym mógł myśleć, była śmierć jego przyjaciół, odzyskanie złotego klucza i urato-

wanie Shirral. Gdy zanurkował do otworu i spadał po chwili w dół czarnego szybu, jego umysł płonął wściekłością na Hedracka, a uczucie to zdawało się dodawać mu sił.

Szyb prowadził daleko w dół. Dno było słabo oświetlone migotliwym czerwonym, zielonym i żółtawym światłem.

Shanhaevel widział tron spoczywający na podłodze dokładnie pod nim. Siedzisko było puste. Zastanawiał się, czy Hedrack czyha tam na dole, gotów zaatakować wszystko, co miało nadejść z góry, czy też może dumny wysoki kapłan założył, że piekielne stworzenia, które przywołał, wystarczą, aby powstrzymać natrętów. Nie ważne, co tam miało być, pomyślał Shanhaevel, Hedrack nie będzie się spodziewał sowy i elf sądził, że to da mu wystarczająco dużo czasu, by ukraść złotą czaszkę, zanim Hedrack zorientuje się, co się dzieje.

Zmieniony czarodziej wypadł z szybu i wleciał do szerszej komnaty na jego dnie, wyrównał lot i skręcił na bok, czmychając od wejścia na środek pomieszczenia.

Znajdował się w kolejnej dziwacznej sali tronowej, która - w przeciwieństwie do sali usytuowanej na górze, a utrzymanej w ostrych czerwieniach, brązach i zieleniach - była smoliście czarna, z dziwnymi, świecącymi na szaro runami namalowanymi wzdłuż ścian. Dziwaczne pismo zdawało się skręcać i wirować na krawędzi wzroku Shanhaevela, gdy ten przyglądał się otoczeniu. Jedyne światło dochodziło z migoczących pochodni umieszczonych na obwodzie pomieszczenia.

W pobliżu końca długiej komnaty, blisko szybu, przez który wleciał, znajdowały się szerokie schody prowadzące do innego pomieszczenia, obecnie ciemnego. Na przeciwległym końcu, dokładnie przed tronem, tyłem do Shanhaevela, klęczał Hedrack, manipulując przy czymś umieszczonym nisko na podłodze. Na tronie siedziała obrzydliwa starucha, straszna kobieta, której spojrzenie zdawało się zamglone i jakby nieobecne.

Niepewny, co robić dalej, Shanhaevel bezszelestnie podleciał bliżej, mając nadzieję, że zdoła lepiej zobaczyć, co robi wysoki kapłan. Gdy zmieniony elf krążył w górze na swych cichych skrzydłach, dojrzał, że Hedrack klęczy przy krawędzi wielkiego, wrytego na podłodze symbolu - sześciokąta wpisanego w okrąg. Końce sześciokąta świeciły kolorami tęczy - czerwonym, pomarańczowym, żółtym, niebieskim i indygo - a środek symbolu pulsował słabym fioletowym światłem. W centrum wzoru leżała Shirral. Została rozebrana do naga, a Hedrack przymocowywał łańcuchy do jej kostek i nadgarstków, najwyraźniej mając zamiar złożyć ją w ofierze. Druidka wyglądała na oszołomioną i z na wpół otwartymi oczami i ustami wpatrywała się w sufit. Na podłodze, między kolanami pochylonego w kierunku druidki Hedracka, leżała złotą czaszką.

Shanhaevel wyrównał skrzydła, gotując się, by zanurkować i ukraść złoty klucz sprzed nosa Hedracka. Zmieniony elf do tej chwili był szybki i cichy i wysoki kapłan w ogóle go nie zauważył. Hedrack przymocował obie kostki Shirral i zajął się jej lewym nadgarstkiem. Szybki lot, chwycenie klucza i ucieczka na drugi koniec pomieszczenia, zanim wysoki kapłan zorientuje się, co się dzieje, powinny być łatwe. Shanhaevel leciał nisko i szybko. Już zbliżał się do celu, gdy siedząca na tronie starucha wrzasnęła i pokazała go palcem.

Serce Shanhaevela przestało bić, gdy Hedrack momentalnie odwrócił głowę i zauważył sowę, która zdążyła już chwycić klucz. Elf próbował poderwać się do góry i uciec z zasięgu rąk wysokiego kapłana, ale nie zdążył nabrać prędkości i mężczyzna zamachnąwszy się opancerzoną pięścią, łatwo trafił czarodzieja.

Cios posłał Shanhaevela na podłogę z czarnego marmuru. Zatrzymał się pod ścianą ładny kawałek dalej, z wzrokiem zaćmionym wściekłością i gniewem z powodu własnego niepowodzenia. I ze złamanym skrzydłem. Z szeroko rozwartymi oczami zakończył działanie czaru i poczuł, że wraca do własnej postaci. Jego ramię wisiało bezwładnie z boku.

Hedrack stał przodem do czarodzieja, z nieprzyjemnym uśmiechem na twarzy.

- To ci odwaga - śmiejąc się powiedział kapłan. - Doceniam twoje wysiłki. Skoro zdołałeś się tu dostać, będziesz miał okazję widzieć, jak posyłam twoją krzykliwą towarzyszkę prosto do podziemi. Jestem pewien, że moja pani Zuggtmoy z przyjemnością ją tam powita.

Na te słowa starucha na tronie wybuchła szalonym chichotem.

Shanhaevel zacisnął pięści i momentalnie tego pożałował ponieważ jego zranione ramię przeszył ognisty ból.

- Zachowaj swoje szyderstwa dla kogoś, kto cię słucha łajdaku - warknął, zgrzytając zębami. - Zszedłem tu na dół by położyć temu kres.

Shanhaevel wziął głęboki wdech i przygotował czar.

Hedrack zaśmiał się, najwidoczniej rzeczywiście rozbawiony słowami czarodzieja. Elf, zszokowany nieoczekiwanym zachowaniem wysokiego kapłana, przerwał rzucanie zaklęcia. Hedrack wpierv chichotał cicho, szczerze rozśmieszony, lecz wkrótce zgiął się wpół, rycząc z radości i z trudem łapiąc powietrze. Łzy śmiechu leciały mu po twarzy. Oniemiały Shanhaevel mógł mu się tylko przyglądać.

- Naprawdę uważasz, że wciąż masz szansę! - wykrztusił wysoki kapłan między atakami śmiechu. - Sądysz, że ciągle możesz mnie powstrzymać! To ci dopiero! Nie rozumiesz? - ciągnął Hedrack, w końcu odzyskawszy kontrolę nad sobą. - To koniec! Przegraliście! Z chwilą, gdy odzyskałem klucz - by podkreślić wagę słów, uniósł w górę małą złotą czaszkę - zwycięstwo należy do mnie. Co chcesz teraz osiągnąć? Jak chcesz mnie powstrzymać, kiedy mogę zrobić *to*?

Wysoki kapłan wykonał gest i w pobliżu miejsca, gdzie stał, zawirowało powietrze. Zawirowanie rosło i rosło, aż w końcu stało się trąbą powietrzną, szalejącą obok wysokiego kapłana. Powietrzna rzecz zdawała się żyć własnym życiem, wirując i kłębiąc się, rozrzucając po pomieszczeniu kaskady pyłu. Siegała niemal sufitu. Shanhaevel przełknął ślinę i mimowolnie cofnął się, rozpaczliwie myśląc o pozostałych mu jeszcze czarach, próbując znaleźć coś, co mogłoby pokonać powietrzne stworzenie.

Hedrack wykonał następny gest i powietrze zawirowało ponownie, stając się tym razem wielką stertą ziemi i skał, odlegle przypominającą kształt człowieka. Istota stanęła na nogi. Jej dwa potężne ramiona kończyły się ogromnymi kamiennymi pięściami.

Najwyraźniej czerpiąc przyjemność z tej pretensjonalnej demonstracji siły, Hedrack wykonał trzeci, a następnie czwarty gest, przywołując do życia dwie kolejne istoty żywiołów, jedną ognistą, a drugą wodną. Dwa nowe żywiołaki rzuciły się na wszystkie strony, najwyraźniej zmagając się z mocami, które je więziły, gotowe pognać do przodu i zaatakować oszłomionego elfa stojącego po przeciwległej stronie sali. Starucha za Hedrackiem śmiała się obłąkanie, zachwycona dziełem wysokiego kapłana.

- Więc powiedz mi, czarodzieju - tryumfujący i dumny Hedrack opuścił ramiona - czy szczerze myślałeś, że masz szansę? Czy rzeczywiście wierzyłeś, że możesz pokonać świątynię w jej najświetniejszej godzinie? Uwierzę ci. Jesteś prześmieszny - wykonał kolejny gest i niczym jedno, cztery żywiołaki rzuciły się w kierunku Shanhaevela. - Zniszczcie go, natychmiast.

Gdy Hedrack patrzył, stojąc beztrąsko z jednym ramieniem na piersiach, a drugim opuszczonym luźno wzdłuż boku, jego cztery nowe sługi nieomylnie kierowały się ku Shanhaelowi, zbliżając się, by pochłonąć go swymi esencjami, zamrozić, zmiażdżyć, spalić, utopić i pokonać na zawsze.

Zywiołak powietrza wirował jak szalony, latając po pomieszczeniu i nagle wspiął się na ścianę i poszybował za elfa, by uniemożliwić mu odwrót. Stworzenia z wody i ognia z ciałami z trzaskających płomieni i drżącej przelewającej się fali okrążyły Shanhaevela z boków. Ostatnie szło stworzenie z ziemi, sprawiając, że pomieszczenie trzęsło się pod wpływem jego wolnych, rozmyślnych kroków.



Shanhaevel nie miał dokąd uciec. Znajdował się w pułapce między czterema siłami żywiołów, otoczony przez siły natury i skazany na ich działanie. Elf rozpaczliwie spojrział na Hedracka, mając wciąż irracjonalną nadzieję, że ze strony wysokiego kapłana nadejdzie nie spodziewane ulaskawienie, jakaś nagła myśl, że taka śmierć była zbyt okrutna nawet dla niego, ale w głębi serca Shanhaevel wiedział doskonale, że Hedrack rozkoszował się jego cierpieniem. Shirral umrze, a Zuggtmoy, silna w swym własnym planie, chociaż tu objawiająca się w postaci rechoczącej staruchy, zostanie uwolniona, żeby zniszczyć ziemię wokół świątyni.

- A teraz umrzesz - Hedrack tryumfował, wciąż przyglądając się zniszczeniu, jakie spowodził na przeciwnika. - Kiedy tylko moi ludzie zburzą ostatnie z drzwi, moja władczyni Zuggtmoy będzie wolna, a ta śliczna ofiara zostanie wysłana do najniższego planu, aby oczekiwać tam na uwagę demona.

Shanhaevel poczuł w gardle znajomą gulę, czując obezwładniające poczucie smutku, które ją wytworzyło. Wspomnił Lanithaine'a, znowu żałując śmierci swego nauczyciela i przyjaciela. Uczucie żalu czarodzieja - rozmyślającego nad swymi niepowodzeniami - wydawało się bezdenne. Nie udało mu się ocalić mentora, teraz nie mógł ocalić swej ukochanej, a w końcu nie ocali nawet siebie. Shanhaevel zwiesił głowę, mimo że czuł zbliżające się siły żywiołów. Osunął się na jedno kolano, z ranną ręką wciąż wiszącą bezwładnie z boku, pochylił głowę, w końcu poddając się nieuchronnemu.

Nagle wściekły jęk zdumienia Hedracka zmusił elfa do spojrzenia w kierunku wysokiego kapłana. Złota czaszka, wytrącona z uchwytu kapłana, toczyła się po podłodze w kierunku Shanhaevela. Zrobiła to Shirral. Mając jedną rękę wolną od kajdan, zdołała sięgnąć w górę i wypchnąć klucz, posyłając go w kierunku elfa. Złota czaszka podskoczyła kilka razy, tocząc się po podłodze, przemykając między masywnymi stopami żywiołaka ziemi i trzaskającymi płomieniami żywej istoty ognia. Mała, ozdobiona klejnotami kula potoczyła się ku stopom Shanhaevela, a Zuggtmoy wrzasnęła z przerażenia i gniewu.

Hedrack warknął i uderzył Shirral na odlew, Shanhaevel usłyszał twardy odgłos uderzenia mimo wycia wiatru i trzasku ognia. Druidka upadła z bolesnym jękiem i legła nieruchomo. Hedrack rozejrzał się, by dostrzec, gdzie zatrzymał się jego skarb. Kiedy zobaczył swój obiekt pragnień nie opodal buta Shanhaevela, jego oczy rozszerzyły się i rozbłysły nienawiścią.

Wściekłość, wciąż tłąca się w sercu elfa, teraz wybuchła płomieniem. Chwyciwszy złotą czaszkę zdrową ręką, Shanhaevel podniósł się. Cztery otaczające go istoty były w odległości kilku kroków. Każda z nich zatrzymała się jednakże, gdy ich zdobycz wstała, trzymając w górze źródło przywołania i znak ich poddaństwa. Pokazując czaszkę, Shanhaevel czuł, że ma władzę nad czterema żywiołakami i wiedział, że znajdują się pod jego wpływem i że będą słuchać jego rozkazów.

Przez chwilę Shanhaevel zastanawiał się nad wysłaniem żywiołaków przeciwko Hedrackowi, aby rzuciły nim o ścianę i unicestwiły go tak, jak on planował unicestwić czarodzieja, ale zdał sobie sprawę, że w ten sposób najprawdopodobniej ucierpiałyby Shirral. Jedynym sposobem na pozbycie się Hedracka było zniszczenie klucza, zanim zdoła on uwolnić Zuggtmoy - niestety, do tego konieczna była pomoc Shirral. Nawet jeśli Shanhaevel zdołałby uwolnić swoją towarzyszkę, Hedrack prędzej zabiłby ją, niż pozwoliłby jej na udział w takiej ceremonii. Nawet z czaszką w garści, porażka elfa wydawała się nieuchronna.

Chyba że znalazłoby się inne wyjście... pomyślał elf. Szybko przypominając sobie kolejne punkty procesu, który wyjaśnił mu Burne, uświadomił sobie, że być może istnieje inny sposób dokonania obrzędu destrukcji. Wiatr i ziemia, później ogień i woda. Może da się to zrobić. Może.

Hedrack okręcił się na pięcie, wyciągnął nóż z buta i ukląkł obok wciąż oszołomionej Shirral. Jej twarz była posiniaczona, a z paskudnej rany na skroni ciekła krew. Hedrack przy-

kucnął, tak aby Shanhaevel mógł go dobrze widzieć, mógł zobaczyć, co ma zamiar zrobić. Shanhaevel wiedział, co się dzieje, przygotował się na to psychicznie, jednak patrząc, jak wysoki kapłan łapie druidkę za włosy i przyciska ostrze do jej gardła, wciąż czuł, że wzbiera w nim panika.

- Daj mi czaszkę lub ona zginie! - rozkazał Hedrack.

- I tak ją zabijesz - odpowiedział Shanhaevel, walcząc z potrzebą wypełnienia polecenia. Czarodziej podniósł do góry złotą czaszkę, żeby Hedrack ją zobaczył. - Czy zdajesz sobie jednak sprawę z tego, co stanie się z tym?

Shanhaevel wsadził rękę do środka żywiołaka powietrza a jego uścisk na magicznym kluczu sprawił, że był odporny na efekty szalejącego wiatru.

Żrenice Hedracka rozszerzyły się po raz drugi, gdy ten nagle zdał sobie sprawę, o czym myśli Shanhaevel. Puściwszy włosy druidki, błagalnie podniósł ramię.

- Nie! Nie rób tego! *Nie możesz tego zrobić!*

Hedrack skoczył na równe nogi i zaszarżował na elfa.

Shanhaevel błyskawicznie obrócił się i przebiegł do żywiołaka ziemi, nakazując bestii uderzyć klucz jedną z potężnych kamiennych pięści. Potwór opuścił swą grubą i ciężką łapę, niemalże wytrącając czaszkę z uchwytu elfa, ale Shanhaevel zdołał ją utrzymać swą zdrową dłonią. Cios wywołał donośny brzęk.

- Zatrzymaj go! - wrzasnęła Zuggtmoy. - Zatrzymaj go, głupcze!

Hedrack zbliżał się, był już nie więcej niż tuzin długich kroków, chociaż drogę do Shanhaevela blokowała mu istota z ziemi i kamienia. Nie tracąc czasu na śledzenie poczynań wysokiego kapłana, Shanhaevel okręcił się i włożył dłoń w sam środek gorących, palących płomieni żywiołaka ognia. Trzymał czaszkę w jego środku, a jego samego nie paliły płomienie, ponieważ posiadał klucz. Podczas gdy krew dudniła mu w uszach, a kamienie pod stopami drżały, Shanhaevel poczuł, że złoto staje się gorące i usłyszał okrzyk bólu Zuggtmoy.

Wysoki kapłan był już tylko o kilka kroków, przeciskając się obok stworzeń stojących mu na drodze, przemykał się między żywiołakiem ziemi i jego ognistym odpowiednikiem, który przypalił mu włosy. Rzucił się na Shanhaevela, starając się go pochwycić, ale nie był dość szybki. Elf odskoczył, kierując się w kierunku ostatniego stworzenia i wyciągając ramię, wciąż trzymające czaszkę, wcisnął je głęboko w mroczne odmęty wodnej bestii.

- Nie! - krzyknął Hedrack, a szum w uszach elfa spotęźniał. Poczuł, że czaszka pęka mu w dłoni, rozsypując się na tuzin poszarpanych kawałków złota. Klejnoty osadzone wokół czerpu wypadły i rozsypały się w proch. Gdzieś w oddali rozległ się kolejny krzyk Zuggtmoy, ale nie był to wrzask staruchy, ale ryk bólu bulwiastego demona - jej prawdziwej postaci. Rozpęd Shanhaevela zaniósł go w głębię żywiołaka wody, a ponieważ złoty klucz pękł, odczuł, że znika jego magiczna ochrona. Poczuł dotkliwie zimno wody.

Sam wodny żywiołak również zmieniał się powoli. Już nie falował życiem. Zamiast tego przekształcił się w strumień wody, kaskadę, która rozlała się na podłogę. Shanhaevel przeleciał przez nią, upadając bez szwanku po drugiej stronie i ociekając wodą. Potrząsając głową, starając się wytrzeć lecące mu po twarzy strumienie i odgarnąć przemoczone włosy z oczu, czarodziej próbował usiąść, ale podłoga pod jego nogami zaczęła się trząść.

Gdzieś zza pleców elfa dobiegł żalostny, przerażony krzyk Hedracka. Shanhaevel usłyszał zgrzytliwy dźwięk skały upadającej na ziemię, głośnie pluśnięcie i wysoki kapłan ucichł. Elf obrócił się, by zobaczyć, co się stało.

Czar przywołujący do życia kamienną istotę skończył się wraz ze zniszczeniem złotej czaszki i bestia padła nieżywa prosto na Hedracka. Ciało wysokiego kapłana zostało przywalone wielkim kawałkiem marmuru, a spod zwałów gruzu wystawała pod nienaturalnym kątem poskręcana i połamana noga. Wciąż żył, chociaż jego twarz była kredowobiała z szoku i przerażenia. Wpatrywał się w powalę, mrużąc coś cicho.

Shanhaevel zbliżył się do wysokiego kapłana, a przez komnatę przeszła kolejna fala wstrząsów.

- Zabij mnie - cicho błagał Hedrack - Zabij mnie, p-pro-szę, zabij mnie. N-n-nie pozwól mu m-mnie d-d-dostać...

- Komu? - spytał Shanhaevel, niepewnie kołyszając się na nogach, miotany wstrząsami komnaty.

- Memu panu i w-w-władcy - ton głosu Hedracka był gorączkowy i obłąkany. - Będzie m-mnie torturował. U-u-ukarże mnie. Proszę zabij mnie. Nie zostawiaj mnie dla n-niego Błagam cię.

Shanhaevel zastanawiał się przez chwilę, a następnie sięgnął po nóż, który leżał niedaleko od ręki Hedracka. Stał przez chwilę, spoglądając z góry na kapłana.

- Tak, proszę - powiedział Hedrack. - Zabij mnie... szybko. Z-zrób to, błagam cię.

Czarodziej uniósł sztylet, gotując się do zakończenia życia Hedracka i zastanawiając się przy tym, dlaczego po tym wszystkim, co ten uczynił, ma zamiar spełnić jego prośbę i oszczędzić mu cierpienia. Podniósł nóż, ale powstrzymał go krzyk.

- Shanhaevelu! - zawołała Shirral. - Pomóż mi!

Elf obrócił się i spojrzał na druidkę, która wciąż była przykuta do podłogi, chociaż symbol, na którym leżała - widoczny przedtem - zniknął. Z góry spadały kawałki sklepienia i ścian, a Shirral, będąc unieruchomiona, nie mogła unikać odłamków.

Upuściwszy nóż i zostawiwszy Hedracka, Shanhaevel pobiegł przez pomieszczenie. Upadł na kolana obok Shirral i gorączkowo manipulując jedną ręką, zaczął rozpinać więżące ją kajdany. Na tronie obok nich Shanhaevel dostrzegł postać Zuggtmoy, wciąż uwięzioną na siedzisku, która teraz przybrała prawdziwą postać, ale stała się bezcielesna i migotliwa. Od czasu do czasu materializowała się prawie zupełnie, tak że elf słyszał je ryki bólu i agonii, gdy potężna siła wydierała ją z tego planu i zwracała ku temu należącemu do niej.

W końcu Shanhaevel zdołał rozpiąć dłoń Shirral i próbował oswobodzić jedną z jej kostek. Druidka pochyliła się do przodu, starając się uwolnić drugą nogę. Komnata wokół nich trzęsła się i waliła, a wielkie kawały kamienia i skały uderzały o podłogę. Jeden szczególnie duży blok roztrzaskał się tuż obok, obsypując oboje odpryskami, które wbiły się im boleśnie w skórę.

Nie wydostaniemy się stąd, po cichu rozpaczał Shanhaevel, walcząc z kajdanami.

- No, puść, do wszystkich diabłów! - przeklął obejmę, wściekły, że jego druga ręka zwisa beзуżytecznie z boku.

Jak gdyby na żądanie, kajdany otworzyły się i Shirral w końcu odzyskała wolność. Shanhaevel próbował jej pomóc wstać, ale podłoga pod stopami nagle zakolysała się, pękając, tak że w środku komnaty powstała szczelina. Elf i druidka zaczęli zsuwać się w stronę rozpadliny. Z wyrwy rozchodziły się opary, wypełniając powietrze dymem, gazami i ciepłem.

- Nie! - krzyknęła Shirral, chwytając Shanhaevela, gdy oboje zbliżali się do otchłani.

Elf, nie mogąc posłużyć się zranionym ramieniem, miał kłopot z zatrzymaniem się, ale druidka zdołała złapać go jedną ręką za koszulę, a drugą chwyciła wybrzuszony kawałek podłogi. Powoli, z wysiłkiem, wyciągała ich z rozpościerającej się wyrwy w skale.

Dwójka towarzyszy przekręciła się na bok, dysząc, ale pomieszczenie waliło się coraz szybciej. Stanąwszy na nogi, Shanhaevel pomógł wstać Shirral, zdjął swą poszarpaną pelerynę i dał jej, żeby się okryła.

- Tędy! - powiedział czarodziej, biorąc ją za rękę i prowadząc w kierunku wylotu szybu. Gdy mijali miejsce, gdzie przywalony kamieniami martwego żywiołaka leżał wysoki kapłan, Hedrack błagalnie wyciągnął dłoń.

- Proszę - zawołał, obracając głowę, gdy zobaczył, że przechodzą tuż obok jego wyciągniętej dłoni. - Nie zostawiajcie mnie! Nie pozwólcie mu mnie zabrać!

Shanhaevel, ignorując wysokiego kapłana, dotarł do miejsca, gdzie u góry otwierał się szyb. Wąż się świątynia jednakże zamknęła przejście i otwór prowadzący do wolności był całkowicie zasypany. Nie było drogi ucieczki. Shanhaevel rozpaczliwie okręcił się dookoła, wiedząc, że ich czas ucieka. Gdy ściany komnaty zaczęły walić się do środka, jego wzrok spoczął na szerokich schodach prowadzących w ciemność. Było to jedyne wyjście z pomieszczenia.

- Chodź! - krzyknął Shanhaevel, ponownie chwytając Shirral za rękę i ciągnąc ją w kierunku schodów.

- Nieee! - zawył Hedrack i Shanhaevel zatrzymał się na sekundę, obracając, by spojrzeć na kapłana, a gdy ich wzrok spotkał się, elf dostrzegł rozpacz w oczach Hedracka, wiedząc przy tym, że jego własna twarz była chłodną maską pogardy. Nie czuł litości dla tego człowieka. Bez wyrzutów sumienia odwrócił się w chwili, gdy w dół poleciała wielka masa gruzu, grzebiąc pod sobą wysokiego kapłana. Biegąc z Shirral do schodów i opuszczając komnatę, Shanhaevel ani razu nie popatrzył w tył.

Na szczycie szerokich stopni znajdowała się kolejna rozległa sala tronowa. Ona także waliła się, a wyjścia na zewnątrz broniły wielkie wrota z brązowego drewna, zaryglowane srebrem i magią. Kiedy Shanhaevel zobaczył, że droga jest zamknięta, ogarnęła go rozpacz. Gdy ziemia trzęsa się, a kamienie świątyni spadały wokół niego, osunął się na kolana, kręcąc głową.

Shirral usiadła obok niego i wtuliła twarz w jego pierś. Łzy na jej policzkach mieszały się z krwią.

- Mimo wszystko zrobiliśmy to - wyszeptala cicho, próbując się uśmiechnąć. - Powstrzymaliśmy ich - ujęła jego twarz drżącymi dłońmi i pocałowała go. - Powstrzymaliśmy ich od uwolnienia demona.

Shanhaevel drętwo skinął głową, wdzięczny, że mogą się uchwycić tej myśli, która da im odrobinę ukojenia w tych ostatnich chwilach. Przyciągnął do siebie druidkę sprawnym ramieniem i objął ją mocno, gdy masywne kolumny sali tronowej padały, posyłając we wszystkich kierunkach mordercze kamienne odpryski. Ziemia trzęsa się i kołysała, a Shanhaevel obserwował zbliżającą się do nich śmierć.

Nagle, przez zapieczętowane wrota, błysnął jasny promień niebieskiego światła. Z głośnym trzaskiem i trzęsieniem ziemi drzwi otworzyły się na oścież i oba skrzydła uderzyły z hukiem o kamienną ścianę.

Elf na ułamek sekundy zawahał się ze zdumienia, zanim skoczył na nogi, popychając Shirral, której twarz wciąż była ukryta w jego ramionach. Pokazując na drzwi, rzucił się do przodu, ciągnąc ją za sobą. Kiedy druidka spostrzegła, gdzie zmierzał, westchnęła i przyspieszyła, by się z nim zrównać. Na miejsce, gdzie przed sekundą siedzieli, z hukiem upadła kolumna, posyłając w ich stronę kawałki potrzaskanego kamienia. Obróciwszy się, oboje przebiegli przez otwarte drzwi i ruszyli w górę widniejących przed nimi schodów. Biegąc szybko, niż sądził, że to możliwe, Shanhaevel wdrapał się na schody, przemknął przez osypujący się za nimi szeroki korytarz, następnie skręcił i ujrzał następne wrota, również otwarte na oścież. Bez wahania rzucił się przez nie i wspiał na koleje schody, wciąż ściskając dłoń Shirral. Na szczycie jednak zobaczył, że dalej przejście jest zawałone. Jęknąwszy, odwrócił się z powrotem, myśląc rozpaczliwie.

- Szyb! - powiedział, modląc się, żeby otwór był wciąż otwarty, a występ nietknięty. - Chodź!

Pociągnął Shirral za sobą. Jego złamana ręka bolała koszmarnie, ale starał się o tym nie myśleć, gdy tak biegli razem, walcząc o utrzymanie równowagi, kiedy cała budowla trzęsa się i kołysała gwałtownie. Powietrze wypełnione było kurzem, a przejścia waliły się, odcinając im drogę.

Shanhaevel rozpaczliwie pędził długim korytarzem kości, rozrzucając szczątki dawno umarłych wojowników. Kiedy dotarł do miejsca, gdzie znajdowały się tajemne drzwi, rozpaczliwie zaczął szukać zamka.

- Pomóż mi! - krzyknął do Shirral.

Razem szamotali się, szukając uchwytu i kiedy Shirral go znalazła, precyzyjnie się przez otwór i zajrzeli do środka. Na szczęście, półka wciąż tam była i mogli przedostać się przez przejście do szybu. Rumor walącej się świątyni nie ustawał i oboje musieli przycisnąć się do ściany, żeby utrzymać równowagę.

Wytrzymaj tylko chwilę dłużej, modlił się Shanhaevel. Schwyciwszy dłoń Shirral, zaczął wspinać się w górę do błogosławionego wyjścia. Znał czar, który mógłby mu pomóc, zaklęcie, które uniosłoby go w górę, ale nie chciał o tym myśleć. Nie zostawię jej, zarzekł się.

- Shanhaevelu! - krzyknęła Shirral, gdy świat upadał na głowę. - To nie wytrzyma!

Jak gdyby w odpowiedzi na słowa druidki, schody zatrzęsły się i pękły pod ich stopami.

- Czy masz jakiś czar? - spytała Shirral z rozpaczą w oczach. - Coś, co mogłoby...

- Nie zostawię cię! - uciał krótko, kręcąc głową. - Możemy krzyczeć po pomoc!

- Użyj go! - powiedziała Shirral. - Rzuć czar i wydostań się stąd!

- Nie! Nie mogę cię wziąć ze sobą i nie zostawię cię! Stopień, na którym stał, nagle zakolysał się i Shanhaevel musiał skoczyć do tyłu, gdy kawałek schodów spadł w ciemności. On i Shirral byli teraz oddzieleni dużą szczeliną. Shanhaevel stłumił jęk.

- Nie! - wykrzyknął, wyciągając dłoń w stronę Shirral. Nie teraz, kiedy byli tak blisko!

Shirral spojrzała na niego i w jej oczach dostrzegł miłość, jaką go darzyła. Uśmiechnęła się, mimo że stopień, na którym stała pękł, i zaczęła spadać.

- Nie! - wykrzyknął Shanhaevel, chcąc się za nią rzucić, ale poślizgnął się i upadł. Gdy patrzył, jak spada, myślał, że pęknie mu serce, ale wtedy stała się rzecz zdumiewająca. Ujrzał nagle, jak jego ukochana transformuje się, przybierając kształt małego ptaka. W mgnieniu oka stała się jaskółką, a jej skrzydła uderzały z furją, kiedy śmignęła w górę szybu.

Śmiejąc się z zachwyty i ulgi, Shanhaevel, z uradowanym sercem, patrzył, jak leci. Ziemia zatrzęsła się i zanim poleciały kolejne kamienie, rozpoczął swój czar. Gdy skończył zaklęcie lewitacji, stopnie, na których stał, spadły i znalazł się w powietrzu. Drżąc z ulgi, czarodziej wznosił się do góry, gdy ściany szybu pękały i leciały w znajdującą się poniżej ciemność.

Na szczycie Shanhaevel znalazł czekającą na niego Shirral, ponownie w ludzkiej postaci.

- Dlaczego nie zrobiłaś tego od razu? - zapytał, gdy oboje biegli w kierunku wyjścia, do ziejącej dziury, gdzie niegdyś stały drzwi. - Dlaczego od razu stamtąd nie wyleciałaś?

- Bo ty wciąż tam byłeś - odpowiedziała po prostu.

Kiedy byli jakieś trzydzieści kroków od wyjścia i wolności, spora część sufitu upadła obok nich, o włos mijając Shirral i trafiając w nogę Shanhaevela. Straciwszy równowagę, potoczył się do przodu i lądując twardo na plecach, poczuł, że traci oddech. Ostry ból krążył w jego zranionym ramieniu, gdy walczył o zachowanie przytomności.

- Chodź! - ponagliła Shirral, chwytając czarodzieja za ramiona i pomagając mu wstać. Razem pokuśtykali kilka ostatnich kroków w stronę wyjścia i przeskoczywszy przez nie, wyszli na otwartą przestrzeń w momencie, gdy cała budowla z hukiem obróciła się w ruinę.

\* \* \*

Ziemią wstrząsały wielokrotne drgania - fale powstałe po zupełnym zniszczeniu świątyni. W powietrzu wisiał gęsty kurz, a ziemia jęczała. Shanhaevel leżał, dysząc w śniegu, czując, jak nim nasiąka, gdy ten topnieje i zamienia się w wodę, ogrzewany ciepłem wiosennego słońca. Oddychając z ulgą, czarodziej podniósł się do pozycji siedzącej.

Kilka kroków dalej, śmiejąc się do niego, stali Govin, Ahleage i Paida. Między rycerzem i Ahleage, na prowizorycznych noszach, spoczywał Draga. Jego twarz, pierś i ramiona pełne były krwawych ran. Chociaż niemal tak blady jak otaczający go śnieg Draga uśmiechnął się również. Shanhaevel zamrugał ze zdumienia, następnie zaśmiał się radośnie.

- Nie sądziłem, że się jeszcze zobaczymy - powiedział Govin ze szczerą radością w głosie. - Wygląda na to, że otrzymałeś błogosławieństwo samego Cuthberta.

- Na to wygląda - zgodził się Shanhaevel, w końcu czując, że jego oddech powraca do normy.

- Myślałem, że cię straciliśmy - odezwał się Draga, śmiejąc się do Shirral. - Już wyobrażałem sobie, co powiem Jaroo, kiedy wrócimy do Hommlet.

- Tak, no cóż - wtrącił się Ahleage - teraz ona może wyobrażać sobie, co powie Jaroo, na to, co stało się z jej ubraniem.

Ahleage cofnął się, dokładnie przyglądając się druidce, ale uśmiech na jego twarzy był szeroki i radosny. Stojąca obok niego Paida, która miała na sobie płaszcz Govina, spojrzała na mężczyznę i zmarszczyła brwi.

Shirral popatrzyła się przez chwilę krzywo, a jej błękitne oczy ciskały gromy w kierunku Ahleage, ale zaraz na jej twarzy pojawił się uśmiech i wybuchła śmiechem. Jej radość ucichła jednak, kiedy zobaczyła zawinięte ciało Elma, leżące na drugich noszach, kawałek za drużyną. Pojedyncza łza spłynęła po jej policzku, gdy zbliżała się w kierunku ogromnego topornika. Uklękła przy ciele i pochyliła głowę.

Shanhaevela kusilo, żeby podejść do niej, spróbować ją pocieszyć, ale coś go powstrzymało. Czuł, że potrzebuje chwili samotności, szansy na pożegnanie się. Zamiast tego odwrócił się i spojrzał na kręcącego głową Dragę.

- Kiedy zobaczyłem, jak lecisz w dół, myślałem, że już po tobie. Jak do licha udało ci się uratować? - zapytał czarodziej.

- Jakimś cudem ten szczęściarz spadając, wylądował na półce szybu. Gdy Govin i ja zdołaliśmy zabić pozostałe *rzeczy* - Ahleage wstrząsnął się na wspomnienie czartów - usłyszeliśmy jego wołanie. Ledwie go wyciągnęliśmy, kiedy cała świątynia zaczęła się wokół nas walić.

- Czekaliśmy na was tak długo, jak mogliśmy - dodał Govin - ale w końcu, kiedy pojawił się ten dziwny niebieski błysk i wszystko zaczęło spadać, nie mogliśmy zostać dłużej - spojrzenie rycerza powiedziało Shanhaevelowi, że nie był on specjalnie dumny z zostawienia ich w świątyni.

- To była słuszna decyzja - powiedział Shanhaevel i uważał tak naprawdę. - Zginęlibyście na próżno, gdybyśmy nie wyszli.

- Jestem wdzięczny losowi, że się wam udało - rzekł Govin - ale nie wyobrażam sobie, jak tego dokonaliście.

- To, moi przyjaciele, będzie opowieść w sam raz na drogę do Hommlet.

## Epilog

Tego wieczora izba gościnna „Gospody Miłej Karczmarki” tętniła hałasem. Pięcioro towarzyszy siedziało wokół stołu zastawionego półmiskami z jedzeniem. Błat pokrywały parujące pasztety, pieczone kurczaki, wielkie kawały sera, chłodne mleko, świeży chleb, jajka przygotowane na kilka różnych sposobów, ziemniaki i różnorakie owoce, a członkowie Przymierza z zapalem pałaszowali te delikatesy.

Od zniszczenia świątyni minęły trzy dni i każdy wyleczył się i odpoczął po ciężkich przeżyciach. Shirral przytulała się do Shanhaevela, między pocałunkami karmiąc go kawałkami sera. Dołączyły do nich Paida i Leah, Leah siedziała z Ahleage, a Paida między Dragą i Govinem.

Głora Gundigoot wciąż przynosiła nowe talerze z jej pysznymi potrawami, by uzupełnić to, co już zostało zjedzone. Wokół nich mieszkańcy Hommlet, włącznie z członkami rady, pili, śpiewali i świętowali zwycięstwo Przymierza.

Tylko Hroth nie uczestniczył w celebracji, siedząc gdzieś z boku, trzymając chłodny kufel i gapiąc się w duży kominek. Kiedy Shirral dostrzegła kapitana milicji, wstała od stołu i podeszła do niego.

Shanhaevel patrzył, jak druidka siada obok kapitana i szepcze mu coś do ucha.

Wyciągnęła dłoń i złapała rękę starszego mężczyzny. Hroth uśmiechnął się do niej, a ona pochyliła się i oparła głowę na jego ramieniu. Wtedy wziął ją w ramiona i uściśnął mocno, a po jego policzku spłyła łza.

W końcu Shirral uwolniła się z objęć Hrotha i wstała mówiąc coś do niego. Mężczyzna uśmiechnął się i potaknął, poklepując ją po ręce, zanim nie odeszła do stołu. Kiedy ponownie usiadła obok Shanhaevela, czarodziej spojrział na nią pytająco, a ona pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Jest bardzo smutnym człowiekiem, który strasznie tęskni za synem. Powiedziałam mu, że Elmo uhonorował go swoim męstwem i że powinien być z niego dumny.

Shanhaevel przytaknął i złapał ją za rękę. Zwrócił uwagę na Govina, który wstał i przygotował się do przemowy.

- Dzięki łasce mego boga, świętego Cuthberta, szczęśliwie znaleźliśmy drogę do tego wiekopomnego zwycięstwa. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie wiem, co znajduje się przede mną. Wiem jednakże, że nie ma wspanialszych ludzi niż wasza czwórka i przemierzając tę nieznaną ścieżkę wolałbym być z wami...

Walenie w drzwi przerwało rycerzowi w pół zdania. Stał tam młody mężczyzna ubrany w barwy dworu. Nosił czerwono-niebieską tunikę, a na prawej piersi miał herb Furyondy. Zabłocony mężczyzna wszedł do sali i skłonił się nisko.

- Przynoszę wiadomość dla wyróżnionych członków pewnego przymierza, do którego należą sir Govin Dahna, lojalny rycerz świętego Cuthberta, i jego towarzysze: Shantirel Galaerivel, Shirral, Ahleage, Draga i Elmo - od jego lordowskiej mości, strażnika Furyondy, księcia Thrommela. Czy ktoś może mi powiedzieć, gdzie oni są?

Przez długą chwilę panowała zupełna cisza. Wszyscy patrzyli na oficjalnego posłańca, nie będąc w stanie się odezwać.

W końcu Govin odzyskał werwę i okrążył stół, wychodząc na spotkanie młodego człowieka.

- Ja jestem sir Govin - powiedział z ukłonem - a pozostali, o których mówiłeś, z wyjątkiem Elma - niech jego dusza spoczywa w pokoju - są tu ze mną - pokazał na przyjaciół. - Co to za wiadomość?

Posłaniec wręczył Govinowi pojemnik na zwoje, zasalutował rycerzowi, obrócił się na pięcie i wyszedł z budynku. Patrząc się w dal za posłańcem, Govin przez chwilę trzymał pojemnik i gapił się w niego bez słowa.

- Hm, rycerzu, możesz otworzyć to, kiedy tylko będziesz chciał... - zasugerował Ahleage, bębniąc palcami po stole.

Kręcąc głową, Govin spojrział na pozostałych i złamał pieczęć na pojemniku, wyciągnąwszy zwinięty pergamin, rozwinął go i zaczął czytać. Kiedy skończył, stał tak z opuszczonymi rękami i zdumioną miną.

- No, co tam jest napisane? - nalegała Shirral, sięgając po wiadomość.

Govin pozwolił jej wziąć zwój, a Shanhaevel spojrział przez ramię druidki, gdy ta czytała na głos.

„Moi dobrzy i lojalni poddani i przyjaciele, wierzę, że ta wiadomość dotrze do was, kiedy cali i zdrowi pokonacie Świątynię Złych Żywiołów. Szczęśliwie powróciwszy do domu, zostałem z radością powitany przez dwór mego ojca i przez moją ukochaną Jolene, księżniczkę Veluny. Niestety, wojna domowa w jej państwie zagraża naszemu przyszłemu małżeństwu. Na dworze jej ojca są tacy, którzy wątpią w moje prawo do jej ręki i chcieliby zniszczyć naszą unię.

Potrzebuję waszej pomocy. Jeśli ta wiadomość do was dotarła, muszę zakładać, że zwyciężyliście naszych wspólnych wrogów. Jak najszybciej przybądźcie do Chendl. Mam dla was specjalne zadanie, które wymaga waszych unikalnych zdolności. Dalsze wyjaśnienia będą musiały poczekać, aż przybędziecie na dwór. Thrommel.”

Shanhaevel spojrział w górę i zobaczył, że wszyscy wokół stołu, zaskoczeni, spoglądają na Shirral.

- Na Cuthberta - powiedział wciąż oszołomiony Govin - jakimże wielkim zaszczytem jest służba księciu. Wygląda na to, że jutro wyruszamy do Chendl.

Shanhaevel pokręcił głową zdając sobie sprawę, że już podjął decyzję i że cieszy go ta nowa wyprawa ze swymi towarzyszami, przyjaciółmi, Przymierzem.

- Czy nie mówiłeś czegoś o nieznanach ścieżkach, Govinie? - spytał z uśmiechem na twarzy.